

JOZEF PRZEMOWSKI
Wioletta Sawoniewa Sawon

Dr. Lęgowatorni Wąwosirori

Węgierski państw. Księgarnia

1926
Wawrow, 18. VII. 1930. M. Chabrowski

PRZEMOWIENIA

1926 — 1930

JÓZEF PIŁSUDSKI

1926–1930

PRZEMÓWIENIA,
WYWIADY, ARTYKUŁY

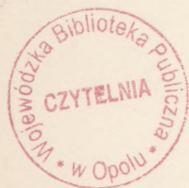
WYDANIE NOWE, UZUPEŁNIONE

Kolekcja
Emila Kornasia

W A R S Z A W A — 1931

NAKŁADEM TOW. WYDAWNICZEGO „POLSKA ZJEDNOCZONA”
SKŁAD GŁÓWNY: DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona”, Warszawa, Nowolipie 2.



Zebrali i do druku przygotowali:

ANTONI ANUSZ

i

WŁADYSŁAW POBÓG-MALINOWSKI.

CM KEK

317417

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 62/2012/ 94

WSTĘP.

W czasach, gdy zagadnienie ustroju państwa i organizacji jego władz przykuma do siebie powszechną uwagę, staje się rzeczą konieczną wydanie przemówień, wywiadów i artykułów Marszałka Józefa Piłsudskiego od maja 1926 roku do dni ostatnich.

Marszałek Józef Piłsudski jest największym w Polsce ekspertem w sprawach rządzenia państwem.

Każda jego myśl, każda uwaga, niezależnie od formy, w jakiej została wypowiedziana, powinna być znana i rozważana wśród tych, którzy pracują nad rozwijaniem i organizowaniem sił narodu.

Nikt w Polsce skuteczniej od Józefa Piłsudskiego nie zamieniał chęci słów w potęgę działania, słowo jego zawsze prowadziło do czynu. Jest on mistrzem sztuki skutecznego działania.

Podniętą w jego nadludzkich wysiłkach i trudach była mu miłość dla swego narodu, „z którym — jak pisze — wiązało go wszystko, co cieszy, wszystko, co boli, wszystko, co w nim myśli, i wszystko, co czuje”. Naród zaś cały, kierując się swym nieomylnym instynktem samozachowawczym, do Józefa Piłsudskiego zwracał się po ratu-

nek i ocalenie w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa.

W listopadzie 1918 roku Józef Piłsudski objął pełnię władzy zwierzchniej w nowopowstającym państwie polskim siłą faktu swego bezspornego autorytetu moralnego w narodzie.

W lutym 1919 roku pierwszy sejm ustawodawczy wskrzeszonej Polski jednomyślną uchwałą powierzył Józefowi Piłsudskiemu sprawowanie władzy Naczelnika Państwa. Było to „podczas wojny, która rozgorzała na wszystkich naszych granicach”.

W drugiej połowie lipca 1920 roku, gdy armje bolszewickie przelamały opór naszego młodego wojska i zbliżały się do bram stolicy, Rada Obrony Państwa, do której byli delegowani na zasadzie klucza partyjnego przedstawiciele stronnictw sejmowych, wszystkimi bez wyjątku głosami swych członków wyraziła pełne zaufanie dla Józefa Piłsudskiego, jako Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza.

Józef Piłsudski nie zawiódł pokładanej w nim wiary i ufności całego narodu: utrzymał ład i pokój wewnątrz państwa i odniósł nad Moskwą bolszewicką świetne i rozstrzygające zwycięstwo, które przygotował i zorganizował swoją ostrożną i przewidyującą polityką.

Po zwycięskiej wojnie z Rosją i po definitywnym ustaleniu granic państwowych, Józef Piłsudski skoncentrował swoją uwagę i wolę na zagadnieniu organizacji naczelných władz w państwie z myślą o tem, aby Polsce zapewnić silną i sprawną władzę wykonawczą, której brak stał się przyczyną rozstroju, niemocy i upadku Polski przedrozbiorowej.

Zorganizowanie narodu w państwo — to dopiero początek dzieła. Państwu należy zapewnić siłę i bezpieczeństwo. Źródłem siły państwa jest wysoki poziom wyrobienia państwowego jego obywateli. W swej pracy rozmiłowania poczucia i świadomości obywatelskiej w społeczeństwie, w pracy tworzenia kultury państwowej, Józef Piłsudski napotkał wielki opór w zakorzenionych nałogach i przyzwyczajeniach psychiki narodowej.

Jego własne przeżycia i doświadczenia z zakresu wysiłków nad tworzeniem w Polsce kultury państwowej tłumaczą wiele późniejszych jego powiedzeń i sposobów postępowania. Przeżycia te były w pierwszej chwili podniosłe i radosne, a następnie coraz cięższe i coraz bardziej niepokojące. Do pierwszych Józef Piłsudski zaliczał „fakt moralnej pracy narodu”, wyrażający się w dobrowolnym podporządkowaniu się narodu jego nieograniczonej władzy w listopadzie 1918 roku, a następnie w jednogłośnie wybraniu w sejmie na Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza.

Oto, jak o tem mówi sam Piłsudski 3 lipca 1923 roku: — „Moi panowie! Ten fakt moralnej pracy, której dokonał w tym czasie naród, nie jest moją historją, jest historją wszystkich tych milionów ludzi, którzy wtedy tego dyktatora słuchali, którzy nawet z minami czy grymasem niechętnym jemu się poddawali. Faktem jest, że tak było. Ta moralna praca, której dokonał wtedy wielomilionowy naród, jest faktem niezwykłym. Był on jakgdyby zaprzeczeniem tej smutnej dalekiej tradycji i tej smutnej sławy, którą naród nasz miał w przeszłości. Polska, sami Polacy to twierdzili, nieładem stoi, Polska — to jest prywata, Polska — to jest zła wola, Polska — to jest anarchja. I, jeśliśmy po

upadku mieli sympatię dla siebie, to nigdy nie mieliśmy szacunku dla siebie. Nie zaufanie, a niepewność wzbudzaliśmy i stąd chęć narzucenia nam opiekunów, wyznaczonych dla narodu anarchji, niemocy, samowoli, dla narodu, który się do upadku doprowadził prywatą, nieznoszącą żadnej władzy. I w tym narodzie powstał fakt tak niezwykle i tak dla niego oryginalny.

Moi panowie! Dumny jestem z tego faktu, dumny jestem nie tylko dlatego, że mnie ten zaszczyt spotkał, ale dumny byłem również ze swego narodu. Nie idzie mi, raz jeszcze powtarzam, o moją wartość lub o moją bezwartość, nie idzie mi o ocenę krytyczną tej czy innej mojej pracy, o wskazanie tego lub innego błędu lub tej czy innej cnoty. Idzie o sam fakt historyczny, który swoją nowością w Polsce i swoją niezwykłością metody zastanawiać będzie musiał każdego historyka...

Proszę panów! Zaszczyty, honory, zaufanie, jednoznacznie wyrażone, znowu wywołały mi gdzieś w zamierzchłej przeszłości wspomnienia dawne, wspomnienia przekłete, gdzie były te sejmy, które kiedyś bezdarne i krzykliwe o jednoznaczność wołały i nigdy tej jednoznaczności nie miały, gdyż jeden człowiek, płatny szpieg, o duszy pełnej brudu, mógł pracę państwa zniweczyć. Gdzie te wspomnienia, gdzie posłowie i dygnitarze, na obcym żołdzie, w obcych kieszeniach, w obcych będący rękach, obcych słuchający rozkazów, płaszcący się, jak gad, przed obcymi, a tak dumni, a tak panoszący się w domu?! Gdzie te wspomnienia? Pierzchły, zginęły, bo znowu był akt moralny, akt odrodzenia. Znowu jest jednoznaczność, ta niegdyś żądana, ta niegdyś wymarzona, ta niegdyś krzyczana i okrzy-

czana, ta jednoznaczność w jednym akcie. Czy ktokolwiek to robił pod strachem, czy przez przyzwyczajenie, czy z powodu niemożności znalezienia innego wyjścia, czy kto robił to biernie czy czynnie — to jest wszystko jedno, fakt jest, fakt historyczny, który skupił się na mojej osobie.

Powtarzam raz jeszcze, że nie znam faktu tak dziwnego, nie znam faktu tak śmiesznego w swojej prostocie, jak ten, który jednego człowieka, tak mało znanego, tak mało odczutego, tak mało zżytego z całym tem społeczeństwem — bo wśród posłów znałem może kilkunastu, wszyscy inni byli mi obcy ludzie, którzy mnie nie znali, którzy nie nigdy nie wiedzieli o mojem życiu — wynosi na to stanowisko, bez żadnego gwałtu, przymusu, bez żadnej agitacji, a nawet wbrew jego woli, gdyż tego nie szukał, daje mu dobrowolnie władzę tak wybitną i tak wyjątkową.

Kazano mi wreszcie reprezentować siebie, wszystkich w Polsce nazewnątrz i wewnątrz. Jeżeli przedtem mogłem tłumaczyć zjawisko jakimś zamąceniem, jakąś nieumiejętnością — to w tym wypadku ludzie wybrani, mający czas do namysłu, do narad, do krytyki każdego swego postanowienia — dają mi poza tem, co miałem poprzednio, dają mi siłę moralną, którą każdy człowiek mieć może, gdy takim obdarzony jest zaufaniem, gdy to zaufanie w taki manifestacyjny, w taki uroczysty, w taki niezwykle sposób się wyraża. Lecz odtąd, panowie, te niekne zaszczyty, cudne, jak z bajki tysiąca i jednej nocy, odtąd historia się zmienia“.

Wiemy, jak myślała ta zmieniona historia. „Zaplute karły, wylęgle w bagnach niewoli“, roz-

poczęły dziką naganę na przedstawiciela najrozszybszej władzy w państwie, przypisując mu najgorsze pobudki działania i najpotworniejsze zamiary. Reprezentanta państwa systematycznie obdzierano ze czci i powagi moralnej, uzasadniając tę nikczemną robotę wysokimi słowami i wysokimi hasłami. Dato to powód Józefowi Piłsudskiemu do takich wyrzutów pod adresem pewnych kół naszego społeczeństwa: — „Gdzieindziej w stosunku do reprezentantów państwa, nawet gdy są nieuczciwi, ukrywa się to, czyni się wysiłki, by na reprezentancie plamy nie było, by błyszczał, jak tarcza. Gdzieindziej wódz naczelny, który zwyciężył, jest czczony, spotykają go honory i zaszczyty, bo przecież on państwo wyratował, przecież on ocalił od nieszczęścia wszystkich. U nas inaczej — wódz ma iść w błoto i tylko, gdy dostatecznie błota się napije, ma być godnym Polski. Proszę panów, przywołując wam na pamięć te rzeczy, streszczając historję pięciu lat ubiegłych, nie chcę wcale wywoływać efektu tragizmu. Chcę tylko stwierdzić, że to błoto jest i że ma ono powagę i znaczenie w Polsce. Chciałem stwierdzić, że jeżeli Polska w pierwszym okresie zdobyła się na naprawę Rzeczypospolitej, to potem powoli od naprawy do starych narowów powrót się zaczyna, i że, panowie, wielkich wysiłków pracy trzeba, aby Polskę znowu na drogę naprawy wypchnąć“.

W swych usiłowaniach pchnięcia narodu na drogę naprawy Józef Piłsudski działał początkowo perswazją, radą, odwoływaniem się do patriotyzmu i poczucia odpowiedzialności polityków sejmowych i pozasejmowych. Znamionem jest pod tym rozgłosem jego przemówienie z dnia 5 grudnia 1922 roku, zakończone następującemi uwaga-

mi: — „Proszę wysłuchać rady. Na mnie proszę nie głosować, proszę wybrać człowieka, któryby miał cięższy chód, lecz lekką rękę. Z bagien i trzęsawisk trzeba się wydobywać. Człowiek o lekkim chodzie przechodzi je za szybko i nie pomaga przez to innym. Natomiast lekka ręka jest potrzebna dla wprowadzenia kompromisu. Kompromis jest nieszczęśliwem słowem. W wielu umysłach łączy się ono z pojęciem zdrady. Tymczasem kompromis jest ściśle związany z istotą demokratyzmu. Polega on bowiem na uznaniu, że nie tylko moja wola jednej strony czy chęć jej jest uprawniona do przejawienia się w państwie, lecz że równe prawa ma wola i chęć innych. Kompromis jest ułatwiony, gdy jego konieczność, narzucająca się sama przez się, urasta w zasadę szanowania innych, jako współobywateli. Współpraca wtedy jest łatwa i wola jednej strony nie sięga nigdy po laury dominowania *coûte que coûte* we wszystkich przejawach życia państwowego. Kompromis taki za pomocą wpływu, jaki przy sprawowaniu rządu ma zastrzeżony prezydent Rzeczypospolitej, wprowadzić może stopniowo lekka ręka, a nie ciężka, która szybko idzie do przymusu.

Dlatego nie radzę się zatrzymywać na kandydaturach o wybitnie partyjnym zabarwieniu. Nie radzę stawiać przyszłego pana prezydenta w ciężki konflikt między obowiązkami, jakie ma w stosunku do wszystkich — i tylko do niektórych.

Zegnając się z panami i zamykając księgę naszej wspólnej historji, pozwólcie mi, panowie, wlać trochę ciepła do mego suchego przemówienia. Cztery lata życia mojego minęły — widzę wśród panów niejednego, który w ciągu ubiegłych czte-

rech lat wyciągał do mnie na chwilę lub na dłużej chętną i lojalną rękę pomocy. Chcę wyrazić serdeczną wdzięczność za tę pomoc i zapewnić, że w miłym wspomnieniu zachowam zawsze wszystkich tych, którzy przeszli ze mną choć chwilę razem po historycznej drodze — drodze piaszczystej i błotnistej, drodze, jaką w ostatnich dwu latach przebyłem”.

Gdy nie pomogły słowa przekonywań i upomnień, Józef Piłsudski odwołał się do siły, rzucając w maju 1926 roku swój wielki autorytet moralny na szalę wydarzeń w kraju.

Szale magi dziejów wykazały podómczas, jak wielką jest rola Józefa Piłsudskiego w życiu narodu i państwa.

Wola jego unosi się dzisiaj nad całym obszarem naszego życia państwowego. Lecz jeden człowiek nie może pracować za wszystkich. Pomiędzy Józefem Piłsudskim a całym społeczeństwem musi być przerzucona transmisja wzajemnego zrozumienia i współdziałania.

Dobro narodu i państwa wymaga, aby Józef Piłsudski w swych zamierzeniach, zakrojonych na miarę historyczną, miał świadome poparcie większości społeczeństwa i nie był zmuszony ukradkiem, kontrabandą niejako, uprarniać rolę ojczyństwa pod posiero wielkiej i sławnej przyszłości. Aby dać komuś świadome poparcie, należy rozumieć jego cele i metody działania. Wydarnictwo niniejsze ma na celu udostępnienie wszystkim w Polsce źródła poznania i zrozumienia tego, jak mówi i pisze człowiek czynu, organizator zwycięstw i twórca faktów historycznych.

Wczytujemy się w słowa Józefa Piłsudskiego i romysłajmy się w ich najgłębszy sens, słuchajmy

jego rad i namolywań! Piłsudski ma rozrok utkwiony w te wielkie, podniosłe okresy historii narodo-
mej, kiedy to naród roznosił się na szczyty wielkości i chwały, i stara się nawiązać dzień dzisiejszy życia narodu do najświatniejszych tradycji przeszłości. Ma więc prawo nienawidzić i gardzić tymi, którzy pomniejszają aspiracje narodu, dezorganizują jego siły i sieją niezgodę i rozterkę w duszę społeczeństwa.

Człowiek, który był dla całego narodu niezawodnym oparciem i ratunkiem w dniach najgroźniejszych niebezpieczeństw, zdobył sobie przez to największe prawo do stanowienia o tem, jaka forma ustroju państwowego zapewni narodowi pomyślny, równy i trwały rozwój.

Józefowi Piłsudskiemu nie chodzi o władzę dla siebie, gdyż ma jej ile tylko chce, lecz chodzi mu o siłę i bezpieczeństwo państwa polskiego, które jest dziełem pracy jego całego życia, pełnego trudów i niebezpieczeństw.

Uczmy się od Józefa Piłsudskiego umiejętności tworzenia siły i posługiwania się nią, albowiem — jak nas o tem poucza — „moc bez sprawiedliwości i swobody jest przemocą i barbarzyństwem, sprawiedliwość i swoboda bez mocy jest pustym frazesem i dziecinadą”. Pamiętajmy, że państwo polskie może istnieć tylko jako silne państwo: słabe państwo polskie nie da się utrzymać w tych, dobrze nam znanych, warunkach czasu i miejsca.

Pomyślny rozwój i bezpieczeństwo naszego państwa jest osią wszystkich myśli i prac Józefa Piłsudskiego.

Odczytując kartki tej książki, starajmy się skupić całą naszą uwagę przedewszystkiem na to, o co chodzi Józefowi Piłsudskiemu, a nie na to, w jaki

sposób i jakimi drastycznymi słowami jego wyczerpująca się cierpliwość reaguje na te sztuczne przeszkody, jakie mu rzuca pod nogi zła wola, prywatna i ślepotą polityczną tych, co niczego niezdolni są nauczyć się z ciężkich doświadczeń historycznych własnego narodu.

Należy pamiętać, że Józef Piłsudski zazwyczaj nie dochodzi krzywd i uraz osobistych, lecz jest nieublagany i bezrozgłębny w ściganiu tych, którzy swoim postępowaniem wyrządzają krzywdę dobru publicznemu i przynoszą ujmę powadze państwa.

Tem się tłumaczy ostry, namiętny i bezrozgłębny ton wywiadów prasowych, udzielonych podczas ostatniej kampanii wyborczej.

Wrzaskliwej, zakłamanej i oszukańczej agitacji wyborczej „rozwydrzonego partyjniactwa”, Józef Piłsudski przeciwstawił swoje wywiady, w których jego troska o dobro publiczne i jego odpowiedzialność za przyszłość państwa wypowiada się słowami „groźby i gniewu” dla faryzeuszów partyjnych.

Dzisiejszy stosunek Józefa Piłsudskiego do zagadnienia ustroju państwowego jest taki, jakim był w roku 1915 jego stosunek do stworzonych przez siebie Legionów. W liście do księcia Lubomirskiego z dnia 25 lipca 1918 roku czytamy: „...Niestety, wtedy — we wrześniu 1915 roku — nie mogłem wykonać swej decyzji (złożenia dymisji). Przy pierwszej próbie wysondowania opinii wojska — w tym celu badałem wszystkich starszych oficerów — przyszedłem do przekonania, że usunięcie się moje wstrząśnie tak silnie moralnie wojsko, iż następstwem istniejącego już rozdrażnienia muszą być ekscesy, których znowu za wszelką ce-

nę chciałem uniknąć. Wobec tego postanowiłem dymisję odłożyć i starać się odzwyczaić wojsko od wiązania zbyt silnie swego losu ze mną”.

Przez odpowiednią organizację władz państwowych Józef Piłsudski chce dzisiaj osiągnąć ten skutek, aby jego osoba nie była jedyną gwarancją rozwoju i bezpieczeństwa państwa. Chce on w ten sposób stopniowo naród „odzwyczajać od wiązania zbyt silnie swego losu z jego osobą”.

Ustrój państwowy musi być dopasowany do wartości obywatelskiej i kultury państwowej przeciętnego obywatela. Bezpieczeństwo państwa nie może być gruntowane na wierze, że w dniach niebezpieczeństwa znajdzie się zarosze mocarz czynu, który swym geniuszem politycznym odrobi braki Konstytucji i zagarnie dla siebie tyle władzy, ile mu będzie potrzeba dla zorganizowania obrony państwa.

Ta spekulacja ustrojowa, która z wyjątku usiłuje stworzyć regułę, nie zdoła uspokoić sumienia żadnego patrioty, który nie tylko poznał, lecz i myślowo przeżywał dzieje własnego narodu. Każdy bowiem Polak musi odczuwać ból i głębokie upokorzenie, gdy umysłem swym ogarnia wszystkie klęski, nieszczęścia, straty i krzywdy, jakie spadały na naród w ciągu kilku stuleci z powodu wad i przywar naszej psychologii politycznej, nie pozwalających na myślenie silnej, trwałej i sprawiedliwej władzy państwowej.

Kto myślowo przeżył i przebolewał upadek polityczny narodu, ten zrozumie cel, metodę działania i sposób wypowiedzania się Józefa Piłsudskiego.

Natchniony język „Kazań Sejmowych” Skargi i ewangeliczny język „Księgi Pielgrzymstwa” nie

rostrząsnęły sumień najbardziej zatwardziały
burzycieli jedności i siły narodu.

Może to osiągną słowa Marszałka Piłsudskiego.

Niech książka ta szerzy zrozumienie zagadnienia
rządu w państwie, niech niesie otuchę i zachętę
dla tych, którzy pracują nad pomnożeniem moral-
nych sił narodu, oraz niech będzie wyrazem po-
gardy i potępienia dla tych, którzy swem postę-
powaniem niszczą w odrodzonej Polsce zło-
wrogie widma prywaty i anarchji, zapowiadające
bezrząd, niemoc i upadek państwa.

1 9 2 6

O WYNIKU PRZESILENIA RZĄDOWEGO
I TAK ZWANYM TRZECIM RZĄDZIE WITOSA.

(10 maja).

— *Ponieważ dzisiaj właśnie zakończony został niezmiernie długi w swoim przebiegu kryzys gabinetowy, w czasie którego Pan Prezydent odwoływał się do opinii Pana Marszałka, czy można prosić go o wyrażenie poglądu na przeżyte świeżo wypadki ostatnich dni?*

— Nie uważam tego procesu za zakończony — odpowiedział Marszałek — gdyż kilkakrotne próby pana Witosa nie udawały się jedynie z przyczyny nieumiejętności albo niechęci tego pana uwzględniania interesów moralnych państwa. Państwo bowiem ma dwie funkcje, wyraźnie państwowe i wyraźnie z jego bytem związane, — wojsko i politykę zagraniczną, to znaczy stosunki z innymi państwami. Te dwie funkcje, jak zawsze twierdziłem, nie mogą podlegać fluktuacji gry zawistnych partij, gdyż system taki prowadzi nieuchronnie państwo do zguby i demoralizuje oraz degeneruje obie te funkcje. Takie było moje zdanie, gdy jako Naczelnik Państwa z trwogą patrzyłem w przyszłość, widząc rozgranienie namiętności partyjnych w stosunku do tych właśnie dwóch państwowych *par excellence* funkcji. Jak w poprzednim kryzysie, gdy padał pan Władysław Grabski, tak i w tym, gdy upadł

pan Aleksander Skrzyński, stanąłem w obronie funkcji wojska i dlatego wyłącznie o tem będę mówił.

Pan Wincenty Witos znany jest w historii naszego państwa głównie z bezceremonjalnego stosunku do wszystkich funkcji państwowych. Dobór jego kolegów w obecnym gabinecie przypomina mi rząd, utworzony ongiś z wielkim hukiem i hałasem, a co do którego zdecydowałem, iż nie mogę w żaden sposób łączyć mego nazwiska z takim właśnie rządem. Wiedziałem bowiem zgóry, że wraz z powstaniem takiego rządu idą przekupstwa wewnętrzne i nadużycia rządowej władzy bez ceremonji we wszystkich kierunkach dla partyjnych i prywatnych korzyści. Na ministrów wojska od tego czasu zaczęto dobierać generałów, którzyby mieli sumienia giętkie, zdolne do uprawiania — jak ja nazywam — handlu posadami i rangami, dla wygody takiego czy innego stronnictwa, takiego czy innego potrzebnego posła, takiego czy innego wygodnego kupca — jednym słowem, takiego czy innego człowieka. System demoralizacji wojska, które, nie mając praw wyborczych, ma jedyne przedstawiciela swych interesów i potrzeb w osobie ministra, przy odpowiednim doborze tego ministra, zaczął święcić swoje triumfy nie przy kim innym, jak przy panu Wincentym Witosie.

Przypominam też z owych czasów, że wobec mego przeciwstawienia się temu systemowi w stosunku do wojska, zastosowano względem mnie osobiście środki bardzo niedowcipne, ale zato bardzo hańbiące. Otaczano mnie płatnymi szpiegami, przekupywano pieniędzmi i awansami każdego, kto mnie — byłego Naczelnego Wodza — zdradzał, szukano, jak to śmiem twierdzić, mojej śmierci.

— *Pan Marszałek ma na myśli rząd Witosą?*

— Tak. Trwało to przez cały czas rządu pana Witosy i jego szlachetnych kolegów i dowodzenia wojskiem pana generała Szeptyckiego. System ten w inny sposób, bardziej — że tak powiem — rozlewny, był stosowany i przy następnym ministerjum pana Władysława Grabskiego wraz z Władysławem Sikorskim.

Gdy więc na szczęście dla Polski padły oba ministerja, ministerja rozwyrzenia partyj, dzielących Polskę na szmatki na rzecz każdej partji i każdego stronnictwa, zostały po nich duże deficyty państwowe i ogólne, daleko idące zubożenie. Odbiło się to dotkliwie i na wojsku. Budżet wojskowy został w jednej chwili zmniejszony do połowy. Minister spraw wojskowych mieć obecnie musi do czynienia z dziesiątkami kryminalnych spraw o nadużycia pieniężne, popełniane przez protegowanych obu kiepskiej pamięci rządów: pana Wincentego Witosy i pana Władysława Grabskiego. Obciążać zaś te kryminały i nadużycia mają nie winnych, lecz zubożały nagle o połowę budżet wojska. To też przestrzegałem Pana Prezydenta i przy pierwszym, i w obecnych kryzysach przed pomijaniem moralnych interesów wojska.

— *Jak należy rozumieć ten moralny interes wojska?*

— Moralne interesy wojska polegają nie na czem innym, jak na pogodzeniu faktu, że wojsko nie jest wyborcą, a więc nie ma pełnych praw obywatelskich, z innym faktem — musem służby w stanie wojskowym, z poczuciem gotowości poniesienia śmierci nie dla siebie, a dla państwa. Moralność zaś publiczna wyklucza zgóry niebezpieczeństwo poniesienia śmierci dla poszczególnego stronnictwa

lub poszczególnych posłów, gdy tacy panowie, jak pan Wincenty Witos i jego koledzy, neglizując honor służby i korzystając z faktu, iż wojsko nie jest ich wyborcą, brudną nieraz ręką często macili sumienie wojska. Ale niech ci panowie nie sądzą, że to, co się działo w stosunku do kas państwowych, — używanie pieniędzy skarbowych na przekupstwa, szpiegowanie takich czy innych nieprzyjaciół partyjnych czy osobistych, — jest nikomu nieznane. Jest to przecież tajemnicą poliszynela. Wątpię więc, aby gdziekolwiek w wojsku chciano połączyć zjawisko swojej śmierci z takim stosunkiem do rządu podobnego gatunku.

Wogóle neglizowanie funkcji państwowych, brak szacunku dla służby państwu, jest charakterystyczną cechą rozumowań panów posłów i senatorów. Wyobrażają sobie oni bowiem, iż każdy człowiek, pozostający w służbie państwa, zmieniać się musi w zależności jedynie od tego, jak — powiedzmy — wspólnie przy bufecie sejmowym pili wódkę czy kawę pan Wincenty Witos z panem Markiem czy z panem Chądzyńskim, jaki — kwaśny czy wesoły — uśmiech miał pan Stanisław Grabski w rozmowie z panem Feliksem Perlem (niedawno były to bardzo miłe uśmiechy), czy z panem Ciacińskim. Wyobrażać sobie, że ludzie nieznikczemiali mogą do tych wielkich zdarzeń przywiązywać wagę, może tylko pan Wincenty Witos.

— *Przy przeszłym kryzysie Pan Marszałek wymieniał kandydatów na ministrów spraw wojskowych. Obecnie również pan Witos rozgłaszał, iż teka wojska będzie obsadzona w porozumieniu z panem Marszałkiem. Czy coś podobnego miało miejsce?*

— Ależ nigdy! Przedewszystkiem nigdybym nie wybrał wymienionego już w pismach kandydata. Wogóle byłoby wielką naiwnością wierzyć w podobne nonsensy, że pan Witos, który dba więcej o wybory, niż o cokolwiek innego, mógł wyrzec się swojej — o ile wiem — zasadniczej myśli używania wpływów wojskowych nie dla czego innego, jak dla swoich partyjnych interesów. Było to jego zasadniczą myślą, którą mi nieraz wyrażał, jako Naczelnikowi Państwa, w okresie zbliżających się wyborów. Wtedy szermował szeroko, wbrew memu pozwoleniu, mojem nazwiskiem, nie przez kogo innego, jak przeze mnie, szukając pomocy wpływów wojskowych dla swojej partji.

— *Znaczy więc, że przy obecnym kryzysie został zatracony interes państwa, ocalony w zeszłym kryzysie przez wyeliminowanie teki wojska z rozgrywki stronnictw sejmowych i pozostawienie jej do dyspozycji Pana Prezydenta?*

— Ja tego stwierdzić nie mogę, gdyż nie jestem poinformowany o stanowisku Pana Prezydenta w tej sprawie. Być może, że domysł pana jest słuszny, gdyż to bardzo patrzy zarówno na pana Wincentego Witos, jak i na jego kolegów.

— *O ile rozumiem sens wytworzonej sytuacji, powrót Pana Marszałka do wojska ulegnie zwłoce?*

— Naturalnie. Pan widzi, iż ze swej strony nie robię ani kroku dla podtrzymania tak jaskrawego przekroczenia moralnych interesów państwa i moralnych interesów wojska. I staję do walki, tak, jak i poprzednio, z głównem złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partyj i stronnictw nad Polską, zapomnianiem o imponderabiljach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści.

OŚWIADCZENIE ZŁOŻONE PRZEDSTAWICIE-
LOM PRASY PO WKROCZENIU Z WOJSKIEM
DO STOLICY KRAJU.

(12/13 maja).

— Nie mogę długo mówić — jestem bardzo zmęczony zarówno fizycznie, jak moralnie, gdyż będąc przeciwnikiem gwałtu, czego dowiodłem podczas sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, zdobyłem się, po ciężkiej walce z samym sobą, na próbę sił z wszystkimi konsekwencjami.

Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowie imponderabilja, jak — honor, cnota, męstwo i wogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie dla starania o korzyści własne czy swego najbliższego otoczenia.

Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co pracę swą dla innych dają, nie może być w państwie — gdy nie chce ono iść ku zgubie — za dużo nieprawości.

ROZKAZ DO ARMJI.

(22 maja).

Żołnierze!

Nie po raz pierwszy słyszycie mój głos. Ongiś na polach bitew, gdy młode państwo jeszcze ząbkowało, jak chorowite dziecko, prowadziłem was w boje, które w zwycięstwach, pod moim dowództwem wywalczonych, na długie wieki okryły sławą i blaskiem bohaterskie wasze sztandary.

Po innych bojach przemawiam do was dzisiaj. Gdy bracia żywią miłość ku sobie, wiąże się węzeł między nimi, mocniejszy nad inne węzły ludzkie. Gdy bracia się waśnią i węzeł pęka, waśń ich również silniejsza jest nad inne. To prawo życia ludzkiego. Daliśmy mu wyraz przed paru dniami, gdy w stolicy stoczyliśmy między sobą kilkudniowe walki. W jedną ziemię wsiąkła krew nasza, ziemię jednym i drugim jednakowo drogą, przez obie strony jednakowo umiłowaną. Niechaj krew ta gorąca, najcenniejsza w Polsce krew żołnierza, pod stopami naszymi będzie nowym posiewem braterstwa, niech wspólną dla braci prawdę głosi.

Jest prawda twarda i harda o żołnierzach. Wszyscy mamy jedną wspólną siostrzycę, władającą nad pracą naszą żołnierską. Jest nią śmierć, ścinająca kosą tego, na którego palec Boży wskaże.

Służb takich nie sprawuje nikt inny, prócz nas, żołnierzy. Takimi byliśmy, gdyśmy ongiś wzięli Polskę, słabiutką i drżącą, na swoje bary, by po znojach i zwycięstwach oddać ją współobywatelom silną i pewną życia. Lecz widzimy ją, niestety, w wiecznych swarach i kłótniach, w jakiejś rozkoszy panoszenia się jednych nad drugimi. I gdy dookoła nas wre kłótnia i zawiść partyjna, gdy dygotce nienawiść i rozpala się niechęć dzielnicowa, trudno, by żołnierz był spokojny.

A jednak chcę być pewnym, że nie kto inny, jak żołnierz polski pierwszy się ocknie, pierwszy do zgody i braterstwa stanie. Niech przeto nie myśli wróg żaden czy nieprzyjaciół, że ziemię naszą znaleźć może bezbronną. Staniemy, jak zawsze, jeden obok drugiego, by dać za ojczyznę życie, a wspomnienie o bojach majowych w Warszawie, o tych walkach, któreśmy ze sobą stoczyli, nie dzielić, lecz łączyć nas wtedy z sobą będzie, jak wspomnienie gwałtownej sprzeczki między kochającymi swą rodzinę braćmi.

Żołnierze! Stałem znowu na waszem czele, jako wasz Wódz. Znacie mnie. Bezwzględny dla siebie, stałem zawsze pośród was — w najcięższych waszych bólach i trudach, w mękach i niepokojach. Znacie mnie i, jeśli nie wszyscy kochać mnie potraficie, wszyscy musicie mnie szanować, jako tego, który was do wielkich zwycięstw prowadzić potrafił, a przy ogólnem zepsuciu i demoralizacji nie chciał i nie umiał korzyści własnej pilnować lub dochodzić.

Niech Bóg, nad grzechami litościwy, nam odpuści i rękę karzącą odwróci, a my stańmy do naszej pracy, która ziemię naszą wzmacnia i odradza.

Rozkaz przeczytać we wszystkich podwładnych mi oddziałach i tak dalej.

Minister Spraw Wojskowych:
Józef Piłsudski
Pierwszy Marszałek Polski.

O DNIACH PRZEŁOMU I O SYTUACJI PRZED ZGROMADZENIEM NARODOWEM.

(24 maja).

— *Wobec całego szeregu sprzecznych wersji, krążących wokół wypadków dni 12, 13 i 14 maja i znacznych rozbieżności w opinii co do ich ujęcia, czy nie zechce Pan Marszałek dać swego autorytatywnego ich oświecenia?*

— Rozumiem pańskie pytanie i wiem, że winienem obszernie wytłumaczyć wypadków mojej ojczyźnie. Nie chcę zatrzymywać się długo na różnych detalach, które dotąd zbieram, jako materiał historyczny, lecz dam panu ogólny przebieg wypadków, tak, jak on wrył się w moją pamięć. Przypuszczam, że pan pamięta, iż przez cały początek roku bieżącego, nie mówiąc już o końcu ubiegłego roku, toczyła się walka o naprawę stosunków w Rzeczypospolitej, specjalnie zaś w wojsku. Walka ta w swoich perypetjach nie dawała nigdy decyzywnego rezultatu. Tak, że wydawało mi się, iż przeciwko moim postulatom ześrodkowały się wszystkie siły, które według mnie zatrzymywały proces rozwoju Polski, a zwiększając ustawicznie demoralizację i gangrenę aparatu państwowego, czyniły dla mnie niemożliwym trwanie dłużej w bezczynności. Oburzała mnie specjalnie absolutna bezkarność wszystkich nadużyć w państwie i wzrastająca

coraz bardziej zależność państwa od wszystkich *numoriszów*, którzy narówni ze mną i wielu ludźmi przyszli do państwa polskiego ubodzy i zdążyli kosztem państwa i kosztem wszystkich obywateli w kilka krótkich lat wyrosnąć na potentatów pieniężnych, chcąc, by ku hańbie naszej ojczyzny państwo we wszystkich drobiazgach należało do nich.

Ostatnim momentem, który mnie zmusił do decyzji, było utworzenie rządu, przypominającego mi bezecnej pamięci rząd, z powodu którego wyszedłem ze służby państwowej, nie chcąc swoim imieniem i służbą popierać ludzi, którzy, zdaniem mojem, brali udział w najcięższej zbrodni, dokonanej na Polsce, — w zabójstwie Prezydenta Rzeczypospolitej, Gabryela Narutowicza, mego zresztą osobistego przyjaciela. Bezkarność w tej dziedzinie zgóry przesądzała trwanie bezkarności we wszystkich innych dziedzinach.

Rząd ten odrazu ogłosił rządy „silnej ręki“, zwracając się przede wszystkim przeciwko mnie osobiście. Decyzję wystąpienia powziąłem z wewnętrznym postanowieniem starać się jedynie o obalenie rządu, nie występując zresztą przeciwko osobie Pana Prezydenta Wojciechowskiego. Dotąd żałuję, iż Pan był Prezydentem naraził mnie i siebie na śmieszny sytuację na moście Poniatowskiego, zamiast kazać reprezentować siebie przez tych, co nie śmieli stanąć mi do oczu.

— *Właśnie przebieg tej rozmowy nie jest dotychczas dobrze znany opinii...*

— Osobiście oświadczyłem Panu Prezydentowi, że wolę z nim pertraktować, niż toczyć boje. Pan Prezydent wybrał inną drogę. Nie chcąc narażać osoby Prezydenta na udział bezpośredni w boju,

co byłoby dla mnie rzeczą łatwą, przerzuciłem przejście przez Wisłę na most Kierbedzia, dokąd natychmiast się udałem, i co, jak pan wie, zostało dokonane prawie bez strat. Krótkie boje nastąpiły dopiero przy posuwaniu się od placu Zygmunta w głąb miasta. Te boje, także z niewielkimi stratami, dały w moje ręce cały plac Saski wraz z centralnymi instytucjami wojskowymi.

Po przybyciu wieczorem do Komendy Miasta zaprosiłem do siebie pana marszałka Rataja i stwierdziłem odrazu, że mam już przewagę sił, które wzrastać będą niemal z każdą godziną, lecz że i teraz uniknąć chcę większych wstrząśnień, na co jest jeszcze czas, i dlatego proponuję mu, że jeśli uważa to za potrzebne, by rozpoczął medjacje między mną a Belwederem. Dodałem, iż śpieszyć z tem trzeba, gdyż z natury rzeczy już dnia następnego, jeśli medjacje nie będą zakończone w przeciągu nocy, będę musiał iść dalej siłą ze wszystkim: jej konsekwencjami. Pan marszałek Rataj zgodził się ze mną i podjął tę próbę, która nad ranem dała rezultat zupełnie negatywny, nie z mojej przyczyny.

W drugim więc dniu walki mógłbym właściwie zakończyć spór orężny względnie łatwo. Uległem jednak jeszcze i tym razem próbie, proponowanej mi z innej strony, — nazwisk w tej chwili wymienić nie chcę — prolongowania medjacyj w inny sposób. Wiedziałem, iż w ten sposób zwiększam może straty w ludziach, lecz wewnątrznie nie mogłem zdobyć się na zaniechanie zupełne tego sposobu wstrzymania nie tylko rozlewu krwi, lecz i sięgających głębiej rozdrażnień, które mogłyby jako rezultat dać zjawiska, trudniejsze do opanowania. Przyczem dodam, że nie miałem na myśli rozruchów socjalnych, gdyż po wejściu do War-

szawy stwierdziłem stan psychiczny miasta, idący wraz ze mną tak zdecydowanie na przełom moralny w naszej ojczyźnie, że zdawałoby się, iż wszyscy, a więc i przeciwnicy, muszą to widzieć. Dałem więc tylko termin, do którego nie prowadzę ataku decydującego. Termin ten miał upłynąć o godzinie 11 wieczorem, gdyż dla uniknięcia przelewu krwi osób cywilnych przygotowałem się do nocnego ataku. Próba owa, jak mnie się zdaje, niechętnie prowadzona, rozchwiała się, tak, iż o godzinie 11 zawiadomiono mnie, że nie mam na nic liczyć. Jednocześnie rozchwiał się jednak mój plan ataku nocnego, gdyż kontrola wykazała fakt zmęczenia żołnierzy długimi marszami, które — nawiasem mówiąc — mogą uchodzić za rekordowe nie tylko u nas, ale i na całym świecie, że wymienię tylko 13-ty pułk piechoty i 5-ty pułk jazdy. Dlatego też atak decydujący poprowadziłem dopiero rano dnia następnego, kończąc go koło 5 godziny i zmuszając sztab, dowodzący po tamtej stronie, do bezładnej i nonsensownej ucieczki.

Późnym wieczorem przyjechał do mnie do sztabu kapelan Prezydenta, ksiądz prałat Tokarzewski, z prośbą o zaniechanie wszelkiej walki i z innemi, całkiem prywatnemi, kwestjami od Pana Prezydenta. Stanąłem natychmiast do dyspozycji pana Wojciechowskiego, by mu ułatwić wszelkie jego osobiste sprawy. Natomiast prosiłem pana marszałka Rataja, by zechciał ubrać w formę urzędową wyrażoną przez Pana Prezydenta Wojciechowskiego chęć dymisji. Tem się sprawa zakończyła, gdyż próby ściągnięcia większych sił z Poznańskiego i z Pomorza ku Warszawie, chociaż zostały — jak pan dobrze wie — uczynione, zgóry według mnie skazane były na coś w rodzaju wojny kokoszej.

Nie wydawało mi się bowiem możliwem rozpoczęcie przez wojsko walki raz jeszcze.

Przechodzę teraz do punktu, który, zdaje się, głównie zajmuje umysły, to jest do próby, która mi się zupełnie udała, — pójście dalej drogą legalizowania tego, co zaszło. Miałem do wyboru: albo przeciągnąć dalej strunę i zakończyć tak, jak, zdaje się, żądano ode mnie — jakąś próbą dyktatury i wzięciem władzy w swoje jedynie ręce, albo, co mi się wydawało, jako droga możliwa, próbę zalegalizowania faktu dokonanego, gdy Pan Prezydent Wojciechowski otworzył do tego drogę, i odwołania się w ten sposób do sił moralnych w mojej ojczyźnie, które — jak mi się zdawało — zostały silnie podekscytowane mojem wystąpieniem.

Wybrałem drugą drogę i wtedy śpieszyłem jak najgwałtowniej, czyniąc nacisk pod względem czasu, nie pod względem treści, na pana marszałka Rataja, który prawnie do wyboru nowego prezydenta jest jego zastępcą i zatem miał obowiązek sformowania nowego rządu, wobec ustąpienia poprzedniego. Pan marszałek Rataj wybrał do sformowania rządu profesora Bartla. Profesor Bartel jednak odmawiał, będąc, jak twierdził, przeciwnikiem zasadniczym sejmowych rządów. Wyznałem otwarcie, iż poparłem pana Rataja w zgwałceniu, że się tak wyrażę, woli profesora Bartla, który jednak zażądał rewanzu z mojej strony. Na rewanz ten się zgodziłem pod warunkiem, iż rząd uważać się będzie za tymczasowy do wyboru nowego prezydenta, i dlatego cały swój nacisk położyłem na możliwie szybkie zwołanie Zgromadzenia Narodowego, by nowy prezydent mógł zacząć pracować, daj Boże, silniej i skuteczniej, niż to było z dotych-

czasowymi prezydentami, nie wyłączając i mnie, jako byłego Naczelnika Państwa.

Rozumiem, iż w ten sposób zawiodłem wiele nadziei, we mnie pokładanych, i wyrzekłem się tak łatwej w okrzykach formy, jak dyktatura jednego człowieka. Zrobiłem to jednak z całą rozwagą i świadomą decyzją, pomimo, iż ufam swoim siłom i swojej wewnętrznej wartości. Zrobiłem to zaś dlatego, żeby odzwyczajono się u nas w Polsce zwać spokojnie wszystko na jednego człowieka, dając mu potem niechętną pomoc, bez dania codziennej, solidnej pracy wielkiej ilości ludzi, niezbędnej dla zreformowania przyzwyczajęń, tak silnie zresztą krytykowanych, w całym aparacie państwowym.

Będę o tem mówił z panem jeszcze kilka razy do wyboru prezydenta i wówczas będę miał okazję wejść w detale i szczegóły. Teraz ograniczę się jedynie tem ogólnem stwierdzeniem. I mogą krytykować mnie ludzie tak, jak im się żywnie podobą, ja zaś nie przestanę twierdzić, że zrobiłem jedyny w swoim rodzaju fakt historyczny, że zrobiłem coś podobnego do zamachu stanu i potrafił go natychmiast zalegalizować i że uczyniłem coś w rodzaju rewolucji bez żadnych rewolucyjnych konsekwencji. Dodać muszę, że jestem pełen podziwu dla zachowania się wojska podczas walki. Walka odbywała się w mieście, pełnem pokus dla głodnego często żołnierza. Trzeba bowiem wiedzieć, że ja walczyłem z zaimprovizowanym sztabem, który miał, naturalnie, trudności w zaaprowizowaniu na czas oddziałów. Przytem tak oryginalnej bitwy, toczonej w mieście, wśród publiczności, zbierającej się tłumnie koło żołnierzy, wśród krążących tramwajów, nigdy dotąd w świecie nie było.

Żołnierze mężnie wytrzymali prywację i zachowywali się zarówno w stosunku do publiczności, jak i branych gęsto jeńców z wyszukaną grzecznością.

Niestety, nie mogę tego powiedzieć o przeciwnej stronie. Wymienię najprzykrzejsze dla mnie fakty. Przedewszystkiem najbardziej oburzający jest fakt zajęcia siłą szpitala Ujazdowskiego. Pułki 22-gi, 1-szy i 13-ty, które tamtędy zmierzały ku granicom miasta, w kierunku Belwederu, by prędzej uwolnić z opresji część pułku szwoleżerów, broniąc się w swoich koszarach, — wahały się dość długo, ponosząc straty, przed atakowaniem obsadzonego przez przeciwnika szpitala. Ta sprzeczna z wszelkimi prawami międzynarodowymi prawda działania przeciwnej mi strony obciąża odpowiedzialność tych, co tam dowodzili. Nie mogę też powiedzieć, aby zachowanie się dowódców takich, jak pan Malczewski, ówczesny minister spraw wojskowych, w stosunku do poszczególnych oficerów i żołnierzy, którzy przypadkowo często trafiali w jego ręce, należało do przyzwoitych. Szwoleżerom, którzy, jak wiadomo, noszą na szlifach moje cyfry, gdyż jestem ich szefem, pan Malczewski rwał szlify, depcząc je nogami, i znieważał nieraz czynnie bezbronných ludzi. Strzelano również do okien mieszkań rodzin oficerów szwoleżerskich, gdzie pozostawały bezbronne kobiety i dzieci. Już nie mówię o próbie nastraszania mojej żony i dzieci, gdy raz po raz posyłano lotników, którzy krążyli nad Sulejówkiem, gdzie żadnych wojsk nie było, udając, że chcą rzucać bomby.

— *W tym opisie wypadków, o ile zrozumiałem, Pan Marszałek dał zarazem ich genezę?*

— Tak jest!

— *A teraz chciałbym przejść do innej kwestji. Jako konsekwencję wybrania przez Pana Marszałka drogi legalizowania wypadków opinja rozumie objęcie przez Pana Marszałka Prezydentury. Czy wolno zapytać o stosunek Pana Marszałka do tego postulatu społeczeństwa?*

— Wiem, że pytanie to jest skierowane ku mnie z tak wielu stron, iż winienem dać na nie odpowiedź. Niech pan jednak pozwoli, że odpowiem publicznie wymijająco, gdyż musi być dany wybór pomiędzy kilku kandydatami. Czekam więc zgłoszenia publicznie kilku kandydatów, bym mógł ich wszystkich — z wyjątkiem tych, którzy na mój szacunek nie zasługują, lub nawet zasługujących, lecz pochodzących ze stronnictw sejmowych — zebrać u siebie, by ich namówić do jednego publicznego aktu. Akt ten wyobrażam sobie w postaci deklaracji, że żaden z kandydatów, zebranych u mnie, nie idzie na żadne pacta conventa, ani ze stronnictwami sejmowymi, ani z bankami, czy z grupami koncernów i interesów. W ten sposób, przypuszczam, udałby mi się protest przeciwko zwyczajom polskim tak dawnym, jak ongiś elekcyjne wybory królów, a które, jak mi się zdaje, chcą w stosunku do prezydenta powtarzać stronnictwa wraz z udającymi dawnych magnatów *numoriszami*. Przecież prezydent, tak, jak ongiś król, reprezentować musi całe państwo, ze wszystkimi stronnictwami i ze wszystkimi warstwami. Jest z natury rzeczy jeden tylko i, jako taki, stojąc u góry, jest skazany na samotność.

Hańbą Polski, zarówno w okresie, gdy szła do upadku, jak i w nowej Polsce, tak zwanej demokratycznej, jest obciążenie swego przedstawiciela nazewnątrż i wewnątrz wszelkimi wysokimi

przysięgami, których sami wyborcy nie składają, albo składając, nie dotrzymują, i odebranie temu przedstawicielowi nawet pozorów władzy bezpośredniej, któraby ułatwić mogła dotrzymanie przysięgi, mówiącej między innymi o obronie godności imienia polskiego na świecie.

Sam zaś zwyczaj, stosowany dawniej i w naszych czasach, bezczeszczenia publicznego przedstawiciela narodu i ojczyzny, nikczemnego wdzierania się do spraw i uczuć najbardziej prywatnych, stałych prób robienia z tego, co jest, jak wojsko, sztandarem państwa i narodu, jakiejś szmatki, tarzanej w błocie, nie jest dla nikogo zachęcającym momentem znoszenia tej obrzydliwości życia polskiego — na stanowisku prezydenta.

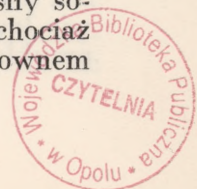
Dlatego też, powtarzam, przy stawianiu kandydatur nie chcę być jedynym kandydatem Polski i chciałbym w pierwszej chwili zbliżyć się ze współczuciem i serdeczną pomocą człowieka, który ma siłę wewnętrzną, bo potrafił to paskudztwo przeżyć i w sobie strawić, do tych szczęśliwych lub nieszczęśliwych wybrańców narodu polskiego, nim klamka wyborów nad kimkolwiek zapadnie.

O PRAWICY I LEWICY W POLSCE.

(26 maja).

W dalszym ciągu przytoczonego wyżej wywiadu, na uwagę przedstawiciela prasy, że „rwy padki 12, 13 i 14 maja w odniesieniu do sejmu dały w rezultacie pęknięcie izby na dwa wyraźne obozy, prawicę i lewicę, określone nie przez co innego, jak stosunek do dokonanego przewrotu moralnego”, — Marszałek Piłsudski dał odpowiedź następującą:

— Nie sędzę, aby pan miał, ściśle mówiąc, rację. Nie przypuszczam, aby wogóle racjonalnem było uleganie przyzwyczajeniom, nie powiem nawet myślowym, lecz przyzwyczajeniom dźwiękowym, związanym z pojęciami: „prawica” i „lewica”. Polska powstała po ciężkiej, długoletniej wojnie, która wstrząsnęła całym światem, i znajdujemy się i my, i świat cały jeszcze dotąd w okresie kryształizowania się nowych pojęć politycznych. Nadużywamy zaś w niesłychany sposób pojęć starych, przedwojennych, które dużo i bardzo dużo straciły na wartości. Jeżeli pojęcia „lewica” i „prawica” mamy rozumieć jako odpowiedniki głębokich socjalnych prądów, istniejących w całym świecie, to znajdziemy, że we wszystkich państwach, z wyjątkiem naszego sąsiada ze wschodu, siły socjalne znajdują się w stanie równowagi, chociaż niewątpliwie mamy do czynienia z gwałtownem



poszukiwaniem metod wyjścia do nowego, powojennego życia.

Osobiście stwierdziłem natychmiast po wyjściu z Magdeburga, iż Polska w tym stanie równowagi będzie musiała pozostawać długo, gdyż z jednej strony jest bardzo uboga i na eksperymenty zabraknie jej sił materialnych, z drugiej zaś strony zabraknie jej sił moralnych, jak odwagi, gdy wyszła do nowego życia ze społeczeństwem, przyzwyczajonym do głębokiego upokorzenia i tchórzostwa myśli, nabytego podczas długich lat niewoli narodowej i politycznej, niewoli u obcych. Dlatego też, jeżeli pojęcia „lewica” — „prawica” są związane z ruchami socjalnymi, nie byłem nigdy osobiście w nowej Polsce stronnikiem dawania wyraźnej przewagi jednej stronie lub drugiej i wyrażałem zawsze myśl, której się i teraz trzymam, że dla nas eksperyment, zrobiony przez naszych sąsiadów ze wschodu, nie jest zachęcający. Natomiast nie wierzę w nasze siły pod tym względem, byśmy w porównaniu z naszymi sąsiadami z zachodu i innymi państwami na świecie mogli się zdobyć na dawanie im przykładów rozwiązywania problemów socjalnych, gdy słusznie czy niesłusznie wszędzie na świecie — jak twierdzą — dotąd równowaga socjalna utrzymuje się.

Jeżeli zaś „lewica” i „prawica” mają oznaczać pojęcia polityczne, związane z daleką i dawną przeszłością, sięgającą hen! — gdzieś aż do wielkiej rewolucji francuskiej, to wybacz pan, lecz próbując analizy stosunków politycznych w mojej ojczyźnie, nigdy nie mogłem skonstatować, co jest właściwie lewicą, a co prawicą. Jeśli pan weźmie, na przykład, jeden z aktów naszej historii najbar-

dziej hańbiących — zamordowanie Prezydenta Narutowicza — został on dokonany niewątpliwie przez ludzi, należących do tak zwanej prawicy. Tymczasem wszędzie na świecie akty mordów przedstawicieli państw dokonywane są przez tę lewicę, która przekracza wszelkie granice ustrojów politycznych obecnego świata, tak, iż niesposób takiej lewicy nawet włączyć w rejestr stronnictw politycznych lewicy.

Prawica gdzieindziej charakterystycznie dąży do zmniejszenia siły i potęgi parlamentaryzmu na rzecz władz wykonawczych, u nas zaś najwybitniejszymi przedstawicielami rozwydrzenia partyjnego i oparcia wszystkiego w Polsce na prawach i przywilejach panów posłów i senatorów jest nie kto inny, jak tak zwana prawica. Także autorem Konstytucji, obierającej władzę wykonawczą z wszelkich cech siły na rzecz „złotych wolności” posłów i senatorów, jest właśnie prawica.

Tak, iż gdy się rozumuje pojęciami „prawica” i „lewica”, musi się zabrnąć w jakiejś sprzeczności z pojęciami ogólnie istniejącymi i trzeba stanąć zupełnie bez wyjścia.

Osobiście nigdy nie chciałem być członkiem ani polskiej prawicy, ani polskiej lewicy. Nie chciałem nigdy należeć do żadnego stronnictwa, ani też aprobować panowania stronnictw nad Polską.

— *Z tego wnosić należy, że Pan Marszałek, jako wysunięty kandydat na prezydenturę, nie uważa się za przedstawiciela jednej połowy obecnego sejmiku, i że wogóle jest przeciwny traktowaniu wyborcy prezydenta w płaszczyźnie walki między obecną lewicą i prawicą sejmową?*

— Naturalnie. I, zdaniem moim, kwestja, postawiona zarówno przeze mnie, jak i przez życie, nie

na tem polega. Polega ona przede wszystkim na zdolności ze strony państwa karania wykroczeń i nadużyć—specjalnie pieniężnych, tak, aby Polska przestała być śmieszną w świecie, oraz na tworzeniu warunków, umożliwiających wyjście z marazmu, do którego doprowadza metoda pracy państwowej w Polsce. Proszę przecież wyobrazić sobie, iż jesteśmy zlepieni z okrawków trzech państw, z których każde miało swoje prawa, swoje przepisy i swoją metodę pracy państwowej. Jesteśmy dziedzicami — chcąc nie chcąc — tych trzech metod. Wobec tego zaś, że trzynaście państw pracowały przeciwko Polsce w sposób wyraźny i jasny, mamy mnóstwo przepisów, ciążących na nas stale i ustawicznie dotąd, gdyż — jak prawdopodobnie pan tego nie wie — zniesienie tego całego bagażu musi być uczynione, według istniejących u nas koncepcyj, przez równorzędne polskie instytucje. Więc część przez sejm i senat, część przez Radę Ministrów. Może pan sobie wyobrazić, jak to wolno postępuje, jak wolnym jest ten proces oswobodzenia się od naszej przeszłości, i co, dzięki powolnemu postępowi pracy państwowej, dotąd jak najstaranniej utrzymujemy. Nie dziwię się też wcale, gdy spotykam ludzi, którzy ze wzruszeniem ramion mówią, iż Polska jakgdyby dumna jest z tego, że potrafiła utrzymać w całej nienaruszalności wszystko to, co w Polsce robiły państwa i ustroje polityczne, które albo nie istnieją wcale — jak Austria, albo zmuszone były przez rozwój życia przejść do całkiem innych form, jak Rosja i Niemcy. Wyglądamy zapewne niezwykle archaicznie. Niedawno, na przykład, z pewnym po-
dziwem dowiedziałem się, że jakieś przykre i nu-

żące przepisy nie mogą być zniesione, gdyż były wydane przez świętej pamięci Arkadiusza Stołypina oraz Radę Państwa... w Petersburgu. Równorzędnymi zaś organami u nas, w Polsce, co dotąd jeszcze nie określono, jest albo sejm sam, albo nawet sejm z senatem.

— *Właśnie ta pałaca potrzeba sanacji państwa wyraża się w zawisłym na miljonach ust w Polsce pytaniu, które muszę powtórzyć: czy Pan Marszałek zgodzi się postawić swoją kandydaturę na stanowisko prezydenta?*

— Pan mnie wciąż pyta, tak zresztą, jak i inni ludzie, o moją kandydaturę na prezydenta. Chciałbym zwrócić wszystkim uwagę, iż przed ustąpieniem ostatecznem z urzędu Naczelnika Państwa wygłosiłem przemówienie, w którym starałem się wyjaśnić, dlaczego nie chcę kandydować na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej. System Konstytucji, która została uchwalona przez sejm konstytucyjny, dał w ręce panów posłów i senatorów tyle przywilejów i tyle sposobów zatamowania każdej pracy w państwie, że — zdaniem mojem — każdy prezydent jest skazany na męczeństwo. Cóż dopiero mówić o mnie, człowieku, który namiętnie lubi pracę, dającą szybkie efekty, i który z trudem znosić jest w stanie długie rozmowy i przetargi bez decyzji i efektu. Już wtedy stwierdziłem, że ja do takiej pracy się nie nadaję i że trzeba szukać innych ludzi, którzyby mniej tracili cierpliwości w bezpłodnem szarpaniu siebie dla zupełnej, zdaniem mojem, beznadziejnego przekonywania panów posłów i senatorów, by się wyrzekli swoich przywilejów przeszkadzania rządowi w pracy i nie wciągali prezydenta do pracy na rzecz dobra i korzyści partyj, ba — nawet kliczek.

— *W przeciągu trzech i pół lat, dzielących nas od chwili wypowiedzenia przez Pana Marszałka swej opinii, to jest od listopada 1922 roku, może nie-tyle w naszym sejmie, ile w społeczeństwie doj-rzała świadomość tej głębokiej słuszności i dzisiaj, oczywiście, powszechnie rozumie się, iż sejm ten za-kończy swój żywot naprawieniem tego błędu Kon-stitucji, to jest rozszerzeniem uprawnień władzy wykonawczej w osobie prezydenta. Opinia rozu-mie, iż tylko pod tym warunkiem jest wogóle możliwy i celowy wybór prezydenta, a zwłaszcza, jeżeli nim ma być Pan Marszałek.*

— Proszę pana. Ja nie chcę twierdzić, iż tak nie jest, lecz to, co pan nazywa opinią, nie jest panem posłem czy senatorem. Wyznaję — trzeba mieć dużo optymistycznej ufności, aby się zdobyć na akt wiary w tak dziwne przewroty moralne. Przecież rządkiem są wypadki na świecie, aby uprzy-wilejowane warstwy chętnie się wyrzekały swo-ich przywilejów. Jeszcze rzadszymi zaś są wypadki w historii, by czyniły to kliki i kliczki. Co do mnie — wybaczy pan — bardziej przypuszczam, iż sejm i senat po wyborze nowego prezydenta ustąpią opinii o tyle, że się na pewien czas rozej-dą, zawiesiwszy miecz Damoklesa swoich przywi-lejów i praw zahamowania każdej czynności rzą-dowej nad głową nowego elekta, który zając się będzie musiał utworzeniem nowego rządu. Daj Bo-że, by przy tem tworzeniu nowego rządu nowy elekt nie został skompromitowany niemożliwością dokonania tej pracy w szybkim tempie, gdy do pomocy mu staną, tak, jak dotąd było w Polsce, wszystkie stronnictwa, grupy i kliki poselskie i senatorskie.

O RZĄDACH SEJMOWYCH.

(28 maja).

— Poprzednią naszą rozmowę Pan Marszałek zakończył wyrażeniem obawy o sytuację przyszłego prezydenta, jeśli od pierwszego swego kroku, jakim będzie powołanie nowego rządu, stanie wobec konieczności współpracy ze stronnictwami i klikami sejmowymi. Ponieważ zagadnienie współpracy władzy ustawodawczej z wykonawczą jest w tej chwili u nas niezmiernie aktualne, czy nie zechciałby Pan Marszałek powrócić obecnie do tej kwestji?

— Bardzo jestem zadowolony, że zadaje mi pan to właśnie pytanie. Jest to pytanie, wiążące się właściwie z całym mnóstwem zjawisk, stanowiących palącą sprawę kryzysu parlamentaryzmu nie-tylko u nas, lecz bodaj w całym świecie. U nas, jak zawsze twierdzę i twierdziłem oddawna, ten kryzys przyjsć musiał i szybciej, i ostrzej, niż gdzieindziej, wyjąwszy, naturalnie, Włochy, gdzie kryzys dał to, co obecnie w tym kraju widzi-my. Wszyscy u nas ciągle mówią, jak zresztą i wszędzie, że potrzebny jest silny rząd.

Lecz cóż stanowi istotę silnego rządu? Istotę siły stanowi decyzja, pobierana w odpowiednim dla efektu działania czasie. Siły inaczej przedstawić sobie nie mogę. I zgoda — niech według zasad de-mokracji za tę silną decyzję rząd będzie odpowie-

działny. Ale niech ma możność decydować, niech ma za co odpowiadać.

Tymczasem w zwyczajach naszych samo sformowanie rządu zależy nie od prezydenta, lecz — jak to widzieliśmy w ostatnich czasach — ciągle i stale od przewlekłych i długich narad klubów, stronnictw, klik, kliczek i konwentyklów, tak, iż wydawać się każdemu musi, że, na przykład, każdy minister poza umiejętnością prowadzenia swego resortu musi posiadać: a) talent mówcy parlamentarnego, b) zdolność specjalną do intryg parlamentarnych, c) umiejętność łagodzenia poszczególnych pretensyj i pretensyjek poszczególnych kół, kółeczek i nawet poszczególnych posłów w stosunku do siebie.

Na tę specjalną pracę, nie wspólnego z treścią jego resortu nie mającą, musi minister poświęcać tyle czasu i tyle wysiłków, iż zgodnie ze wszystkimi obserwacjami na treść pracy, za którą niby jest odpowiedzialny, oddać może jakieś pół godziny w ciągu doby. Zwiększać zaś ten czas może jedynie, gdy na szczęście dla rządu sejm i senat zdecydowane są odpocząć. Wtedy dopiero w każdym rządzie następuje także chwila zasłużonego odpoczynku i wielkie westchnienie ulgi. Dopiero wtedy minister ma możność zaznajomienia się ze swoim resortem istotnie i powiedzenia sobie, iż jest człowiekiem, który za cośkolwiek w swoim resorcie odpowiadać może. Przypuszczać, że taki desygnowany do usług panów posłów i senatorów minister ma możność wykazania siły rządzenia — jest czystą fikcją.

Dla śmiechu przytoczę jeden przykład. W gabinecie ministra resortu, którym specjalnie się zaj-

muje, pracuje kilku oficerów wraz z siłami pomocniczymi jedynie nato, aby zestawiać bez ustanku sypiące się żądania posłów, żądania, których treścią systematycznie jest: a) przeniesienie znajomych, krewnych, znajomych tych krewnych, no i tych zbliżonych do posłów wyborców — z miejsca na miejsce w wojsku, b) robienie takich czy innych ulg w służbie wojskowej również krewnym, znajomym posła i znajomym tych krewnych, znajomym potrzebnych w okręgu wyborczym ludzi i tak dalej.

Zwracam uwagę, iż próby robienia ulg w służbie wojskowej, na przykład, przez psucie sobie palców, zmniejszanie sztucznie siły wzroku i tym podobne są surowo karane. I zapytać się godzi, czy system robienia ulg grzesznościowych nie podpada pod ten sam paragraf kary, gdy, zdaniem mojem, liczba przestępstw, dokonywanych w ten sposób, przekracza znacznie liczbę przekroczeń, ujawnianych i karanych, lecz niepokrywanych przez zupełną nieodpowiedzialność poselską.

Wszyscy więc łatwo mówią o silnym rządzie, wszyscy to żądanie stawiają, nawet sami posłowie i senatorowie, lecz już przy formowaniu rządu czynią wszystko, by rząd 9/10 swojej siły utracił przez pacta conventa, zawarte ze stronnictwami, klubami, z grupami posłów, z konwentyklami, które się na takiego ministra zgodziły z wprowadzeniem groźby cofnięcia tej zgody w razie, gdyby ów „siłacz“ nie dogadzał protekcjom, protekcjom, żądaniom i kaprysom pana posła czy senatora, ich krewnych, kuzynów i kuzynek jego, nie mówiąc o poszczególnych wpływowych jego wyborcach.

Nie wiem, czy można sądzić, że rząd w ten sposób sformowany, albo w ten sposób rządzący, kie-

dykolwiek w Polsce będzie silny, przynajmniej ja osobiście nie widzę metody rozstrzygnięcia kwadratury takiego koła. Dodam jeszcze jedno, o czym wspomniałem już przed wypadkami majowymi. Musi się przy tym procederze zatracić wszelką odpowiedzialność istotną tak dalece, iż każdy szczerzy demokratą musi się palić ze wstydu. Demokracja bowiem polega na wyraźnej odpowiedzialności władzy wykonawczej. Tymczasem już sam fakt postawienia do rządu posła stwarza nieodpowiedzialność jego za czynności przed kimkolwiek, aż do wygaśnięcia jego pełnomocnictw poselskich. Nikt bowiem nie jest u nas tak naiwny, by przypuszczał, iż poseł znajdzie bezwzględność u kolegów i by miał czegokolwiek wogóle obawiać się poza niezadowoleniem swoich własnych kolegów. Przedewszystkiem wchodzi we wszystkich wypadkach w grę prestiż, nawet nie sejmu, lecz klubów, tak, że doprawdy jeszcze najbardziej zdatnymi do odpowiedzialności są posłowie tak zwani „dzicy“, lub członkowie takich klubów, które także są „dzikiemi“, to jest nie mającemi wielkich ilości członków. To też obserwować się dała w Polsce wzrastająca bezkarność w stosunku do wszystkich czynności, zwykle uważanych za przestępstwo. Każdy, kto miał za sobą jakiekolwiek przekroczenia, szukał natychmiast służby nie u państwa, lecz u odpowiedniego klubu poselskiego, szukając protekcji i osłony najbardziej efektywnej. Zdawało się niekiedy, iż poprostu naigrywano się publicznie z praw i z możliwości karania przez państwo. To też, gdy przyszedłem na urząd ministra spraw wojskowych, z prawdziwą przyjemnością oddałem sądowi i prokuraturze najbardziej jaskrawe i znane wypadki,

które się ciągnęły miesiącami nie z innego powodu, jak z powodu protekcji posłów i senatorów.

— *Problem rządu silnego zatem Pan Marszałek widzi w uniknięciu wpływu sejmu na tworzenie rządu?*

— Naturalnie. Może prezydent mylić się w wyborze ludzi, lecz błąd ten łatwiej jest naprawić, niż zmuszać rząd do ugrzęźnięcia natychmiast w musowych zobowiązaniach w stosunku do klubów, stronnictw, konwentyklów, klik i kliczek poselskich i senatorskich. I niech mi wolno będzie wyrazić nadzieję, że dla uniknięcia nowego, lecz znacznie ostrzejszego już kryzysu, sejm i senat zechcą uwzględnić, że w tym wypadku lepiej może nie narażać siebie i kraju na próbę trwania nadal w złych zwyczajach i obyczajach poselskich i senatorskich.

PRZEMÓWIENIE DO PRZEDSTAWICIELI STRONNICTW SEJMOWYCH.

(29 maja).

Nie będę się wdawał w dyskusję nad wypadkami majowymi. Zdecydowałem się na nie sam, w zgodzie z własnym sumieniem i nie widzę potrzeby z tego się tłumaczyć.

Głównymi powodami obecnego stanu rzeczy w Polsce — to jest nędzy, słabizny wewnętrznej i zewnętrznej — były złodziejstwa, pozostające bezkarnie. Ponad wszystkim w Polsce zapanował interes jednostki i partji, zapanowała bezkarność za wszelkie nadużycia i zbrodnie.

W odrodzonym państwie nie nastąpiło odrodzenie duszy narodu. Gdy wróciłem z Magdeburga i pościadłem władzę, jakiej nikt w Polsce nie piastował, wierząc w odrodzenie narodu, nie chciałem rządzić batem i oddałem władzę w ręce zwołanego przez siebie Sejmu Ustawodawczego, którego wszak mogłem nie zwoływać. Naród się jednak nie odrodził. Szuje i łajdaki rozpanoszyli się. Naród odrodził się w jednej tylko dziedzinie, w dziedzinie walki orężnej, to znaczy pod względem odwagi osobistej i ofiarności względem państwa w czasie walki. Dzięki temu mogłem doprowadzić wojnę do zwycięskiego końca. We wszystkich innych dziedzinach odrodzenia nie znalazłem. Ustawiczne właśnie

personalne i partyjne, jakieś dziwne rozpanoszenie się brudu i jakiejś beczelnej, łajdackiej przewagi sprzedajnego nieraz elementu.

Rozwielmożniło się w Polsce znikczemnienie ludzi. Swobody demokratyczne zostały nadużyte tak, że można było zuienawidzić całą demokrację. Interes partyjny przeważał ponad wszystko. Partje w Polsce rozmnożyły się tak licznie, iż stały się niezrozumiałe dla ogółu. To wszystko skierowane było przeciw każdemu, kto reprezentował państwo. Tych reprezentujących państwo było trzech: innie, jako Naczelnikowi Państwa, obrzydzano życie ciągłą naganką, oszczerstwami i najwstrętniejszymi potwarzami. Nie upadłem tylko dlatego, że jestem silniejszy od was wszystkich. Drugiego reprezentanta wprost zamordowano, a moralni sprawcy tego mordu uszli bezkarnie. Trzeci padał pod ciężarem męki z powodu sejmu i senatu.

Gdy byłem po raz ostatni w Belwederze u pana Wojciechowskiego, żał mi go było. Człowiek taki, postarzał się pod wpływem pracy sejmu i senatu. Kiedy go usiłowałem namówić do nieulegania wpływom partyjnym, odrzekł, że chciałby partjom oprzeć się, ale czuje, że ulegnie. W takich oto warunkach stawia się tych, których się wybiera na reprezentantów państwa.

Warunki tak się ułożyły, że mogłem nie dopuścić was do sali Zgromadzenia Narodowego, kpiąc z was wszystkich, ale czynię próbę, czy można jeszcze w Polsce rządzić bez bata. Nie chcę czynić nacisku, ale ostrzegam, że sejm i senat są instytucjami najbardziej znienawidzonymi w społeczeństwie. Róbcie raz jeszcze próbę. Nacisku nie będzie. Żadna siła fizyczna nie zaciąży nad wami. Dałem

gwarancję swobodnego obioru prezydenta i słowa dotrzymam, ale ostrzegam, nie zawierajcie z kandydatem na prezydenta układów partyjnych. Kandydat na prezydenta musi stać ponad stronnictwami, winien umieć reprezentować cały naród. Wiedźcie, że w przeciwnym razie nie będę bronił sejmu i senatu, gdy dojdzie do władzy ulica. Nie może w Polsce rządzić człowiek pod terrorem szuj i temu się przeciwstawiam.

Wydałem wojnę szujom, łajdakom, mordercom i złodziejom i w walce tej nie ulegnę. Sejm i senat mają nadmiar przywilejów i należałoby, aby ci, którzy powołani są do rządów, mieli więcej praw. Parlament winien odpocząć. Dajcie możność rządzącym odpowiadać za to, czego dokonają. Niech prezydent tworzy rząd, ale bez nacisku partyj. To jest jego prawo.

Z kandydaturą moją róbcie, co się wam podoba. Nie wstydę się niczego, skoro się nie wstydę przed własnym sumieniem. Jest mi obojętnem — wiele głosów otrzymam. Dwa, sto, czy dwieście. Nie robię jednak żadnego nacisku co do wybrania mojej osoby. Wybierajcie tego, kogo będziecie chcieli, szukajcie jednak kandydatów apartyjnych i godnych wysokiego stanowiska. Gdybyście tak nie postąpili — widzę wszystko w czarnych dla was kolorach, a dla siebie w barwach przykrych, bo nie chciałbym rządzić batem. Rządzenie batem obrzuciłem sobie w państwach zaborczych.

W rozkazie moim do wojska powiedziałem, że wzięwszy państwo słabe i ledwie dyszące — oddaliśmy obywatelom odrodzone i zdolne do życia. Cóżście z tem państwem uczynili? Uczyniliście zeń pośmiewisko!

Obecnie rząd próbuje przygotować rozmaite prace. Obawiam się jednak, że po wyborze prezydenta wszystko pójdzie po dawnemu. Boję się, że sejm chce pozostać. A trzeba, abyście panowie rozeszli się na pewien czas, bo musi się przecież stać coś nowego. Niech prezydent przez pewien okres nie ma sejmu i senatu na karku. Trzeba mu dać swobodę do utworzenia rządu i do rozpoczęcia prac, za które rząd będzie przed sejmem potem odpowiadał. Nie chciałbym mieć wyrzutów, że nie doprowadziłem do końca rozpoczętej roboty i że bat nie świstał na ulicach.

Moim programem jest zmniejszenie łajdactw i utorowanie drogi uczciwości. Czekam, a zapewniam panów, że się nie zmienię. Trzeba przejść ponad partyjne interesy, dać oddech państwu i elektowi. Elekt musi posiadać honor ponad chęć zarobienia kilkudziesięciu groszy. Jeżeli chodzi o mnie, to powtarzam raz jeszcze, że się nie zmienię. Będę ścigał złodziei! Zastanówcie się nad tem, panowie, przemyślcie i przedyskutujcie...

W SPRAWIE WYBORU NA PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ.

(31 maja).

Panie Marszałku!

Dziękuję Zgromadzeniu Narodowemu za wybór. Po raz drugi w mem życiu mam w ten sposób zalegalizowanie moich czynności i prac historycznych, które, niestety, dla mnie spotykały się przedtem z oporem i niechęcią dosyć szeroką. Tym razem dziękuję wszystkim panom, że wybór mój nie był jednomyślnym, tak, jak to było w lutym 1919 roku. Mniej może w Polsce będzie zdrad i fałszu.

Niestety, przyjąć wyboru nie jestem w stanie. Nie mogłem wywalczyć w sobie zapomnienia, nie mogłem wydobyć z siebie aktu zaufania i do siebie w tej pracy, którą już raz czyniłem, ani też do tych, co mnie na ten urząd powołują.

Zbyt silnie w pamięci stoi mi tragiczna postać zamordowanego Prezydenta Narutowicza, którego nie zdołałem od okrutnego losu ochronić, zbyt silnie działa na mnie brutalna napaść na moje dzieci.

Nie mogę też nie stwierdzić raz jeszcze, że nie potrafię żyć bez pracy bezpośredniej, gdy istniejąca Konstytucja od prezydenta taką właśnie pracę odsuwa i oddala.

Musiałbym zanadto się męczyć i łamać. Inny charakter do tego jest potrzebny.

Przepraszam za zawód, który czynię nietylko tym, co za mną głosowali, lecz i tym, co poza salą Zgromadzenia żądają tego ode mnie.

Sumienie, do którego się odwoływałem po tysiąc razy ostatnimi dniami, nie pozwala mi zadośćuczynić tym żądaniom.

Dziękuję raz jeszcze za wybór i proszę o natychmiastowy — daj Boże — szczęśliwy wybór prezydenta Rzeczypospolitej.

O PREZYDENCIE RZECZYPOSPOLITEJ
PROFESORZE DOKTORZE
IGNACYM MOŚCICKIM.

(1 czerwca).

Zadaje pan pytanie bardzo dla mnie przykre. Nie dlatego, by moje przyjazne stosunki z profesorem Mościckim i jego rodziną były w czemkolwiek naruszone, lecz ze względu na nieprzyjemność publikowania szczegółów tak osobistych spraw, jak przyjaźń między ludźmi. Rozumiem jednak dobrze, że profesor Mościcki z chwilą wybrania go na Prezydenta staje się do pewnego stopnia własnością narodu. I rozumiem zaciekawienie jego osobą. Sądzę także, iż mam prawo mówić o nim publicznie, aby osłonić jego osobę przed szarpaniem plotkami i wymysłami, które, niestety, w Polsce częściej znajdują posłuch, niż spokojna prawda. Chcę więc wierzyć, iż zarówno pan Mościcki, jak i pani Mościcka nie wezmą mi za złe tej niedyskrecji.

Znam profesora Mościckiego od bardzo dawna, i nieraz w mem życiu, podróżując po świecie, zaważałem o niezwykle gościnny i serdeczny jego dom. Przyjemnie mi jest zaznaczyć, iż w mojem tułaczem nieraz życiu, jakie pędziłem w młodym wieku, dom państwa Mościckich był dla mnie jednym z przyjemnych odetchnień, które tem mi jest droższem we wspomnieniach, że wewnętrzną wy

soka kultura gospodarzy, nabyta przez wychowanie prawie w jednakowych ze mną warunkach, przypominała mi nieraz, stracone już wówczas dla mnie, życie w rodzinnem cieple. Profesor Mościcki ciężko pracował nie tylko na utrzymanie swojej rodziny na emigracji, lecz również dla tej wielkiej sławy, jaką posiada zarówno w nauce, jak i w dziedzinie wielkiej techniki.

Poznałem go w Londynie. Widywałem go bardzo często w Szwajcarji, gdzie pracował na uniwersytecie we Fryburgu, zyskując renomę jednego z największych wynalazców, jakich ma świat, w dziedzinie elektrotechniki i chemji. Pragnę zaznaczyć, iż jedna specjalna cecha szczególnie mnie zawsze uderzała w panu Mościckim. Przy ogromnej pracy nad swemi pomysłami, do ich urzeczywistnienia szedł drogą konstruowania nowych zupełnie wynalazków, jako środków dla wykonania głównego pomysłu. Śmiał się często, twierdząc, iż nieraz te pomocnicze, że tak powiem, wynalazki okazywały się znacznie zyskowniejszemi i łatwiejszemi do zastosowania, niż pomysły główne, które wymagały dłuższej pracy i tak, jakgdyby uciekały od niego gdzieś w dalszą przestrzeń. Oburzał się zawsze wtedy, iż musi się zajmować rzeczą mniejszej dla niego wagi, gdyż to mu się udaje, a jednocześnie przeszkadza w głównej pracy.

Ta miła prawda o metodzie wielkich prac i mecie tworzenia łączy bardzo ściśle ludzi jednakowego może w tej mierze charakteru. Dlatego też, przypuszczam, nieraz w przeszłości łatwiej mi było porozumieć się z profesorem Ignacym Mościckim, niż z wielu innymi kolegami życia i współtowarzyszami pracy.

Umysł taki, jak profesora Mościckiego, nie daje się nigdy wepchnąć w ramy doktryn, a specjalnie nie uda się nigdy zamknąć takiej duszy w ramki maluczkich doktrynek, ciasnych formułek i jeszcze ciaśniejszych prawidełek, jakimi ludzie tak chętnie krępują i siebie, i tych, którzy muszą pracować nad większymi zagadnieniami.

Profesor Mościcki jest wybitnym technikiem. Ma więc metody ujęcia każdej rzeczy, nad którą pracuje, technicznie. Gdym, zdecydowany nie przyjąć urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej, myślał o innych kandydaturach, dobieierałem sobie w myśli ludzi o wyższej kulturze i o wysokim napięciu tego, co jest honorem i godnością osobistą, nie znoszącą upokorzenia. I gdym się wahał między dobieieranymi w myśli ludźmi, przeważał we mnie zawsze moment techniczny nad momentem humanizmu, który także mógł wchodzić w rachubę. Sądzę bowiem, iż ojczyźnie naszej brak jest w pracy państwowej dobrych techników tej pracy, specjalnie, gdy idzie o większe sprawy, o wykrycie błędów w olbrzymiej maszynie państwowej, będącej w biegu.

Z przykrością dowiedziałem się, iż pani Mościcka, nadzwyczaj miła i serdeczna kobieta, jest obecnie chora, co sprawia, że nowowybrany Prezydent, gdy wybór tak go zaskoczył, pierwsze swe kroki musi poświęcić chociażby krótkiej opiece nad chorą żoną. Ku swemu a i mojemu żalowi Prezydent Mościcki przez pewien czas będzie zmuszony urzędować, nie mając przy sobie swej długoletniej towarzyszki życia.

O NAJWYŻSZE WŁADZE WOJSKOWE.

Warszawa, dnia 8 czerwca 1926 roku.

Do

P A N A P R E M J E R A

w miejscu.

Na zaproszenie Pana Premjera objęcia w jego gabinecie teki ministra spraw wojskowych, oświadczam niniejszem, że gotów jestem przyjąć to zaproszenie pod następującymi warunkami:

1. Interpretacja postanowień art. 46 Konstytucji była dotychczas tak dowolna i tak naginana w kierunku zapewnienia wpływów poszczególnym stronnictwom politycznym, iż domagać się muszę jasnej i niedopuszczającej żadnych wątpliwości wykładni.

W szczególności — wychodząc z założenia, że wojsko nie może być dowodzone nieindywidualnie (to jest, że musi być dowodzone indywidualnie) — żądam stwierdzenia, że żadna inna możliwość, aniżeli dowodzenie indywidualne, nie jest przez Pana Premjera przewidywana. Z indywidualnego prawa dowodzenia wynika jednocześnie odpowiedzialność moja, jako ministra spraw wojskowych, w trzech kierunkach:

1. W stosunku do Prezydenta Rzeczypospolitej, jako Najwyższego Zwierzchnika Sił Zbrojnych Państwa.

Kwestja uprawnień odnośnych Prezydenta nie została dotychczas unormowana, wobec czego zastrzegam sobie uregulowanie tej sprawy w formie przyjęcia przeze mnie w obecności Pana Premjera skonkretyzowanych i spisanych życzeń Prezydenta Rzeczypospolitej i ustalenia w ten sposób stosunku Prezydenta, jako Najwyższego Zwierzchnika Wojskowego, do ministra spraw wojskowych.

2. W stosunku do Pana Premjera — jako członka Rady Ministrów, w skład której mam wejść bez umniejszenia moich uprawnień indywidualnego dowodzenia wojskiem.

Proponuję przyjęcie gwarancji mojej odpowiedzialności w formie podania o moją dymisję. Podanie to zostanie złożone przeze mnie na ręce Pana Premjera, który będzie uprawnionym przyjąć je w każdej chwili, w której uzna to za potrzebne.

3. Wobec sejmu — w myśl postanowienia Konstytucji z wyeliminowaniem jakiegokolwiek odpowiedzialności przed senatem, jako ustawowo niezastrzeżonej.

II. Wojsko wówczas jedynie nie znajduje się w sytuacji fałszywej, jeżeli ma wyobraziciela swojej służby i istotnego swojego przeznaczenia jedynie jako siły zbrojnej państwa dla obrony całości i niepodległości.

Wyobrazicielem takim musi być oficer, który sam siebie i grono innych wyższych i niższych oficerów przygotowuje na wypadek takiego konfliktu zewnętrznego.

Oficer ten bierze w ten sposób na siebie najcięższy obowiązek, jaki wogóle spaść na oficera może, i z tego powodu powinien mieć prawo wywierania nacisku na mnie, jako ministra spraw wojskowych, we wszystkich kwestjach, związanych z obroną państwa. Oficer ten powinien być postawiony w wojsku tak, by był przez każdego żołnierza uważanym za najwyższego żołnierza w armji.

Jako minister spraw wojskowych, będąc honorowym oficerem, oświadczam zgóry, że w kwestjach obrony państwa będę reprezentował jego zdanie, a nie swoje, pokrywając w ten sposób konstytucyjną odpowiedzialnością jego pracę i jego żądania.

Wobec tego, że wszystkie starania w kierunku ustalenia zakresu działania najwyższych władz wojskowych nie wydały dotąd konkretnych wyników, a brak takiego oficera, jako wyobraziciela wojska, wpływa demoralizująco na wojsko, żądam przywrócenia mocy mojemu dekretovi o „organizacji najwyższych władz wojskowych“ z dnia 7 stycznia 1921 roku, który wydałem, jako Naczelnny Wódz, w czasie stanu wojny, a który to dekret utracił moc obowiązującą wskutek uchylecia go z chwilą mojego ustąpienia ze służby wojskowej.

Józef Piłsudski,
Marszałek Polski

MOWA NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW
W KIELCACH.

(8 sierpnia).

Szanowne panie i panowie! Przemawiam do was w mieście, do którego szlakami kadrówki dotąd biegnie młodzież. Kielce związane są z nami tak silnie, że będąc w tem mieście, nie mogę się uwolnić od pewnych myśli. Wiążą się one z naszymi osobistymi losami. Bo losy legjonisty nie należą do zwykłych, ani do przeciętnych. Myślałem, wciąż wspominając, że przed 12 laty, kiedym się ważył — dawać czy nie dawać rozkaz wymarszu, nigdy nie sądziłem, że w cztery i pół lat później będę przyjmował posłów zagranicznych, składających hołdy przedstawicielowi państwa. Nie myślałem, że będę stał na czele wielkiej armji, bijącej raz po raz przeciwnika. Tak silnie wiąże się praca legjonowa z przewrotem w naszym osobistym życiu.

Kielce — był to pierwszy pocałunek wojny, do której zdążaliśmy. Dlatego tak jasno stoją w naszych myślach wspomnienia kadrówki. O tych przeżyciach chcę mówić dzisiaj...

Jedno z najżywszych wspomnień to, gdym idąc z awangardą, zatrzymał się na pierwszym etapie w Książu Małym. Książ nam dał gościnę w wielkim zamku margrabiego Wielopolskiego. Spędziłem w tem zamczysku wiele godzin. Przypominały

mi się obrazy ojców naszych, którzy szli temi samymi szlakami. W wizji wylaniała mi się postać margrabiego Wielopolskiego. Zdawało mi się, że twarz jego wykrzywia się ku mnie złym uśmiechem, jakby mówiąc do mnie: „Tak jesteście mali!” I, istotnie, wydaje się nieprawdopodobnem, że tak małe siły tak wielki przyniosły skutek.

Na pamięć powracały często moje wspomnienia myśliwsko-sybirskie, gdy po błotach sybirskich bawiłem się strzelbą. Dla myśliwego ważne są zorze. Ilem tych zorz przeżył i wyczekał! Zorze poranne i zorze wieczorne! Jakżeż one są podobne do siebie, jak gra światła jest podobna! Uroda zorz porannych i zorz wieczornych — te same światła, te same cienie, te same zjawiska. Palą się światła szkarłatem i purpurą — jest ta sama prawda zorz porannych i wieczornych. Jest ta sama prawda i dla zwierząt. Wszystko, co słabe, chowa się przed drapieżnikiem. Inni są drapieżnicy w dzień, a inni w nocy. Słabe stworzenia wolą noc, łatwiej się kryją. Ja, jako drapieżca ze strzelbą, myślałem nieraz zadumany nad stratą zorz porannych i zorz wieczornych.

Ileż tych zorz porannych i wieczornych przeżyła ludzkość i nasza ojczyzna! Iluż ułudom, iluż złudzeniom ludzkość ulegała!

Słońce zapadło na długo, a Kościuszko i jego ludzie nie chcieli wierzyć, że słońce zgasło.

I my brnęliśmy w ułudę zorzy, która mogła się okazać wieczorną, jak okazała się poranna. Ulegliśmy ułudzie światła.

Raz po raz szły pokolenia, które wiosny nie miały. Jakgdyby los przez złośliwość dawał okazję, by na niebie paliły się zorze, by trwała ułuda.

Przyszła rok 1812... Napoleon... Paliła się zorza szkarłatna na horyzontach, rozumu się chwiała. Dziadowie szli ginąć pod Moskwę, powstało imię, któremu pomniki stawiano, czyniąc go ojcem honoru. I znowu przyszedł rok 1830. Paliły się szkarłatne zorze na niebie. Szkarłatem paliły się rabaty. Szli do boju chłopcy, jak malowanie, a zorza była wieczorna. I znowu nowe pokolenie i nowa złuda wschodzącego światła. Zgasła złuda 1863 roku...

Ileż złud mieliśmy za sobą, gdyśmy w 1914 roku szli z Krakowa do Kielc! Byliśmy tak mali i tak szeroko kładły się cienie, a światła było mało. Garść zapomnianych ludzi... Zorza paliła się wciąż tak samo i w wahaniu zór wieczornych i porannych szliśmy szmat życia.

Gdy myślę o pracy ojców, mam westchnienie zazdrości i westchnienie triumfu. Zazdrości, bo pracowali w lepszej, niż my, atmosferze. Chłodniejszą mieliśmy atmosferę, niż wszystkie inne powstania. Mieliśmy również dłuższą, niż oni, Golgotę. Zorza nasza paliła się na horyzoncie tak mglisto, że здавало się często, iż noc zalać ją musi. Cztery długie lata męczarni, w których wszystko mówiło o powstaniu nadziei, o powstaniu złudy. Stwierdzam prawdę niezbłą, iż w roku 1914 szliśmy drogą historyczną, którą szli dziadowie, ale los nasz był cięższy.

Tyle wspomnień wywarły na mnie Kielce.

Panie i panowie! Oddałem dań prawdzie historycznej, teraz chcę podnieść inną stronę tej prawdy. Chcę dotknąć prawdy o odwadze myśli i odwadze metod pracy. Gdy staje się jakaś rzecz nowa, musi ona mieć myśl, przeczącą temu, co jest. Dlatego jest ona nową. Gdy się myśli o innych

prawdach, trzeba przyjść do przekonania, że dla nowej myśli trzeba mieć odwagę, trzeba przeskoczyć przeciętną prawdę, wyznawaną przez ludzi. Napoleon mówił, że by złamać przeszkody, nie trzeba ich uważać za przeszkody. Ten prosty sposób stanowił podstawę odwagi myśli i my, stając się nowatorami, znaleźliśmy może odwagę myśli i powiedzieliśmy sobie, iż przeszkód, które chcemy przeskoczyć, nie będziemy uważali za przeszkody. I jeśli w naszej awanturniczości doszliśmy do tak wielkich wyników, dowodzi to, że obok odwagi myśli mieliśmy i odwagę pracy. Bez tego nie moglibyśmy przeżyć czterech lat.

Mamy więc za sobą odwagę myśli i odwagę pracy — czynniki, które dają zawsze nowe życie i nową prawdę. Stwierdzą to z przyjemnością ci, co będą mieli z nami do czynienia w historii.

Tą syntezą nieraz bawiłem się, myśląc o naszej przeszłości. Działaliśmy w otoczeniu, które tych cech — odwagi myśli i działania — nie posiadało. Straciło je w niewoli.

Jeżeli powtórzę swoje porównanie myśliwskie, to muszę powiedzieć, iż społeczeństwo polskie przypominało mi kaczę towarzystwo, zbierające się w błotku. Wyobrażałem sobie zawsze, oczekując przelotu ptaków, iż kaczki gadają w ten sposób: „Wylecieć trzeba ani za wcześnie, ani za późno, ale w samą porę. Gdy wyleci wcześniej — zginie, dlatego też zawsze lepiej jest czekać. Jest to rozum stanu, gdyż w ten sposób zachowuje się swe życie“. A kiedy jakiś kaczor lub kaczka wyrwała się wcześniej, wszystkie kwakały: „Zginie na pewno, wyleciał za wcześnie!“ To gdakanie szło za mną krok w krok, śladem kadrówki, przez cztery lata. Gda-

kały tak poważne kaczory i kaczki, kiwając poważnie głowami i przestrzegając młode, by nie naśladowały tych nierozumnych.

Prawda ta, wyhodowana przez długą niewolę, i z niej zrodzona niemoc, prawda ucieczki od słońca, od dnia, gdyż na niebie bujały drapieżne dwugłowe orły, — była powszechną. Odwagi myśli i odwagi prawdy nie było. Gdy więc przebyliśmy drogę, odważnie myślący i odważnie postępujący, wylatujący raczej za wcześnie, niż za późno, gdy przeżyliśmy kilka lat Polski, chciałbym na naszym przykładzie stwierdzić, iż odwaga myśli i pracy niezawsze się tak źle kończy, jak o tem mówią. Chcę stwierdzić, iż nasz przykład — odważnych myślą — dowodzi, iż często lepiej jest wylecieć za wcześnie, niż gdakać i siedzieć w błocie.

PRZEMÓWIENIE NA ZAMKU W NIEŚWIEŻU.

(25 października).

Stare to zameczysko mówi nam, jak śmierć i życie splatały się z sobą w pracy nad temi murami. Miałem adjutanta, który z tego pochodził gniazda, i niewątpliwie duch Stanisława Radziwiłła jest z nami, gdy tu bawi jego Wódz Naczelny. Ani mnie to przeraża, ani dziwi. Dziś chcę jego wspomnieć nie jako umarłego, lecz jako żywego. Rycerska prawda tego domu uosobiła się w nim. Duma wielkiego domu, który tak dawno przeszłości naszej służył, zlały się w nim z wierną i twardą służbą żołnierza. Dom Radziwiłłów dał nam w przeszłości ludzi, co w służbie państwa zasłynęli czy na polach bitew, czy w radach senatorów.

Piję dziś nie za pamięć o poległym, gdyż wierzę, że pamięć o nim żywa będzie wśród panów, lecz dziękując, wzruszony przemówieniami poprzedników, toast ten wznoszę za ród Radziwiłłów, goszczący mnie dziś, by pozostał równie wieczny, jak te stare mury Nieświeża...

PRZEMÓWIENIE PRZEZ RADJO W ÓSMĄ
ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI.

(11 listopada).

Siedzą przy mnie dwa dzieciaki, dzieciaki miłe, i proszą o bajkę. Dlatego też powiem paniom i panom bajkę dla dzieci i dla dorosłych. „Tyle szczęścia, co jest we śnie, tyle prawdy, co jest w pieśni“. Tak pan jakiś napisał, z panów jeden taki był, co pisał, a my, co czytamy, niekiedy mu wierzymy, a niekiedy nie. Ale zato dziś prawdę powtarzam, „bo są czary i są dziwy, byle ktoś tam był szczęśliwy“.

Razu pewnego zobaczyłem gromadkę dzieci, schyloną i skurczoną nad jakimś przedmiotem. Patrzyłem zdumiony, co na brudnym, śmietnistym podwórzu one widzieć mogły, i dojrzałem małą żabkę. Żabka, w błocie utyłana, zabrudzona, w piachu wywalana, skakała niezgrabnie na długich nogach i wylupiastymi oczkami łyskała na dzieci. Zapytałem dzieciaka — na co wy tu patrzycie? Na to mi jeden chłopak odpowiedział, że przecież była taka żabka na świecie, co — on sam o tem czytał — na śmietniku skakała, a nagle przez czary i dziwy wyjechała złocista kareta — ogromna kareta, w sześć rumaków wielkich zaprzężona. Sześciu wielkich hajduków pod uzdy rumaków trzyma, a z karety wysiadają panie, strojne nad wy-

raz! Panie pudła z karety wyjmują i, o czary! i, o dziwy! — z żabki robi się nagle cud dziewczyna, cud dziewczyna — o przepięknych oczkach i liczku! Tylko łachmanami przedartymi się chroni, zziębnięte ciało gołe przez dziury świeci i oczy ma cudne i piękne liczka. Z żaby, zatyłanej, w błocie uwalanej, tak piękna dziewczyna wyskoczyła z karety, a panie, strojne nad wyraz, niosą koszulkę białą, koszulkę cienką — jedwab najlepszy. Za koszulką idą pantaloniki, falbanki strojne, piękne, ładne falbaneczki, a gorsecik, co jej na piersi zawijają, taki jest barwny, taki ładny — sznurki jedwabne...

Dziewczyna sama sobie się przypatruje i dziwi się. A suknia, w którą ją przybierają, w białe perełki, róże, przesyta złotem, srebrem, świeci. Piękna dziewczyna patrzy na nóżki. A na nóżki idą już pończoszki śnieżno białe i ciepłe, a tak ładne, że nóżki, czerwone od chłodu, w biały marmur się zamieniają, by pięknie przeświecać przez śliczne pończoszki. Ale co tam pończoszki! Kiedy wreszcie przynoszą pantofelki, nad białość białe, nad puchy miększe, cieniutkie, i jej na małe nóżki chłodne wdziewają! Żabę brudną, na dziewczynę cudną przez czary zmienioną, wsadzają do karety i jedzie ona na białe, na wielkie pałace i sale. W pałacach i salach posadzki świecą, jak lustra, i w lustrze takim dziewczyna cudnej swej piękności się przygląda, a złe dziewczęta, z zazdrości żółkłe, gwarzą i szepczą o niej, jako o złej i przewrotnej dziewczusce. A panie złe i macochy złe rzeczy do ucha sobie szepczą. Są więc czary i dziwy, kiedy dziewczę jest szczęśliwe. Powiadają, że bajek na świecie niema!...

Tak mi chłopak mówił i czekał, żeby z żabki cud dziewczica wyskoczyła i karoca na śmietnisko zjechała. Sam nie wiem, czy to bajki prawdziwe, ale, że są czary i dziwy, kiedy ktoś jest bardzo szczęśliwy, to jest prawdą. To ja sam na własne uszy słyszałem, na własne oczy widziałem, własnymi palcami dotykałem takich czarów i dziwów, że doprawdy aż opowiadać strach. Prawda, że może nikt z nas miłego dzieciaka nie widział, któryby nagle, po lesie biegając, poziomki zbierając, zobaczył las z pierników i pierniki, jak gałązki, obłamując, do ust wkładał. A któż dziecko widział, które nagle, skacząc na jednej nóżce, w ogrodzie zaczarowanym się znalazło i widziało na gałęziach czar-ptaki, wesoło szczebioczące i wesoło pomiędzy sobą mówiące? A któż miłą dziewczkę widział, która w ogrodzie zaczarowanym się znalazła? Tutaj widziała, jak grucha sama jej do buzi idzie, by sok z niej wyssała, a rumiane jabłuszka do kieszonki spadały jej same z gałęzi. Ja zaś wierzę, że taka dziewczka gdzieś istnieje, że takie chłopaki żabki ładne oglądają, gdy w cud dziewczę się zmieniają, bo są czary i dziwy, kiedy dziewczę jest szczęśliwe, bo są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Ja własnymi uszami słyszałem, palcami dotykałem i widziałem czar nad czary, cud nad cudy i o tem wam opowiem.

Był kiedyś listopadowy dzień, jasny, kiedyś roczków niewiele, a działały się wtedy czary i działały się dziwy. Na drodze błotnistej, w błoto wszędzie zawalanej, ciągnie szary, krótki i niedługi — waż szary chłopaków i chłopców.

Tak samo, jak ta żabka niezgrabna, skacząc szli, zmęczeni, przytupując niekiedy zmarzniętymi

nózkami, po drodze błotnistej, szarej i wilgotnej. Biedne chłopaki, biedni chłopcy! Przytuleni do siebie, drżeli z zimna, oczki ich były niewyspane, po nocy ciężkiej i ciężkich dniach wielu. Nogi zmoczone w trzewikach podartych, w błocie utyłanych, szli, tuląc się często do ziemi, by choć na chwilę przykucnąć i przez chwilę odpocząć. Szli, ciągnęli w 11 dzień listopada, hen! gdzieś pod mury Krakowa. Na czele ich jechał chłopak inny, jechał na młodej kasztance z łysą głową. Kasztanka, córa pól i łąków, zalotnie szła w miasto, skąd przyszli biedne chłopaki, w błocie utyłani, w łachmany odziani, skąd przyszli chłopcy, co na grzbietach kubraki zawzione, zapaskudzone insektami, w koszulach brudnych, jak ziemia sama, szli do miasta. Jakaż przeszli oni ciężką dolę! Szli noc całą, tak, że śmierć im wszędzie w oczy zaglądała. Szli przez bramy śmierci, przez wrota jej ciśnie i duszne, szły biedne chłopaki, czując śmierć za sobą.

A prowadził ich chłopak inny, idąc z nimi po błocie w wąwozach ciemnych, przez lasy ciemniejsze od ciemności. A gdy księżyc z za chmury na nich wyglądał, wydawało się tylko, że to blask kosy śmierci w oczy im błyska. A nieprzyjaciół, co na nich czyhali, śmierć im niosąc, było bez liku, było bardzo wielu. Szli biedni chłopcy i biedne chłopaki, do ziemi przyciśnięci, brudni i zawzieni, podarci i obdarci, jak żebraki, szli, tęskniąc do murów Krakowa, gdzie o schronieniu tylko i o spoczynku marzyli. Biedni chłopcy, biedne chłopaki, tak, jak owa żabka, po brzegach śmietnika niezgrabnie skakali. A na czele ich jechał chłopak inny, jechał na ładnej wiejskiej klaczy, co w złocie

słońca złotym włosem lśniła. Klacz szła zalotnie do miasta i kiwa im na wszystkie strony. Lecz miasto złem okiem wiejską klacz spotkało. Gdy wchodziła już w pierwsze domy miasta, z góry pędziło straszycło-auto, hucząc i sycząc, łomocąc bruki miejskie puste i próżne, tak, jak puste i próżne główki bywają i łomocą i krzyczą swą prostotą.

I klacz wiejska na zadzie przysiadła, nogami brykała. Prychać nozdrzami ze strachu zaczęła, a ów chłopak uspakajał ją głaskaniem i batem i zaczął mówić jej o czarach i o dziwach. „Poczekaj, kasztanko, nie tutaj będziesz, w stolicę wejdiesz, w bruki jej kopytami zadzwonisz, lud mnogi patrzeć na ciebie będzie. Na twoją szyję ładną i na twój złoty włos!.. Nie bój się, kasztanko! Próżny strach twój tutaj!..”. I nie wiem i wam nie powiem, dlaczego to tak było, lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Czy to na wieżach Marjackich, koroną zdobnych, są czarowne słowa, czy hejnały, co godziny liczą, może w dźwiękach zaczarowane mają, czy w wielkim dzwonie Zygmunta, co na Polskę sercem bije, jest siła czarowna, czy w podziemiach Wawelu króle, śpiący snem wiecznym, czary w ustach mają, czy w trumnie Kościuszki, czy w wielkiej trumnie Mickiewicza głosy w spiżę czarów biją, nie wiem i nie powiem. Lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy!...

Więc minęło roczków niewiele, latek niedużo. dzień goni dzień, nocnockę prześciga, przyszedł znowu listopada dzień 11 — patrzy znowu kasztanka ta sama, łysym łbem kiwa, a świat zaczarowany przed jej oczami się przesuwają. W stolicy bruki pod kopytami jej dzwonią i wszystko zu-

pełnie inaczej wygląda. Czar nad czary i dziw nad dziwy! Kasztanka idzie, łbem łysym kiwa i wciąż się dziwi, gdzie chłopiec szary i brudny, gdzie pan mój zawszony? I, łbem kiwnąwszy, sięga do swego pana. Ten sam — ten samiuteńki, lecz coś się z nim dzieje? Patrzcie, jaki zmieniony! Na piersi gwiazd tyle, ile państw liczy świat. Na piersi wstęga, co kolorem nieba i żałoby o zwycięstwach mówi w wielkiej wojnie i do niebios o zwycięstwie krzyczy. Grzmia bębny warkotem okrutnym. Brzmia trąby mosiężne krzykiem, wołając żołnierzy. Idzie lud zbrojny, idzie twarda w zbrojach piechota, hełmy na nich stalowe, świecą lufy żelazne, idą krokiem twardym, miarowym, idą po zwycięstwo. Za nimi, w spiż zamknięte, ciężko i twardo idą armaty. Wśród ognia szły konie, przęcając ciała, wielkich armat ciężkie koła bruki przebijają, aż szyby się trzęsą. Za nimi malowane ulany nad ulany! Jedni idą konni, drudzy spieszeni, a trąby mosiężne i warkot bębnow, fanfar odgłosy o zwycięstwie mówią. Świat cały jest zaczarowany! Kasztanka łbem kiwa i wciąż się dziwi, bo są czary, bo są dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Świat zaczarowany, przemiany ogromne, skąd idą? dokąd płyną? czy z hajek i czarów? czy z czego innego?

Panie i panowie, którzy mnie słuchacie, pozwólcie, bym skończył, bo czas już upływa, bym skończył życzeniem na dzień 11 listopada przyszłego roku. Nie wiem, panie i panowie, jak powita nas 11 listopada w przyszłym roku. Może nam szyby deseniami szronu przesłoni i śniegiem przyprószy dachy i ulice miasta. Wiemy, że gdy przy wskrzeszeniu ciał i duszy odrodzenie się odbywa, ciepłem

od zimna się schronimy. Może listopad przywita nas wichurą, wiewem wiatru, co w szyby dzwoni i w kominach jęczy, co o śmierci mówi i o strachach krzyczy — wiem, że wskrzeszenie ciała z odrodzeniem duszy siłą i piękno w jedno razem zwije. Wichury złamiemy i tarczę ochronną przeciw wiatrowi znajdziemy. I nie wiem, panowie, być może w wilgotny dzień jesienny, z chłodem przenikliwym wilgoci dzień 11 listopada nam rzuci. I wtedy też z wskrzeszeniem ciała, z duszy odrodzeniem ciepło wewnętrzne znajdziemy, co wilgoć i zarazę zdusi. A może uśmiechnie się tak, jak uśmiechało się słońko w czarownym dniu 11 listopada 1918 roku? I słońko jesienne lica przygrzeje i wiatr łagodny w twarz chłodzić będzie i wtedy z duszy odrodzeniem znajdziemy wspólny uśmiech szczęścia z bytowania z duszą wielką i odrodzoną. Życzę paniom tego i panom i miłym dzieciom...

Dowidzenia państwu!...

O ORGANIZACJI OBRONY PAŃSTWA.

(15 grudnia).

Poruszono tu sprawę stosunku do kontroli państwowej. Nie pisałem ustawy o tej kontroli, zresztą cała kontrola tyczy się roku 1925, co mnie obchodzi inaczej, niż panów. Mnie w kontroli za rok 1925 obchodziła tylko kwestja, dlaczego ja mam być obciążony deficytem 65 milionów, co stanowi poważną ujmę w całej gospodarce wojskowej.

Mam dwie rzeczy główne do poruszenia. Jedną jest budżet wojskowy i sposób wydatkowania miesięczny w porównaniu z budżetem, pisanym na rok, a nawet na pięć lat, jak niektórzy panowie twierdzili. Okazuje się zawsze taka dzika sprzeczność, gdy wydatki miesięczne porówna się z jakimkolwiek planem rocznym, a coś dopiero pięcioletnim, że wydaje mi się poprostu fikcją trzymanie się jakiegokolwiek planu.

Nieraz w dyskusjach zwracałem uwagę na to, że należałoby dojść chociaż do kwartalnego obliczenia, a nie mieć całej biedy, związanej z wydatkami miesięcznymi. Jeżeli na innych resortach nie odbija się to tak silnie, jak na wojskowym, to jest wynikiem tej prawdy niezbitej, że inne mają przeważnie tylko gaże, gdy wojsko ma bardzo skomplikowaną gospodarkę, związaną z wyżywieniem, ubraniem, mieszkaniem ludzi. Ta gospodar-

ka cierpi bardzo, gdy musimy się liczyć tylko z wydatkami miesięcznymi.

Dzięki poprawieniu się ogólnej sytuacji finansowej wojsko teraz mniej cierpi. Jak referent podniósł, przy teraźniejszej gospodarce znacznie mniejsza ilość pieniędzy zostaje dla skarbu z tytułu niewydania. Dzieje się to dlatego, że wydałem rozkaz wydawać wszystko, żeby nie oddawać skarbowi zpowrotem, a po drugie dlatego, że — jak powiedziałem — ogólna sytuacja finansowa się poprawiła i można liczyć choć nienapewno, że miesięczny wydatek będzie przynajmniej taki sam, jak poprzedniego miesiąca.

Jest to nieszczęściem całego naszego budżetowania, a zwłaszcza nieszczęściem dla wojska, że budżet roczny staje się zwykle fikcyjnym, gdy trudno sobie powiedzieć zawczasu, jak za 12 miesięcy będzie wyglądał odcinek miesięczny. Ja twierdziłem zawsze, że z ogólnego planu budżetowego zostają tylko jakieś urywki ogólne, jakieś ogólne prawdy, które jednak nie są dostatecznymi wytycznymi dla trzymania się ścisłego nawet budżetu rocznego, a coś dopiero jakichś planów na dalszą metę. Jest to ogólna nasza wada, wprowadzona nie przez rząd, który ja tu reprezentuję, ale, zdaje mi się, że to był poseł Michalski.

Pan dostatecznie działał przeciw wojsku, ja się temu przyglądałem. Ale zostało to odziedziczone przez nasz rząd i stanowi jedno z przekleństw gospodarki wojskowej. Jeżeli dodamy do tego stały, nagły wzrost cen, który robi każdy budżet nierealnym, to musicie panowie przyznać, że nie znajdziecie żadnego administratora, któryby nie był zmuszony do ciągłego łatania sytuacji.

Jeżeli, na przykład, weźmiemy budownictwo, to jest ono poprostu klęską, gdyż żaden inżynier ani budowniczy nie może budować domu, nie będąc pewnym, czy nazajutrz nie zatrzyma roboty. Wskutek obcinania oszczędnościowego rozmaitych budżetów cierpi specjalnie budownictwo. Dlatego dziś niema mowy o jakimś planie budowniczym dla żadnego działu. Byłoby to fikcją, o której można pisać i mówić, ale której nie można wykonać. Dlatego mamy gmachy, doprowadzone pod dach, które jednak stoją niedokończone, stają się ruiną, wskutek opadu deszczów i śniegów, a procent ich wartości coraz bardziej maleje.

Przy takim nieszczęsnym budżetowaniu odbija się to szczególnie na funkcjach wojskowych. Zawsze krytycznie odnoszę się do administracji wojskowej, ale muszę uwzględnić te trudności, które mają ci ludzie, zmuszeni wykręcać się, jak piskorz, z nieszczęścia budżetów, a tem bardziej, proszę księcia, nie można się trzymać planów pięcioletnich.

Historja pracy wojskowej uczy, że system oszczędnościowy, który był czy to skutkiem inflacji, czy drożyzny, dotykał głównie trzech rzeczy: budownictwa, które obcinano, koni, które stanowią najdroższy element w wojsku dla przekarmienia, a których liczby zmniejszono bardzo znacznie, a wreszcie rezerwy zaopatrzenia, a to dlatego, że była umieszczona w nadzwyczajnych wydatkach.

Ja kazałem to pomieścić w wydatkach zwyczajnych dla uniknięcia ścinania w mechaniczny sposób. Chcę jednak powiedzieć w sprawie rezerwy zaopatrzenia, że mam tu pewne specjalne wahania i wątpliwości, czy ta rezerwa jest głównym mo-

mentem, który nam jest potrzebny, jeżeli ją pojmujemy w ten sposób, że magazyny powinny być wypełnione, a obliczone w stosunku do rozbudowy wojska na 10 czy 12 lat naprzód.

Już kiedy pracowałem na placu Saskim, z pewnym sceptycyzmem patrzałem na usilne starania zrobienia planu na szereg lat w stosunku do wojska, nie dlatego, że to się tyczy Polski, że sposób prowadzenia wojsk wogóle musi podlegać rewizji. Poród nowych koncepcyj jest bardzo ciężki i powolny, a tymczasem obciążenie teoretyczne dąży do tego, aby wojsko budować na wzór tego, co było przed rokiem 1914, i to nie tylko dlatego, że ten wzór istnieje jeszcze i myśmy się do niego przyzwyczaili, ale i z tego powodu, że we wszystkich państwach, a także i u nas, wielkim ciężarem jest masa oficerów, którzy do czego innego nie są zdolni, jak do pracy według wzorów z przed roku 1914, i którzy ciążyą na budżecie w bardzo silny sposób. Tak samo dzieje się u naszego sąsiada zachodniego i we Francji, a najmniej może w Anglii, która umiała z tego wybrnąć cesarskimi cięciami.

Nowy system rodzi się bardzo powoli. Podniesiono tu sytuację polityczną, na którą ja zapatruję się nie tak pesymistycznie, jak panowie. Ale faktem jest, że wojsko dotąd nie zostało skasowane i wszędzie istnieje, a więc tem bardziej powinno istnieć w Polsce, która przez nikogo nie jest gwarantowana i w wielkiej części jest pozostawiona samej sobie. Przeróbka pracy wojskowej nie da się dokonać w sposób taki, jaki proponował pan poseł Lieberman, który mógł spokojnie powiedzieć, że nasz budżet wojskowy jest zbyt jednostronny i powinien uwzględnić także mobilizację moralną

i materialną całego narodu na wypadek wojny i dlatego należy budżet wojskowy zmniejszyć. Tak patrzeć na pracę wojska nie wolno, dopóki się ma wojsko. Co innego, jak wojsko się usuwa. Dopóki istnieje, trzeba się starać, aby było jako tako dobre, i wtedy trzeba na wojsko płacić.

Więc ja sądziłem, że rezerwa zaopatrzenia magazynów, któreby zaopatrzyły armję w dostateczne ilości w razie wybuchu wojny, przy tej sumie doświadczeń, jakie zostały zrobione do dzisiejszego dnia, nie da się nigdy osiągnąć bez nagłego wkładu większych pieniędzy. Dlatego szukałem sposobu przerzucenia ciężaru na inne prace, zabezpieczające pod tym względem przynajmniej pierwsze dni jakiegoś konfliktu zbrojnego, do którego byśmy przez nieszczęście kiedykolwiek doszli. W stosunku do rezerwy zaopatrzenia odnoszę się nieco bardziej sceptycznie, niż poprzednio, ze względu na doświadczenia wielu lat, gdyż zawsze je obcinano i rezerwa ta była kozłem ofiarnym, nad którym znęcali się panowie, a także z musu ten czy inny minister spraw wojskowych. Gdyby panowie zgodzili się na zdanie posła Czetwertyńskiego, aby to nie podlegało *virement* na następny rok, nie mam nic przeciwko temu, sądzę jednak, że można mieć pewne zastrzeżenia. Jabym bardziej kładł nacisk na uzbrojenie, które wymaga także bardzo znacznych wkładów pieniężnych, jeżeli mamy być bardziej przygotowani.

Druga rzecz, o której chciałbym mówić, to jest administracja. Poseł Polakiewicz żądał wprowadzenia etatów, dlatego, że obiecał to generał Sosnkowski, a poseł Lieberman mówił to samo, powołując się na generała Żeligowskiego. Skarżyli się

oni na przerost administracji w porównaniu z wartością samego obiektu, którym się administruje. Jest to niewątpliwie jedna z największych bolączek naszej armji. Otóż muszę powiedzieć, że przerost administracji jest cechą charakterystyczną wszystkiego, co robią Polacy. Wszędzie administracja zjada dochody przedsiębiorstw nawet prywatnych. Jest to również chorobą naszego wojska. Dla usprawiedliwienia siebie powiem, że, niestety, jestem obciążony dziedzicznie bardzo silnie. Dźwigam na sobie prace nie tylko wojska polskiego, ale i prace Józefa II i Katarzyny II, jako dziedzicznie obciążony zwyczajami, pod tym względem bardzo odległymi. Jednym z największych kłopotów wojska jest obecnie rozmieszczenie oficerów tak zwanych administracyjnych, których liczba rośnie wskutek dyskwalifikacji oficerów do pracy liniowej. Są to nie tylko ludzie ranni lub kontuzjowani, ale mnóstwo nieużytków wojskowych, któreśmy w siebie wchłonęli podczas szybkiego tworzenia wojska w latach 1919 i 1920 w tak wielkiej liczbie, że stało się to prawdziwym ciężarem dla wojska.

Powróciwszy do armji, zastałem w niej wielu ludzi zdyskwalifikowanych, ludzi, którzy brali pensje, nic nie robili i siedzieli u siebie w majątkach, oraz administrację większą, niż zostawiłem. Ja jestem znany w armji z zacieklej walki z przerostem administracji i zarzutem, abym się do niego przychyłał, zrobić mi chyba nie można. Jestem zwolennikiem rzucania człowieka na głęboką wodę — niech sobie radzi, a jak nie poradzi, to utonie. Panowie zaś właśnie waszemi prawami nie dajecie mu utonąć, robicie sztuczne pęcherze i ja walczę

z temi prawami, które nie dają utonąć wszelkim niedołęgom.

Bywały wypadki, że ktoś, wydany ze służby za nadużycia, stawał się przedmiotem zazdrości tych, którzy zostawali, bo nie umieli czy nie zdążyli zrobić nadużyć. Dzieje się to wszystko na podstawie praw, przez panów uchwalonych. Jeśli ktoś się poda do dymisji, to często uważam za szczęście, bo emeryturę płaci minister skarbu. Płacimy emerytury nie tylko za polską służbę, ale i za służby dawniejsze każdemu, kto się zgłosi. Jestem zwolennikiem skrócenia administracji, lecz jeśli panowie sądzicie, że przy tych prawach, któreście uchwalili, jest to możliwe w szybkim czasie, to się grubo mylicie.

Podniesiono tu sprawę ryczałtowej gospodarki. Dała ona dużą oszczędność i możność wybrnięcia po nagłym i ogromnym obcięciu budżetu za ministra Żeligowskiego. Biedny generał Żeligowski nie mógł sobie dać rady z sytuacją, wówczas powstała, a to obcięcie jest też zasługą panów. Minister Żeligowski był tu, mówiąc po rosyjsku, *bez winy winowat*. Takie sytuacje zmuszają później do łatania.

Administracja — to nie tylko praca oficerów nielinjowych, ale i żołnierzy. Procent ludzi, zatrudnionych w administracji, w porównaniu z zatrudnionymi w wyszkoleniu żołnierza, wzrasta ciągle. Jest to niejednokrotnie również skutkiem niemożności przekroczenia praw, wydanych przez panów. Dowódcy ambicjonują się do pracy gospodarczej i administracyjnej i często z tego punktu widzenia bywają też oceniani, choć rzadko dobry administrator jest jednocześnie dobrym dowódcą wojsko-

wym. Czy uda mi się zadowolić nietylko panów, ale i siebie, o co mi zwłaszcza idzie, w walce z przerostem administracji, i postawić wojsko wyżej, niż inne działy, — nie wiem, bądźcie jednak panowie pewni, że dołożę wszelkich starań i robię nacisk, aby wojsko wyprzedziło pod tym względem wszystkich innych.

Dążenie do skrócenia służby wojskowej jest zjawiskiem stałym na całym świecie. Wybuch wojny zastał we wszystkich państwach, z wyjątkiem Rosji i Francji, dwuletnią służbę wojskową. U nas — zwracam uwagę panów na materiał wojskowy, jakim rozporządzamy. Polski żołnierz uczy się wojenki bardzo szybko, lecz nigdy dokładnie. Jest trochę lekkomyślny i łatwo przechodzi do porządku nad swymi obowiązkami. Białorusin i Rusin uczy się znacznie trudniej, lecz jest dokładniejszy, niektórzy też oficerowie specjalnie cenili sobie ten materiał. Dla naszego więc żołnierza skrócenie służby wojskowej nie jest pożyteczne. Zmuszenie żołnierza do powtórzenia pewnych ćwiczeń więcej razy mechanicznie przyzwyczajają do dokładności.

Drugi wzgląd — to wielka ilość analfabetów. Gdy żołnierz przejdzie już szkołę, będzie to wielką ulgą, lecz póki procent analfabetów jest tak wielki, trudność skrócenia służby jest duża. Ten materiał, jakim rozporządzamy, nie nadaje się do skrócenia służby.

Trzeci wzgląd — to właśnie przerost administracji, który sprawia, że wypuszczamy wielu ludzi, którzy właściwie przeszli przez wykształcenie krótsze, niż przepisowy czas służby. Służba bowiem w istocie trwa u nas krócej, bo ze względów oszczędno-

ściowych skracamy ją, gdy tylko można, pod różnemi pozorami, aby nie być zmuszonymi żywić żołnierzy. Robimy więc oszczędności, do czego w swoim czasie zmuszał pan Michalski, na co skarżył się minister Sosnkowski, gdy byłem jeszcze Naczelnikiem Państwa. To samo jednak i ja niekiedy, niestety, stosować muszę. Służba więc efektywnie jest dość znacznie skrócona. Szukam jednak dalszego wyjścia z sytuacji i może przyjdę z odpowiednim projektem. Mamy, mianowicie, różne części wojska, które wymagają różnego czasu dla wykształcenia. Jazda, konna artylerja, wojska łączności, pewne części broni technicznej, lotnicy — to są różne rodzaje broni, które wymagają jedno dłuższego, inne krótszego czasu służby.

A cóż dopiero mówić o większości wojska, o piechocie, której praca ćwiczeniowa staje się coraz bardziej skomplikowaną, to znaczy, że coraz trudniej być dobrym piechurem, a mimo to ciągle i w wojsku, i w pojęciu panów liczymy się tylko ze stanem z przed 1914, kiedy ta broń główna nie była tak skomplikowana i kiedy wszystkie oszczędności robiono na jej skórze. Trzeba się jednak zastanowić, czy można robić oszczędności kosztem piechoty, która dziś używa kilku rodzajów broni i wymaga wyćwiczenia w używaniu tych broni osobno i w kombinacjach rozmaitych. Trzeba się nad tem zastanowić, gdyż toby dało pewne oszczędności i z drugiej strony zadowolenie, że pewna część ludzi mogłaby służyć znacznie krócej.

Ale w takim razie stanęlibyśmy w zupełnej sprzeczności z zasadą powszechności służby wojskowej; jeden służyłby dwa i pół lata, a drugi

tylko pół roku. Ze stanowiska techniki wojskowej to wystarczy, ale nie wiem, czy wystarczy dla zasady komukolwiek. O tem nieraz myślałem, gdy myślałem o sposobach skrócenia służby wojskowej i zmniejszenia ciężaru, który powstaje przy pewnym kontyngencie i przy pewnej organizacji armji.

Drugą zaś ważną dla skrócenia czasu służby sprawą, na którą zwracałem uwagę wszystkich dowodzących i inspekcjonujących, to jest kwestja ludzkich zdolności pedagogicznych. Żądać od oficera, żeby był dobrym dowódcą, a równocześnie zdolnym pedagogiem, to jest rzecz trudna i obawiam się, że gdy zwiększymy nacisk w kierunku szybkiego nauczania żołnierzy, to nawet stanemy przed kryzysem, przed którym stanęły wszystkie armje, przed kryzysem jakgdyby konieczności podziału korpusu oficerów na dwie kategorie, z których jednaby tylko uczyła, a druga była od reszty służby. A każdy z panów był w szkołach i wie, że zdolnych pedagogów jest bardzo mało. Ja sam, który miałem do czynienia niegdyś z bardzo niezdolnymi pedagogami, śmiem twierdzić, że zdolność pedagogiczna jest słabo rozsiana po świecie. Ten kryzys w pedagogji wojskowej jest jednym z ciężkich problemów, przed którymi stajemy, bo przeważna część materiału oficerskiego nie jest przygotowana do szybkiego przeszkolenia większej ilości materiału ludzkiego, danego mu na krótki okres czasu, a kiedy się ten okres jeszcze skróci, wtedy praca ich stanie się jeszcze bardziej nerwową, to zaś odbije się w złem obchodzeniu się z ludźmi. Pedagog niezdolny irytuje się bardzo silnie i sekuje ten biedny materiał ludzki.

Ja to wiem po sobie, bo sam jestem też złym pedagogiem, i ile razy musiałem uczyć, tyle razy byłem wściekły i robiłem przykrości tym, których uczyłem. Dodajmy jeszcze jedno — że także ten materiał oficerski musi być przez dłuższe ćwiczenie i kształcenie przygotowywany, nim zacznie pracować tak szybko, jak sobie tego życzą panowie, wołający o skrócenie czasu służby wojskowej.

To są moje zastrzeżenia i ten projekt, z którym może wystąpię i nad którym radzę zawczasu się zastanowić, będzie szedł w kierunku technicznym, to znaczy w kierunku skrócenia służby wojskowej tylko dla pewnej części wojska, ale czy to zadowoli żądanie powszechności służby wojskowej, to jest kwestja, którą panowie będziecie musieli wziąć na siebie.

Mówiono o przysposobieniu wojskowem. Naturalnie, że daje ono dużo, bo uwalnia od szkoły rekrukiej, ale też tylko tyle, bo nie jesteśmy pod względem urządzeń przygotowani na to, żeby dać coś więcej. Wszelkie próby, żeby pójść tą drogą dalej, spotkałyby się z wydatkami tak znacznymi, że byłoby to znacznie droższe, niż panowie chcecie uchwalić w budżecie. Bo jeśli sądzicie, że ideał szwajcarski nie kosztuje, to grubo się mylicie — kosztuje on znacznie drożej, niż przeciętny wydatek na żołnierza gdzieindziej, ponieważ istnieje wtedy mus trzymania całego mnóstwa instruktorów, rozsianych wszędzie, mus trzymania materiału dla kształcenia po magazynach i magazynikach, tak, że nie wiem, czy panowie odważylibyście się na taki system, na który ja zaraz zażądałbym miljard, aby go wprowadzić w ciąg dobrych kilkunastu lat. Przysposobienie wojskowe jest bardzo

pożądane, u nas jest ono oparte dotąd na pracy ochotniczej. Ja zresztą staram się rozszerzyć te próby znacznie dalej ze względu na to, że otrzymuje się materiał przeszkolony w początkowych rzeczach, ale poza tem niewiele z tego korzyści.

Wreszcie jedna rzecz — usunięcie pośrednictwa przy dostawach. Ja opuszczam ręce, mówię to szczerze. Dziwię się, że panowie tego wymagacie od wojska, kiedy sami macie z tem ciągle do czynienia i tego rozbić nie możecie. Przecież my jesteśmy państwem „pasków“, gdzie pośrednik ma ogromne dochody. Jest to zorganizowana praca i u nas jest ona prawem dla każdego. Boję się, że wojsko nie jest w stanie wyprzedzić pod tym względem wszystkich panów osobiście. Jeżeli panowie mówią o małorolnych albo o włościanach, jak wojsko do nich trafi?

Każdy pułk musiałby mieć swych agentów, którzyby to zbierali. Nie wiem, czy producenci są do tego przyzwyczajeni, czy wojsko da sobie radę z takim procederem. Jeżeli gdziekolwiek takie próby były czynione, ciekaw byłbym takich prób... Być może. Nie chciałbym zanadto powoływać się na te próby, dlatego, że zazwyczaj przy bliższem zbadaniu okazują się one zawodnemi. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby się to udało, ale bez wypróbowania twierdzić nie można, że to łatwo da się zrobić, że prostym rozkazem da się załatwić.

Streszczam się — najważniejsze wady w naszym wojsku, to miesięczne budżety. Ja to odziedziczyłem, a z zarządzenia rządu mamy teraz przynajmniej to, że wydatki miesięczne są już na kilka miesięcy jednakowe. Daje to znaczną poprawę.

Druga rzecz — to przeciążenie wojska żywiołami administracyjnymi. Z tem walczę. Liczę na to, że przy usilnych staraniach moich i moich podwładnych zdołam zwalić ciężar na ministerstwo skarbu, przez pozbycie się oficerów tak zwanych administracyjnych, dla których nie znajduje się pracy w wojsku.

Trzecia rzecz — co do służby wojskowej, może wystąpić z projektem skrócenia tej służby w sposób różniczkowany, przecząc w ten sposób zasadzie powszechnej służby wojskowej, gdyż dotąd wydawało mi się to jednym sposobem, który prowadzi do skrócenia służby przynajmniej dla części wojska.

Czwarta rzecz — to rezerwy zaopatrzenia. Mam swoje duże wątpliwości wobec tego, że dotąd najzupełniej się nie udaje. A chcę więcej nacisku kłaść na uzbrojenie.

O PRZEWROCIE NA LITWIE I STANOWISKU POLSKI.

(24 grudnia).

— *W czasie dokonywającego się na Litwie przewrotu rozsiemane były różne wersje w sprawie rzekomych zarządzeń, poczynionych w związku z tym przewrotem przez rząd polski. Czy nie zechciałby Pan Marszałek wypowiedzieć się w tej sprawie?*

— Jedyne zarządzenie, wydane przeze mnie, polegało na możliwie bacznej i wydatnej obserwacji samych wypadków, rozgrywających się w Kownie, jak i naszej z Litwą granicy. Nie będę przeczył, że nerwy administracji i garnizonów pogranicznych były narażone na bardzo silną i wielką próbę, gdyż, jak pan wie, stosunek Litwy do Polski stanowi najzupełniejszy wyjątek bodaj w całej Europie, gdy Litwa nie uznaje stanu pokoju między nią a Polską. Kiedy więc rozrywała się tak gruntownie władza centralna w Kownie, na granicy nie istniała wówczas żadna odpowiedzialna władza i każdy swawolnik lub nawet rozbójnik, podniecony stanem wojny, który Litwa w stosunku do nas utrzymuje, mógł spokojnie, w imieniu Litwy, taką wojnę rozpoczynać. Niema bowiem wątpliwości, że ten nieco przydługi okres wychowania ludzi z pominięciem pokojowego zachowy-

wania się, jaki utrzymywały rządy litewskie względem Polski, dać musi zawsze pewną ilość ludzi, dla których prawa, cechujące stan pokoju wśród cywilizowanych państw, nie istnieją. I chociaż rozumiem całą niemożliwość prowadzenia z nami wojny przez sąsiadujące z nami państwo, gdy zanika kontrola oraz nie widać ręki odpowiedzialnego, więc ostrożniejszego w obchodzeniu się z zapalkami, wzniecającymi pożar — otwierają się wszelkie możliwości dla części ludzi, wychowanej w niezdrowej atmosferze wewnętrznego pozwalania sobie na wybryki w stosunku do sąsiada — czynienia tych wybryków na własną rękę. To też, powtarzam, niepokój całego pogranicza wzrastał z dniem każdym, wobec długiego i przewlekłego trwania kryzysu na Litwie.

Osobiście, jako szef rządu, nie pozwoliłem na żadne kroki celem wzmocnienia sił na naszej granicy z Litwą. Kierowałem się przytem głębokiem zaufaniem, jakie wyrobiłem sobie na podstawie własnej obserwacji w stosunku do ludności, zamieszkującej obie strony linii granicznej. Jest to bowiem ludność, która może najwięcej cierpi wskutek tych anormalnych, jakoby wojennych, stosunków, narzuconych jej przez byłe rządy litewskie. Ileż bowiem jest tam cichych tragedij, gdy związki rodzinne są brutalną ręką zrywane, a związki sąsiedzkie, przez wieki uświęcone, niemożliwe do utrzymania. Z prawdziwą też przyjemnością stwierdzić mogę, iż przy moim nakazie niewzbraniania swobodnego przekraczania granicy i na jedną, i na drugą stronę, przy ulżeniu surowej, centralnej ręki z Kowna, po raz pierwszy

od kilku lat być może matki mogły uścisnąć swoje dzieci, a przyjaciele uścisnąć sobie ręce.

Obliczenia moje okazały się słusznymi. W przeciągu całego kryzysu, trwającego dość długo, nie mieliśmy ani jednego wypadku granicznego, tak, iż spokój nie był nigdzie zakłócony.

Ograniczyłem się więc — powtarzam — tylko do nakazu zdwojonej baczności i zwiększonej pracy obserwacji. Wszelkie więc plotki i uwagi takiej czy innej prasy nie mają żadnych podstaw.

— *Czy Pan Marszałek uważa, że na Litwie nastąpiła już stabilizacja stanu rzeczy, wytworzonego przez przerorót?*

— Zadaje mi pan pytanie nadzwyczajnie trudne do rozstrzygnięcia. Rząd polski, więcej, niż przed miesiącem, miał ściśle informacje, że Litwa ma wejść w okres, gdy nabrzmiały problematy będą rozstrzygane siłą. Już z enuncjacji i z wynurzeń, które obecnie są publikowane, daje się spostrzegać fakt, iż odbywały się w tym kraju jakgdyby wyścigi między różnymi ugrupowaniami w próbach dokonywania przewrotu. I sam ten fakt musi niekiedy wzbudzać wątpliwości co do szybkiego załatwienia wszystkich spraw, wzbudzających taki właśnie stan rzeczy w tym kraju. Dodam, że przecież poprzedni rząd opierał się na większości sejmu, dość świeżo wybranego i zebrałego w Kownie.

Gdy zestawimy wszystkie te fakty, wydawać się może, iż obecna sytuacja wygląda, jak prowizorium. Nieraz jednak właśnie prowizoria są najbardziej trwałymi urządzeniami.

Czy rząd pana Waldemarasa będzie tym szczęśliwym prowizorium na Litwie, zależy to będzie,

zdaniem mojem, głównie nie od czego innego, jak od tego, czy zdoła on oswobodzić się od nieco zbyt niepowściągliwych orzeczeń, określeń i formuł, tak dobrze znanych i nam, i całemu światu, a które stanowiły niejednokrotnie powód do zniechęcenia, jakie ciężko odczuwać musiała na sobie Litwa w stosunkach wzajemnych narodów i państw.

Co do mnie, życzyłbym bardzo tej powściągliwości i rozsądku każdemu rządowi litewskiemu, a więc i rządowi pana Waldemarasa. Nie widzę jednak w tej chwili żadnych podstaw do obawy, abyśmy mieli zakłócone święta z powodu naszego niespokojnego sąsiada, który z taką łatwością wypowiadał słowo „wojna“, a z taką trudnością wykształcał słowo — „pokój“.

O KULTURZE FIZYCZNEJ NARODU.

(15 lutego)

W imieniu rządu mam zaszczyt przewodniczyć pierwszemu posiedzeniu Rady Naukowej Wychowania Fizycznego.

W tem zagajeniu nie będę panom mówił, ani też starał się przekonywać o ważności wychowania fizycznego, ani też o takich czy innych, związanych z tem, czynnościach. Chcę tylko wyjaśnić jedną specjalną rzecz, z powodu której panie i panowie zostaliście tu zebrani. Mianowicie — wtedy, kiedy w rządzie zainteresowano się sprawami, związanymi z wychowaniem fizycznym, sądziłem, że znajdę pod względem regulacji tej sprawy puste miejsce.

Z tego też powodu, gdy przyszły pierwsze uchwały Rady Ministrów w tej sprawie, musiałem się wkrótce przekonać, że tego pustego miejsca nie ma, że istniały zarządzenia i ustawy, związane już dawniej z wychowaniem fizycznym, z którym jednak, dla jakiegoś powodu, o którym będę mówił, czyniło się tak, że człowiek, stojący poza rządem, nawet o nich nie wiedział.

Szczytną i wielce trudną funkcją rządu jest regulowanie wysiłków ludzkich, skierowanych w pewnym kierunku, danie im pomocy i zarządzania w celu określenia stopnia tej pomocy. Poprzed-

nie zaś ustawy regulowały same siebie. Poprzednie ustawy szły w kierunku regulacji wysiłków samego rządu, nie czego innego. Dlatego też nie dało się spostrzec, ażeby wysiłki samego rządu dokonywały tyle, by je można było spostrzec w dziedzinie wychowania fizycznego albo też w całej pracy, z tem związanej.

Gdy przejrzałem skład osobowy wszystkich rad, których wysiłki były zużyte dla podniesienia wychowania fizycznego, z pewnem przerażeniem spostrzegłem, mimo, iż żadnemu z ich członków nie jestem w stanie odmówić szacunku, że w ogromnej ilości, w olbrzymiej większości są to ludzie, którzy nigdy wychowaniem fizycznym się nie zajmują ani w stosunku do siebie, ani w stosunku do kogokolwiek i dlatego jestem pewien, że te rady nigdy wychowania fizycznego nie poruszają i nigdy nic w tej sprawie nie robią, oprócz pobierania djeł przez zjazdy.

Stanowisko rządu, który tu reprezentuję, jest inne. Sięgamy do ludzi, którzy interesują się bezpośrednio tym czy innym przedmiotem pracy ludzkiej, tym czy innym materiałem, który jest z tą pracą związany. Sięgamy do ludzi, chcąc, by oni sami pracowali, pozostawiając rządowi tylko to, co jest związane — jak powiadam — z funkcją rządu, o której mówiłem, a mianowicie — regulacją wysiłków ludzkich, zorganizowaniem ich, o ile sobie przeczą, gdyż to się najczęściej zdarza...

Nie bierzemy więc na siebie więcej pracy, związanej z wychowaniem fizycznym, albowiem, jeżeli tamte rady nie zajmowały się same tem wychowaniem, to to samo muszę powiedzieć, że nikt z nas się tem nie zajmował i nikt nie chce mieć preten-

sji, ażeby być w tej sprawie autorytetem. Dlatego też praca nasza wiąże tylko trzy funkcje, które to wychowanie fizyczne regulują. Na czele został postawiony minister spraw wojskowych. Obok, jak widać, są przedstawiciele innych działów: ministerstwa oświaty i spraw wewnętrznych.

Jeżeli postawiliśmy na czele ministerstwo spraw wojskowych, to nie dla innej, jak dla tej przyczyny, że niema szerszej pracy wychowania fizycznego, jak w wojsku, które uczy pomiędzy innymi opanowania organizmu, by służył on pracy fizycznej poszczególnego żołnierza.

Jest to bodaj najszersza i najdalej posunięta praca nad wychowaniem fizycznym człowieka. Wychowanie fizyczne bowiem nie może mieć innego celu, jak używanie swego organizmu, swej fizycznej konstrukcji dla celów wyżej wskazanych. Dlatego też wojsko, które najsilniej to czyni już przez samo swoje zadanie, które przerabia człowieka niezręcznego na zręcznego, na człowieka, używającego swego organizmu dla takich czy innych celów, jest najważniejszym terenem wychowania fizycznego w Polsce, jak i na całym świecie.

Obok widzimy ministra oświaty, który musi mieć do czynienia z wychowaniem fizycznym młodego pokolenia, którego wychowanie fizyczne, jak państwo wiecie, jest dość spóźnione u nas, w porównaniu z innemi krajami. Ministerstwo spraw wewnętrznych zaś ma do czynienia ze wszystkimi stowarzyszeniami takiego czy innego gatunku, takiej czy innej miary, mającemi te czy inne cele, i ministerstwo to z musu regulować musi życie tych stowarzyszeń.

Dlatego też te trzy ministerstwa zostały połączone w jedno dla pomocy wychowaniu fizycznemu.

Jeszcze raz powtarzam, że zwracamy się, jak to już głosi nasza ustawa, w samej pracy nie do instytucyj rządowych, lecz do tych, którzy wzięli jako część swojej pracy życiowej nie co innego, jak wychowanie fizyczne, jak sport, i staramy się pomóc. Sam zaś rząd, czy w postaci władz centralnych, czy w postaci władz wojewódzkich, powinien dążyć do tego, ażeby te sprawy uregulować i nieść pomoc tam, gdzie to wychowanie fizyczne doznaje przeszkód.

Inną jest rzeczą, gdy będziemy mówili o wychowaniu fizycznym w szkole. Tam jest mus pracy rządowej, która właściwie jest skierowana w inną dziedzinę, szuka bowiem wychowania umysłowego, wychowania dzieci — powiedzmy moralnego — i gdzie wychowanie fizyczne wchodzi, jako część całej funkcji pracy nad umysłem i nad ciałem tych biednych dzieci. Ja oświadczam otwarcie, jako wielki przyjaciel dzieci, a nie starszego pokolenia, że współczuję mocno dzieciom, iż ich w ten sposób traktują, jak to dotąd jest praktykowane w szkołach. Dlatego w wychowaniu fizycznym chętnie będę współczuł dzieciom, które w dusznej atmosferze szkolnej muszą z konieczności wyprostowywać swoje biedne nóżki, chociażby zrobiwszy rzeczy, nie zawsze dopuszczalne w szkole.

Teraz o samej Radzie Naukowej. Powstała ona u nas nie dla rozstrzygania kwestyj, związanych z realizacją wysiłków ludzkich w kierunku wychowania fizycznego. Rada Naukowa jest, że tak powiem, organem pomocniczym rządu. Nie chcę

zmuszać panów do podziwiania naszej skromności rządowej, która nie ma pretensji do tego, aby reprezentować naukę w tej sprawie.

Jeżeli chcemy być sumienni, musimy zasięgnąć opinii tego stanu naukowego, który u nas w Polsce pod tym względem istnieje, a również i zgromadzonego doświadczenia. Nie chcę pod tym względem wbijać panów w ambicję, gdyż wiem, że stan naukowy w tej sprawie jest względnie niski, względnie daleko nie sięga, a zatem niema mowy o tem, ażeby w Polsce był nadzwyczajnie wysoki postęp. Idzie mi o to, że chcę z tym stanem naukowym, jaki istnieje, z tym stanem doświadczenia, czy to w dziedzinie sportu, czy też w pracy nad siłą naszego organizmu, nie tylko się liczyć, ale powołujemy go także do dania nam rady w tych sprawach, które przez nas będą traktowane. Inicjatywa z waszej strony jest najzupełniej zastrzeżona. Witając więc panie i panów, proszę dać nam z jednej strony tę niewielką ilość czasu — a z drugiej te wielkie wysiłki, które chcemy zużyć dla postępu w wychowaniu fizycznym i o które do was zwracać się będziemy.

PRZEMÓWIENIE PRZEZ RADJO DO UCZEST-
NIKÓW ZJAZDU OFICERÓW REZERWY
W KRAKOWIE.

(18 czerwca).

Szanowni panowie! Przemawiając do was, czuję się dziwnie, bo nie jestem przyzwyczajonym przemawiać do maszyn, a nie do ludzi. Zebraliście się panowie w Krakowie, jako oficerowie rezerwy, którzy i w pracy w wojsku, i w pracy cywilnej mają tej pracy dużo i odczuwają to zarówno w surdutowej, jak i w krawatowej waszej pracy codziennej.

Odczuwam to żywo, bo sam jestem zmuszony do takiej pracy. Jak wiecie dobrze, pomiędzy stanem cywilnym, a stanem wojskowym wszędzie i zawsze jest jakiś rozdźwięk i wzajemna niechęć. Życie samo daje te sprzeczności. Wymaga się od nas, abyśmy, amfibjowy stan wiodąc, po polach skakali, jak sarny, a po morzach się uganiali, jak szczupaki za zdobyczą. Te sprzeczne wymagania życia wymagają dwu czynności, tak wzajemnie z sobą sprzecznych, co zmusza nas do tego, byśmy te dwa stany, wojskowy i cywilny, ciągle pomiędzy sobą godzili. Co do mnie, jako Prezes Rady Ministrów, stale pracuję nad tem, aby wzajemny szacunek pomiędzy stanem wojskowym i cywil-

nym istniał, jako zasada pracy polskiej. Chciałbym w tej chwili prosić was jak najusilniej, byście mi w pracy tej dopomogli. Polska ma dziwny grzech myśli, ciężący na niej. Wojsko jest u nas czemś obcem, czemś nieznanem, jakgdyby niepotrzebnem. Wojsko jest to jakgdyby niepotrzebna prawda życiowa. Grzech ten jeszcze długo ciążyć będzie na Polsce. Tem większe są zasługi i usiłowania tych, którzy wojsko kochają, aby tę myśl pogodzić z codziennem życiem. Życzę wam jak największej i jak najskuteczniejszej pracy. Proszę usilnie i o pamięć o mnie i o tem, byście umieli te dwa zwaśnione obozy pogodzić i aby praca wasza mogła wydać pomyślne i dla pracy cywilnej, i wojskowej rezultaty.

Dowidzenia panom!..

PRZEMÓWIENIE W KRAKOWIE NA WAWELU
Z OKAZJI SPROWADZENIA DO KRAJU
PROCHÓW JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

(28 czerwca).

Gdy przed trumną stoję, mówić muszę o śmierci, o wszechwładnej pani wszystkiego, co żyje. Wszystko, co żyje, umiera, a wszystko, co umiera, żyło przedtem. Prawa śmierci są bezwzględne. Są jakgdyby stwierdzić chciały prawdę, że co z prochu powstało, w proch się obraca. Gdy kamień na taflę spokojnej wody rzucamy, powstają kręgi, idące wszcz i zamierające powoli. Tak żyją ludzie, gdy śmierci bramy przepastne przekroczą; kręgi powoli zamierają i nikną, pozostawiając po sobie pustotę, a nawet zapomnienie. Prawa śmierci i prawa życia, związane ze sobą, są bezwzględne i bezlitosne. Żyło ludzi mnóstwo i wszyscy pomarli. Pokolenia za pokoleniami, żyjące codziennem życiem, zwykłym lub niezwykłym, do wieczności przechodzą, pozostawiając po sobie jeno ogólne wspomnienia. Wspomnienia, gdzie imion niema i niema nazwisk. A jednak prawda życia ludzkiego daje nam i inne zjawiska. Są ludzie i są prace ludzkie tak silne i tak potężne, że śmierć przewyciężają, że żyją i obcuja między nami. Przed sobą mamy trumnę ze szczątkami człowie-

ka, szczątkami, które świadczą o prawdzie, że proch jesteś i w proch się obrócisz. Słowacki, jak żywa prawda życia, jest między nami. Staje się znajomym coraz szerszym kręgom. Wiemy o nim tyle, jak o żadnym ze swoich znajomych. Wiemy i o tem, czego nawet o braciach nie wiemy. Jest z tego powodu naszym żywym znajomym. Znamy drobnostki jego życia, anegdoty o nim, ba, jak sam pisze poeta, list do ekonoma lub wieczne przymiery z Wandzią czy Marylką są nam znane i znajome. Są skądś wyciągnięte i rzucone przed oczy. Śmierci prawa są w ten sposób przewyciężone. Jest nam żywym znajomym i żywa znajomość Słowackiego staje się coraz powszechniejsza i coraz szersza, tak, że ma znajomych więcej, niż miał ich za życia. Gdy wezmę odwrotnie i policzę kilkanaście milionów Polaków, wśród których żył Słowacki, co z nich pozostało? Nie mają ani imienia, ani nazwiska, gdyż kilka zaledwie osób z ówczesnego pokolenia staje nam jako żywsze istoty, jako ci, którzy żyją, którzy nie umierają i nie nikną. Żył sto lat zaledwie temu, zaledwie trzy pokolenia wymarły lub wymierają, a jednak, gdy policzymy ludzi, o których cośkolwiek wiemy, to jest ich tak mało, a gdy mówimy o Słowackim, to spotykamy się z nim codziennie i z nim obcujemy. Powtarzamy jego słowa, jakgdyby był żywą istotą, powtarzamy wrażenia, które przeżywał, jeżdżąc po świecie. Wiemy, co mu się podobało, a co nie pozostawiło na nim żadnej impresji. Jest więc żywy i żyje wśród nas i prawda śmierci okrutna, prawda śmierci potężna nie istnieje dla niego. Powiecie może, że to metafora, że to nie jest słuszne, a jednak ta żywa prawda istnienia człowieka bez

względu na to, co kto o niej mówi, jest żywą, prawdziwą i realną. Słowacki żyje dlatego, że umrzeć nie może. Zda się, jakgdyby bramy śmierci przepastne za nim zamknęły się nieszczelnie. Dla niektórych ludzi zostają one otwarte, tak, że życie i śmierć się nie rozdziela. Zda się, że są ludzie, którzy żyć muszą dłużej, których życie trwa nie latami, a wiekami, wbrew prawdzie przyrodzenia ludzkiego. I gdy teraz szczątki Słowackiego wprowadzamy do grobowców królewskich, wiemy, że przedłużamy mu życie dalej jeszcze i że żyć będzie tak długo, aż murów Wawelu nie naruszy czas zniszczeniem. a skała, która nad Wisłą samotna tu stoi, nie ulegnie śmierci. Dajemy mu w ten sposób dłuższe życie, dłuższą prawdę bytowania, które zostają pomiędzy ludźmi. Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę i widzę szkielety, co o Stwórcy świadczą, twierdząc, że są szkielety żywe, przejrzyste, świeże i młode, tak, że płakać po nich nie umiałby nikt szczerze. Nie płaczmy też po Słowackim! Gdy idzie trumna jego przez całą Polskę, witają go ludzie, nie zaś żegnają, tak, jakgdyby był żywym człowiekiem, i żałobne dzwony nieżałobnie biją, lecz biją radością i triumfem. Nikt z nas nie potrafiłby zapłakać nad zmarłym. Twierdząc raz jeszcze, że bramy przepastne śmierci dla niektórych ludzi nie istnieją. Świadczą o prawdzie wielkości takiej, że prawa wielkości są inne, niż prawa małości. Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę i widzę przeszłości gościńce, po których kroczy ludzkość i po których teraz stąpa historia, to widzę umoszczone twarde drogi, które ludzie, pokoleniami idąc w życie i pokoleniami umierając, mościli życiem swoim, tak, jak i śmiercią. Pokolenia, które

zostawiły ślady, szkieletami i pracą codzienną i codziennem odpoczywaniem, mościły gościńce trwałe i wieczne. Lecz wszędzie, gdzie gościńce mają skręty, wszędzie, gdzie załomy drogi, gdzie ludzi wahania i gdzie ludzi małych twoga, stoją na załomach, jak drogowskazy, olbrzymie głazy, świadczące o wielkiej prawdzie bytowania. Stoją olbrzymie głazy samotne, lecz z nazwiskami, gdy ludzie giną bezimiennie. Na naszym gościńcu historycznym, gdzie pokolenia za pokoleniami idące mościły drogi i życiem, i śmiercią, czasy Słowackiego były załamaniem, były prawdą historyczną ciemności niewoli i bezsiły. Słowackiego wielkość sięga stu lat, gdy na ziemiach polskich przedostatnie powstanie 1830 roku skasowało jedną prawdę życia historycznego, skasowało wojsko. Wojsko, ta prawda siły ramienia, co broń i chroni, co życie dając, życie innym otwiera, co krwią, jak cementem, mości prawdę historii i trwania narodu, znikło w roku 1830. Wtedy zapanało wahanie na tym skrócie drogi, danym nam przez los. W trosce prawdy siły ramienia, w trosce prawdy nadziei, że ramię się wzmocni, znikły i upadły. I mamy zaraz próby, by miecze, co w podziemiach zasnęły lub tylko echem grają, zastąpić inną siłą, siłą ducha. Gdy miecze się krzyżują, skry padają. Starano się wykrzesać prawdy duszy, tak silne i mocne, że w pracy skry padały także. Starano się zastąpić prawdy proste, siłę miecza prawdą siły ducha, — tak, by wzmocniwszy ducha, móc trwać w niewoli i móc uzyskać siły, gdy tych sił będzie trzeba. Była to dziwna praca ówczesnego pokolenia, gdy ręce ludziom mdlały i gdy bojaźń tej prawdy ludzi nikczemniła i ludzi

do rozpaczny doprowadzała; starano się zamienić prostą prawdę miecza siłą ducha, który się męczył w trwodze, że siła miecza nie dorówna. Poszły w niebo harfy, gdy miecze pod ziemię się chowały, niszcząc i rdzewiejąc. Gdy przed Słowackim, jedną z harf szczerozłotych, stoję, gdy warstwy mąk jego i pracy jego przeliczę, znajdę w tej harfie jedną strunę, co zawsze brzęczała, znajdę prawa dumy i prawa rozkoszy cierpienia dla dumy, dla godności ludzkiej. Szarpany niemocą ciała, szarpany niemocą prawd, które wyznawać rozum mu kazał, szukał w rozpaczny dumy siły, targającej wnętrzości swoje i ojczyzny swojej. Znajdziecie brzęczące struny dumy i struny godności ludzkiej na każdym kroku. Szedł, pracując, szedł, myśląc, że duma stargana i sponiewierana wyda nie jęk rozpaczny, lecz siłę olbrzyma. Pracował, jak i inni, myślał o możliwości, aby duch ludzki mógł zastąpić siłę ciała. I nieraz potwornie się męcząc, wątpił, jak i inni. „Godności nie mam, od męki uciekłem”. Tak mówi o sobie, męcząc się potwornie, i nie mógł wydobyć siły skończenia męczarni śmiercią. Stargana duma i sponiewierana, w błoto człowiek zdeptytany, harde prawa godności człowieka, dumę nie w siłę miecza, lecz w siłę ducha przerabiały. On z kraju był nie dumnych helotów i dumy tej pragnął, by była siłą, by siłę dała, by wartość mocy, potęgę Polski mieć mogła. Gdy niegdyś jednego z większych, co ostatecznie prowadzili bunty i powstania, pytałem, który z wieszczów najwięcej wpłynął, najwięcej działał, gdy miecze na naszej ziemi zadzwoniły, stwierdzał mi zawsze, że naszym poetą jest Słowacki.

Miłość ojczyzny — oto słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą.
Jako żórawie, co łańcuch prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują przodem;
Umrą ich duchy, lecąc przed narodem.

Gdy teraz, patrząc na trumnę, wiem, tak, jak wszyscy zebrani, że Słowacki idzie, to wiem, że idzie tam, gdzie głazy na naszym gościńcu stoją, świadcząc nieledwie chronologicznie przez imiona o naszej przeszłości. Idzie między Władysławy i Zygmunty, idzie między Jany i Bolesławy. Idzie nie z imieniem, lecz z nazwiskiem, świadcząc także o wielkości pracy i wielkości ducha Polski. Idzie, by przedłużyć swe życie, by być nie tylko z naszym pokoleniem, lecz i z tymi, którzy nadejdą. Idzie, jako Król Duch.

Po zakończeniu przemówienia Marszałek Piłsudski zwrócił się do otaczających nosze z trumną oficerów z następującymi słowami:

W imieniu rządu Rzeczypospolitej polecam panom odnieść trumnę do krypty królewskiej, by królom był równy.

PRZEMÓWIENIE W WILNIE Z OKAZJI URO-
CZYSTEJ KORONACJI OBRAZU MATKI BO-
SKIEJ OSTROBRAMSKIEJ.

(2 lipca).

Gdy mamy tu tak wielką uroczystość kościelną, trudno nie wspomnieć o Głowie Kościoła. Jeżeli my nie mamy żadnych tak wielkich praw i przywilejów, abyśmy mogli żądać dla siebie specjalnych uprawnień przy pełnieniu obowiązków tak wysokich, jakie pełni Jego Świętobliwość, to mamy jednak możliwość udać się do tego sentymentu, który niechybnie żywi ku naszemu narodowi, ku naszemu państwu. Złączeni bowiem jesteśmy z Jego Świętobliwością pierwszymi poczynaniami życia naszego państwowego.

Gdy Jego Świętobliwość, jako ksiądz Ratti, był u nas nuncjuszem apostolskim, z jego przeżyć ówczesnych wspólnych nie mogliśmy nie wynieść głębokiego przekonania, że możemy być zawsze pewni jego uczuć i sentymentu w stosunku do nas. Jeżeli dzisiaj ta uroczystość tak głęboko porusza serca miejscowe, serca Wilna, które do Obrazu Ostrobramskiego żywią tak głęboką miłość i głęboki szacunek, to zawdzięczamy to także Jego Świętobliwości, który jeszcze w dawniejszych czasach obiecał mi, że specjalnie dla Wilna spodziewa

się znaleźć chwilę czasu dla osobistej pracy. Chcę zaznaczyć, że Polska nie tylko ma serdecznego przyjaciela, ale i że serce to umie być okazanem. Dlatego też pozwoli Pan Prezydent, że w imieniu rządu, który tu reprezentuję, wzniosę toast na cześć Jego Świętobliwości Piusa XI.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW W KALISZU.

(7 sierpnia).

Kochani koledzy i towarzysze broni! Zwyczajem naszym legjonowym jest, że rok rocznie zbieramy się z ważnej przyczyny, a zarazem zwyczajem jest, że jako były wasz Komendant, były wyobraźcieli waszej pracy, muszę przemawiać. Ciężary są podzielone. Wy macie owacje, a ja mam pracę mówienia. Dziś, kiedy myślałem, o czym mam mówić, przebiegłem pamięcią wszystko, com dotąd mówił na wszystkich zjazdach i co przemyslałem poprzednio.

Przemawiam w trzynastą rocznicę wymarszu z Krakowa, w trzynastą rocznicę naszych urodzin. Jesteśmy już prawie podlotkami i mamy prawo mieć pamięć przeżyć, gromadzonych przez tak długie lata. Gdy myślałem nad temi przeżyciami, doszedłem do wniosku, że niedostatecznie jeszcze w swych przemówieniach legjonowych podkreśliłem jedną wielką prawdę naszego istnienia i naszej pracy, wielką prawdę naszego życia. Niema już żadnej wątpliwości co do faktu historycznego, który starałem się w poprzednich odczytach nieraz wyjaśnić, a mianowicie — w 1914 roku, kiedy na świecie wybuchła wojna i kiedy ludzie szli przelewać stru-

mieniami i potokami krwi dla takich czy innych celów, między temi celami nie było celu polskiego. Nikt o Polskę, jako o Polskę, krwi przelewać nie chciał i nie dążył do tego w swych celach politycznych, aby dla Polski cokolwiekbądź stało się innego, prócz tego, co było i przed wojną. My, jako legjoniści, zrobiliśmy wstęp do możliwości przelania krwi za Polskę. Poszliśmy niewielką garścią ludzi, tem się różniąc od wszystkich innych, że ten niewielki strumień krwi, któryśmy mogli przelać, chcieliśmy dać dla Polski. Nie dla kogo innego, a jedynie dla Polski. To nasza palma pierwszeństwa w pracy dla ojczyzny naszej.

Mieliśmy więc tę palmę pierwszeństwa. Staraliśmy się pokazać naszym rodakom, że jest rzeczą rozsądną i rozsądną przelewać krew dla siebie, nie dla kogo innego. Ta palma pierwszeństwa jest naszą cechą historyczną.

Nieraz w poprzednich odczytach starałem się wyjaśnić, jakie są skutki pierwszeństwa. Jak trudno jest przebywać drogę ową i jak trudno jest zrobić rzecz nową. Z okazji tej palmy pierwszeństwa jednak spotkaliśmy natychmiast zjawiska specjalne, które spokojnie nazwę agenturami obcemi. Z natury rzeczy, jako były Naczelnym Wódz, który prowadził wojnę, wiem, co znaczy agentura, i wiem, jaki jest mechanizm jej pracy. Z natury rzeczy z taką pracą musiałem się zetknąć. Czy to jako z obserwacją, czy też jako z próbą skłonienia do takich czy innych zmian, któreby były potrzebne dla interesów armji i celów politycznych tego czy innego państwa. Nie dziwię się więc wcale, że do nas agentury się przyczepiły i że szliśmy krok w krok, mając obok siebie płatne agentury

obcych państw, robiące na naszych plecach interesy.

Mieliśmy, naturalnie, agenturę obcą jednego z państw zaborczych, a wobec tego, że praca nasza, gdyśmy szli przelewać krew za Polskę, nie mogła nie przeczyć w różnym stopniu interesom państw zaborczych, które chciały, aby przelewana krew była tylko za nie, agentury musiały działać sprzecznie z naszymi dążeniami. Musiały szukać sposobów, aby nas przemocą zatrzymać i usunąć od wielkości, dlatego jedynie, aby wielkość krwi, przelanej za Polskę, nie była za wielką dla interesów zaborczych. Stąd płynie to ciągle szukanie ze strony zaborcy i ze strony jego agentury sposobów odebrania nam tych cech, któreby nas charakteryzowały, jako przelewających krew jedynie za Polskę, a nie za co innego.

Wobec tego, że liczba nasza, jako przełamujących drogi, była względnie mała, że zatem ogół naszych rodaków nie szedł za nami w pracy, praca agentury była ułatwiona. Starano się nas zapaskudzić, odebrać nam bohaterstwo. Porównuję to do działania muchy, która, jak wiadomo, pstrzy czarnymi i brunatnymi kolorami. Robiono czarne i żółte plamy na naszych mundurach. Przypominam sobie usilne starania, czynione w stosunku do nas, czy to abyśmy wyglądali jak landszturmiści, otoczeni czarno-żółtą opaską, czy to zrobienia nam tej czy innej przykrości w walce o nasze sztandary, czy podporządkowania nas austriackiemu mundurowi.

Oto są prace agentur austriackich, idących obok nas i starających się nas stale obniżyć. W parze z tą szła agentura inna, agentura rosyjska, to jest

tego państwa, z którym Austriacy i my walczyliśmy. Szła w tym samym kierunku, także płatna i świadoma swej pracy, również pracująca nad obniżeniem naszej pracy, zapaskudzająca nas czy słowem, czy określeniem, czy czemkolwiek, abyśmy dla naszych rodaków nie byli pociągającymi, nie byli wzorem.

Jeżeli wezmę przeżycia moje, jako waszego dowódcy, zmuszonego nieraz pertraktować z dowódcami i targować się o wasze wygody, o wasze życie i wszystko, co się tyczyło codziennego życia wojennego, czy to z tymi, czy innymi panami, czy też sztabami, zupełnie pewnie stwierdzam, że najbardziej ze zrozumieniem naszej sytuacji odnosili się do nas ci, którzy nigdy polskiego słowa nie umieli wymówić, to znaczy, że najwygodniej było z dowódcami korpusów czy dywizyj, którzy nie słyszeli polskiego języka, którzy mieli narzecza węgierskie, rumuńskie, narzecza niemieckie, jako stały język codzienny. Tam nam było najlepiej. Tam najprędzej spotykałem ludzi, którzy weszli w naszą sytuację, najwięcej udzielali rad, najwięcej obrony.

Proszę państwa, to jest zjawisko stałe i codzienne, towarzyszące nam rok za rokiem, dzień za dniem, jest to część naszego życia, tak wielka i tak starannie w stosunku do nas ułożona, iż nasza praca jest współbieżna z pracą agentur obcych.

* * *

Przy tej palmie pierwszeństwa, którą my, w stosunku do prawa przelewania krwi tylko za Polskę, a nie za co innego, mamy, to znajdę zaraz i inną

cechę, która bardzo nieśmiało i bardzo powoli zaczyna nam sekundować. Jest to prawda Polski, którą spotykało się po wsiach, czy po dworach, czy w miasteczkach, gdyż mieliśmy to szczęście w porównaniu z legionami innymi w naszej historii, że walczyliśmy na własnej naszej ziemi, a ani razu za granicę Rzeczypospolitej nie wyszliśmy. Mieliśmy więc stale otoczenie to, które i teraz w Polsce istnieje, tę samą polską ludność. Jeżeli przypominam sobie swe wrażenia w ciągłych marszach i przemarszach przez najróżniejsze części Polski, jeżeli zestawię swoje wrażenia od roku 1914—1916, kiedy nasze marsze się skończyły, to znajdę zawsze rosnącą, zawsze narastającą prawdę, że coraz mniej byliśmy obcy dla swoich, coraz więcej zyskiwaliśmy sympatji i coraz więcej humoru. Szło to tak powoli, że ręczę, iż niejeden z was w nocy z tej przyczyny cichą łzę przelewał. Nazywano was żołnierzami bez ojczyzny, trawestując prawdę Żeromskiego o dawnych legionistach, których nazywał żołnierzami-tułaczami. I gdy sobie przypomnę rozumowania, z którymi się spotykałem, narastające szeptem, podawane naszym uszom, to znajdę zawsze skromność polską, która bała się wszystkiego prócz łzy, prócz cichego rozczulenia z powodu spotkania się z obrazkiem, który się znało, na który się patrzyło, zakrywając książeczkę ze strachu. Mundury, specjalnie rabat ułański, wysokie czako, to było to, o czym się śniło, o czym się bardzo szeptało.

Jeżeli przebiegnę te dwa lata, koniec roku 1914, 1915 i 1916 (ostatnie legjonowe boje na Wołyniu), znajdę wzrastającą tę prawdę bardzo powoli, otaczającą nas niby nimbem bohaterstwa, nimbem

szaleństwa, piękności jakiejś, nad którą łzy wylewać trzeba, że widzieć ją jeszcze można.

Mamy więc dwa towarzyszące nam zjawiska.

Idziemy, mając palmę pierwszeństwa przelanej krwi za Polskę, jedynie jako odludki i nieco upstrzeni ludzie. Obok zaś widzimy wzrastającą, sentymentalną, lecz bardzo bezsilną prawdę bohaterstwa, nieco nierozumianego.

Te dwa lata przeżyć najciężej wspominam. Agentura obca i płatna, szukająca obniżenia naszej pracy, i z drugiej strony bardzo niejasne i bardzo nieliczne dowody współczucia dla naszej pracy. Jeżeli panowie wezmą następne czasy, będzie to okres nagłego wyrastania sprawy polskiej, w którym po raz pierwszy zaczynają się sprawą polską zajmować. Dzieje się to dlatego, że państwa, które rzuciły w grę miliony istnień i miljardy złota na szalę wypadków, zatrzymały się w jakiejś dziwnej równowadze sił, bez możliwości wyjścia poza tę równowagę. Jest to koniec roku 1916—1917.

Idą lata, gdy zwycięstwo się chwieje, gdy wrażenie ogólne nie daje światu pewności szybkiego zwycięstwa jednej ze stron walczących. Rozpoczyna się poszukiwanie jakiegokolwiek ciężarka, któryby, rzucony na szalę, zaczął przechylać ją na tę czy inną stronę. Gdy w gabinetach i w dowództwach zaczynają szukać gwałtownie po dwóch latach pracy wojennej, gdy wylano już olbrzymie morze krwi i gdy świat podzielono na to, co jest po jednej i po drugiej stronie drutu kolczastego, gdy wciągnięto w grę świat cały — szukać takiego ciężarka, któryby mógł przechylić choć trochę szalę na stronę zwycięstwa.

W poszukiwaniach tych poszukiwano i Polski.

Moi panowie! Nie dziwię się, że państwa zaborcze tej kwestji nie chciały dotykać. Długo męczono się nad formułami, nad wymyśleniem takiego jakiegoś znaku na ziemi i niebie, żeby Polska była i nie była, żeby można było po najtańszej cenie wykpić się z potrzeby poszukiwania ciężarka.

Jak powiadam, między innemi ciężarkami, które wyciągano z lamusu przeszłości, rzucono się do sprawy polskiej. W ten sposób odtąd zaczyna sprawa polska narastać, zaczyna być czemś, co ma cenę, o czem warto mówić, — zaczyna być wartością to, co stanowi Polskę, i to, co stanowi polską siłę. Zarazem, moi państwo, zaczyna się nad nami zwycięstwo absolutne agentur. Nie dlatego innego to zwycięstwo agentury nadchodzi, jak dlatego, żeśmy niedostateczne przez te dwa lata zyskali poparcie i siły ze strony naszego otoczenia, tak, że nad nami, jako konkurentami prawdy, bardzo niewiele narastającymi, bardzo łatwo można było przejść do porządku dziennego.

Tedy jednak agentury wszystkich stron, gdy tylko Polska uzyskała wartość, poczuły żer, poczuły możliwość posiadania atutu Polski w swem ręku, tak, by każdy, kto płacił, był z nich zadowolony.

Jakże w ręce warjatów oddać losy narodu? Przecież to jest rzecz niemożliwą!..

To jest to pierwsze, jakby hasło, rzucone w naszą pracę. Gdy tylko ważka polska zaczęła przechodzić z rąk do rąk, z papieru na papier, gdy między komendami najrozmaitszych narodów krążyć zaczęły projekty, związane z wartością Polski, gdy w tych projektach zaczęto mówić o możliwości robienia czegoś z Polską, od tej chwili zaczęli-

śmy spotykać nie obserwację agentur, ale otwartą walkę z nami.

Twierdzę, że połączeniu wszystkich agentur nie przeszkodziła wzajemna walka mocarstw, które reprezentowały. Ja, proszę państwa, szczęśliwy jestem z posiadania najrozmaitszych papierów, które jeszcze nie ujrzały światła dziennego, a które krążyły między dowództwami, między państwami. Na podstawie tych dokumentów twierdzę, że od 1916 roku zaczyna się targ o Polskę podwyższać i że szukanie wałek na szalę zwycięstwa zaznacza się w domysłach wielkich mężów stanu i wielkich generałów, dowodzących wojskami stron walczących.

Do naszej palmy pierwszeństwa przyłącza się palma męczeństwa, gdyż niema wątpliwości, że nasza prawda, którąśmy przeciwstawili prawdzie agentur, została pobita. Zostaliśmy w tem starciu z agenturą pobici i święcimy dziś dziesięciolecie Szczypiorny, dziesięciolecie Magdeburga, dziesięciolecie tych czy innych wychodków świata i więzień, do których nas rozsyłano, kończąc w ten sposób życie Legjonów.

Są to lata, w których sprawa polska w ten czy inny sposób się wysuwa, staje się przedmiotem rachunku, mylnej czy słusznej kalkulacji, czego przedtem nie czyniono.

Wytlumaczyłem, dlaczego te kalkulacje dokonywano. Z chwilą, gdy wojna weszła w stan równowagi, świat natrafił na polską ważkę, trzy, czy cztero-lutową, nie wiem, jak ją rachowano, którą mogła jednak przechylić szalę na tę czy inną stronę. Spotykamy wówczas świat agentury, idący

przeciwko nam całą parą, pstrzacy nas w ten czy inny sposób.

Lecz świat agentur odniósł zwycięstwo. Szedł on drogą zupełnie jednolitą, jednostronną, gdyż nieraz różni zaborcy względem Polski byli jednym i tem samem. Jeżeli trzeba, żeby coś z Polski było, niech to będzie jak najmniej poważne i znaczne.

Panowie! W całym naszym legjonowem przeżyciu mamy palmę męczeństwa i pierwszeństwa, wziętą przez nas w okresie, gdy nikt o Polsce nie chciał myśleć. Palma męczeństwa przychodzi wtedy, gdy zaczynają myśleć o Polsce na świecie, gdy Polska staje się wartością, która ma jakąś cenę. Ja, jako reprezentant ówczesny Legjonów, powędrowałem w świat do niemieckich więzień, a wielu z was powędrowało do mniej wygodnych ubikacyj, gdyż ja byłem zawsze generałem i nie chciano mi robić zbyt wielkich przykrości, podczas gdy was czekały gorsze rzeczy, jak Szczypiorna, Benjaminów i tak dalej.

Mnie tylko całkowicie izolowano od świata, abym nie mógł wywrzeć żadnego wpływu na nikogo. Sprawa Polski tymczasem urastała coraz bardziej, wyrastała — nie powiem, żeby przez nas, Polaków, — albowiem nie robiliśmy żadnych usiłowań, a przy tych powodziach krwi, które wylano wówczas na świecie, strumyczek krwi polskiej był znikomo mały.

Proszę państwa! Nadchodzi koniec roku 1917 i cały rok 1918. Każdy z was żywo pamięta, jak sprawa szybkimi podskokami idzie naprzód, ile pod tym względem papieru zapisano wówczas o sprawie Polski we wszystkich gabinetach walczących państw; wiele ułożono projektów, jak ro-

bić Polskę tak, żeby jej nie było, i ile najróżnorodniejszych dokonano usiłowań, aby tak postąpić. To przekracza rozmiary biblioteki wcale przyzwoitej.

Pisano i próbowano najrozmaitszych sposobów. Polska zaczyna być modną, zaczyna być kwestją już dokuczliwą, gdyż trzeba koniecznie zajmować wobec niej stanowisko i trzeba to stanowisko koniecznie określić na całym Bożym świecie. Polska narasta jako pewnik, jako coś, co przychodzi, jako coś, co nadejdzie w tej czy w innej postaci i co do życia ma prawo.

Jest to bardzo wygodne, by w pracy tej pomagała temu czy innemu państwu agentura.

Gdy w roku 1918 po przyjeździe z Magdeburga stanąłem do pracy państwowej polskiej i gdy w tym samym mundurze, w którym tu przemawiam, reprezentowałem Polskę, miałem wtedy wgląd w sprawy świata nieco większy, niż poprzednio. I mogę państwa zapewnić, że agentury państw, które się o Polskę targowały i o Polskę układały według własnej woli, miały głos znacznie silniejszy i pewniejszy, niż wszystko, co agenturą nie było.

Gdy w przyszłości historia będzie mieć dostęp do archiwów tajnych poszczególnych państw, bo takie czasy zawsze nadchodzą, kiedy wejrzeć można będzie do aktów każdego z agentów, którego się określa ceną w zależności od gorliwości i skuteczności służby, w spisach tych znajdziecie nazwiska wielu z waszych znajomych. Mówię jako człowiek, który państwem rządzi, i jako człowiek, który wie, co to jest cena i jak się za te rzeczy płaci.

Gdy więc legjoniści zostali usunięci jako czynnik zapomocą brutalnego zwycięstwa więzienia, cała

sprawa polska trafiła do rąk agentury, złożonej z Polaków, a która pracowała na rzecz państw różnych, nieraz odrazu na rzecz kilku państw, gdyż to w końcu wojny zaczęło być w modzie. Ten agent był ceniony, który potrafił pracować na rzecz kilku państw. Agenci tacy nawet dotychczas istnieją i stanowią dla mnie jeden z obiektów śmiechu. Świat bowiem doszedł już do przekonania, że agenci ci nie mają żadnej wartości.

Tymczasem wojna doprowadziła do tego, że w rozpędzie poszukiwania sposobów osłabienia państw walczących płacono agentom szalone sumy, zaoszczędzając w ten sposób krew ludzką. Szukano rozkładu wewnętrznego przeciwnika. Znaczenie płatnych agentur jest silne, bo godzą one w najbardziej bolesne miejsce państw walczących. Rzucano dlatego olbrzymimi sumami na przekupienie ludzi, jakichś dziennikarzy, jakichś panów, którzyby mogli zaszkodzić własnej ojczyźnie.

Proszę państwa! W dzikim chaosie, w jaki wpadłem po powrocie z Magdeburga, w zamęcie sądów, myśli, zdań, ugrupowań, rozbieżności były tak wielkie i tak olbrzymie, że uważam to za jeden z cudów wielkiego talentu, że mogłem z tego chaosu wyprowadzić państwo na jakąś ścieżkę. Skarżymy się teraz na wielką ilość stronnictw. Cóż dopiero mówić o owych czasach, gdy na stronnictwo składało się czterech czy pięciu ludzi, znajdujących się w jakiejś knajpie. Chaos słów był tak wielki, że gdyby nie moja mocna głowa, naprawdę zawarowałbym po wysłuchaniu jednego dnia 50 ludzi, przeświadczonych o swej wartości, nie poczuwających się do żadnej siły, a żądających usłuchania ich recept zbawienia Polski, których sami

nie byli pewni, odstępujących łatwo od każdego słowa, zato bardzo zażarcie zwalczających sąsiadów. Wiem, że wśród panów znajdują się tacy, którzy mają do mnie pretensję, że z nimi za mało obcowalem w czasie ostatniego zjazdu. Osądźcie jednak sytuację człowieka, który przeżył rok 1918, który wtedy po dwadzieścia godzin dziennie rozmawiał z ludźmi, z jednym, z dwoma, dziesięcioma, nie mogąc żadnego pogodzić z drugim, nie mając możliwości postawić jednego obok drugiego dla współpracy.

Ludzi, wyklinających tak łatwo swych współpracowników, odsadzając ich od czci i wiary, tak swobodnie uniemożliwiających kłótniowość pracą!.. Dosyć było przeżyć koniec 1918 roku, aby zbrzydzić sobie rozmowę z Polakami. Ja zaliczam do cudów pracy swojej, że w tak dzikim chaosie wybrnąć mogłem i postawiłem pierwszy krok Polski, jako państwa.

Moja praca z tamtych czasów polegała na usiłowaniu doprowadzenia jakiejś narady z Polakami do końca. Męcząca to była praca. Zniechęciły mnie rozmowy wspólne z dziesięcioma Polakami razem, podczas których wytaczano niesłychane argumenty, by zaraz o nich zapomnieć, aby mówić co innego nazajutrz, gdzie wynajdywano cudowne myśli, aby mnie o tem przekonać, że należy powiesić sąsiada. Musiałem wówczas szukać prawdy, że nasze legjonowe bohaterstwo i męczeństwo musiało być osamotnione dlatego, że na bohaterstwo trzeba było za wiele żądać od przeciętnego człowieka; że jednak teraz, gdy Polska jest państwem, może być wynagrodzi za męczeństwo, za bohaterstwo i kojącym plastrem zalepi rany, podobnie do

innych państw za bohaterstwo zapłaci bohaterom laurem na czoło, wystawiając ich naprzód, jako wzór. Myślałem, że wraz z materialnem odrodzeniem Polski i dusza polska odradzać się zacznie, wyzbywać się zacznie tchórzostwa i wyzwalać od pracy służenia dla obcych, jako najpewniejszej pracy dla Polaka.

Gdy kończyła się wojna, a Polska rodziła się wraz z kończeniem się wojny, kiedy cały świat pokój wyzyskiwał dla siebie, a myśmy wojnę musieli o dwa lata przeciągnąć poza granice sześciu lat wojowania w Polsce, przyglądałem się bacznie, szukając ustawicznie stwierdzenia lub osłabienia prawdy, którą dotychczas, to jest do roku 1918, spotykałem, mianowicie, że naród polski jest słaby wewnętrznie, że z trudem zdobywa się na prawdy mocne i silne, samodzielne, i dlatego łatwo służy obcym, dlatego nie widzi wstępu do służby obcemu, a nie dla siebie jedynie, że zatem jest mniej wartościowy w porównaniu z innymi narodami, u których tego nie znajduję.

Przeżycia moje, jako Naczelnika Państwa, w wielu rzeczach odskakują już od przeżyć moich, jako legionisty. Nie wątpię bowiem, że legioniści trzymając palmę pierwszeństwa i palmę męczeństwa Polski, znaleźli bardzo wielu współtowarzyszy, współkolegów, bardzo wielu współpracowników, tak, że zaczęli tonać, nie będąc dość liczni, w masie, która — zgodnie z moimi oczekiwaniami — wraz z państwem polskiem wyrastała. Uczucie ulgi nieraz znalazłem w moich pracach i myślach, jako Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz, myśląc o sile państwa w stosunku do zadań, jakie wojna wysuwa, — zadań szukania zwycięstwa. Jeżeli jed-

nak dotknę tu prawdy służenia obcemu, to ta prawda nie zmalą.

Nigdy nie zapomnę wrażeń moich, jako Naczelnika Państwa, gdy nasz hymn narodowy, nasz sztandar narodowy był jakby śmieciuchem, rzuconym w kącie dla sztandarów obcych i dla hymnów. Widziałem starania ustawiczne i stale idące w tym kierunku, aby agentury obce, płatne, były możliwie na górze państwa. Szły one krok w krok obok mnie, jako Naczelnika Państwa, szukając sposobów wytworzenia kilku rządów w Polsce — obok rządów, stojących przy mnie, rządów agentur, stojących poza mną. Widziałem uśmiechy reprezentantów obcych państw przy mnie, gdy patrząc mi w oczy, mogli powiedzieć, że moje zamiary mogą być zniszczone zupełnie przez polskich agentów. Widziałem to, prosiłem państwa, i nieraz uciekałem ze swymi zamiarami do odległego pokoju, aby ich nie wydać na rozszarpanie obcym. Nigdy nie byłem pewien, że gdy piszę rozkaz — nie będzie on czytany prędzej w biurach wszystkich obcych państw, niż przez moich podwładnych. Nie byłem nigdy pewny, czy taki lub inny mój zamiar polityczny nie będzie natychmiast skontrolowany przez agentury państw obcych z taką siłą i pewnością, że musiałbym się go wyrzec.

Jeżeli więc, panowie, pod względem tej szarej pracy, która niegdyś szła koło nas, koło legionistów, jako sentymentalna prawda niemocy i łezki ronionej, poprawiliśmy się znacznie, to nie poprawiliśmy się pod względem siły agentur obcych, idących krok w krok za naszym państwem. Mówię to śmiało, gdyż jest to moja prawda, jako Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza podczas

wojny, prawda, którą śmiało przekazuje historii, jako prawdę, przeze mnie zbadaną aż do dna, a odczuta bardziej boleśniej, niż wszystkie inne.

Mogę panom powiedzieć, że system moich kalkulacyj zawsze rozbił się nie o co innego, jak o tę siłę agentur obcych, płatnych przez obcych dla szkodenia Polsce, aby nie była zbyt silna, aby nie miała tej siły, jaką mogłaby mieć w tej czy innej chwili. Nieraz myślałem sobie, że tak wstrętnej prawdy żadne państwo nigdy w swoim życiu nie miało i, gdy szukałem porównań historycznych, znajdowałem zawsze momenty upadku Polski, gdy, proszę panów, ludzie dzielili się pomiędzy sobą tylko tem, od kogo pensje się bierze, czy od protektorki Polski — imperatorowej Katarzyny II, czy od przyjaciela Polski — Fryderyka Wielkiego, czy trzeciej konkurentki — Marji Teresy.

Gdy sobie przypomnę jeden fakt, który żywo stanął mi w oczach, gdy oglądałem olbrzymi pałac, zbudowany przez księcia Sułkowskiego, jednego z najlepiej wykształconych i wychowanych magnatów polskich, który mógł, z własnego skarbcza łożąc, wybudować sobie olbrzymi pałac z 250 pokojami, zatem sięgający wielkością Watykanu, że magnat ten majątek swój chciał zostawić Komisji Edukacyjnej, a zatem dążył do krzewienia kultury w Polsce, i gdy wezmę fakt, że ten sam książę Sułkowski wymieniony jest w liście pensjonariuszy Katarzyny II, jako pobierający rocznie 150 dukatów, on, człowiek, który taką sumę mógł przegrać codziennie w karty, to znaczy, że czuł się w obowiązku brania pensji od imperatorowej, jako jej sługa i jej pokorny wielbiciel — to powiem państwu, że ten obrazek prześladował mnie ciągle,

gdy byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem.

Przypomina mi się niekiedy czas początku Legjonów, gdyśmy, chodząc w oberwanej odzieży, chcieli krew przelewać jedynie dla Polski i gdyśmy w najlepszym razie mogli zyskać zato miano warjatów albo jakichś wypędków od rozumu i honoru. Przypomina mi się czas Legjonów, gdy agentury obce były silniejsze, niż wszelkie prawdy polskie, gdy służbę dla obcych stawiano, jako dowód rozumu stanu i mądrość stanu Polski.

Jeżeli więc my, legjoniści, mając przeżycia historyczne, pełni bohaterstwa, wyszliśmy na przelanie krwi dla Polski tylko, i natychmiast przez agentury wszystkich trzech zaborów zostaliśmy upstrzeni i splamieni tak, aby nasze bohaterstwo wyglądało jak najbrzydziej, jak najwstrętniej, aby naszej krwi, która oszczędna być musiała, nie było zanadto, aby nie była zbyt znaczna i zanadto widoczna, bo to przeczyło interesom wszystkich zaborców — to mogło się tak stać, ponieważ znaleźliśmy tuż, obok siebie, w pierwszej chwili naszego życia obok agentur bezmoc naszej ojczyzny.

Przez dwa lata pracy naszej idą krok w krok obok siebie te zjawiska. W następnych dwóch latach państwa, umęczone przez wojnę, szukają ciężarka, aby go na szalę wypadków rzucić i wagę, stojącą dotychczas w równowadze, w tę czy inną stronę przechylić. W poszukiwaniu ciężarków znaleziono także i sprawę polską, i agentury idą natychmiast wszędzie na zwycięstwo nad nami i nad naszą pracą. Zwyciężają one w roku 1917, kładąc nas bezpowrotnie, rzucając nas w więzienia i dając nam w rękę palmę męczeństwa. Gdymy

Polska się zaczyna, zaczyna się polepszenie stosunków. My, legjoniści, nie jesteśmy wcale jedynymi Polakami, którzy za Polskę krew otwarcie przelewali. Idzie za nami całe mnóstwo ludzi, tak, że w tej masie płyniemy i nie możemy brać na siebie przedstawicielstwa tej krwi, którą Polacy na polach bitwy i w szalonych wysiłkach przelali.

Lecz zwycięstwa nad agenturami nie odnieśliśmy wcale. Agentury, jak jakieś przekleństwo, krok w krok idą dalej.

Moi panowie, wziąłem za temat tę prawdę rozmyślnie i nie dla czego innego, jak dla postawienia kropki nad „i” i aby nie było powiedziane, że my musimy menażować prawdy agentury. Polskę, być może, czekają ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów — powtarzam — strzeżcie się agentur! Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym.

W SPRAWIE DEKRETÓW PRASOWYCH.

(wrzesień — październik)

Do Pana Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej
w Warszawie.

Odpowiadając na pismo z dnia 20 września roku bieżącego L. 5109, zawiadamiające, że w dniu 19 września 1927 roku sejm, zgodnie z artykułem 44, ustęp ostatni Konstytucji, powziął uchwałę, uchylającą na podstawie tego przepisu rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 roku o prawie prasowym oraz rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 roku, zamieniające niektóre postanowienia ustaw karnych o rozpowszechnianiu nieprawdliwych wiadomości i o zniewagach (Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej numer 45, pozycje 398 i 399) — mam zaszczyt w porozumieniu z panem ministrem sprawiedliwości zakomunikować, co następuje:

Powyższa uchwała sejmu nie ma podstawy konstytucyjnej, w szczególności nie została powzięta zgodnie z artykułem 44, ustęp ostatni Konstytucji, ponieważ przepis ten nie uprawnia sejmu do uchylania rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej z mocą ustawy w formie uproszczonej, w drodze

zwykłej uchwały sejmowej. Sejm może uchylić rozporządzenie, mające moc ustawy, tylko nowym aktem ustawodawczym z zachowaniem postanowień artykułu 35 Konstytucji, tak samo, jak w wypadkach, określających uprawnienia sejmu w artykule 3, ustęp trzeci i w artykule 49, ustęp drugi i jak to już w Sejmie w zakresie artykułu 44 Konstytucji stosowano, wydając ustawę z dnia 15 grudnia 1926 roku (Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej numer 128, pozycja 755).

Nadmieniam również, że uchylenie ustawy uchwałą jest niedopuszczalne i z tego względu, że na podstawie obowiązujących przepisów prawnych uchwały sejmowe nie mogą być ogłaszane w Dziennikach Ustaw Rzeczypospolitej. W tym stanie prawnym rozporządzenia, wymienione na wstępie, nie utraciły mocy obowiązującej.

Prezes Rady Ministrów

Józef Piłsudski.

Do Pana Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej
w Warszawie.

Potwierdzając odbiór pisma z dnia 26 września 1927 roku L. 5141, komunikuję w porozumieniu z panem ministrem sprawiedliwości, że nie znajduję w treści pisma Pana Marszałka podstawy do zmiany stanowiska, uzasadnionego już poprzednio

w piśmie mojem z dnia 23 września 1927 roku, wyłuszczającym powody, dla których rząd uznaje rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 roku (Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej, numer 45, pozycje 398, 399) za nadal obowiązujące.

Prezes Rady Ministrów

Józef Piłsudski.

LIST DO WDOWY PO Ś. P. GUSTAWIE
DANIŁOWSKIM.

(22 października)

Szanowna Pani!

Jestem głęboko wzruszony zgonem ś. p. Gustawa Daniłowskiego. Pragnę wyrazić cały żal mój i współzucie. Odchodzi od nas bojownik wolności niestrudzony, pisarz, czujący sercem i krwią, żołnierz sprawy ojczystej, człowiek czystości charakteru nieskazitelnej. Ból tej ciężkiej straty, który Panią dotyka, niech umniejszy żaloba, okrywająca myślącą część społeczeństwa i dawnych towarzyszy broni.

Warszawa, 22 października 1927 roku.

Józef Piłsudski.

POŻEGNANIE GENERAŁA ŻELIGOWSKIEGO.

(27 października)

Żegnam cię, panie generale, w imieniu rządu i armji. Życzę ci, byś na tej nowej dla się drodze życia zaznał spokoju i ukojenia po wzruszeniach, jakie przeżywałeś razem z nami. Nie chcę tu podnosić twojej pracy i twych zasług w poszczególnych wypadkach, bo wszystko to jest zapisane w historii. Podkreślam jednak, że zawsze, zarówno na stanowisku Naczelnika Państwa, jak i Naczelnego Wodza, ceniłem wysoko twoje zalety — szczerłość i uczciwość żołnierską. Honor służby, który cechował cię, cenię wyżej ponad honor osobisty, bo ten honor jest tak niezwykle trudny do utrzymania, że wobec niego wszystkie prawdy błędną, błędnie wobec niego nawet honor osobisty.

We wspomnieniach moich zostałeś na zawsze, jako rycerska prawda służby honoru, jako prawda człowieka, który włożył czysty mundur i takim go nosi. Zarówno w służbie państwowej, jak i w wojsku, umiałeś, generale, zyskać szacunek nie tylko dla siebie, ale i dla służby. Należysz do tych postaci, dla których w historii szacunek nie zaginie. Dziś, żegnając cię, w imieniu rządu i wojska, chcę ci powiedzieć, że jesteś i będziesz niezapomnianym wśród nas — swoich przyjaciół.

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA
„ROKU 1920“.

(Pierwsze dni listopada).

Kiedym trzy lata temu pisał swoją książkę, nieraz przy pisaniu zastanawiałem się nad specjalną jej konstrukcją, która mnie ustawicznie kępowała. Związałem się bowiem względnie niewielką broszurką pana Tuchaczewskiego, któremu w ten sposób pozostawiłem inicjatywę w konstrukcji swojej własnej pracy. Gdy teraz już minęły trzy lata, ten zasadniczy błąd — na który rozmyślnie zresztą szedłem — wywołuje we mnie jakgdyby coś w rodzaju żalu. Z powodu bowiem przyjęcia tej właśnie konstrukcji zrobiłem ze swojej książki przyczynek jedynie historyczny, a nie właściwą historję. Opuszczałem więc całe mnóstwo i swoich własnych przeżyć, i czynności dowodzonego przeze mnie wojska, i mnóstwo danych, związanych z przeżyciami historycznymi mego narodu, które nieraz stanowiły decydujące motywy mojego postępowania, jako Naczelnego Wodza, dlatego jedynie, by nie zadać kłamu konstrukcji małej broszury, związanej z przeżyciami i państwowymi, i wojennymi nie naszej strony, lecz strony nieprzyjacielskiej. Pomimo jednak żalu, który odczuwam, muszę się pogodzić z faktem, tak, jak on się stał w rzeczywistości życia.

Przy drugim wydaniu nie jestem w stanie osobiście naprawić tego błędu, tak, jak nieraz marzyłem, że to kiedyś zrobię. Zbyt zajęty jestem bowiem sprawami państwowymi i nie zdołałbym nigdy przepracować ogromnego materiału, który z taką pracą jest związany. Nie potrafiłem nawet wymusić na sobie przestudjowania zwiększonego w ilości materiału historycznego ściśle wojennego, który od czasu wydania mojej książki w druku się ukazał. Zastąpił mnie w tej właśnie części pracy historycznej przyjaciel mój, generał Stachiewicz, któremu niezmiernie wdzięczny jestem, że zechciał się tego podjąć, dając mi swoją współpracę równie chętnie, jak dawał ją przy pierwszym wydaniu, jako szef naszego Wojskowego Biura Historycznego. Zestawienia literatury historycznej, uczynione przez niego i jego współpracowników, znajdzie czytelnik w przypisach. Naturalnie, ten system i ta konstrukcja szkodzić musi samej książce, gdyż nie jest to przepracowanie podane w tekście i związane organicznie z samą książką. Lecz innego wyjścia wraz z panem generałem Stachiewiczem nie znalazłem.

Materiał historyczny, który był do przepracowania, wyrósł przez tych kilka lat do znacznych rozmiarów i wyświetlił dość wielką ilość zjawisk, które przy pisaniu książki mogły być czy wątpliwymi, czy niejasnymi. Niestety, nasz ówczesny nieprzyjaciel prześcignął nas w tej sprawie bardzo znacznie. Nietylko bowiem praca historyczna rosyjska prześciga nas pod względem ilości roboty, w historję włożonej, ale różni się także od naszych prac swoją jakością. Już przy wstępie, napisanym przeze mnie w roku 1924, zakończyłem swoją przed-

mowę słowami: „Kończę wstęp wyrażeniem żalu, że niektóre nasze publikacje historyczne stoją, niestety, tak nisko, że ani dobrem źródłem być nie mogą, ani zasługiwać nie są w stanie na porównanie z pracą w tej dziedzinie naszych byłych przeciwników, a często, zbyt często, robią wrażenie prac żaka szkolnego, który, wiedząc, że zawinił, błagą i nadrabianiem miny oszukać się stara surowego nauczyciela — historję“. Nie mógłbym cofnąć swego określenia, niestety, i teraz, gdyż na publikacjach „historycznych“ naszych nie radziłbym nikomu z poważnych historyków opierać swoje sądy, ani też wyrabiać swe zdanie, nawet, gdy chodzi o publikacje oficjalne.

Przeglądając jedną z książek, wydanych w Rosji, a mianowicie — książkę pana Witolda Putny, który podczas operacji warszawskiej dowodził 27-mą dywizją sowiecką, należącą do 16-ej armji i zwycięską przy szturmie na Radzymin, znalazłem bardzo ciekawy i rzadki w historii wojny ustęp, opisujący fakt zerwania istotnej łączności wszystkich dywizyj tejże 16-ej armji z dowódcą armji już dnia 18 sierpnia. Zerwanie tej łączności nastąpiło w tak gruntowny sposób, iż od dnia tego aż do wieczora dnia 25 sierpnia dowództwo 16-ej armji, odchodząc ku wschodowi aż za Wołkowysk, nie dowodziło właściwie swojemi wojskami, gdyż przez cały ten czas moje prawo-flankowe dywizje — 1-sza z kawalerją, a potem i 21-sza (górska) — stały i poruszały się pomiędzy dowództwem armji 16-ej a cofającemi się w bezładzie dywizjami tejże 16-ej armji ku północo-wschodowi w stronę Białegostoku. Nie przeszkodziło to jednak, jak stwierdza pan Witold Putna, dowódcy i sztabowi 16-ej armji wy-

dawać codzienne rozkazy do każdej z dywizyj przez cały ten czas, pomimo, iż ani raporty od dywizyj do armji, ani rozkazy od armji do dywizyj nie dochodziły nigdy. To znaczy, iż historja istotna i realna szła swoją drogą realności zjawisk, swoją zaś zupełnie odrębną drogą bieгло fikcyjne rozkazodawstwo, zapisane w dokumentach.

Polskie publikacje historyczne oficjalne, specjalnie praca nad bitwą warszawską szefa do niedawna naszego Biura Historycznego, są pisane w ten właśnie sposób, jakgdyby kto chciał opisać działanie 16-ej armji na podstawie dokumentów dowództwa tejże armji, wtedy, gdy pisało ono rozkazy bez związku z wojskami i realnością zjawisk wojennych, gdy 16-ta armja była odłączona i żadnych stosunków z armją swoją, to jest żołnierzami i dowódcami dywizyj, nie miała. Ten oryginalny sposób pisania historii bez związku z realnością zjawisk wojennych był, niestety, jak dotąd, charakterystyką literatury historycznej polskiej. Muszę więc, niestety, żał swój, który w przedmowie do *Roku 1920* wyrażałem, — wyrażać i teraz.

PRZEMÓWIENIE W AMBASADZIE
FRANCUSKIEJ.

(19 listopada)

Panie ambasadorze, panie marszałku!

Żywo poruszony tak serdecznymi słowami, z jakimi panowie zwrócili się do mnie, pragnę podziękować panom gorąco i powiedzieć panu, panie marszałku, raz jeszcze, jak głęboko odczuwam wyróżnienie ze strony Jego Ekscelencji Pana Prezydenta Republiki, który w celu nadania mi najwyższego francuskiego odznaczenia wojskowego polecił panu, panie marszałku, doręczyć mi jego insygnja.

Dumny z tego, że będę nosił medal wojskowy, który symbolizuje w mych oczach nieśmiertelną chwałę armji francuskiej, witam w pana osobie jednego z najznakomitszych i najbardziej bohater-skich jej wodzów, przypominając tak czynną rolę, jaką pan odegrał w charakterze generalissimusa na jednym z najważniejszych frontów i przyczynił się do zwycięskiego końca wojny światowej.

W imieniu armji polskiej wyrażam naszą szczerą radość, że widzimy pana pośród nas i że możemy okazać panu całą przyjaźń i te wszystkie uczucia braterskie, jakie żywimy względem pełnej chwały armji sprzymierzonej, której jest pan tak godnym i tak znakomitym przedstawicielem.

Wysokie zalety, jakie wyróżniają tę armję, są zarazem zaletami całego narodu francuskiego. Podobnie węzły tak serdeczne i tak przyjacielskie, jakie istnieją pomiędzy armją francuską i polską, łączą również całe nasze kraje.

Wznosząc puhar za zdrowie pana, panie ambasadorze, pana, który reprezentuje tutaj Francję i przyjmuje nas z tak niezwykłą gościnnością, oraz za zdrowie pana, panie marszałku, wyrażam me bardzo gorące życzenia chwały i szczęścia dla waszej wielkiej ojczyzny.

O STOSUNKACH POLSKO-LITEWSKICH I OPINJA O WALDEMARASIE.

(30 listopada)

Nota nasza, rozesłana do wszystkich państw, gdzie jesteśmy reprezentowani, zwraca się do tych państw z prośbą o pomoc w pracy naszej nad zniesieniem stanu wojny na naszych granicach.

Stan wojny, utrzymywany w stosunku do nas przez Litwę, jest jedynym istniejącym w chwili obecnej na świecie; jest anomalją i stanem chorobliwym tego zakątka kuli ziemskiej.

Granice nasze z Litwą są z tego powodu całkiem niepodobne do innych na świecie. Stanowią one tu przedmiot stałej trwogi i niepokoju, gdyż tu żadna praca normalnie prowadzona być nie może, gdzie, jak dawniej na dzikich stepach naszych kreśłów, praca idzie jedynie pod osłoną broni, gdzie brat nie może latami widzieć brata, matka umierająca nie może pożegnać na łożu śmierci dzieci, gdzie nie można mieć żadnego, drobnego nawet interesu, gdzie wieść potrzebna czy pilna od swoich bliskich dochodzi, pomimo małej przestrzeni, dopiero po tygodniach czy miesiącach.

My, Polacy, pomimo to wszystko, utrzymywaliśmy stale stan pokoju, spodziewając się wytrwać i spokojnem zachowaniem się przyzwyczaić

przeciwników do pokoju, ustalić ten stan i przetrwać w nim, szukając lekarstwa na błędy stanu wojny w czasie. Gdy nie z naszego powodu i nie z naszego zażalenia sprawa ta przeszła do Ligi Narodów, stan rządu pana Waldemarasa stał się nerwowym i podnieconym tak dalece, że rozpoczęto zarządzenia mobilizacyjne. Gdym się o tem dowiedział, spędziłem noc całą na szukaniu decyzji. Nie mogłem nie widzieć skutków opóźnienia naszej mobilizacji. Mimo, iż wiedziałem, że w prędkim czasie zwycięstwo będzie moje, drżeć musiałem, że groza wojny wisi nad temi częściami kraju, które staną w pożodze, gdy nie zdążę na czas biegnąć tam z pomocą. Rozum i logika wojny każe śpieszyć z odpowiedzią na mobilizację przyspieszoną pracą, by się nie dać wyprzedzić przeciwnikowi, — każda godzina bowiem opóźnienia grozi gdzieś komuś śmiercią czy ruiną bytu. Przy stanie wojny, który nam rząd litewski narzuca od tak dawna, miałem przemyślaną tę chwilę, gdy wypadnie mi decydować o naszej odpowiedzi.

Tym razem sprawa stanu wojny oddana jest na forum międzynarodowe, gdzie prawa pokoju, a nie wojny, są prawdą wyznawaną.

Zdecydowałem pójść za wyższą racją stanu i za wyższą logiką i już nazajutrz zadeklarowałem panu ambasadorowi Francji, że zdecydowałem nie mobilizować, czekając decyzji Rady Ligi Narodów w odpowiedzi na naszą notę.

Uważam za swój obowiązek wyjaśnić te względy, które sytuację czyniły najcięższą, gdym ważył motywy, które przemogły prostą decyzję o mobilizacji.

Prezes rządu litewskiego, pan Waldemaras, wzbudza we mnie obawę z powodu stanu swego umysłu; jest, zdaniem mojem, niepo czytelnym. W wymuszonych na nim pertraktacjach z nami uznał, że jest z nami w stanie wojny i żądał, by Polska za zmienienie stanu wojny czemkolwiek mu zapłaciła, tak, jakgdybyśmy tę wojnę już przegrali. Powiedzieć można, że jest tylko bezczelny.

Teraz, w jednej ze skarg na nas, dowodzi, że Piłsudski swoim wyjazdem do Wilna, skąd pochodzi i ma swą rodzinę, zagraża bytowi państwa litewskiego. Bardzo wdzięczny byłbym za ten komplement, świadczący o potędze mojej osoby, lecz każdy przyzna, że to argument, zaczerpnięty z bogactw rozumu ludzi, przebywających w szpitalu warjatów. Oto, dalej jeden z argumentów jednej z not dyplomatycznych tego pana — za stan pokoju Polska ma zapłacić pomocą niedołężnej gospodarce tego pana w Kłajpedzie, dając gwarancję wywozu pewnego quantum swych towarów przez Kłajpedę. Lecz wobec tego, że większość towarów będzie pochodzić z Wileńszczyzny, pan Waldemaras oświadcza, że właściwie prawnie należą one do Litwy, więc można je skonfiskować po drodze, nim przyjdą do Kłajpedy, której byt ma być podtrzymany wywozem z Polski. Gdy dodam, że ten superpatryjota litewski był długi czas Rosjaninem, potem Niemcem i wreszcie Litwinem, to każdy mi przyzna, że mamy do czynienia ze zjawiskiem niemal szpitalnem.

Gdy więc pomyślałem, że w stanie nerwowego podniecenia mogą być czynione niepo czytalne kroki, które łatwo wywołać mogą decyzje, prowokujące gwałtem Polskę, z wielkim ciężarem na duszy

ulegałem wyższej racji stanu i wyższej nad wojnę i jej prawdami prawdzie pokoju. Uważam więc w obecnej chwili za swój obowiązek zwrócić się z apelem do swych współobywateli, by ze spokojem, umiarem i z należytą powagą zechcieli zachować się wobec groźby, do nas skierowanej, gdy miecz się znajduje w ręku szaleńca. Proszę wszystkich o spokój i spokojny stosunek do wieści i plotek, które w takich czasach krążą.

A przy zachowaniu takiego spokoju, ufam, że po przejściu kryzysu, w co chcę wierzyć, będziemy dumni, iż wbrew oczekiwaniom wszystkich wrogów naszych wykażemy tę prawdę siły, którą daje opanowanie siebie, tak potrzebne we wszystkich ciężkich chwilach.

Wreszcie jeszcze jedno. Przy okrutnych prześladowaniach, jakie teraz panują na Litwie w stosunku do przeciwników rządu, wielu z Litwinów szuka ucieczki i przytułku na naszej ziemi. Jeżeli żałować można, że dzięki stanowi wojny nie mogliśmy współżyć ze swymi, tak drogimi sercu wielu współrodaków, sąsiadami, to gdy wreszcie z powodu nieszcześć w ich kraju przybyło do nas liczne ich grono, wzywam wszystkich do okazania im gościnności i pomocy w ich biedzie.

Polska zna z tak niedawnej przeszłości, co znaczy dola emigranta, niepewnego swej przyszłości i przebywającego w bólu tęsknoty za swym zagonem. Najpiękniejsze porywy naszej poezji, które duszę naszą rzeźwiły, powstały z pracy takich emigrantów. Niech nie zaznają, gdy są u nas, gorzkiego chleba pogardy i niechęci.

PRZEMÓWIENIA W GENEWIE.

(10 grudnia)

7 grudnia 1927 roku Marszałek Piłsudski udał się do Genewy na sesję Rady Ligi Narodów, by osobiście oświadczyć, iż rząd polski „ani nie zamierza bynajmniej uzyskiwać jakichś nowych gwarancyj co do Wilna, ani też żądać od Waldemarasa nawiązania natychmiast stosunków dyplomatycznych, natomiast nalega energicznie na to, ażeby stan wojny został zniesiony jak najprędzej, oraz ażeby Rada Ligi złożyła domód, iż Liga Narodów jest zdolna istotnie wypełniać swoje zadanie pacyfikacji”.

Na dworcu w Warszawie żegnali odjeżdżającego Marszałka wszyscy ministrowie z wicepremierem Bartlem na czele, generalicja, korpus dyplomatyczny, attachés wojskowi i szereg innych osobistości. „W doskonałym humorze — czytamy w „Głosie Prawdy” — Marszałek niemal do odjazdu pociągu prowadził ożywioną rozmowę z ambasadorem Laroché, posłem niemieckim Rauscherem i posłem fińskim Procope. Na parę chwil przed ruszeniem pociągu Marszałek wsiał do wagonu i stanął w otwartych drzwiach. Głośne, ze wszystkich ust wyrzucone: „...Niech żyje Marszałek Piłsudski!” — rozległo się po całym peronie. Ktoś z obecnych dorzucił: „...i niech rychło wraca!” W odpowiedzi na to Marszałek powiedział:

— Bardzo prędko powrócę, tego się nie obawiajcie!..

Poczem wesołym tonem rozmariał jeszcze z posłami i ministrami i na jedno z wielu rzuconych pytań odpowiedział:

— Jadę przez Drezno, gdzie zatrzymam się tylko sześć minut, w Genewie zabawię prawdopodobnie dwa dni. Wracać będę na Wiedeń, gdzie dają dobrą kawę i jest najlepsze pieczywo.

— Będę spał dwie noce, — zwracając się w stronę rządu, powiedział Marszałek, — bez was, bez dyplomacji i bez pracy, — a potem, zwracając się do dyplomatów, powtórzył te słowa po francusku. Wszyscy byli szczerze roześmiani.

Sygnal... Pociąg rusza... Marszałek zdejmuje kapelusz i żegna się z obecnymi na dworcu”.

Do Genewy przybył Marszałek w południe 9 grudnia i bezpośrednio po przyjeździe odbył kilka konferencji (z Chamberlainem, Briandem, Stresemannem, tudzież z sprawozdawcą konfliktu polsko-literoskiego Beelaertsem), podkreślając konieczność porozumienia szybkiej i jasnej decyzji.

W dniu 10 grudnia odbyło się poufne posiedzenie Rady Ligi Narodów, w którym wziął udział i Marszałek Piłsudski. Początkowo, według relacji „Ilustrowanego Kurjera Codziennego”, poszczególni mówcy zastanawiali się nad skargami literoskimi, dotyczącymi mniejszości narodowych. Po czterdziestu minutach zabrał głos Marszałek Piłsudski, oświadczając kategorycznie:

— Proszę panów, ja tu przyjechałem, aby usłyszeć słowo „pokój”, a tymczasem słyszę rozważania, może bardzo ważne, ale mnie w tej chwili nic a nic nie obchodzące. Te szczegóły mnie tu nie

sprowadziły, ja chcę wiedzieć, czy jest pokój i czy Liga zdolna jest doń się przyczynić?

Tu zwrócił się Marszałek prosto do Waldemara, mówiąc:

— Panie Waldemaras, ja chcę wiedzieć i usłyszeć, czego pan chce, i czy jest pokój, czy wojna?

Nastąpiła chwila naprężonego milczenia, poczem Waldemaras, poruszony, wstrząśnięty i zaskoczony tem lapidarnem pytaniem, odezwał się cichym głosem:

— *Ja chcę pokoju. Jest pokój.*

— W takim razie — *odpowiedział Marszałek* — nie mam nic do dodania. Rola moja już spełniona. Dziękuję panom. Jest pokój, każę w Polsce bić w dzwony na Te Deum, że jest pokój z Litwą. Wracam dziś wieczór do kraju.

Słowa te wywarły olbrzymie wrażenie, moment był wysoce doniosły. Zaraz potem zakończono też obrady.

Tegoż dnia o godzinie 9.30 wieczorem odbyło się otwarte posiedzenie Rady Ligi Narodów, na którym uznano, że stan wojny między Polską a Litwą jest zniesiony i polecono rządowi polskiemu i litewskiemu podjęcie bezpośrednich rokowań celem roznowienia stosunków pokojowych. Opuszczając salę posiedzeń, Marszałek Piłsudski, na prośbę dziennikarzy polskich o parę słów dla prasy polskiej, oświadczył:

— Trzeba było sprawę załatwić. Nagliłem, przyspieszałem, tłumaczyłem, że przeciągać nie można. Dlatego teraz w nocy zwołałem posiedzenie.

A na pytanie dziennikarzy, czy jest zadowolony z przyjazdu do Genewy, odparł:

— Pewnie, przecież sprawa była ważna...

Przed wyjazdem z Genewy nadmienił Marszałek w rozmowie z korespondentem francuskiego dziennika „Matin“:

— Nie przybyłem tutaj dla studjów społeczno-politycznych. Chciałem usłyszeć wyraz „pokój“, gdyż niezawodnie mieliśmy do wyboru wojnę lub pokój. Pokój ten był rzeczą, której pragnąłem z całym siłą, całą duszą. Powiedziałem też: „panowie, róbcie pokój, a głównie nie traćcie czasu, gdyż mi bardzo śpieszno“. A było mi nietylko śpieszno wrócić do Warszawy, lecz śpieszyłem się, gdyż istniejący stan rzeczy nie mógł dalej trwać. Cała robota została doskonale przygotowana przez ministra spraw zagranicznych, Zaleskiego. Wszystko poszło doskonale. Muszę również oświadczyć, że Francja była mi bardzo pomocną, jak zresztą tego od niej oczekiwałem. Powinniśmy wszyscy gorąco podziękować Briandowi.

W drodze powrotnej do kraju zatrzymał się Marszałek Piłsudski na kilka godzin w Wiedniu. Na pytanie redaktora „Wiener Allgemeine Zeitung“, dlaczego odmarwia dziennikarzom wywiadu, odrzekł, że sprawy prasowe pozostawia ministrowi Zaleskiemu.

— Ja sam nie udzieliłem w Genewie ani jednego wywiadu.

Na pytanie, dlaczego mało czasu poświęca tak pięknemu miastu, jak Wiedeń, Marszałek odpowiedział:

— Mój czas nie pozwala mi gonić za przyjemnościami. W Warszawie oczekują z naprężeniem mego sprawozdania o Genewie.

Na pytanie, czy był już w Wiedniu, Marszałek odpowiedział:

— Byłem dość często, ostatnio w roku 1916. Jestem Wiedniem zachwycony.

Dziennikarze wspomnieli następnie o wystawieniu w Wiedniu „Halki”, a w odpowiedzi wyraził Marszałek swoją radość, że muzyka polska znalazła dostęp do Wiednia.

Na ostatnie pytanie dziennikarzy, czy jest zadowolony z wyników, osiągniętych w Genewie, Marszałek odpowiedział:

— Tak, w zupełności.

1 9 2 8

O ORGANIZACJĘ WŁADZ PAŃSTWOWYCH.
(13 marca).

Nie poszedłem drogą oktrojowania, a więc łamania Konstytucji i legalizmu. Musi się w społeczeństwie odbyć łamanie o ustrój. Poszczególne elementy władzy w państwie muszą odzyskać swe prawa i atrybuty. Najpierw należy rozszerzyć władzę prezydenta. Jego rola obecnie jest zbyt nikła. Nie może nic zrobić bez kontrasygnaty. Do czego jest na każdym akcie potrzebna kontrasygnata? Rząd powinien mieć możność rządzenia krajem, to jest jego zadanie. Sejm, jako całość, jako instytucja, gra rolę w państwie, ale w żadnym razie nie poszczególny poseł. Jeżeli prezydent nic jest na wewnątrz państwa przedstawicielem narodu, to jakim sposobem sobie poseł ma prawo ten przywilej brać? Wskutek niechlujnego opracowania Konstytucja stała się podobna do rękawiczki. Metoda pracy kompromituje instytucję sejmu. 5 do 10 posłów może przeszkodzić i zahamować pracę. Poza tem ucieka się od sejmu przy decydowaniu najważniejszych spraw, w których główną rolę odgrywają konwentykle. Wskutek niemożliwego regulaminu metodyka pracy stała się gorszą od Konstytucji. Musicie pójść na rewizję Konstytucji, ale to praca bardzo długa, gdyż tam jest tyle zagad-

nień i spraw, że szybko ich wyczerpać niepodobna. Natomiast narazie najważniejszy jest regulamin i ten musicie przepracować. Jedną z ważniejszych rzeczy jest ta, by porządek dzienny sejmu był razem z rządem układany. Tymczasem sejm, jako instytucja, się zatracą. Sejm nie jest od tego, by zamęczał rząd. Zresztą, o ile sejm nie będzie chciał z rządem współpracować, to będzie rozpędzony. Skoro idę na chęć współpracy z sejmem, to oczekuję ze strony sejmu i metody współpracy. Tymczasem poseł stał się wypędkiem od odpowiedzialności, ale i wypędkiem od honoru. Ja nie idę na skasowanie sejmu, chcę uszanować obecne formy państwa, ale również chcę ochronić prezydenta od wstydu prezydentowania, to też jeszcze raz idę na próbę współpracy z sejmem. Trzeba na tyle przepracować regulamin i ustalić metodę pracy, by uniknąć szukania okazji do zbierania się, a pracować w sejmie tylko wtedy, gdy jest nad czem. Na tem polegałaby na czas pewien poprawa stosunków w sejmie. Nie należy zapominać, że o ile dawniej liberum veto przysługiwało jednostce, to obecnie przysługuje kolegjalnej liczbie piętnastu posłów. Przez przebudowane urządzenia sejmowe uniknięto w Polsce rewolucji, ale zato zgubiono państwo, w Anglii zaś naodwrot, Cromwell rewolucją obalił przerost parlamentu, ale uratował przez to państwo. Polska powinna mieć ustrój parlamentarny, nie może być na świecie wyjątkiem, jak Włochy lub Rosja. Niekoniecznie jednak musi sejm czy parlament przeszkadzać rządowi rządzić i płać mu stale złe figle, bo nie nato jest państwu potrzebny...

Ważną rzecz stanowi kwestja pełnomocnictw, szczególnie, gdy chodzi o nasze traktaty. Większość naszych spraw handlowych dotyczy stosunków z Rosją i Niemcami, a cechą naszego handlu z temi dwoma państwami — to szmugiel. Z Niemcami nie dojdziemy do porozumienia przed nowemi tam wyborami, z Rosją zaś będzie stale istniało małe prowizorium. Ale rząd, skrzępowany brakiem pełnomocnictw, nie może prowadzić owocnie pertraktacji. Pełnomocnictwa są również potrzebne do ratyfikacji różnych małych, drobnych traktatów, których nieratyfikowanie we właściwym czasie sprawia, że stale jesteśmy nie w porządku do innych państw. Wzmian za otrzymanie pełnomocnictw, ja daję inną obietnicę, a mianowicie, że nie lubię dekretów i z dekretami śpieszyć się nie będę. Zresztą uważam, że dekrety są jedynie racjonalne, gdy chodzi o unifikację kodyfikacji, zacierającej różnice dawnych zaborów. W pełnomocnictwach potrzebnych mogę zrobić w stosunku do istniejących pewne ograniczenia, ale powinny być też zrobione pewne dodatki, dotyczące spraw traktatowych i celnych. Budżet i pełnomocnictwa — to są sprawy konieczne, inne już bardziej od waszej pracy i woli zależą.

OTWARCIE SEJMU.

(27 marca).

Na salę wchodzi pan Prezes Rady Ministrów Marszałek Piłsudski. Z foteli posłów komunistycznych padają okrzyki, zwrócone przeciw rządowi. Inni posłowie odpowiadają: „Ile pieniędzy panowie dostali z Moskwy za te okrzyki?” Jeden z posłów komunistycznych woła: „A ile pieniędzy dostała jedyńka na wybory?”

Prezes Rady Ministrów:

— Panowie będą wyrzuceni z sali! (Okrzyki ponawiają się. Głos: „Macie na sumieniu oszustwa wyborcze!”).

Prezes Rady Ministrów:

— Panowie będą wyrzuceni z sali! (Po chwili, gdy okrzyki się powtarzają). Panowie będą wyrzuceni z sali!... (Wchodzi policja od strony foteli, zajętych przez komunistów, i usunę kilku posłów. Wrzawa. Poseł Wyrzykowski: „Policja na sali?” Długotrwale oklaski na sali i galerji. Poseł Woźnicki: „Ładny początek!” Poseł Wyrzykowski: „Hańba!”).

Prezes Rady Ministrów:

— Uprzedzam panów, że ja nie będę urzędował przy krzykach i wtedy sejmu nie otworzę. (Poseł Wyrzykowski: „Urzędować, ale nie z policją!”)

Poseł Polakiewicz: „Urzęduje nie z policją, tylko z obywatelami!”). Cicho tam, proszę nie przerywać. W imieniu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej!

Po raz trzeci od chwili odzyskania wolności zbiera się Sejm Rzeczypospolitej, a po raz drugi jej Senat. Pierwszy Sejm zaczynał obradować wtedy, gdy losy naszego państwa były jeszcze bardzo niepewne, gdy o mury tego gmachu biły echa wojny, prowadzonej o nasze granice, i odgłosy krwawych zmagania się naszych żołnierzy o prawo Polski do samodzielnego życia. U kolebki drugiego Sejmu stała blada jeszcze jutrzienka pokoju, ciężka troska o stan skarbu państwa, a chmury coraz to czarniejsze i coraz bardziej groźne zbierały się wówczas nad naszym życiem gospodarczym.

Panowie macie rozpocząć swą pracę w momencie wielokroć szczęśliwszym. Pierwszy Sejm obradował podczas wojny, drugi rozpoczynał swą działalność wtedy, gdy nasza praca pokojowa była dopiero w zarodku. Dziś bardzo znacznie i skutecznie praca ta została naprzód posunięta.

Przez ogólną opinię została należycie oceniona nasza gorliwa współpraca w utrwaleniu i wzmocnieniu dzieła powszechnego pokoju. Przyjaźń specjalna, która łączy Polskę z Francją i Rumunją, daje nam tem większą pewność w naszej pracy pokojowej, że nikomu ona nie zagraża, a daje ręką mię dłuższej, wspólnej pracy w zawiłych i ciężkich zagadnieniach.

Rząd nasz za swe specjalne zadanie postanowił sobie biec z wysiłkiem pokojowego i zgodnego współzycia tam, gdzie o to ułożenie stosunków najtrudniej, gdyż prawem było dotąd, że najwięcej

jest sporów nie gdzieindziej, jak między sąsiadami. Utrwalenie się stosunków międzynarodowych, zniknięcie tak jeszcze do niedawna usprawiedliwionych obaw o stan skarbu państwa, usunięcie grozy, ciążyącej jeszcze przed dwoma laty nad naszym życiem gospodarczym, stwarzają pomyślne warunki dla rozważnej i spokojnej pracy panów. Tem łatwiej będzie więc panom zużyć swe siły dla podniesienia moralnej i materialnej kultury, tak silnie u nas zaniedbanej, nie z naszej, lecz z obcej winy.

Życzę panom, byście czas umieli wyzyskać dla poprawienia powszechnie odczuwanych wad naszego ustroju państwowego, bez którego siły z żadnymi trudnościami uporać się nie będziemy w stanie.

Życzę panom, byście z najlepszą wolą, licząc się z realnymi potrzebami życia, szukali rozwiązania wielkiego zagadnienia harmonijnego współdziałania władz państwa i to zarówno przez położenie nowych podstaw prawnych w tej dziedzinie, jak i przez zdrowe obyczaje codziennego życia. Wreszcie życzę panom w waszej pracy owocności, którą osiągnąć można, jak w każdej zresztą ludzkiej działalności, tylko wtedy, gdy wysiłki swoje i uwagę kieruje się na rzeczy istotne.

Podpisane przez Pana Prezydenta.

W imieniu Pana Prezydenta ogłaszam Sejm za otwarty.

Według ustanowienia Pana Prezydenta porządek dzienny dzisiejszego posiedzenia ma być:

- 1) przeprowadzenie ślubowania posłów,
- 2) wybór Marszałka Sejmu.

Według woli i mniemania Pana Prezydenta przewodniczyć zebraniu będzie pan poseł Bojko. Proszę pana posła o zajęcie miejsca.

Jako prezes gabinetu zaświadczam, że pan poseł Bojko złożył i podpisał ślubowanie poselskie na ręce Pana Prezydenta w mojej obecności dzisiaj na Zamku.

O PRZYCZYNACH REZYGNACJI ZE STANOWISKA SZEFA RZĄDU.

(30 czerwca).

„Marszałek — pisze „Głos Prawdy“ — pełen swego kapitalnego humoru, tryskający dorocipem i salwami śmiechu, gestykulując żywo i z olbrzymią ekspresją, pełen młodzieńczej wernoy — jest czarującym. Przedstawiciela prasy przyjmuje srogo. Co za radość bije od tej srogości.

— Chce pan wywiadu? Oho!... to nie taka łatwa sprawa!...

„Niestety, wiemy, że niełatwa. Ostatni wywiad uzyskał „Głos Prawdy“ od Marszałka 23 grudnia 1926 roku w sprawie Litwy. Wówczas to rozpoczął się szal Waldemarasa. Marszałek ostrzegał. „Głos Prawdy“ drukował to ostrzeżenie w numerze świątecznym dnia 24 grudnia 1926 roku. Od tego czasu Marszałek nie wypomadał się publicznie. Jak będzie teraz?

Marszałek przygląda się osobie „przedstawiciela prasy“ przymrużonemi oczyma. Z pod gęstych rzęs błyszczy ogień figlarny. Długą chwilę milczy i uśmiecha się pod wąsem sumiastym.

Wreszcie energicznym gestem przerywa milczenie.

-- Dobrze, dam wywiad. Ale...

Od takich „ale“ bieleje włos — możnaby powiedzieć, trawestując słowa rewolucyjnej pieśni. Jednak obecne „ale“ okazuje się niegroźne.

— Po pierwsze — wszystko, co powiem, musi być wydrukowane bez żadnych zmian i opuszczeń. Wolno wam pisać komentarze, jakie chcecie, ale zmieniać moich słów nie wolno. To warunek pierwszy.

— A drugi? — pytamy pośpiesznie.

— Drugi jest następujący. Widzicie, ja umyśliłem sobie uczynić mały luksusik, na który termin już mi zapadł. Na ten luksusik muszę koniecznie zapracować specjalnie pieniądze. Otóż postanowiłem, że pracą tą będzie wywiad dla prasy.

Oczywiście, z radością przyjmujemy te srogie warunki Marszałka. Ale duch niedyskrecji unosi się w powietrzu. Ryzykujemy tedy pytanie:

— Czy mógłby Pan Marszałek zdradzić tajemnicę tego luksusiku?

— Oho!... No, ale dobrze. Nie wiem tylko, czy pan będzie zadowolony z tego, co powiem, ale... niech będzie!... Już przed trzema laty spotkałem dwoje istot, które mnie niezmiernie rozbawiły. Dążyły one do bardzo skromnego, lecz zupełnie wspólnego im celu. Celu, który, sądziłem, rozmawiając z nimi, jest dla nich i miłym, i nawet jakgdyby czyniącym życie bardziej radosnem. Na drodze do realizacji wspólnych usiłowań stały jedynie słowa i pojęcia, inaczej formułowane. Ile razy byłem przy rozmowach tych istot, tyle razy pękałem ze śmiechu, gdyż oboje zaczynali rozmowę tak, że prowadziła ona do kłótni, nigdy do zgody. Wobec tego, że w Polsce spotykam to zjawisko bardzo często, wzięłem ich sobie za typ, za coś, co jest zupeł-

nie stylowem dla stosunków polskich. I dlatego rok rocznie parę razy sprawdzałem, jakżeż ta wspólna praca życiowa tych istot wygląda. Przy jednym takim sprawdzaniu usłyszałem najbardziej okrutne odezwanie się jej do niego: „Jeżeli pan znowu zaczyna w ten sposób, jak zwykle, to ja z panem przestaję mówić i nigdy widzieć się nie będę”. Dlatego też, gdy w tym roku przy sprawdzaniu dowiedziałem się, że te istoty, w jakiś niewytłumaczony dla mnie sposób, podały sobie ręce do zgody i zdecydowały się, w daleko gorszych, niż dawniej, warunkach, na wspólną życiową pracę, postanowiłem sobie zarobić zupełnie specjalnie, poza budżetem domowym, parę tysięcy złotych, aby nieco ulżyć tym istotom i choć trochę zmienić niesprzyjające im być może warunki. Nazwisk, naturalnie, nie wymienię, gdyż nie chcę przeszkadzać tak zbożnemu porozumieniu przez „gazeciarzy”, a może i interpelację w sejmie.

Jakże bezosobisty jest Komendant nawet w swoich luksusikach. Jakże mielkie ma serce ten mocny, groźny dla przeciwników człowiek. Tem sercem zdobył wolność dla Polski i Polskę dla siebie. Tem sercem uczy ją, piastuje, strofuje i gromi. Gniewa się czasem, bo kocha; gryzie, ale sercem gryzie.

Lecz zmierzamy do tematu: dlaczego porzucił Marszałek urząd szefa gabinetu?

Chwila zadumy, papieros nieodłączny, choć przez lekarzy zniechęcany, i Marszałek rozpoczyna swoje energiczne, a zarazem i spokojne wyjaśnienia:

— Jeżeli ktokolwiek gdziekolwiek myśli czy sądzi, iż przyczyną mego podania się do dymisji ze

stanowiska szefa gabinetu polskiego był stan mego zdrowia, — grubo się myli. Panowie lekarze, których zwołałem, na moje pytanie, postawione zupełnie oficjalnie i brzmiało:

— Czy Marszałek Piłsudski jest zdolny do pełnienia tych obowiązków, które dotąd pełnił, czy też nie? —

jednogodnie odpowiedzieli, że o zdolności nie mogą w żaden sposób wątpić i nie mogą mi nie powiedzieć, iż wszystkie badania, nawet najbardziej sztuczne, wykazują zdolność niezmniejszoną. Coprawda, dodali, iż skłonni są przypuszczać, że ten nadzwyczajny wydatek energii i siły, który czyniłem, pełniąc kilka urzędów jednocześnie, należy do przekroczeń, nadwyreżających niechybnie zdrowie człowieka, który to czyni. Lecz zdolność nie została w żaden sposób nadwyreżona.

Dlatego też, będąc człowiekiem, który sam jedynie rozporządza swoim zdrowiem i życiem, mogę zachować wszystkie urzędy, które dotąd miałem, kosztem nadwyreżania mego zdrowia, które zresztą całe życie tak samo nadwyreżałem.

Mógłbym być także, za zgodą Pana Prezydenta, a przypuszczam i za zgodą kolegów - ministrów, z którymi tak długo pracowałem i u których — jak sądzę — cieszę się wielką sympatją, wziąć dłuższy urlop, któryby dał mi możliwość postawić moją maszynę na nowo na szyny, by znowu zdrowie sobie nadwyreżała.

Jeżeli jednak tego nie uczyniłem i wniosłem Panu Prezydentowi podanie o zwolnienie mnie ze stanowiska szefa gabinetu, to uczyniłem tak z innych motywów i z innych powodów, które tu wyłuszcę, gdyż postanowiłem publicznie je wyjaśnić, tak,

jak wyjaśniłem na posiedzeniu rady gabinetowej w obecności Pana Prezydenta na Zamku.

Pierwszym motywem jest fakt, iż nie znoszę organicznie urzędu szefa gabinetu, tak, jak on jest u nas postawiony konstytucyjnie. I dlatego przez cały czas pełnienia tego urzędu przestrzegałem Pana Prezydenta, iż nie będę w stanie długo tego urzędu znosić i ciągle mu doradzałem, by przygotował sobie w myśli co najmniej trzech czy czterech ludzi, którzyby kolejno mogli pełnić ten urząd, tak, by spocząć mogli od pełnienia urzędu, tak nonsensownie postawionego przez naszą konstytucję, jak to jest teraz.

Dla wyjaśnienia tej sprawy muszę porównać — co stało się przy pełnieniu tego urzędu — czyniłem — urząd prezesa gabinetu z urzędem prezydenta.

Prezydent, w naszej konstytucji, jest postawiony w sytuację najbardziej fałszywą, jaka dla człowieka stworzona być może. Gdy z jednej strony jest reprezentantem Rzeczypospolitej Polskiej wszędzie i ciągle, to z drugiej strony nie ma żadnego prawa, aby mógł w jakimkolwiek bądź stopniu reprezentować siebie, swoje myśli, lub swoją pracę. Gdy więc jest najspecjalniej ze wszystkich wybrany nato, by był jeden, sam i stał najwyżej, to odebrano mu konstytucyjnie nawet cień jakiegokolwiek władzy, jakiegokolwiek możliwości ulżenia sobie w sytuacji i zrobienia z tak wyjątkowej pracy — na którą, dodam, wyjątkowo najzupełniej przysięga — czegokolwiek, by mógł czuć się, jako człowiek, a nie jak jakiś podrzutek, rzucony na łaskę i niełaskę wszystkich.

Dość panom powiedzieć, że nie ma on prawa stworzyć sobie najbliższego otoczenia, nawet jeśli

chodzi o lokajów czy pokojówki, bez innego człowieka, który może się na jego wybór nie zgodzić i narzucić mu osoby, dla niego niechętne. To znaczy, że naród przez swą konstytucję postępuje z człowiekiem wybranym, który, moralnie, będąc jedynym i stojąc najwyżej, odpowiada przed historją, postępuje tak nikczemnie i tak bezecznie, jak nie postępuje nikt w świecie nawet ze swoją utrzymanką lub z osobą, najzupełniej od siebie zależną.

Nie mogę przytem nie dodać, że męczy mnie w tym wypadku stałe wspomnienie mojej osobistej historji, gdy byłem Naczelnikiem Państwa i gdy po wojnie, zwycięsko przeze mnie przeprowadzonej, jako Naczelnny Wódz, zdecydowałem po długich wahaniach nie robić nic i pozostawić Polskę samą sobie. Wahania zaś moje tyczyły się rozstrzygnięcia pytania: czy mam sejm, tak zwany suwerenny, sejm ładacznic — że nie użyję słowa, którem ówczesny Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski, w swoich rozumowaniach stałe sejm określał i które z powodu ludowego i jaskrawego brzmienia doskonale i ściśle charakteryzuje sejm suwerenny — rozpędzić i nacisnąć go nogą zwycięzcy tak, jak na to zasługiwał, — czy też wybrać tę drogę, którą istotnie historycznie wybrałem — pozostawić Polskę samą sobie. Może, gdybym był stanął na pierwszej drodze, nie potrzebowałaby Polska przeżywać później wypadków tak zwanych majowych.

Sejm ładacznic, pracujący w owe czasy nad konstytucją, w swoich obliczeniach co do wyboru przyszłego prezydenta Rzeczypospolitej nigdy nie wahał się co do swoich przypuszczeń, iż na to sta-

nowisko wybrany będzie nie kto inny, jak popularny nadzwyczajnie w całym narodzie, nigdy nie umiejący się shańbić chciwością pieniężną człowiek, który swoją zwycięsko przeprowadzoną wojną i siłą charakteru wyprowadził Polskę z chaosu i dał jej znacznie większe granice, niż te, które dla niej zakresłano wszędzie. Dlatego też praca konstytucyjna poszła w kierunku zrobienia przyszłemu prezydentowi tyłu przykrości i tyle — powiem — hańby życia, ile tylko zdziczałe i potwornie głupie umysły mogły wymyślić.

Chciano w ten sposób, jak ja to określam, konkurenta suwerenności posłów zasunąć gdzieś w kąt i zasypać możliwie śmieciem. Jeżeli ten niecny zamiar nie dotknął mnie, zaszło to jedynie dlatego, że im spociłem historję i najspokojniej od pełnienia tego urzędu się usunąłem. Wtedy — jak wiadomo — pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej naprzód zhańbiono bezecnymi manifestacjami, a potem zabito — był to mój serdeczny przyjaciel — aby konkurent suwerenności posłów wiedział i rozumiał, czem grozi walka z suwerenami.

Przy pozostawieniu prezydenta bez władzy, przy stworzeniu mu wszelkich możliwych świństw i wszystkich niecności, jakie są możliwe do pomyślenia, przeciwstawiono jemu, jako mającego te świństwa i niecności robić, nie kogo innego, jak szefa gabinetu.

Szef gabinetu w naszej Konstytucji, w naszych zwyczajach i obyczajach wygląda jak omnipotens, czyli wszechpotężny. Względnie niedawno, przy przeszłym sejmie, spróbowałem wykorzystać tę omnipotencję w kierunku odwrotnym, niż to myśli Konstytucja, to znaczy w kierunku odwrotnym, niż

prezydenta, odmówieniem zapłacenia pensji posłom, suwerenom, żeby i ich przekonać o omnipotencji pana szefa gabinetu.

Jednak ta omnipotencja, czy wszechpotęga, ma swoje duże i liczne *Schattenseite*, czyli ciemne strony.

Zgodnie z mojem pojęciem o pracy ludzkiej „wszystko“ łączy się zawsze znakiem równania ze słowem „nic“. Gdy szef gabinetu ma opinjować wszystko i do wszystkiego swój palec przyłożyć, to jeśli sumiennie ten obowiązek wypełnia, na pewno nie robi nic i czyni pracę swoją nieproduktywną, nicefektywną. Być może, iż mądry sejm ladacznic suwerennych miał i to na myśli, ażeby możliwie dużo suwerenności — specjalnie do kas skarbowych — zachować dla siebie, dla posłów do sejmiku.

Jeżeli w przeciągu mego prawie dwuletniego urzędowania, jako prezes gabinetu, mogłem uczynić względnie dużo i wiele, to wyznaję, że stało się to możliwem jedynie dlatego, że dużą część swojej jakoby omnipotencji zrzuciłem na pomocnika swego, pana profesora Kazimierza Bartla, i w ten sposób oswobodziłem sobie czas na myśli i na wynalezienie metod do przeprowadzenia choć malej części tego, com zamierzał, stanąwszy na urzędzie szefa gabinetu polskiego. Rozumiem jednak dobrze, że gdybym sumiennie wypełniał wszystkie obowiązki szefa gabinetu, to nie zrobiłbym nic i to absolutnie nic w Polsce.

Na radzie gabinetowej u Pana Prezydenta na Zamku stwierdziłem, że urząd szefa gabinetu jest dlatego tak uciążliwym, iż całem zajęciem takiego pana jest niańczenie wszystkich podrzutków, które

wszyscy mu podrzucają. A że pochodząc z pod Wilna, słyszałem nieraz przekleństwo, brzmiące: „kat by twoje dzieci niańczył!“ — z trwogą myślałem o doli takiego nieszczęśnika.

Więc idą naprzód wszyscy panowie ministrowie, mili moi koledzy gabinetowi, którzy ciągle i ustawicznie, czy to przy przeszkodach w swojej pracy, czy to chcąc coś uczynić extra, czy to zgodnie z polskim charakterem, prowadząc spory między sobą, podrzucają szefowi gabinetu kochane, pieszczone, a niekiedy zamorusane i niekochane dziatki do niańczenia. Sam proces tak zwanego „uzgadniania“, który w procesie urzędniczym u nas zajmuje tak wygodne i tak wściekle rozłożyste miejsce, trwa zwykle tak nieznośnie długo i tyle zużywa papieru, iż wyznam otwarcie, że pomimo, iż proces ten jest nakazany maszynie państwowej, ani razu nie ośmieliłem się dotknąć stosu arkuszków, zapisanych maszynowem pismem, ze strachu, bym nie poszedł do szpitala warjatów. A jednak było to moim bezpośrednim obowiązkiem.

Wynalazłem sposób najodpowiedniejszy — zdaniem mojem — uzgadniać samych panów ministrów, a nie ich urzędników, pozostawiając ministrom samym czytanie elukubracji ich urzędników, potrzebnych jakoby do procesu uzgadniania.

Namiętność do centralizacji, istniejąca w sposób śmieszny i głupi w naszym narodzie, czyni pracę tak zabawną pod względem prawnym, że prawie trzy ćwierci porządku dziennego każdej Rady Ministrów wypełniają kwestje, jak — zmiany granic gmin w poszczególnych częściach państwa, pozwolenia na kupno nieruchomości cudzoziemcom, pozwolenia dla poszczególnych obywateli Polski na

wstąpienie do Legji Cudzoziemskiej we Francji, zmiany na stanowiskach urzędowych względnie bardzo niskiej klasy, wszystkie odznaczenia z jakimkolwiek bądź odznaczeniem naszym czy cudzoziemskim, no i podobne jeszcze pięknotki naszych urzędów państwowych. Do wszystkich tych rzeczy pan prezes gabinetu musi rączkę przyłożyć i paluszkami wycisnąć swoje placet. Przy sumieniem — powtarzam — spełnianiu swych obowiązków omnipotencja zniknąć musi gdzieś w powodzi papierów i to mnóstwo podrzuteczków tak maleńkich i tak drobnutkich, zajmujących chociażby po trzy minuty czasu, zalewa swą liczbą tak szalenie prawdę o omnipotencji, że znika ona zupełnie, pozostawiając biednemu człowiekowi „ino sznur“. Do liczby tych podrzuteków dodać należy namiętność protekcyjną Polaków i Polek, którzy i które z podziwu godną uporczywością chcą ustawicznie i ciągle tylko pięciu lub trzech minut dlatego, aby z szefa gabinetu zrobić albo pokątnego doradcę w ich prywatnych interesach, albo sędziego i eksperta w wynalazkach — to zwykle zajmuje pół godziny czasu, w pięciu minutach nie da się załatwić — albo uczynić go wykonawcą ich chęci usunięcia jakiegoś funkcjonariusza państwa lub, odwrotnie, wyznaczenia na nieistniejące etaty nadzwyczajnie godnych młodzieńców, lub też zwolnienia od odpowiedzialności za nadużycia skarbowe całego mnóstwa niezwykle miłych i niezwykle serdecznych ludzi, którzy tylko przez namowy i jakieś dziwne machinacje sięgnęli palcami do worka skarbowego, albo wreszcie przy wysokiej znajomości jurysprudencej wśród Polaków i Polek — zatrzymania lub nawet skasowania procesów cywilnych.

Liczba więc podrzutków w ten sposób wzrasta bezmiernie, tak, że nie można nie znienawidzić tego urzędu. Panowie zaś lekarze w swoim orzeczeniu stwierdzili, iż jedynym jeszcze ratunkiem przy pełnieniu tylu urzędów jest dla mnie zaniechanie jakiegokolwiek walki ze sobą, gdyż ta najwięcej kosztuje i najwięcej może zdrowie nadwyrężyć. Gdy ten wyrok usłyszałem, byłem najzupełniej zdecydowany prosić Pana Prezydenta o dymisję, gdyż przy mnóstwie podrzutków, które szef gabinetu ma do pilnowania, można się wściekać, lecz można też nie walczyć ze sobą. Natomiast, gdy pomyślałem o jednym obowiązku szefa gabinetu, zgóry sobie powiedziałem, iż spokojnie pełnić go nie mogę — mówię tu o smutnej konieczności dla szefa gabinetu — współpracowania z sejmem. Gdybym nie walczył z sobą, tobym nic innego nie czynił, jak bił i kopał panów posłów bezustanku, gdyż mają metodę pracy taką, która zgóry przeczy wszelkiej efektywności i produktywności tej pracy.

Gdy z uśmiechem patrzę na to, jak małe dzieci uroczyście i z nadzwyczajną powagą rozmawiają z lalką, jako z żywą zupełnie istotą, gdy nakazują jej różne czynności i same za nią tę czynność wypełniają, gdy — jak to u córek zauważyłem — posadziwszy przy sobie lalkę podczas obiadu, przysuwają do porcelanowej buzi łyżkę zupełnie poważnie, to mogę się uśmiechać, lecz, wyznaję, brać udziału w tej pracy nie jestem w stanie.

Lecz gdy panowie, tak szczerze i nienawistnie konkurujący w suwerenności z Panem Prezydentem i zazdrośnie strzegący swoich niczem nie zasłużonych przywilejów, używają w pracy tych metod najzupełniej nonsensownych, jak małe dzie-

ci, podsuwające łyżkę strawy do porcelanowej buzi, to ja nie jestem w stanie ani tego słuchać, ani na to patrzeć. Sam proces pracy, polegający na pracy mówienia, należy do pomysłów najbardziej potwornych, jakie kiedykolwiek ktokolwiek wymyślił.

Sam należę do mówców, którzy, jak to widziałem na salach, umieją wzruszyć, umieją znaleźć formę, umieją powiedzieć tak, iż sala jest przykuta do ust mówcy. Lecz gdyby mnie kazano w przeciągu paru tygodni codziennie przemawiać publicznie, tobym sam siebie uważał za publiczną szmatę.

Tymczasem panowie posłowie mogą to czynić w sali sejmowej w przeciągu nie paru tygodni, lecz paru miesięcy. I trzeba widzieć tę salę, wysłuchującą tych przemówień w sposób, najbardziej ubliżający powadze i porządkowi, i panów posłów, zachowujących się tak, jakby ta sala była szynkiem. Gdy jeden mówi, piętnastu panów chodzi po sali, załatwiając jakieś prywatne interesiki — czterdziestu panów głośno między sobą rozmawia, pokazując mówcy plecy — stu panów opowiada sobie anegdotki mniej lub więcej nieprzyzwoite i tylko panowie ministrowie muszą jakoby zachowywać się w takim miejscu przyzwoicie. Każdy z posłów ma prawo wrzeszczeć, krzyczeć, ma prawo rzucać obelgi, ma prawo oszczercze pisać interpelacje, dotyczące honoru innych, ma prawo i przywilej zachowywać się, jak świnia i łajdak, natomiast ci, co tak ciężko pracują, jak to jest z ministrami, pobierając za szaloną pracę jakieś głupie grosze, muszą zewnętrznie udawać nadzwyczajny dla tej sali szacunek.

Wszystkim panom posłom wolno mówić od rzeczy, nie przystępując ani jednym słowem do sprawy, która jest na porządku, i mówić to często tak nudno, tak piekielnie nużącym językiem i formą, że można dostać boleści żołądkowych.

Ładnieby wyglądała ta sala, gdybym, słuchając zaleceń doktorów, nie zechciał walczyć ze sobą!

Stwierdzam stanowczo, że tych piekielnych nudów, które z sali sejmowej wieją, nie mógłbym wytrzymać nawet pół godziny. Przy przeszłym sejmie, który zawsze nazywałem sejmem korupcji, nieraz musiałem się przygotowywać do przemówienia, jako szef rządu, zgóry będąc przygotowany — gdy przemówię publicznie z tej sali, będzie to ostatni dzień posiedzenia sejmku. Miałem wtedy przygotowanych parę określeń metod pracy sejmowej, które tu powtórzę. Gdy byłem przygotowany mówić o metodzie pracy zapomocą stałych i ustawicznych przemówień, chciałem stwierdzić, że atmosfera w kraju przesiąka stopniowo nudą bardzo silnie i do tego stopnia, że staje się trującą. „Nawet lotne muchy nie wytrzymują waszego, panowie posłowie, gadania, do tego stopnia, iż żadna na inną muchę już nie skacze, a gdy która leniwie to uczyni, to tamta nawet skrzydełek nie podnosi, napół już zdechła z nudów“.

Chciałem przytoczyć jedno miłe bardzo dla mnie porównanie, które uczynił — mówiąc o pracy parlamentarnej — jeden z wybitnych parlamentarzystów francuskich. Twierdził on, iż gdy myśli o pracy parlamentarnej, w której żywy brał udział, widzi na szynach ciężką lokomotywę, pracującą pełną parą; widzi palaczy, podrzucających pod kocioł olbrzymimi łopatami węgiel; maszynę, ślizga-

jącą się po szynach z powodu ciężaru, który za sobą wlecze i... zaprzęzoną nie do czego innego, jak szpilki, jako produktu ciężkiej pracy maszyny, przeciąganego na niewielką przestrzeń.

Osobiście znalazłem i inne porównanie, mianowicie — w kryminalistyce angielskiej był okres czasu, gdy pod naciskiem tak zwanych czartystów, czyli związków zawodowych, postanowiono zaniechać konkurencji taniej pracy więźniów, skazanych na ciężkie roboty (*Hard Labour*). Zdecydowano wtedy zająć więźniów ciężką pracą bez żadnego efektu. Zbudowano, mianowicie, na strychach więzień duże miechy, poruszane siłą mięśni ludzkich i wydmuchujące powietrze do powietrza. Zmuszano więc więźniów do katorżnej pracy w pocie czoła bez żadnego efektu i ujrzenia celu tej dziwnej pracy. Musiano jednak ze względów humanitarnych zaniechać tego systemu po pewnym czasie, gdyż jedna trzecia więźniów przeszła do szpitali warjatów. Ileż to razy, gdy przyglądałem się systemowi pracy sejmku, który w pocie czoła, nudnie i przewlekłe próbuje przekonać świat, że najlepszą metodą technicznej pracy jest wygłoszona od rzeczy mowa, przynominałem sobie tę trzecią część biednych katorżników angielskich, co od głupich miechów, dmuchających powietrze w powietrze, zmieniali swój pobyt w domu dla *Hard Labour* na hałasy, krzyki i nonsensowne działania mieszkańców szpitala.

Dodam, dla uniknięcia jakiegokolwiek nieporozumienia, że sam osobiście, jako dyktator Polski, sejm zwołałem, że mogąc zgnieść, jak robactwo, sejm ładacznic, po zakończonej zwycięsko wojnie, tego nie uczyniłem, że cały czas, jako szef gabine-

tu, postępowałem bardziej konstytucyjnie, niż sam sejm, i że zatem nikt oskarżyć mnie nie może o braki demokratycznych pojęć, będących w mojej głowie. I bardzobym życzył, aby panowie posłowie nie identyfikowali swojej metody pracy z demokratyzmem. Zaszczytu swą pracą demokratyzmowi nie przynoszą.

Gdy więc trzeci sejm Rzeczypospolitej rozpoczął swą pracę i ja miałem możność, jako szef gabinetu, widzieć nowe triumfy metody pracy sejmu, tak sprzeczne z moją duszą, która nie znosi pracować bez efektu widocznego, i tak sprzeczne z moim organizmem, który kwadransu jednego nie może siebie upodabniać do owej małej, nędznej, napół zdechłej muchy, zdecydowałem, że mam do wyboru raz jeszcze — zaniechać wszelkiej współpracy z sejmem i stanąć do dyspozycji Pana Prezydenta, aby oktrojować nowe prawa w Polsce, albo ustąpić ze stanowiska szefa gabinetu polskiego, który musi z sejmem współpracować.

Wybrałem to drugie i dlatego przestałem być szefem gabinetu polskiego. Powtórzyłem przytem Panu Prezydentowi raz jeszcze moją radę, by szukał poza mną i panem Kazimierzem Bartlem jeszcze kilku ludzi, którzyby *Hard Labour* pracy szefa gabinetu wytrzymywać czas pewien mogli. Z drugiej strony dodałem, że przy każdym cięższym kryzysie stając do dyspozycji Pana Prezydenta, jako szef gabinetu, biorący śmiało decyzję na siebie i wyciągający równie śmiało konsekwencje ze swoich decyzyj. Dodam, że za obopólną zgodą Pana Prezydenta i szefa gabinetu, pana Bartla, dyrektywy szefa gabinetu w stosunku do polityki międzynarodowej polskiej, jak dawniej, pozostają w moim ręku.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGJONISTÓW W WILNIE.

(12 sierpnia).

Szanowne panie i kochani koledzy!

Gdy w Wilnie mam mówić, nie chcę w swej mowie ni zgrzytów, ni goryczy. Małym chłopcem biegałem tu po ulicach. Do szkoły tu chodziłem i do miasta. Uczyłem się tu przywiązywać, uczyłem się myśleć i uczyłem się kochać. Gdy więc w Wilnie mówię, nie szukam goryczy, nie wołam zgrzytów.

Gdy nad tematem mowy swej namyślałem się, szukałem zwykłych, najzwyklejszych tematów; znalazłem jeden, być może nieudolny, lecz o nim mówić będę, mówić o lingwistyce — do klasycznej szkoły tu chodziłem. W lingwistyce nigdy nie był mocny, przeciwnie — dość wielki wstręt do języków odczuwałem, lecz w przebiegu mego żywota siedziałem w tyłu więzieniach i tyle lat życia swego w samotności spędziłem, że czułem pociąg do zastanawiania się nad słowami i nad pojęciami, które te słowa oznaczają. Będę mówił o jednym słowie tak, jak nieraz w samotności nad tem słowem myślałem. Słowo to w języku polskim brzmi „miły”. Słowo, które się na inne języki ledwo daje tłumaczyć. Gdy szukałem w innych językach odpowiednika, nigdzie go nie znalazłem. Słowo „miły” syno-

nimowo nie da się oznaczyć. Jeżeli słowo przybliżone, jakim jest „piękny“, nawet „ładny“ weźmiemy, to „miły“ niekiedy jest przeciwstawne do tego, co piękne, do tego, co ładne. Mówimy: „miły wyraz twarzy“, mówimy: „miły uśmiech“, mówimy: „miłe przeżycia“. A pojęcie piękna w tem nie istnieje. Miła rzecz nie jest piękna. Inna prawda duszę przykuwa. Inna myśl przyciąga. „Miły“, gdy dobrze pomyśleć, jest miłym i basta. Nie znajdziemy żadnego odpowiednika, któryby temu słowu odpowiadał lub go jako tako tłumaczył. Jest w tem czar i urok. Urok i czar, który jest silniejszy nad moce i piękniejszy nad piękno, który daje chwilę przyciągającą i duszę skuwającą ku sobie, tak, że niebo wprowadza na ziemi. I gdy myślę znowu o pojęciu „miły“, sędzę, że najłatwiej to sobie wytłumaczyć, gdy miłe przeżycia ku sobie przywołam. gdy zacznę tłumaczyć słowo „miłe“ tem, co dla ludzi wszystkich jest miłe, co mówi o miłym. I pierwszą rzeczą, którą wezmę, są prawa matczyne. Ileż to dzieci próbowałem przekonać, że matka ich jest brzydka. Pomimo, że nieładna była, każde dziecko zacięcie się broniło. Nie spotkałem dziecka, któreby mogło stwierdzić, że matka jest brzydka, i gdy nie mogło słowa „piękna“ wykrztusić, odrazu zgadzało się ze mną, że matka jest miła. Matczyne łono, matczyne pieszczoty, pieściwe pieszczoty dziecka, które serce matki wyczuwa i z siebie wyrzuca: gdy dziecko w trwodze się budzi, pierwsze spojrzenie widzi nad sobą matki schylonej, by pieszczotą gładzić dziecko, by je uspokoić. Gdy dziecko silniej zaszlocha, matka dziecko zawoła, by je uspokoić, ku sobie przywiązać i szloch w piersi zdusić. I ileż wspomnień! Gdy

mówię o matkach, ileż miłych wspomnień i miłych przeżyć ciągnie się ku temu, co matczyne i miłe.

Przejdę do drugiego przeżycia, tak ciężkiego u nas, co dziećmi jesteśmy. Każdy z nas przeżywał okresy, gdy był złamany, gdy pierś ciężko odychała, a poranek, gdy budził człowieka, budził go z uczuciem ciężaru. Każdy to przeżywał, a gdy w ciężkiej prawdzie życia i gdy w ciężkich prawdach przeżycia pieszczota zgryzotę dusi, gdy oddech powraca do piersi i zmarszczki na czole wygładza, gdy pomoc człowieka znajduje, by nie być szmatką zmarniałą, niezdarną do życia, to wtedy te przeżycia są miłe, zostają w pamięci, nie znikają.

Jeszcze jedna, może najbardziej jaskrawa prawda „milego“. Jest nią dziecko. Nad głową stoi czas, nad duszą świszczy bat i człowiek się z sobą mować musi, aby wytrzymać, i wtedy — ramię małego dziecka — dziecka, prawda, bezsilnego, co myśleć nie umie, lecz czarownie się uśmiecha, dłońmi pieści tak, jak jedwab, zmarszczki wygładza i troski zwalczać każe. Bezsilność dziecka jest jego potęgą. Niewprawny język, niewprawne członki ciała, ruszając się niezgrabnie, nasek, jak kartofelek, czoło łysawe, ani to piękne, ani siła. Patrzcie, dziecko słabe, ledwo słowo wymówi, a w domu to słabe słowo, jak silne języka słowa, powtarzają. Język dziecka staje się językiem dorosłych. Nowe słowa dziecko tworzy, które zostają u ludzi w pamięci wieki całe. Bezsilność, połączona z siłą, brzydota z pięknem, to jest miłe. To czar — to urok, co serca zniewala, co przykuwa do siebie i mocno ku sobie pociąga.

Jeżeli niewszyscy panowie tak z dziećmi obcuja, jak ja, to jednak dobra połowa ludzkości, matki

z dziećmi mając do czynienia, ma te przeżycia miłego tak silne i tak niezłomne, że niosą swe przeżycia z dziećmi aż do grobu.

Gdym myślał, panowie, o słowie „miłe“ i o wszystkich uczuciach, które czarem, urokiem ku sobie skłaniają, zawszem przypuszczał, że człowiek, gdy do grobu idzie, poduszkę wspomnień ze wszystkich swoich miłych przeżyć uplata, tak, by to, co miłe, szeptało strudzonej głowie o tem, co miłe pamięta, i we wszystkim znajdziemy jedną wielką prawdę. Siłę pieśnyczoty, co pieściwie dzieła tworzy, co pieściwami dziełami zmarszczki wygładza, młodość nową daje i daje przeżycia tak silne i trwałe, że wszystkie inne zgładza, a z „miłemi“ idzie człowiek do grobu.

Kochani koledzy, gdy o wszystkich zjazdach myślę, którem widział, przeżywał i które ze sobą porównywałem, zawszem znajdował jedną wielką prawdę dla nas, że zjazdy nasze są bardziej dziecinne. gdy nawet koledzy i koleżanki zwinności nóg nie próbują i niezgrabnych lub zgrabnych podskoków figlarnych nie robią, kiedy w życiu udają dorosłych — a nie dzieci. A gdy wy, panowie, się zbieracie, to najczęściej udajecie dzieci, dzieci! Gdy się znajdziecie w jakim mieście, mury pękają od was, od waszych krzyków i hałasów, święto z sobą niesiecie musowe dla innych, święto jakieś, które macie w duszy, gdy się spotkacie. Bezwiednie ku sobie idą ręce, bezwiednie z uśmiechem uśmiech się spotka. Bezwiednie uściskiem się łączą dłonie i usta. Niechętni ku sobie ludzie zapominają o niechęci. I to miasto, które swym zjazdem zaszczycać, musi mieć święto, gdyż zmuszacie je świętować. Noc zmienia się na dzień. Dzień

zmienia się w jakieś okrzyki i hałasy. Ludzie znajdują w sobie powagę życia gdzieindziej, lecz nie na naszych zjazdach, i gdym się, panowie, zastanawiał nad tem, dlaczego te nasze zjazdy do innych zjazdów nie są podobne, dlaczego w nich tyle szczerości i tyle jakiegoś odmlodzenia i dziecinności, tom szukał długo i badał, nie chcąc uczuciom swoim pozwolić się unieść, subiektywnym wrażeniom, lub subiektywnym sądom.

Moi panowie! Gdy palec Boży ziemi dotyka, stuletnie dęby ku ziemi gną szyję, a gdy grzmoty i błyskawice po ziemi idą, ptaszyny i ludzie chowają się do schronisk i domów. Gdy palec Boży ziemi dotyka, gdy idzie taka wielka wojna, jaką myśmy przeżyli, to ziemia jęczy i woła, a wyroki gdzieś w niebie wysoko się piszą — dla jednych zatracenie, dla innych odrodzenie. I gdy czasy tak wielkie idą, co świat na inny zmieniają, to proszę panów, czasy te nie są na miarę piersi tchórzaków, piersi łotrzyków. Muszą gdzieś iść czasy odrodzenia.

Moi panowie! Gdyśmy ongiś szli w pole, gdy byliśmy garstką, różniliśmy się od wszystkich żołnierzy dokoła i niczem innem myśmy się nie różnili, jak że pierś bujnie czuła i śpiewała huczną pieśń odrodzenia naszej ziemi. I gdy teraz, po tylu latach się spotykacie, tę pieśń odrodzenia, którą ongiś śpiewały piersi, dotąd ją czujecie, bo odrodzenie i wiosna to jedno i gdy wiosna na ziemi idzie, suche badyle się zielenią, suche wierzby kwitną i zwierzę każde i każdy człowiek pierś ma rozszerzoną; i pieśń miłości, gdy trele słowicze, gdy ryki tygrysów po ziemi idą z potęgą wiosny, gdy idzie odrodzenie, to wszystkie fibry duszy,

wszystkie fibry ciała inaczej biją, inaczej śpiewają. I gdyśmy ongiś po naszej ziemi szli w bojach, gdy smutek, gdy boje na ziemi naszej panowały, to myśmy szli do boju, jak do tańca, jak do tańca na równych posadzkach, myśmy szli po drodze do pewności odrodzenia, w odrodzenie wierząc i o odrodzeniu myśląc. Większość z was, panowie, młodzi wówczas byli, nie mieli tłuszczu na różnych częściach ciała, nie mieli siwizny na skroniach i z młodą duszą szliście naprzód. I teraz, gdy o was myślę, gdy dzieje wasze badam i gdy się przyglądam wszystkiemu, coście przeszli, zawsze przypominam sobie Słowackiego wierszyk, który wam tu przytoczę: „Młodość miał bardzo piękną, niespokojną, ach, tylko taką młodość nazwać piękną, która wzburzy pierś jeszcze niezbrojną, od której nerwy w człowieku nie zmiękną, ale się staną niby harfą strojną; dopóki piersi z zapалу nie pękną; przez całą młodość legjonista bujnie za trzech ludzi czuł, więc żył potrójnie“.

Naturalnie, strawestowałem tu trochę Słowackiego, gdyż Słowacki legjonistów nie znał.

Gdy w Wilnie mówię, zgrzytów nie wołam, goryczy nie proszę i do pamięci sobie wołam te moje z wami przeżycia, których wiązanek całą mam w pamięci. I nie badam, lecz poprostu wspominam, to, co miłe, wspominam to, co było mi pieczątką.

Wśród kilku wiosen, któreśmy razem przeżyli, pamiętam jedną, bo bojem silnym pod Kostjuchówką była zakończona. Szła wiosna, wiosna polska. Stałem wtedy na kwaterze w zbudowanym i pozostawionym dla mnie szałasie. Szałas był duży. Szałasem go nazwę, gdyż dach miał papierem

tekturą, słomą pokryty, i cały domek z desek się składał. Dla elegancji wprawiono nawet szyby. I tych szyb w moim pokoju było kilka. Otwarto wszystkie okna i przez okna wiosna się wdzierała, wiosna polska, jakaś inna od innych wiosen na świecie. Upojny, silny zapach sosen z upojnym zapachem bagien; bagna poleskie, bagna, siwym mchem pokryte, kwitły i jaśniały wiosną. Upojny las poważnie szumiał, dając żywiczne ciepło i żywiczną gorycz, gdzieś kaczory tęskno nawoływały kaczki, gdzieś na reducie Piłsudskiego strzały brzmiały, wrywając się w wonną wiosnę i wiosnę głużyły te strzały. A było w nich coś zniewalającego, mnie śmiercią grożąc.

Wiosna szła na mnie, tak, jak na ludzi idzie. Wspominałem wszystkie wiosny, które przeżywałem, jedną za drugą. Wiosna w nerwy mi wchodziła. Maj uroczy, z całym nowym ciepłem i nowym życiem w przyrodę wchodzący. Gdzieś przez okno wdzierał się pogwar zdaleka, wesołe okrzyki mego sztabu, który pod wieczór zbierał się do anegdot. Byłem sam w pokoju i zwyczajem swoim namiętnie po pokoju chodziłem. Mierzyłem krokami swą małą chatkę. Raz po raz, chwila za chwilą, minuta za minutą, godzina za godziną. Zapominałem się, jak w wiosnie, i pierś chciała głęboko odetchnąć, w przestrzeni głębiej odczuwać wiosnę życia. Wyszedłem. Księżyc srebrzysty kładł swe cienie wesołe i smutne w lesie. Obejrzałem się dokoła i nagle szloch człowieka usłyszałem. Zwróciłem oczy w tamtą stronę. Księżyc błyskał na karabinie mojej warty, warty dowódcy, co na straży swego odcinka stała. Spojrzałem—szary żołnierz, skulony na płocie, płakał. Wstyd mi się zrobiło. Podszed-

łem ku niemu zobaczyć i spytać, czemu płacze — może mu pomóc potrafię? Miłe chłopię, oparte pierśią na płocie, ręką spoczywało na karabinie i szlochało. Podniosłem jego twarz i ujrzałem — twarz małego chłopca, dziecinna, stał na warcie i płakał, jak dziecko; łzy mu z oczu się lały, tak, jak u dzieci. Twarz młodociana i karabin przy nim. Pierś rozrywał mu szloch, tak, jak rozrywa szloch pierś mężczyzny. Poglądziłem go po twarzy i spytałem: „Chłopcze, co ci jest?” Myślałem, może mu w rodzinie ktoś umarł, może biedak płacze po objęciach zdradliwej kochanki, może urlopu ci trzeba — dam ci urlop. Przyłgnał ustami do mej ręki i szlochał jeszcze silniej. Uspakajałem go, jak mogłem. „Komendancie, — ryczał chłopiec — ja nie mogę już patrzeć, jak Komendant się męczy i jak pomóc w niczem Komendantowi nie mogę”. I zaczął mówić takie brednie, niesłychane jakies rzeczy o tem, jakby się zakradł do Komendanta, jakby chciał mu całą czekoladę rzucić pod nogi, bo Komendant tak ją lubi. Ot, brednie dziecka-żołnierza, — nie umiałem go nawet pocieszyć. Cóż zrobić z takim malcem, który płacze, na warcie stojąc, na karabinie się opierając, i płacze nad męką Komendanta, chcąc mu coś z siebie ofiarować, coś dać poprostu człowiekowi, co się za nich męczy. Chłopak mi nieznany, z twarzy niewidziany, jako chłopię małe stał zawsze w tylnych szeregach — drągali zawsze naprzód stawiali. Pieścił wodza, płacząc nad jego męką.

Biegnę do innego wspomnienia. Pamiętam dzień moich imienin we Lwowie. W roku 1916, po ciężkiej chorobie, której na Polesiu się nabawiłem. W teatrze szła wielka zabawa — jak zwykle, walce,

śpiewanie, bicie mi brawa, krzyki: niech żyje Piłsudski!

A potem szły inne czasy nieco. W Austrii zostałem zaproszony na obiad do komendy miasta. Jestem na tym obiedzie. Koło mnie dla grzeczności usadowiono oficerów, którzy mówią po polsku, chcą ze mną po polsku rozmawiać. Rozmawiamy przy czarnej kawie. Opowiada mi major zdarzenie, które miał z żołnierzami I Brygady. Powiedział mi on: „Szedłem po ulicy i widzę — żołnierze idą w czasie niedozwolonym, bo koło godziny dziesiątej wieczorem. Idą legjoniści. Dwóch nieco się zataczających żołnierzy, którzy, przechodząc, nawet mnie szturchnęli. No, wie pan, panie brygadjerze, to są rzeczy zupełnie niedozwolone. Zatrzymałem ich stanowczo. Patrzyli na mnie, honorów mi nie oddali. Spytałem: Co wy za żołnierze? — My z I Brygady. — Dobrze, z I Brygady, ale zachowujecie się tak, jak nie żołnierze, mówiłem. Ja ich skarcić chciałem. Ależ to z nimi wytrzymać nie można! My z I Brygady, powiedzieli, a pan był na froncie?”. — Biedny majorzyna, trochę mu się zimno zrobiło. Jeden z nich sięgnął do kieszeni, długo w niej dłużył i gdzieś z tyłu wyjął order Virtuti Militari, ale order austriacki, tak tylko nazwany, i powiedział: Masz! Potem gdzieś z tyłu wyciągnął pruski order: Masz! Oni mają te same! — Zawrócili i poszli. Te ordery obce, na tyłach noszone, a na piersiach dumne odznaki z meimi literami. To jest moja Brygada.

I znów pieszczoty, pieściwe dzieło, co sięgnąć może do dumnego czoła, co dumne oczy przed śmiercią nie mrużąc, zapieści, zaczaruje. Dumnym sam i umiałem to chować i pracować nad moimi

żołnierzami i w ojczyźnie, co dumy nie znała, dumni być potrafili. To wspomnienie zawsze mnie pieści. Baciary lwowskie, na tyłach noszące obce orderzy!

Jeszcze jedno wspomnienie. Brygada w owe czasy dostała państwo, a ich Komendant dostał Naczelnika. W tym samym mundurze, w którym pośród innych chodziłem, reprezentowałem państwo polskie, przyjmując posłów z całego świata. Byłem Naczelnikiem i żywo sobie przypominam śmieszne określenie, które jeden z przybyłych z Rosji generałów powiedział, patrząc na mnie: „Ni to Kościuszko, ni to Korsykan”. Był to czas, moi panowie, dość zabawny, gdy hymny obcych państw śpiewano bardziej ochoczo, niż polski. Był to czas ten, gdy Polska ubogim kopciuszkiem słynęła... I wtedy, proszę państwa, w Warszawie było jakieś święto żołnierskie, nie powiem jakie i nie powiem kiedy. Przyjechałem na to święto. Święto to ubierano, wedle mody warszawskiej, w jakieś śpiewy, muzyki, deklamacje i innego rodzaju artystyczne utwory. Słuchałem, siedząc na pierwszym miejscu. Dość się nudziłem i tęskno wyglądałem, gdy przerwa nastąpi. Nareszcie przyszła. Wstałem, aby obejrzeć lokal. Obchodząc lokal, zabłądziłem do bufetu. W bufecie było dość dużo ludzi. Obejrzałem się i poszedłem do bufetu. Podskoczyło do mnie kilku podoficerów. „A kolega z którego pułku?” — „Z piątego. Komendant, jak do nas przyszedł, to my tu zaraz stawiamy. Dać wódki! My płacimy! Komendant nie płaci!”...

A dokoła attachés wojskowi obcych mocarstw z przerażeniem spoglądali na bratanie się Naczelnego Wodza z podoficerami. I szła wódeczność za

likierem, likier za wódecznością. Ja mam głowę mocną, przepiję nawet podoficera. Wydobyłem świeżo otrzymaną w prezencie od oficerów belwederskich papierosnicę. „Ho, ho, ho, to ci Komendant fajną papierosnicę wyfasował! A wie Komendant, że komendant mnie papierosa dłużny?”. „Zwracam dług”. Wziął, obejrzał, powąchał: „Dawniejsze austriackie pewno były lepsze?”.

Gdy tłum dokoła mnie stanął, dokoła Naczelnika Państwa, panowie podoficerowie rozporządzali się w bufecie, sięgając od kielbas do tortów, od tortów do jakichś innych smakołyków. „My płacimy za Komendanta! Komendant nic tu nie płaci!”. Ogłosivszy to, jeden z nich mówił: „A ja na Komendanta jestem obrażony”. — „Dlaczego?” — „Bo widzę, że Komendant mnie nie poznaje”. — „Nie poznaję istotnie”. — „A do kogo to Komendant w Dynaburgu w szpitalu najpierw podszedł?” Powiadam, że na sali w Dynaburgu, gdzie leżało mnóstwo chorych, mających palce u rąk i nóg odmrożone wskutek mrozów, które panowały, spojrzałem i zobaczyłem odrazu roześmianą szeroko twarz. To mnie pociągnęło i podszedłem. „A pamięta Komendant, co ja wtedy powiedziałem? Ja wiedziałem już zgóry, że Komendant zapomniał. Byłem ranny”. — „Jakaż to rana?” — „W koalicję byłem ranny”. — „Ja wiem, rana w koalicję bardzo szybko przechodzi”...

To miłe wspomnienia po pamiątkach szczerych. Co to znaczy? Co to znaczy? Co to jest? Attachés wojskowi zapisywali dokładnie zdarzenie, jakie się wydarzyło w Warszawie, w różnych językach, na świat cały. Wszystko było mi bardzo miłe. Ni to Kościuszko, ni to Korsykan. O Korsykańcu marzy-

ła młoda głowa, gdym biegał po tem mieście. O Korsykańcu naczytałem się tyle anegdot, tyle baśni! Gdym wrócił do Belwederu, przypomniało mi się natychmiast, że Napoleon źle jeździł konno i często z konia spadał. Jechał gdzieś w bój i wówczas jeden z gwardjaków spadł z konia, a Napoleon mu powiedział: „Niezgraba!” Lecz Pan Bóg go ukarał, bo po ujechaniu 60 kroków Napoleon spadł z konia, a wtedy mija go w pełnym galopie gwardjak i pyta: „A teraz, kto niezgraba?”

Niechno panowie pozwolą. Ostatni fakt miły. Jeden z najmilszych, które przypomnę. Gdym siedział w Magdeburgu, istotnie stał nad głową kat. Nie byłem nigdy pewien życia. Był to jak grób zamknięty. Izolowany byłem bardzo od świata i wtedy właśnie myślałem o miłym, co, jak poduszka, do trumny z człowiekiem idzie. Jedno z najmilszych, jakie mam i jakie przeżyłem, jest Wilno, jest miasto moje rodzinne. I nieraz tam, w Magdeburgu, o Wilnie myślałem, do Wilna tęskniłem. Miłe miasto. Rzędem biegną mury, pagórki, otoczone zielenią, pieścżą mury. Mury tęsknie na pagórki spoglądają. Miłe miasto. Gdy na który z pagórków się wyjdzie, ku niebu przez mgłę oparów bliższą do góry wieżycę, wieżyczki, na których, gdy dzwony zadzwonią, niewiadomo, czy się skarżą, czy o łaskę proszą, czy tęskny tylko do nieba głos wznoszą. Miłe miasto. Miłe mury, co mnie dzieckiem niegdys pieściły, co kochać wielkość prawdy uczyły, miłe miasto z tyłu, tyłu przeżyciami. Miasto — symbol naszej wielkiej kultury i państwowej ongiś potęgi. Dynastia Jagiellonów, co nad wieżyczkami Krakowa i wieżami Wilna potężnie niegdys panowała... Wilno Stefana Batorego,

co uniwersytet zakładał i mieczem nowe granice wybijał... Wielcy poeci i wieszcz, co naród pieścili słowem i w czar zakuwanymi słowami życie narodowi dawali... Nie gdzieindziej, jak tu, w tej samej szkole, gdzie ja biegałem w tych murach, pięknie wołających do Boga, uczyli się, jak ja kiedyś, w przeklętej rosyjskiej szkole.

Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieśczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czem dziecko i młodzieniec żył w pieścocie z murami i w pieścocie z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miast w świecie! I biegłem ku Wilnu pieścotliwą myślą, tworząc sam dla siebie pieściwe pieścoty dziecka. Jedna z moich książek tam właśnie powstała, w murach Magdeburga. Czar, zakuty we wspomnieniach, urok odrodzenia, rzucony w szale tam niegdys. Wszystko to razem składało się na marzenia człowieka, co nie wie, czy jutro do grobu się nie położy. Minęło lat parę i byłem znowu z wami i gdym marzył i myślał o Wilnie, w warszawskim Belwederze zamknięty, myślałem także i o was i gdym w bój zawołał, by Wilno zdobyć, was do siebie powołałem; marzyłem, sądziłem, że dwa serca zbratane dadzą mi to, o czem dusza marzyła. Wilno musi być moje! I jak wyście mi na to odpowiedzieli — żywo pamiętam tę chwilę. Wilno w owym czasie, gdy Polska ledwie żyć poczyniała, gdy ze wszystkich stron żądano naszej ziemi, dłonie ku niej wyciągano, gdy bitwy na wszystkich ścianach Rzeczypospolitej i wojna trwała, gdy inne państwa już były spokojne, gdy działa u nas grzmiały, gdy tam spokoju już doznali, -- Wilno dalekie było od myśli i Wilno dalekie

było od zakłopotania serca wszystkich. Wyście stanowili najpewniejszego żołnierza, żołnierza, który mnie nigdy w wojsku nie zawiódł, który dał mi wszystko, co żołnierz wodzowi dać musi. Was powołałem. Szła wielkanocna pora, gdy bataljon za bataljonem, szwadron za szwadronem do Wilna śpieszyły. I szła pogwarka wśród wiary — Komentant nasz Wilno kocha, na Wielkanoc Wilno w prezenzie mu damy... Prezent wspaniały! I gdy myślę, że nie sądząc nawet o ważności Wilna dla nas, jako prezent, jako pieszczota dla serca Komentanta, wieleście mi dali i gdy pomyślę, że tam gdzieś na Rossie u wrót cmentarzy mogiłka za mogiłką leżą, jedna przy drugiej, jak żołnierze w szeregach, ci, co życie dali, by Komentanta serce pieścić, to mówię, że miłe to być musi, i gdy serce swe grobem poję, serce swe tam na Rossie kładę, by wódz spoczął z żołnierzami, co mogli tak pieścić dumnego wodza czoło, co mogli tak życie dawać jedynie dla prezentu. I miłe to musi być wrażenie przeżyć życiowych w Legjonach, miłe wrażenie i teraz, gdy z wami się żegnam; gdy kończę i kończę w Wilnie, życzę wam, byście dzień dzisiejszy, dzień naszego święta, spędzili istotnie tak, jak było to niegdyś, byście miastu spokój zakłócili, by miasto zadrżało w waszych objęciach, tak, jak drżało ongiś, gdyście tu marszem zwycięskim wchodzili...

PRZEMÓWIENIE W BUKARESZCIE. (1 października).

Pobyt mój w Rumunji wzmocnił uczucie sympatii i głębokiego szacunku, jakie żywiłem zawsze dla waszej pięknej ojczyzny i narodu rumuńskiego, którego szlachetną gościnność miałem ponownie sposobność ocenić.

Jestem szczęśliwy, mogąc stwierdzić, że węzły serdecznej przyjaźni, które łączyły zawsze nasze narody, zacieśniają się w dalszym ciągu ku pożytkowi cywilizacji i ku uspokojeniu Europy. Wypowiadając życzenie, aby nasze połączone wysiłki powiodły nas ku szczęśliwym przeznaczeniom, wznoszę toast za pomyślność zaprzyjaźnionej i sprzymierzonej z nami Rumunji, za zdrowie króla Michała, rodziny królewskiej, wysokiej regencji oraz rządu.

Z PRZEMYSŁEŃ NACZELNIKA PAŃSTWA.

Częste przemyslenia.

(5 listopada).

Ludzie bez wczoraj, ludzie bez jutra. To wczoraj — było, lecz mieszkał tam wstyd. Wstyd nie mały, wstyd duży. Gdzieś ktoś kupował, gdzieś ktoś się sprzedawał, gdzieś ktoś zrzucił dolne ubranie, gdzieś ktoś nieprzyzwoicie całował. I we wczoraj mieszka wstyd. Lepiej go nie mieć, lepiej o niem zapomnieć, lepiej przykryć je kłamstwem i blich-trem słowa, lepiej nie być we wczoraj, gdzie mieszka wstyd. Ludzie bez wczoraj...

Ludzie bez jutra. Czy jutro, co spotka nas — gdy myślimy o niem dzisiaj — czy słońcem rumianem, czy schmurzonym nieba obliczem, to jutro, co je codziennie inną nazwą dnia w tygodniu chrzczimy, jest podobne w czemkolwiek do tego jutra, które spotykać będą nasze dzieci czy prawnuki? Czy można te jutra, tak odległe od siebie w czasie, zbliżać i utożsamiać? Wątpię i nie mogę się zgodzić, by nie odróżniać prawdy od metafory. I oto gdzieś ktoś buduje kanały, któremi morskie olbrzymie okręty i statki do Warszawy przez Wisłę sprowadzi, i wyrzuca na to realne — nie metaforyczne — pieniądze; ktoś gdzieś armję w projekty i pomysły uzbraja, gdy żołnierz nie ma butów

i zwykłego karabinu, — i na te projekty łoży nie metaforyczne, lecz realne pieniądze; ktoś gdzieś obowiązkowe nauczanie wprowadza, nie myśląc ani o budynkach szkolnych, ani o nauczycielach. Gdzieś zamki na lodzie — i to wiosną — budują, gdzieś gwałtem z piasku biczę kręcą, licząc, że bić niemi będą, aż ziemia zadudni. Ludzie bez jutra!...

Ludzie bez wczoraj i ludzie bez jutra — ludzie bez cienia. Jeden cień wstecz się cofa, tam, gdzie wstyd mieszka, od innych cieni zmyka wdał, tam, gdzie śmiech zamieszkuje. Ludzie bez wczoraj, ludzie bez jutra! Czyż może dzisiaj należeć do tych, co cienia nie mają?!

Czy widział kto kiedy efemerydy? Gdym czytał niegdyś dzieckiem, że są potworki jakieś, co żyją zaledwie pół dnia i mniej, to znaczy—po urodzeniu się zaraz umierają, sądziłem, że to jakieś zupełnie małe pajęczki czy robaczki, zatem prawie nic nie widzą i nic nie słyszą. Z tem dziecinne wyobrażeniem jakiegoś dziwactwa przyrody żyłem spokojnie do wieku dojrzałego. I wreszcie raz je ujrzałem. Pamiętam, było to w Wilnie, w czerwcowy, upalny i nieco duszny dzień. Szedłem od wspaniałej katedry po prospekcie Świętojerskim, co go dzisiaj Adama Mickiewicza ulicą nazwali, szedłem, jak bezdomny tułacz, śpiesząc wieczorem na przygotowany nocleg, gdzieś za mostem Zwierzynieckim, by bezdomną głowę w bezpiecznym miejscu na poduszce skłonić. Wydawało mi się, że czas idzie na burzę. Gdym się do mostu zbliżał, spostrzegłem wysokie łukowe latarnie, jakgdyby przyćmione od oparów, i grupki ludzi, stłoczonych

i żywo rozmawiających, tak, jakby wypadek jaki zdarzył się na ulicy. Zwolniłem kroku i nagle poczułem na sobie dotknięcie jakiegoś owadu; trwało to chwilę tylko i owad już był na murze, by zaraz potem znaleźć się na chodniku i za chwilę znowu — w rynsztoku. Gdym ruszył dalej, znalazłem się w jakiejś gęstwie tych owadów, które czyniły ruchy, nie zatrzymując się ani na chwilę, ruchy, z tak wyraźną i tak jaskrawą bezcelowością i bezmyślnością czynione, że nie można było z niczem dotąd widzianem tego bezmyślnego stanu porównać. Koło łukowych lamp owadów było mnóstwo — jakaś gęstwa istot, które poruszały się wszędzie z tą samą bezmyślnością i jakąś tępą prawdą głupoty w różne strony — na dół, na górę, na bok, na lewo, na prawo. Jakieś ćwierć życia, ćwierć chęci, ćwierć myśli i ćwierć istnienia. Gdym mijał most, spojrzałem w wartkie nurty Wilgi — tam w cieniu działo się to samo, co wysoko przy lampie elektrycznej, rzucającej jaskrawe, blado-niebieskie światło w przestrzeń.

Kiedy nazajutrz z rana wracałem ze Zwierzyńca do miasta, stróże kamieniczni zmiatali dużemi miotłami gęstwę efemeryd do kloaki.

Patrzyłem na tę bezmyślną zielonkawą masę i myślałem — a jednak, a jednak i to jest życie! I może pomiędzy bezmyślnymi ruchami, czynionymi przez efemerydy, może przez chwilę jedną taka istota upajała się myślą, że zaraz zmieni się w człowieka i siłą swoją zmusi człowieka stać się efemerydą? Może, zamarzona, myślała, że zamieszka w ludzkim mieszkaniu, a człowieka wyśle latać bezmyślnie nad rzeką czy przy lampie łukowej? Kto wie!? Dostatecznie bezmyślne są takie istoty!..

1 9 2 9

PRZEMÓWIENIE W KOMISJI BUDŻETOWEJ
SENATU.

(28 lutego).

Szanowni panowie! Przedewszystkiem wyjaśnić muszę, dlaczego przemawiam w senacie, nie w sejmie. Stało się to nie z mojej winy. Już przed przyjściem pod obrady sejmu budżetu, przygotowanego przez rząd, uprzedziłem pana szefa gabinetu, że nie będę się mógł zgodzić z tym rodzajem pracy sejmu, który stawia ministra nie jako referenta swego budżetu przed sejmem, gdyż system ten daje, zdaniem mojem, pracę lichą i marną. Jest to, zdaniem mojem, jeden z tych zwyczajów i obyczajów sejmowych, które należą do przeżytków i które dają w rezultacie głupotę prowadzenia pracy. Referent, gdyby był nawet najlepszym, nie daje gwarancji znajomości ani przedmiotu, ani też wzajemnego układu różnych części budżetu ze sobą, ani też nie daje systemu pracy nad wykonaniem budżetu.

Kiedy się nieraz zastanawiałem, jeszcze przed przyjściem na świat sejmu w Polsce, nad różnemi pracami sejmów, dziwiłem się, jak dużo tam jest nonsensów i jakgdyby rozmyślnego prowadzenia pracy tak, aby praca była marna i licha. Do tych zwyczajów i obyczajów należy nie co innego, jak wystawianie swego referenta do spraw, których on nie może znać dobrze. Dlatego też powiedziałam-

łem panu Bartłowi, że nie jestem w stanie podlegać temu nonsensowi, i dlatego, jeżeli moi koledzy ministrowie się z tem zgodzą, żądam, aby mój budżet był rozpatrywany ostatni. Pan Bartel na to się zgodził i dlatego przyszedłem ostatni do dania mego budżetu. Również lojalnie postąpiłem i z referentem, panem majorem Kościałkowskim, którego poprosiłem do siebie i stwierdziłem, że nie zwracając się przeciw niemu osobiście i uważając, że z tych możliwych referentów, jakich może sejm wystawić, on jest najlepszy, — stwierdziłem mu, że tak jednak postępuję i że nie będę referował nic, w razie, jeżeli nie będę jedynym referentem budżetu mego w sejmie. Wreszcie uczyniłem to i w stosunku do pana Daszyńskiego, powiedziawszy mu to samo, co mówię tutaj.

Nie mogę nie stwierdzić, że występując starannie i stale przeciwko mnóstwu przeżytków z życia parlamentarnego — a jest ich wielka ilość — widzę, że ciągle stają one w sprzeczności czy to z życiem, czy to z pracą, czy to z czasem, czy to wreszcie z prawem. Nie mogę nie podkreślić jak najstaranniej, że uczyniłem brak mojej pracy w sejmie jedynie z tego powodu. Powód był i drugi, chociaż mniej ważny, lecz nadzwyczajnie dotkliwy dla wszystkich tych, którzy noszą mundur wojskowy. Powód ten jest związany z honorem.

Honor jest jednym z silnych ogniw, wiążących każdą grupę wojskową. Jest to konieczne dla wojska, gdyż, będąc w otoczeniu rozchętanej prawdy życia, rozchętanej i rozwydrzonej, trudno jest mieć wojsko, nie mieszające się do polityki, w razie, jeżeli się nie wynajdzie ogniw, które ludzi od tego powstrzymują. Jednym z tych ogniw, wspólnem

dla ludzi w mundurze, w porównaniu do ludzi bez munduru, jest poczucie honoru. Dlatego też praca honoru jest nadzwyczaj silnie zaopatrzona prawem i regulaminem właśnie w wojsku. Nie wolno oficerowi przestąpić prawa zwykłego, przeciętnego honoru pod grozą wykluczenia go z armji za czyn niehonorowy. I dlatego określenia muszą być bardziej rozważne i bardziej powściągliwe. Honor ten nie pozwala na słuchanie słów w stosunku do siebie obraźliwych i oficer musi wystąpić czynnie i to natychmiast, w razie, jeżeli nie ma być zdyskwalifikowany.

Wobec rozchętanej prawdy panów posłów, którzy o to nie dbają, jest tak trudna dla oficerów praca jakakolwiek w sejmie. Obciąża się ta sytuacja jeszcze bardziej, gdy wezmę pod uwagę to, co jest honorem służby. Honor służby w wojsku, tak ostro dowodzonem i indywidualnie dowodzonem, prowadzi nieraz do konfliktów, kończących się śmiercią. Być może, że jest to źle, ale tak jest. Honor służby bowiem nakazuje obronę przełożonego i dlatego jest tak ciężką prawdą służby wojskowej. I wobec tego, że przełożonym jestem ja, nie mogę się zdobyć nigdy łatwo na wysyłanie kogokolwiek do sejmu, oprócz mnie samego. Zawsze się obawiam tych konfliktów wewnętrznych u moich podwładnych, którzyby byli postawieni w sytuacji możliwej dyskwalifikacji dla siebie, jako oficerów. Nadto ciężka jest ta męka służby w tych warunkach, które dają niepowściągliwe języki i łatwość niepowściągliwych określeń u panów posłów.

Dlatego też nie mówiłem w sejmie, dlatego też, moi panowie, nie jestem w stanie i tutaj mówić

tak, jakbym mówił o całości budżetu wojskowego, gdyż wtedy musiałbym pominąć główne moje zadanie, zadanie, związane z odparciem tych poprawek, które zostały zrobione przez sejm na moim budżecie.

Biorę tylko stamtąd — z przygotowanych przeze mnie prac na sejm — biorę jedną rzecz, rzecz porównawczą, związaną z budżetami przeszłości. Na sejm bowiem przygotowałem, jako wstęp, historję budżetów wojskowych. Jeżeli, proszę państwa, weźmiemy porównanie roku 1924 i preliminarzowego budżetu na rok 1925 w przeszłości i porównamy go z obecnym, to przy przewartościowaniu złotego, wobec niżki waluty przy jej stabilizacji, znajdziemy porównania następujące:

W roku 1924 budżet wynosił 701 milionów dawnych złotych, co przy przewartościowaniu daje 1206500000 złotych. Budżet preliminarzowy na rok 1925 wynosił 725 milionów złotych, co przy przewartościowaniu daje 1247 milionów złotych, wtedy, gdy obecny mój budżet wynosi 814 milionów, to znaczy, że w stosunku do 1924 i 1925 roku jest mniejszy o 400 i coś milionów, czyli o jedną trzecią zmniejszony. Jeżeli zaś wezmę punkty, zaczepiane przez sejm, to znajdę przy przewartościowaniu następujące różnice:

W dziale 1, § 8 w roku 1925, bo przedtem tego działu nie było i on był przenoszony do innych działów, to jest reprezentacja — wynosił preliminarzowy budżet 465 tysięcy, gdy mój obecnie wynosi 236 tysięcy. Dział 2, § 3 wynosił 29 milionów złotych w roku 1925, 21 milionów złotych w roku 1924, mój budżet wynosi 11496 tysięcy złotych. Dział 2, § 12 wynosił w 1924 roku 21 milionów,

w 1925 roku wynosił 12 milionów, w moim budżecie wynosi 7300 tysięcy. Dział 1, § 8 to jest dział reprezentacji, dział 2, § 5 to są podróże służbowe i przesiedlenia, dział 2, § 12 to są wydatki uboczne przy wyżywieniu. W tych trzech działach zatem zmniejszenie budżetu mego w stosunku do tego, który był, jest bardzo jaskrawe i widoczne. Jest jeszcze § 4, podobny, który nosił tytuł *Różne*; w ustawie z 1925 roku wynosił 2700 tysięcy, w naszym budżecie wynosił 240 tysięcy.

Inne zaś wymagają nieco ściślejszej analizy dlatego, że one są bardzo zabawnie zatytułowane. O tem będę mówił później. Budżety dawniejsze przy ich rozpatrzeniu i przy ich stwierdzeniu istotnej wartości noszą u mnie zawsze miano „wesołych budżetów“, albowiem smutna historja naszych budżetów wojskowych polega nie na czem innem, jak na kradzieży wyraźnej budżetów wojskowych i na defraudacji, możliwie daleko posuniętej. Są to „wesołe budżety“, gdyż znam wypadki wydawania z budżetów wojskowych na sute libacje z dziewczynami z publicznych domów, robionemi dla panów posłów przez panów ministrów. „Wesołe budżety“ były złotemi czasami dla panów posłów z sejmu. Z budżetu utrzymywano nie tylko ich kochanki, ale i utrzymywano również i partję, z budżetu kradziono najbezzwłoczniej w świecie, i dlatego ja zawsze nazywam te budżety „wesołemi budżetami“.

Jeśli pójdę dalej w analizie, to wykażę, że system tej pracy wesołego zużytkowywania budżetu nie mógł nie zacząć właśnie tych części, które teraz są zaczepione przez panów posłów z sejmu. Z tych właśnie części, jako najbardziej możli-

wych, zużytkowano pieniądze nie na wojsko, lecz na wesołe spędzanie czasu budżetowo-sejmowo, no i ministrowo.

Przechodzimy, proszę panów, do tych punktów, zaczeponych przez sejm. Jest ich w całości sześć; proszę panów, jeżeli przeczytam ich tytuły, to one muszą zwrócić bezwiednie uwagę. Więc: 1) *inne wydatki*, 2) *podróże służbowe i przesiedlenia*, 3) *wydatki uboczne przy wyżywieniu*, 4) *szkoły i kursy żeglugi powietrznej*, 5) *fundusz dyspozycyjny*, 6) *różne*. Już same nazwy zaczeponych części budżetu wywołać tu muszą pewne zdziwienie, gdyż jasnym jest, że zaczepiają one nie samą istotną prawdę budżetu wojskowego, lecz jakoś bezwiednie czepiają się tego, co jest bardzo uboczne; nawet jeden z tytułów nosi nazwę: *wydatki uboczne przy wyżywieniu*. Jeżeli teraz zechcemy analizować ściślej i dalej, to znajdziemy, naprzykład, że te wydatki uboczne przy wyżywieniu, które tak śmiesznie są zatytułowane, rozkładają się według naszego preliminarza na rzeczy następujące:

Zakup urządzeń laboratoryjnych, modeli dla instytutu technicznego, doświadczenia z dziedziny piekarstwa — 4000 złotych; zakup urządzeń — 6500 złotych; badania nad konserwacją mięsa i innych środków żywności pochodzenia zwierzęcego — 10000 złotych; studja i doświadczenia nad wprowadzeniem nowoczesnych urządzeń technicznych w dziale żywnościowym — 4500 złotych; modele sprzętu żywnościowego — 1000 złotych; model polowego pieca piekarskiego składanego — 5000 złotych; model kuchni samochodowej — 25000 złotych; analizy żywnościowe — 17000 zło-

tych; dezynfekcja magazynów żywnościowych — 25000 złotych; drobne wydatki, jak opłaty stemplowe, karty rejestracyjne, przesyłki żywnościowe — 5000 złotych. Suma cała wynosi 103000 złotych. Jak panowie widziecie, można to spokojnie nazwać grochem z kapustą, czego bowiem tu nie ma? Modele pomieszczone z urządzeniami laboratoryjnymi, doświadczenia piekarstwa z dezynfekcją magazynów żywnościowych, studja i doświadczenia nad wprowadzeniem nowoczesnych urządzeń z badaniami nad zwalczaniem szkodników zbożowych i tak dalej. Jest to czysty groch i kapusta!

Jeśli weźmiemy specjalną pozycję, związaną ze szkołami i kursami żeglugi powietrznej, to zaczepiona suma wynosi rzeczy następujące: uzupełnienie i konserwacja sprzętu sportowo-gimnastycznego, uzupełnienie biblioteki wypożyczanych filmów, zawodów szkolnych, materiały tarczowe komisji celowniczej, stypendyści na politechnice warszawskiej i zaokrąglenie jeszcze tej sumy w postaci 1760 złotych.

Jeżeli ja przejdę do tytułu *Różne*, to znajduję: doradców technicznych i specjalistów, angażowanych z poza wojska, udział w instytucie naukowej organizacji pracy, badanie stanu i rozwoju przemysłu wojennego zagranicą, opłata prywatnych biur informacyjnych, normalizacja. Przeważają tu wszędzie sumy, nie przewyższające albo 10, albo 20, albo 30 tysięcy złotych. W tych trzech przeczytanych przeze mnie i analizowanych „grochu i kapusty” znajdujemy jedną sumę, przewyższającą 100 tysięcy złotych, to jest 174 tysiące na doradców technicznych i specjalistów, angażowanych z poza wojska dla różnych prac przemysłowych.

wych. Mamy więc pomiędzy 6 punktami zaczepionymi 3 punkty zaczepione, złożone z grochu i kapusty. Ja nie będę, proszę panów, stwierdzał, czy jest dobrze robić w budżecie ten groch z kapustą, a że groch i kapusta są konieczne przy wszelkich pracach wydatkowych i wszelkich pracach administracyjnych, to prawda.

Tedy niepodobna pakować takich drobnych wydatków na jakiegokolwiek wyraźne działy poprzednie i jeżeli się przepakowywa temi drobnymi wydatkami działy większe, to z tego wypada nonsens i nie pozostaje wtedy nic innego, jak te wydatki tak zwane „różne“, tak zwane „inne“ i tak zwane wydatki „uboczne“ pakować w jakąś osobną rubrykę, ryzykując poprostu robienie z tego grochu z kapustą.

Pośród panów, naturalnie, jest wielu ludzi, którzy mają mus wydatkowania większych sum w tym czy innym interesie, który prowadzą, i ci wszyscy wiedzą doskonale, ile grochu z kapustą przy każdym interesie być musi, a cóż dopiero przy interesie, tak złożonym i skomplikowanym, jak praca wojskowa, rozłożona na tyle specjalności i licząca w swoim budżecie aż 800 milionów złotych.

Ja nietylko jestem stronnikiem grochu i kapusty, ile jestem pełen podziwu, dlaczego to panowie posłowie tak są zamiłowani w grochu i kapuście. Skąd ta nagła, tak perwersyjna miłość do grochu i kapusty?

Z 6 punktów zaczepionych, mam akurat 3 groch i kapustę. Taki grochowo-kapuściany pomysł, taki właśnie punkt zaczepienia jest tak oryginalny, że kiedy pracowałem wczoraj wieczorem nad tym

interesem, który tu załatwiam, to zdumiony myślałem o tendencji ludzi, umiejących znaleźć zamiłowanie grochu i kapusty. Panowie posłowie z sejmu poszli jeszcze dalej, gdyż co do wszystkich tych punktów sejm, gdy skreślił tyle a tyle, tyle a tyle, tyle a tyle bez podania pozycji, które właśnie chce skreślić, — to znaczy, że przeszedł do porządku nawet nad grochem i kapustą, to znaczy, że czyniąc nonsens, skrócił go nawet o głowę, jako obiekt nieprzyjemny dla siebie, pozostawiając problem skreślenia poszczególnych pozycji już nie sobie.

Jedyny wyjątek, któremu głowę oszczędzono, to podróże służbowe i przesiedlenia. Jeżeli rozpatrzymy ten dział, który w sumie ma 11496 tysięcy złotych, a w poprzednim budżecie miał 29 milionów, to znajdziemy podział podróży i przesiedleń na następujące działy i paragrafy: djety przy podróżach służbowych o charakterze ogólnym, djety przy podróżach służbowych inspektorów armij przy Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych i inspektorów terytorjalnych; djety przy podróżach służbowych w celach szkolenia wojska; djety z tytułu uczestnictwa absolwentów wyższych szkół oficerskich w wycieczkach taktycznych i krajoznawczych i podróże wyższej szkoły wojennej; djety i kosztą przejazdów w czasie podróży zagranicą; djety członków komisji poborowych i rozpoznawczych; djety członków komisji kontrolnych; dodatki przy przeniesieniach oficerów i podoficerów do szkół i na kursa celem specjalizacji i doskonalenia; dodatki przy przeniesieniach służbowych ze względu na przejściowy przydział do formacji i oddziałów. Wreszcie przesiedlenia

i koszta użycia podwód i pobranych koni podczas ćwiczeń międzydywizyjnych.

Mamy więc masę podziałów i w tym wypadku panowie posłowie nie skracali nonsensu o całą głowę, lecz wyraźnie wybrali te punkty, które mają być zmniejszone. Jedynym z tych punktów jest pozycja z tytułu uczestnictwa szkół oficerskich w wycieczkach taktycznych i krajoznawczych podróży wyższej szkoły wojennej oraz djet i kosztów przejazdu w czasie wyjazdu zagranicę. Jest to praca szkolenia, praca kształcenia. To zostało obcięte o 1041436 złotych.

Wreszcie wydatki przy przeniesieniach służbowych oficerów i podoficerów do szkół i na kursa, celem specjalizacji i doskonalenia. Idzie tu, proszę panów, o pewne musy, związane z awansem oficerów, gdyż awanse nie mogą iść, zgodnie z naszymi urzędzeniami, jeżeli oficer nie przesłucha kursu, przygotowującego do wyższej służby. Nie można dać oficerowi młodszemu kompanji, dopóki nie wysłucha on kursu dowodzenia kompanją, nie można dać dowództwa bataljonu lub baterji, dopóki oficer nie wysłucha kursu dowodzenia baterją, szwadronem albo bataljonem, i nie można objąć pułku, nie mając również poprzednio odpowiedniego kursu, a kursy te trwają nieraz długo i pozbawiają panów oficerów możliwości mieszkania w jednym domu z rodziną, to znaczy, że gdzieś te kursa muszą być urządzone poza tem miastem. Żaden awans nie jest możliwy, dopóki niema pewności, że oficer przeszedł odpowiedni kurs.

Dziwnym więc zbiegiem okoliczności tam, gdzie nadarzała się, tak, jak przy grochu z kapustą, sposobność skrócenia nonsensu nawet o głowę, nie

zrobiono tego, a tam, gdzie chodzi o naukę i szkołę, to tam znaleziono miejsce do skracania i wskazano wyraźnie, że te właśnie punkty mają być zmniejszone, że o milion ma być mniej nauki w wojsku.

Są to poza tem skrócenia, które tu określiłem, a pozostaje mi jeszcze do powiedzenia jedno — wydatek, związany z funduszem dyspozycyjnym ministra spraw wojskowych, i drugie — fundusz dyspozycyjny tak zwany sztabu. Streszczam więc to, co mówiłem w stosunku do tych skreśleń, które rozpatrzyłem. Wszędzie, przy każdej wielkiej gospodarce musi być dział, tytułowany *inne wydatki, różne, uboczne* i tak dalej. I przy administracji wojskowej, zdaniem mojem, to, co jest tu napisane, jest wogóle za małą sumą przy liczeniu na 800 milionów złotych i polega to tylko na tem, że niektóre wydatki udało się wstawić w całość działów i dlatego pozostałość jest względnie niewielka. To znaczy, że wynosi bardzo niewielką sumę 103 tysiące złotych, 61 tysięcy złotych, 240 tysięcy złotych, to znaczy nic prawie przy liczeniu milionami.

Te właśnie skreślenia nietylko szkodzą wojsku, ile szkodzą autorom pomysłów grochowo-kapuścianych, i mógłbym nawet nie bronić tej sprawy, bo te zmniejszenia nic dla mnie nie stanowią. Dodam do tego, wobec porównywania z dawnymi budżetami, że te właśnie działy były poprzednio suto zaopatrzone, dlatego, że „różne” i „inne” najwięcej się nadają do wesołego potraktowania. Więc gdy namyślałem się nad tendencjami tego, to nie wiem, czy tendencja miłości dla grochu i kapusty i pomysłów grochowo-kapuścianych działała w sejmie.

mie, czy też dziwna tęsknota do złotych, dobrych i wesołych czasów, które były dawniej.

Przechodzę teraz do funduszków dyspozycyjnych. Fundusze dyspozycyjne są to te fundusze, z których rachunków się nie składa. Tak określa fundusz dyspozycyjny prawo. Ale fundusz dyspozycyjny musi istnieć, jako fundusz z jednej strony reprezentacji, składającej się niekiedy z kieliszka wódki, a niekiedy i z bardzo bogatej prawdy reprezentacji, to jedno, a drugie — fundusz dyspozycyjny jest najczęściej funduszem, w którym wydatki nie znoszą jawności dlatego, że wtedy straci się istotę i sens pracy. Dlatego, że wtedy straci się istotę i sens prawdy. Fundusz dyspozycyjny, reprezentacyjny ministra spraw wojskowych, jak panowie widzą, zmniejszył się. Z jednej strony zawdzięcza to wojsko mojej osobie, która wogóle nie znosi ciężaru reprezentacji i cofa się od reprezentacji jak najchętniej. Natomiast nie mogę nie powiedzieć, że wojsko musi być reprezentowane w państwie w ten czy inny sposób, dlatego, że tak żyje świat. My nie potrafimy wyrwać się z tych zwyczajów i narzucić światu inny zwyczaj.

Dążenie do reprezentacji wojska jest bardzo silne. Dlatego jest to krzywdą dla wojska, odczuwaną bardzo głęboko. gdy ta reprezentacja jest zmniejszona. Specjalnie ciężką prawdą naszą jest prawda reprezentacji lokalnej pułków, które mają jedno jedyne święto, święto pułków, gdzie się łączą one z przeszłością swoją i gdzie mnóstwo osób, które w pułku służyły, przyjeżdża na święto swego pułku. My mamy bardzo wielki ciężar nie z innego powodu, jak z tego, że pułki wysadzają się zanadto i oficerowie wchodzą natych-

miast w długi na pokrycie reprezentacji swego pułku.

Jest to jeden z wielkich kłopotów zarządów wojskowych, jaki zawsze istniał. Staranie się i naciskanie na to, ażeby reprezentacja nie szła za wysoko, jest stałe i ciągłe, ażeby nie mieć skutków z długami oficerskimi.

Musimy jednak często dopomóc pułkom, specjalnie wtedy, gdy reprezentacja nabiera charakteru nie ściśle rodzinnego, wojskowego, i gdy nie jest to tylko rodzinne zebranie pułku, lecz przychodzi mus reprezentacji wojska i nazewnątrz. Takimi, na przykład, są wszystkie pułki warszawskie, gdzie natychmiast miesza się do fet pułkowych cały świat zagraniczny, uważając to za zrobienie, że tak powiem, komplementu wojsku, i wtedy jest mus podniesienia tego. Jest mus podniesienia wszystkich światów sztandarowych, gdy sztandar daje się pułkowi — sztandar jest dawany zawsze przez Pana Prezydenta, który przyjeżdża ze światą, i znów jest podniesienie, że tak powiem, wydatku normalnego, który pułk znieść musi i który trzeba wyciągnąć do góry.

Reprezentacja wreszcie naszego wojska jest, że tak powiem, licha, to znaczy się — niewysoka i ogranicza się tylko do światów. Otóż, pieniędzy na wszelkie reprezentacje my nie dajemy i dlatego ta cała praca reprezentacyjna wojska jest właściwie za mało wyciągnięta, jeżeli chodzi o samo wojsko. I, powtarzam, ciąży na małości tej sumy nie co innego, jak moja osoba, która, stojąc na czele w wojsku, nie znosi sama reprezentacji i nie chce brać udziału w wielkich reprezentacjach wojskowych. Dlatego też to zaczepienie jeszcze o kwotę 65 tysięcy zło-

tych mogę uważać jako tendencję personalną w stosunku do zarządu wojskiem i nic więcej.

Wobec tego zaś, że jestem przekonany, iż rząd mnie tę sumę zwróci, nawet gdyby sejm zechciał to uchwalić, więc wobec tego ja jej nie bronię. A mógłbym od rządu zażądać, żeby mi cztery razy więcej dano i zawsze rząd mi to wyda. Więc tych 65 tysięcy nawet nie bronię.

Inaczej jest z funduszem dyspozycyjnym sztabu. Fundusz dyspozycyjny sztabu jest jakoby tajemnicą. Wszystkie sztaby muszą mieć fundusz dyspozycyjny na najrozmaitsze potrzeby, z trudem dające się rachować. Pierwsze to są prace wszystkich atachés wojskowych, których liczbę zmniejszałem stale, związane nie z reprezentacją naszej armii gdzieindziej, ale z poznaniem armij innych, nie naszej; tam jest mnóstwo pracy, wyjazdów, objazdów, mnóstwo pracy zaznajomienia się z armją i jej metodami życia i metodami pracy, co wymaga ruchu, a to znów wymaga rewanzu reprezentacyjnego przy przyjęciach. I dlatego ta praca daje nam niekiedy dość dużo, skoro porównamy siebie z innymi armjami, ale jest bardzo kosztowna. Wobec tego, że ministerstwo spraw zagranicznych tego pokryć także nie może, musi to pokryć sztab ze swego reprezentacyjnego funduszu. Jest to bardzo duża część wydatków, a to z tego względu, że, jak powiadam, wszędzie wojsko wyciąga do góry reprezentację i wtedy, gdy idzie o rewanz, on nie może być traktowany lada jako, inaczej pracuje się bezcelowo. To są zwyczaje i obyczaje wojska, jak są zwyczaje i obyczaje sejmu.

Wreszcie druga część funduszu dyspozycyjnego jest skierowana na obronę od szpiegostwa Polski.

Ja, proszę panów, w Polsce pracuję na obronę od szpiegostwa od czasu, kiedy Polska istnieje. Jako Naczelnik Państwa i jako Naczelnny Wódz i późniejszy minister, śmiem stwierdzić ze smutkiem, że niema chwili w życiu mojem, kiedy nie byłem szpiegowany osobiście i, zgodnie z moją dawną wyrobioną pracą oczu, odczuwam to doskonale. Niema zatem ani jednej chwili przez życie moje, pomimo tego, że jestem w wolnej, niepodległej Polsce, ażeby życie moje wyglądało inaczej, niż tak, jak wyglądało za dawnych czasów, kiedy byłem ścigany przez różne psy gończe, jak zając. Szpiegostwo jest tak gęste i tak silne w Polsce, że ja nazywam Polskę rajem dla szpiegów.

Nigdzie bowiem tak łatwo i tak dokładnie nie rozpracowano pracy szpiegowskiej w całym świecie, jak w Polsce. Ja z tem stale i ciągle muszę mieć do czynienia, nietylko dla zdrowia personalnego, ale też dla pracy obrony państwa od szpiegostwa, od zarazy szpiegostwa. Ja świat znam dobrze i stwierdzam, że zaraza szpiegowska jest najbardziej rozpowszechniona nie gdzieindziej — jak w Polsce. Dlatego też te 2 miliony, skreślone z funduszu dyspozycyjnego, uważać muszę wobec tego, że to nie jest tajem, na co fundusz dyspozycyjny się wydaje, lecz jako chęć ułatwiania szpiegostwa w Polsce.

Ja, proszę panów, przeszedłem swoich 6 paragrafów zaczepionych i tem, niestety, zakończyć swoją pracę nad budżetem muszę, gdyż to jest jedynem zadaniem mojem w senacie.

Rozumiem, że wyszedłem poza normy zwykłych określeń, związanych z krytyką działania sejmu, że w moich określeniach przekroczyłem normy,

używane dotąd; czynię to zupełnie rozmyślnie, czynię to zupełnie spokojnie, gdyż jeżeli ja mam wysłuchiwać, sądzić i mieć jako sprawę groch i kapustę, to muszę mieć z tego powodu i niestrawność. To też tę niestrawność konstatuję.

Po tych słowach Marszałka Piłsudskiego przewodniczący komisji, wice-marszałek Gliwicz, złożył następujące podziękowanie: „Wysoka komisjo, panie Marszałku, panie marszałku senatu! Senat, gdzie krystalizuje się dojrzała rozważa narodu, senat ten zarosze miał jak największe zrozumienie dla potrzeb armji, która jest naszą dumą, naszym umiłowaniem i która jest kością z kości naszej. Wysłuchaliśmy z wielką uwagą tych wyjaśnień cennych, które nam tu dał minister spraw wojskowych, pan Marszałek Piłsudski, i które dobrze rozumiemy. Ja osobiście pozwolę sobie dać wyraz kompletnej pewności, że te wszystkie sumy i te wszystkie pozycje, które zostały niesłusznie skreślone w innym miejscu, tu napewno będą restytuowane”.

W odpowiedzi na to Marszałek Piłsudski oświadczył:

— Będę panom bardzo wdzięczny. Przy dyskusji nie będę, zostawiam generała Konarzewskiego i mego szefa gabinetu, pułkownika Becka, dla pewnych wyjaśnień, jeżeli poszczególne punkty będą niejasne, bo trzymałem się tylko tych punktów, które są zaczepione, i nic więcej.

Senator Gaszyński: — A zmniejszenie żołdu?

— Ja mogę złożyć tylko takie oświadczenie: przeciwko powiększeniu budżetu wojskowego występować nie mogę i nie będę, jest to rzecz ministra skarbu i mego szefa gabinetu, pana premiera Bartla; ja przeciw nim także występować nie będę.

DNO OKA

czyli wrażenia człowieka chorego z sesji budżetowej w sejmie.

(7 kwietnia).

W zeszłym roku, gdy zapadłem na niewyjaśnioną chorobę i gdy grupa lekarzy badała mnie ze wszystkich stron, zaglądając w tajemnicę choroby, która mnie dręczyła, nagle jeden z nich tonem zupełnie zwyczajnym zawołał do swoich kolegów:

— Oto zapomnieliśmy, trzeba jeszcze panu Marszałkowi zbadać dno oka, zrobimy to jutro...

Wyznam, że struchlałem, powiedzmy otwarcie — stchórzyłem; nie wiedziałem, że oko ma jakieś dno. Lecz gdy pomyślałem, że moje biedne oko gdzieś w swoim dnie będzie dotykane czy rękami, czy instrumentami, bałem się wprost panicznie takiej operacji. I chociaż pan doktor mówił o tem zupełnie obojętnym tonem, to mnie nie uspokajało. Bo o czem ci panowie lekarze zupełnie obojętnie nie mówią — należy to do ich fachu. Odczucie mego tchórzostwa, do którego otwarcie się przyznaję, było mi niezmiernie przykre i wstydzilem się tego, jak jakieś głupie dziecko. A wiedziałem, że w tej chwili pobiegły już jakieś telefony, zamawiające jakieś nieznanne mi maszyny czy instrumenty, umawiające się o czas, kiedy moje nieszczęsne oko ma być w jakiś dziwny sposób może wyjmowane

z orbity, dotykane jakimiś instrumentami czy rękami. Powtarzam — byłem i przerażony, i zawstydzony tem, że mogę tak stchórzyć. Wstydziłem się pytać dokładnie o tę sprawę, gdyż czułem, że obudzi się we mnie dziki bunt w obronie mego nieszczęsnego oka. Było to może dziecinne i śmieszne, lecz, niestety, tak było. Nazajutrz już rano miałem to badanie. Przyszedłem na to badanie cały spotniały, spotkałem zaś tak miłego doktora w wojskowym mundurze, gdyż badanie odbywało się w szpitalu Ujazdowskim, że to nieco mnie uspokoiło, gdy sobie powiedziałem, że wreszcie, w ostateczności strachu, mogę tego doktora postawić na baczność i nie pozwolę mego oka ruszyć.

Nadzwyczajnie miłe i serdeczne ujęcie sprawy przez doktora i brak jakichkolwiek ostrych instrumentów, co odrazu sobie zanotowałem po obejrzeniu gabinetu, zaczęło mnie uspokajać do tego stopnia, że już bardziej odważnie siadłem na wskazanym mi fotelu, a z zupełnym już odetchnięciem i ulgą usłyszałem wyjaśnienie, że zostawia mnie w zupełnej ciemności z jedynym obowiązkiem nacelowania oka w jednym kierunku i patrzenia przez pewien czas w jakieś śmieszne aparaty, przypominające aparat fotograficzny. „To, to potrafię!...” pomyślałem już z zupełnym spokojem i po kilku chwilach patrzenia w jakieś światełka operacja została zakończona. I poco używać takich strasznych nazw dla prostej zupełnie operacji, i poco niepotrzebnie straszyć ludzi taką okropnością, jak badanie dna oka? Czyż nie można tego zrobić rozumnie bez narażania na strach ludzi?!

Jeżeli tę całą śmieszność, należącą do historii personalnej, anegdotę opowiedziałem, to dlatego, iż

w czynnościach większości sejmu istnieje także to straszne dno oka w postaci Trybunału Stanu. Nigdy dotąd w Polsce pomimo i wielkich nadużyć, nawet powiedzmy łajdactw, żaden minister nie był zaczepiony groźbą Trybunału Stanu, oprócz znanych wielkich brudów, związanych z ministerjum finansów Kucharskiego, które zresztą nie zostały odesłane do prania w Trybunale Stanu, gdyż większość sejmowa z tem się nie zgodziła. Jedynie zacięty poseł Moraczewski, który sprawę przeciwko Kucharskiemu prowadził, został i wyśmiany, i zlekceważony za chęć dotknięcia jakiegokolwiek ministra Trybunałem Stanu. Zdarzyło się to jednak po raz drugi w naszej historii w stosunku do kolegi mego, pana ministra finansów, Czechowicza, człowieka, który pracą swą uporządkował otrzymany w zupełnym nieporządku system podatków i doprowadził swą pracą państwo do tego, że przykładem świecić może wszystkim innym państwom, gdy Polska przy jego zarządzie skarbem dotąd bilansuje swój budżet nie deficytem, lecz przewyżką dochodów nad wydatkami.

Czyżby więc obecny sejm, sięgając do tak wyjątkowych praw, jak Trybunał Stanu, chciał w ten sposób powiedzieć, iż woli brudy i nadużycia, niż uczciwą pracę?

Nie mogę nie powiedzieć także, że ta próba sejmu ma jedną stronę, która zaprzecza wszelkiemu poczuciu najzwyczajniejszej, najprostszej sprawiedliwości.

Byłem wtedy na nieszczęście ciężko chory, tak, iż przypuszczałem, iż jedną nogą stoję po tamtej stronie życia, i dlatego byłem mocno zubożniały na wszystkie zjawiska tego świata. Pamiętam jed-

nak dobrze, że przyjechał do mnie pan Bartel, szef naszego gabinetu, stwierdzając mi początek owej operacji, straszącej Trybunałem Stanu, pytając mnie o moje zdanie w tej sprawie. Odpowiedziałem, że uważam siebie osobiście, jako szefa byłego gabinetu, za odpowiedzialnego za te przekroczenia tak zwanej ustawy skarbowej, które są związane z budżetem inwestycyjnym. Pamiętałem bowiem dokładnie, iż całe moje staranie, bardzo usilne, kierowałem zawsze dla zgwałcenia pana Czechowicza, aby wszystko to, co jest inwestycja, nie szło pod obrady sejmowe. Zawsze bowiem obawiałem się, że wtedy będzie nie inwestycja, ale zgodnie z tradycją sejmu lekkomyślne trwonienie pieniędzy podatkowych. Pan Bartel mi odpowiedział, że on to dobrze rozumie i że nie może także, jako szef obecnego gabinetu, pozwolić na oskarżanie jednego z ministrów bez swojej za niego odpowiedzialności. Dodał przytem, że będąc głównym czynnikiem pracy gospodarczo-finansowej, nie mógł także często nie gwałcić pana Czechowicza, który u nas w gabinecie należał do najostrożniejszych ministrów pod względem funduszków skarbowych. Zakończył zaś krótką wizytę u mnie stwierdzeniem, że zgłosi natychmiast swoją solidarność z oskarżonym ministrem i że będzie żądał raczej Trybunału Stanu dla siebie, niż dla ministra Czechowicza.

Gdy ja myślę o sądach, jako o próbie wymiaru sprawiedliwości, to odrazu stwierdzę, że niema na świecie takiego sądu, któryby się ośmielił znegliżować oświadczenia czyjegokolwiek, że oskarżony nie jest winien, a winien jest oświadczający. Jest to tak zgodne z wymiarem jakiegokolwiek spra-

wiedliwości, że gdyby znalazł się sąd, któryby tej prostej prawdzie sprawiedliwości zaprzeczył, toby otrzymał nazwę nikczemnego sądu, i gdyby w ucieczce od skutków nikczemności schował się w mysią dziurę, to tam jeszcze nadeptać go nogą trzeba, ażeby znikł i zdechł, jako próba wymiaru sprawiedliwości. I czy wezmę najwyżej rozwinięte sądy, jak w anglosaskiej rasie, czy w dzikim i krwiożerczym plemieniu jakichś Zulusów czy Boto-kudów, wszędzie sąd taki byłby nikczemny. Nawet przy krwawych rozprawach sądów wojennych podczas wojen i walk bratobójczych, walk domowych, taka nikczemność nie jest i nie była dopuszczalna. Może jedynie wśród ludożerczych plemion Papuasów, czy innych im podobnych, wybierają przy takich sądach dla wspólnej ucztę tłustszych, a akurat pan Czechowicz był tłustszy.

I gdy pomyślę, co może prowadzić ludzi do tego rodzaju znikczemnienia, to nie mogę nie powiedzieć, że usprawiedliwić i wyjaśnić to znikczemnienie może jedynie przyzwyczajenie do wogóle nikczemności zwyczajów i obyczajów sejmu w Polsce. W tych zwyczajach i obyczajach leży wychowanie posła w sposób najbardziej nieprzyzwoity, najbardziej hultajski, jaki sobie wyobrazić można, gdyż główna myśl i główne staranie tych panów jest zawsze o utrzymanie zupełnej bezkarności posła za wszystkie jego czynności, chociażby najbardziej nieprzyzwoite i najbardziej sprzeczne z najelementarniejszym poczuciem honoru. Polska przecie chowała swych posłów w pierwszym sejmie, tak zwanych suwerenów, w bezkarności zdrady państwa podczas wojny, bezkarności płatnego szpiegostwa w stosunku do armji, będącej w polu

i umierającej za ojczyznę. W drugim zaś sejmie, w którym bodaj połowa posłów pochodziła z owej kuźni zdrady państwa, posłowie wychowywali się w korupcji, tak dalece sięgającej i tak często uprawianej, że głos posła kosztował niekiedy nie więcej, jak 50 złotych. Z tej zaś błotnistej prawdy sejmu wyszło przecie do 110 posłów i w obecnym sejmie.

W tej amoralnej atmosferze, w tej atmosferze *moral insanity*, słabe głowy tak przesiakają swoją niczem nieusprawiedliwioną wielkością, że staje się dość niemożliwym obcowanie z takimi ludźmi, tak, powiedzmy, jak dość trudnem jest obcowanie nawet dla lubiących bardzo dzieci z dziećmi z zakładów poprawczych. Ci panowie, konkurujący wiecznie z jedynym suwerenem państwa, gdyż sami się czują suwerenami, dochodzą w swoim postępowaniu — powtarzam, przy bardzo słabych często głowach — do mniemania, że jeżeli brzuch go zaboli i jest z tego powodu w złym humorze, to to jest najważniejszy wypadek dla całego państwa. A gdy się pan taki zafajda, to każdy podziwiać musi jego zafajdaną bieliznę, a jeżeli przytem zdarzy mu się wypadek, że zabździ, to to jest już prawo dla innych ludzi, a najbardziej dla ministrów, którzy muszą nie pracować dla państwa, ale obsłużyć i fagasować tym zafajdanym istotom.

W sposobie zachowania się wychowanych w *moral insanity* panach jest coś tak bezczelnego i tak zciemniałego pod względem umysłu, gdyż nawet idjotyzm jest bezkarny — a nieszczęsna Polska i to szanować musi — że każdy, cokolwiek rozumny człowiek z trudem wytrzymuje to towarzystwo, gdy wymagają od niego, żeby szanował głupstwa

choćby pluł sobie potem w oczy, żeby milczał, gdy go obrażają, i lizał ich zafajdane ubranie.

Do tego doprowadziło to gwałtowne staranie o bezkarność za wszelką zbrodnię, do tego prowadziło czynienie z sejmu związku zawodowego ludzi chorych na fajdanitis poslinis. I trzeba nie mieć wstydu, zatracić go zupełnie, żeby w tym fajdanitisie poslinim widzieć główny *prestige* sejmu.

Jednym z moich licznych projektów dla uleczenia tego raka życia polskiego była myśl o daniu przed wysłuchaniem ministra korepetytorów dla panów posłów dla nauczania, jak rozumnie stawiać pytania. Lecz porzuciłem tę myśl, gdyż nie wątpię, że panowie posłowie odmówią wycofania części ich gaży dla opłaty korepetytorów i w dodatku przy chorobie na fajdanitis poslinis nie można przecie pedagoga bez różgi postawić dla nauczania.

W tych warunkach praca tych, co krajem rządzą i którzy tyle roboty swojej wkładają w swoje resorty, że praca ich przewyższa najczęściej przeciętnie wymaganą ilość pracy ludzkiej, w tych warunkach — powtarzam — życie takich ministrów z panami, chorymi na fajdanitis poslinis, stać się musi jakąś katogą nie do zniesienia. To też nigdy nie zapomnę określenia jednego z najinteligentniejszych naszych ministrów, że po rozmowie musowej dla niego z panami posłami ma on wrażenie, że wyszedł z menażerji, zapełnionej złośliwymi małpami, załatwiającemi wszystkie swoje potrzeby publicznie i nie starającemi się wcale być podobnemi do ludzi. I, doprawdy, nigdy nie rozumiem, jak w takim fajdanitis poslinis szukać jakiegoś

prestiga'u sejmu, kiedy to tylko obniżenie czołowieczeństwa.

Przy takiej charakterystyce panów z większości sejmowej może i można znaleźć wytłumaczenie tak nienaturalnie skonstruowanej prawdy o sprawiedliwości, jaka była zastosowana w sejmie do pana Czechowicza, z jakimś beczelnym negligowaniem oświadczenia pana Bartla, do czego ja, będąc tak ciężko chory, przyłączyć się nie mogłem. Taka nikczemna sprawiedliwość nie może być wytłumaczona inaczej, jak nabytemi przez dłuższy czas przyzwyczajeniami do ludożerstwa, gdzie wybór pada na tłustszego, tem bardziej, gdy rozporządza workiem złota.

Przechodzę jednak do wrażeń człowieka chorego, który, powtarzam, był mocno zubożniały na wszystko, prócz może własnych dzieci. Pan Bartel, jako szef gabinetu, przyszedł do mnie raz jeszcze na krótką bardzo chwilę, chcąc przed gabinetową radą ministrów wziąć i moją opinię o sytuacji parlamentarnej. Powtórzyłem mu swoje zdanie wyżej wymienione raz jeszcze i radziłem, żeby pan Czechowicz, jako oskarżony, negligował całą sytuację tak dalece, że nie chodziłby na jakiegokolwiek posiedzenia, związane z jego oskarżeniem. Dodałem, iż należy przypuszczać, że budżet będzie odrzucony i że wobec tego musi nastąpić zmiana gabinetu i cały kłopot spadnie na głowę Pana Prezydenta. Prosiłem więc, aby powiedział Panu Prezydentowi, że wydaje mi się, iż wszelkie niebezpieczeństwo życia zaczyna ode mnie się już odsuwać i że Pan Prezydent w zupełności liczyć może na mnie, jako tego, co gabinet poprowadzi.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy nazajutrz, czy w dzień potem, wpadł do mnie pan Bartel, z przerażeniem stwierdzając, że na radzie gabinetowej ministrowie nie dali sobie rady z samym panem Czechowiczem, który chciał widzieć swój honor urażony, gdyby nie stanął do odpowiedzialności, gdy jego właśnie mogą oskarżać o jakieś nadużycia skarbowe. Stwierdził mi, że pan Czechowicz jest tak rozdrażniony i tak się czepia urazu swego honoru, że sesja skończyła się niczem. Wzruszyłem na to ramionami, gdyż gdzież szukać honoru u jakichś małp? Odpowiedziałem jednak, że my nie możemy stanąć w takim razie na innem stanowisku, jak że honor jest zawsze indywidualnie pojmowany i że my w żadnym wypadku honoru swego kolegi narazić nie możemy. W ten sposób stanął pan Czechowicz do rozpraw sejmu. Ja nie chcę urażać honoru pana Czechowicza, lecz doprawdy poco honor w brudnych miejscach umieszczać?

Wyznam, że będąc chorym, przeczytywałem dwa pisma, ot tak, dla zabicia czasu, i dlatego mogę spokojnie postąpić odpowiednio do tytułu, że piszę tylko o wrazeniach chorego człowieka. Albowiem w kwestji zasadniczej oczekiwałem, jako prostej logiki zdarzeń, odrzucenia budżetu panu Bartłowi i więcej myślałem o tem, jak postąpię przy formowaniu gabinetu, niż o detalach pracy panów ministrów w sejmie. Posyłałem codziennie Panu Prezydentowi zapewnienie, że czuję, iż powracam do zdrowia i że z zupełnym spokojem na mnie będzie mógł włożyć obowiązki formowania nowego gabinetu. Nie mogę jednak nie powiedzieć, że różne perypetje, które się zaczęły dziać z panem Cze-

chowiczem w ludożerskim towarzystwie, niezmiernie mnie bawiły.

Po pierwsze wyskoczył tam nagle jakiś Lieberman, jako główny tenor w tej smrodliwej operce. Pan ten ciągle stawiał jakieś tezy, tak, jakgdyby był Lutrem, chcącym te tezy przybić do wrót kościelnych. Gdy starałem się zrozumieć cel i treść tych tez, co kilka dni wyrzucanych na świat, to ani razu nie mógł dojść do ich pojęcia i zrozumienia. Gdym zmęczony chorobą wieczorami niekiedy sobie przypominał tę śmieszna komedję, to zawsze widziałem, jak ten Lieberman występuje, jako fakir, i stwierdza, że on zaraz tak się zakręci, że nóg nie będzie widać wcale, a tylko kręcący się w młynku tułów, lecz zato skądś wydobydzie tezę, która rzuci zdumionemu światu. I widziałem istotnie, jak Lieberman powoli tracił nogi, nie opierając się zupełnie na ziemi, jak widocznymi były poły fraka adwokackiego, unoszące się nad jego brzuchem i odwrotną częścią ciała, i jak to z gęby, to z innych części ciała wydobywał jakieś kulki, rzucając nimi dokoła siebie. Lieberman był to komiczny dyszkan opery sejmowej. Ciężkim zaś i bardzo ciężkim tenorem był niejaki pan Woźnicki.

Ten pan, jak zresztą i Lieberman, już posłuje w trzecim sejmie, jest więc żelaznym posłem i do niego w całej rozciągłości zastosować można to, co mówiłem o chorobie fajdanitis poslinis.

Znałem tego pana oddawna, gdy w pierwszym jeszcze sejmie zajmował stanowisko tak zwanego mego sympatyka. Był już wtedy bardzo ciężki na umyśle, tak, że nieraz rozmowę kończyłem propozycją, aby może zechciał o swoich wysokich myślach pomówić z moją Wandą, wówczas jeszcze

dwuletnią, zamiast rozmawiać ze mną. Gdy zaś stał się już teraz ludożercą, polującym czy na tłuszcz pana Czechowicza, czy na jego worek, to stęzał mocno w swoim umyśle. Przypominam sobie z bardzo dawnych czasów, gdym wypadkowo, zastępując swego kolegę, miał na czemś w rodzaju korepetycji chłopca, chcącego złożyć egzamin z czterech klas gimnazjalnych, i pamiętam dobrze, jak musiałem jemu wyklądać algebrę, która rozpoczynała swą wędrówkę po główkach chłopców już w klasie trzeciej. Osobiście, będąc bardzo zdolnym chłopcem, nie mogłem sobie przypomnieć, aby te początki algebry stanowiły dla mnie jakąkolwiek trudność. Jakież jednak było moje zdumienie, gdym nie mógł tego biednego chłopca przekonać, że jeżeli dodamy do a b , to suma będzie $a + b$, gdyż ten nieszczęśliwiec uważał, że to będzie ab , czyli zmienił dodawanie na mnożenie. Pracowałem nad tem zagadnieniem cierpliwie dwa długie tygodnie codzień, tracąc z dniem każdym cierpliwość i możliwość posiadania jakiejkolwiek względności dla tego biedaka. Biedny chłopak w końcu drugiego tygodnia, przy podejściu do tej tak prostej dla mnie kwestji, zaczynał potnieć tak gwałtownie, że — zdawało mi się — zacznie mdleć. Sama jednak kwestja nieszczęsnej abstrakcji, związana z pojęciem wielkości „ a i b ”, nie udawała mu się ani razu, gdyż jego biedny umysł przerabiał to ciągle na zwykłe litery a i b . A mój kolega nie przyjeżdżał i z obowiązku musiałem to nieszczęście ciągnąć dalej. Wkońcu po dwóch tygodniach straciłem zupełnie cierpliwość i ja, którym nigdy dziecka palcem nie dotknął, zdecydowałem, że jedyną formą nauczania takiego hebesa jest sieć go różgami, tak, by

przynajmniej mechanicznie odzwyczaił się od głupiego mieszania liter z wielkościami matematycznymi.

Ten nieszczęsny biedak żywo mi przypomina pana Woźnickiego, posła z trzech sejmów i ludożercę, polującego niewiadomo czy na tłuszcz pana Czechowicza, czy na jego worek. Naturalnie, zdarzają się takie wypadki, że Wielki Stwórca Świata komuś zapomni zawiesić w głowie latarnię. I cóż na to poradzisz? Czyż można Panu Bogu zaglądać w Jego kuchnię ludzką? A może Wielki Stwórca w Swem miłosierdziu nad naszą biedną i skolataną ojczyzną chciał z tego durnego hebesa stworzyć ilustrację bodaj najjaskrawszą, jak fajdanitis poslinis jest nietylko nikczemnem, ale i idjotycznym. Niewątpliwie wielkie przysłowie polskie twierdzi, że lepiej z rozumnym przegrać, niż z durniem wygrać. Przysłowie słuszne i dlatego fajdanitis poslinis, gdy jeszcze jest piekielnie głupiem, jest najbardziej wstrętnem i obrzydliwym. Bo trudno, latarnia w głowie niezawieszona i może się stworzyć przysłowie „głupi, jak Woźnicki“, ale zato każdy minister ma słuchać z powagą głupstw tego pana, paskudnych jego oskarżeń i ma zafajdaną i zapoconą od wysiłku myślowego zawodowego idjoty bieliznę jeszcze lizać.

Kiedy więc, słuchając przy słabnącej już gorączce radja sejmowego, w którym to komiczny dyszkant Liebermana, to tępy do niemożliwości tenor Woźnickiego się rozlegał, myślałem wciąż, że logicznem zakończeniem tej fajdanistycznej opery musi być odrzucenie budżetu — tymczasem w tej nieodpowiedzialnej a zafajdanej dostatecznie atmosferze i logika nie obowiązuje. Zamach na Czecho-

wicza, który może trochę tłuszczu stracił, lecz worek nie popuścił, został zakończony triumfalnym marszem fajdanów poselskich z protestem nowego prądu, zbawczego dla Polski, a reprezentowanego przez klub bezpartyjny. Natomiast budżet rządu, który się solidaryzował — i ciągle to powtarzał — z oskarżonym przed Trybunałem Stanu panem Czechowiczem, budżet ten został uchwalony i w ten sposób rząd otrzymał tak, jak votum zaufania.

Cała więc sprawa stała tam, gdzie istnieje fajdanitis poslinis, to jest w jakimś błocie. To znaczy marsz triumfalny dla *prestige'u* fajdanitis poslinis, dla jego wielkości i znaczenia, natomiast umizg do jedynego możliwego obecnie rządu może o worek pieniężny. W ten sposób jakoby rośnie *prestige* sejmu i chorych na fajdanitis poslinis posłów. Najciekawszem jest, że rząd, którego główni przedstawiciele solidaryzowali się z oskarżonym, ma teraz dla większego *prestige'u* fajdanitis poslinis organizować Trybunał Stanu na jednego ze swoich kolegów i ma siebie tak zhańbić, jak się zhańbiła większość sejmowa ze swoją sprawiedliwością. Rząd ma się postawić na równi jednakowej ze śmierdzącym fajdanityzmem. Jeżeli, czego bym zresztą w tym wypadku życzył, miałbym być prezesem gabinetu, to oświadczam publicznie, że Trybunał Stanu nie ośmieli mi się zebrać ani razu, gdyż takiej równi z fajdanami ja sobie nie życzę.

Dodatkowy zupełnie przysmaczek, całkiem już oryginalny, o którym się dowiedziałem, jest ten, że do ostatniego posiedzenia budżetowego sejmu, jakby dla upiększenia chorych na fajdanitis poslinis ludzi, ściągano do sejmu jakieś bojówki par-

tyjne. Żałuję mocno, że byłem tak chory, że nie mogłem być czynnym w tym dniu, gdyż nie mógłbym poprostu wytrzymać bez ataku na te bojówki, złożone z bandytów, którychbym osiekl publicznie na podwórzu sejmu. Cóż to za nowe magnaty polskie, zbierające swoje wojska dlatego, by Polska nierządem stała, coż to za takie prawa przyswaja sobie fajdan poselski, żeby bandyckie sfory czynić udziałem w pracach państwowych? Wyznam, że podziwiam pana ministra spraw wewnętrznych, że mógł pozwolić na takie bezeceństwa. Usprawiedliwienie może jedyne ma pan Składkowski w tem, że zastępować musiał chorego szefa gabinetu, lecz osobiście ostrzegam, że fajdanizm w tym wypadku idzie za daleko i że pan fajdan wraz z bandytami może znacznie więcej odpowiedzieć, niż sobie wyobraża, za takie bezecne czynności.

Pomijając ten bohaterski bas bandytów fajdani-
stycznych, cała afera sesji budżetowej skończyła się komizmem, który, jak mówiłem, już jest obrzydliwy i wstrętny. Ośmieszono i znieważono wszystko — i sejm, i rząd, i nieużywane dotąd słowo Trybunał Stanu, wymalowano wszystko na kolor fajdanów. I teraz, gdy niekiedy spokojnie na tę bzdurę patrzę, to jednak przypomina mi się moje biedne dno oka. Ten Trybunał Stanu jest zdumiewająco podobny do dna oka. Przepraszam zaś zgóry jak najmocniej i najsilniej sympatycznego doktora, ubranego w mundur, że go do jakichś fajdanów przyrównuję. Nie chciałbym go w żadnym wypadku tak głęboko obrażać. I, naturalnie, różnica dna oka, tego tajemniczego dna zwyczajnego człowieka, nie może być podobna do stwardniałego

oka, używanego do wszelkich nadużyć i łajdactw, z którymi my mamy do czynienia przy fajdanitis poslinis, oka, które kary żadnej nie chce mieć.

Kto wie, może przy użyciu stameski i młotka, takie dno oka da także jakieś tajemnice, nam dotąd nieznane. A chowane tak gorąco w ciepłe upragnionej bezkarności i nieodpowiedzialności, nawet honorowej, której żądają i życzą stale panowie posłowie, jeszcze raz z zaszczytnym wyjątkiem największego klubu sejmowego, klubu Bloku Bezpartyjnego, gdy zazna odpowiednich instrumentów, może się nauczyć choć wstydu i przyzwoitości.

POŻEGNANIE PROFESORA DOKTORA
KAZIMIERZA BARTLA.

(16 kwietnia).

Panie Kazimierzu! Wśród wielu rzeczy, które przeżyłem w ostatnich latach, ty byłeś tym, który mi najwięcej pomagałeś. Wśród spraw, których dokonałeś, zostanie jedna rzecz, która jest aere perennius — technika pracy państwowej, która dzięki tobie stała się znacznie wyższa, niż dawniej. Polska technika państwowa stała do niedawna na stopniu tak niskim, że brała rozpacz, gdyż była gorsza od techniki najmniejszych państw. Pod tym względem, panie Kazimierzu, stworzyłeś to, że Polska nieraz jest podziwiana pod względem umiejętności rządzenia.

Spotykałem nieraz ludzi, z którymi o rzeczach państwowych rozmawiałem, i po tobie nie umiałem się z nimi zupełnie porozumieć. Nie brali oni pod uwagę tego, że za twoich czasów wiele odskoczyliśmy od tamtych dni, gdy jeszcze najmniejsze państwo było pod względem techniki rządzenia od nas lepsze.

Ty sam może nie doceniasz tej twojej zasługi wobec państwa, a przecież państwo może istnieć tylko wtedy, gdy umie się rządzić. Wyjeżdżasz

obecnie celem poratowania twego zdrowia, twoich nerek, jak mówią ludzie, którzy umieją anatomicznie, po lekarsku badać ustrój. Wrócisz po powrocie twego zdrowia do nas, jak swój, jak kolega.

Niechże zginą twoje „nerwy“, niechże zginą twoje „nerki“!...

W SPRAWIE GENERAŁA MINKIEWICZA.

(8 maja).

Proszę Pana Prezesa Rady Ministrów o zakomunikowanie prasie, co następuje, z powodu zwolnienia przeze mnie dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP).

Przy zwolnieniu generała Minkiewicza zastosowałem formę, która może dać powód do głupich plotek i jeszcze głębszych domysłów i podejrzeń w stosunku do generała Minkiewicza. Dla wyjaśnienia stwierdzam, że zastosowałem tę formę nie z jakiegokolwiek innego względu, jak z tego, że w naszym państwie istnieje zwyczaj, nadzwyczajnie rozpowszechniony wśród ludzi, zajmujących wyższe stanowiska, utrudnienia swemu następcy spełniania swego obowiązku. Czyni się to z wielką łatwością, gdy, uważając rzecz publiczną za prywatną, zabierze się z sobą po odejściu ze służby różne papiery i korespondencje, tak, iż następca ma skutki rozpoczętych poprzednio spraw bez ich początku, i musi poświęcać masę czasu na zrozumienie nieraz małego interesu. Zwyczaj ten nie tylko, że jest bardzo rozpowszechniony, ale doprowadza do zupełnej zatury etyki państwowej, tak, iż dokumenty o państwowem znaczeniu giną zupełnie lub też leżą w ukryciu po najrozmaitszych składach i składzikach u prywatnych zupełnie osób.

Państwo przy tego rodzaju etyce wygląda nieledwie jak publiczny dom i to bankrutujący, z którego każdy wynosi, co chce, i ukrywa, stwierdzając w ten sposób, że mieszka tam jakiś wielki wstyd.

Nie mogę przytem nie zauważyć, że bodaj ja jeden, gdy odchodził ze stanowiska Naczelnika Państwa, nie zrobiłem wstydu swemu urzędowi, lecz zato byłem też i ukarany, gdyż następujące po mnie rządy porozkradały moje papiery, fałszowały moje podpisy, ba! — nawet rozkradały moją prywatną własność.

Jeżeli więc uczyniłem formę oddania następcy pana generała Minkiewicza dość drażliwą dla niego, to nie dlatego, bym generała Minkiewicza o coś złego podejrzewał, lecz dlatego, że nie widzę innego sposobu dla wdrożenia w państwo bardziej uczciwych i bardziej etycznych metod życia.

Minister Spraw Wojskowych

J. Piłsudski.

OŚWIADCZENIE W SPRAWIE MINISTRA
SKARBU GABRIELA CZECHOWICZA.

(4 czerwca).

W związku z protokołem, sporządzonym przez pana u mnie w dniu 27 maja roku bieżącego, przesyłam panu moje oświadczenie w sprawie przekroczeń budżetowych w budżecie za rok 1927/1928.

Historja przekroczeń budżetowych z budżetu, przeprowadzonego przez gabinet pod moim kierownictwem, jest następująca:

Dochody tego roku przekroczyły i przekraczały stale miesięcznie preliminowane w budżecie dochody w wyraźnym nieproporcjonalnym stosunku. Gdy, jako szef gabinetu, starałem się te pocieszające zjawiska zanalizować, przychodziłem zawsze do wniosku, że główną przyczyną tego faktu było: a) usunięcie wielkich nadużyć z pieniędzmi skarbowymi, które się działy przy poprzednich rządach partyjno-sejmowych; b) olbrzymia praca pana ministra Czechowicza, który system podatkowy uporządkował w ten sposób, iż nie było unikań tytułu płacenia podatków przez osoby, chociażby w najmniejszym stopniu protegowane, a wreszcie c) i temu przypisuję nie mniejszą wagę — poprawienia się stanu ekonomicznego kraju, który

zaczyna wychodzić z anarchji i bezładu, z okresu spekulacji i niezdolności jutra.

Oprócz tego zawarta została po długich i żmudnych pertraktacjach przy moim personalnym nacisku pożyczka w Ameryce na dogodnych dla Polski warunkach. Pożyczka ta, tak zwana stabilizacyjna, jeszcze bardziej utrwaliła pewność sytuacji ekonomicznej i zawierała, jako jeden z punktów, punkt, który pozwalał Polsce wydać z tej pożyczki 10 milionów dolarów na inwestycje.

Z tych powodów nagromadziła się w kasie państwowej względnie wielka ilość pieniędzy poza preliminowanymi dochodami. Nie sądziłem, ażeby można było zatrzymać te pieniądze w kasach, nie wydając ich możliwie szybko drogą państwową, w przeciwnym bowiem wypadku nie mogliśmy, jako rząd, dostatecznie silnie zwalczać zgubne zło w naszym kraju, lichwę pieniężną i wszelkie inne. I tylko w ten sposób, wydając pieniądze, osiągnęliśmy ten wysoki rezultat, iż obniżyliśmy bardzo stopę procentową, istniejącą w Polsce.

Gdy więc mus wydawania pieniędzy i przekroczeń budżetowych jest ostatecznie wyjaśniony, przechodzę do formalnego stosunku w tej materji do sejmu.

Gabinet swój ułożyłem w ten sposób, iż odrazu zażądałem od wszystkich ministrów, a więc i od pana Czechowicza, że stosunek do sejmu będzie określany i przepracowywany jedynie przeze mnie osobiście i nikt z ministrów nie ma prawa bez mego na to zezwolenia prowadzić stosunku do sejmu samodzielnie.

Zabezpieczyłem w ten sposób pewność siebie w pracy panów ministrów oraz szybką i względ-

nie sprawną ich robotę i decyzję, bez oglądania się na to, czy komuś to się podoba, czy nie i brałem w ten sposób jedynie na swoje barki całą formalność, wiążącą rząd z sejmem.

W roku 1927 sejmu nie zwołałem wcale, dociągając do końca pełnomocność ówczesnego sejmu bez jakiegokolwiek posiedzenia. W tej zaś sprawie specjalnie nie chciałem wcale szukać jakiejkolwiek opinii sejmu, gdyż uważałem, że sejm ten jest tak splugawiony korupcją i nieuczciwą w stosunku do państwa pracą, iż niepodobna mu oddawać prac większego państwowego znaczenia do rozstrzygnięcia.

Nie mówiąc już o tem, że żadna sprawa, wymagająca szybkiej decyzji, przez sejm prowadzona być nie może, gdyż sama metoda pracy sejmu, nawet przy najlepszych jego chęciach, ze zwyczajami i obyczajami, dotychczas istniejącymi w Polsce, tak każdą sprawę przeciąga, że podlega tylu śmiesznym i nonsensownym formalnościom, iż każdy termin minięty będzie i sprawa rozstrzygnięta nie zostanie.

Dodam jednak, iż pan Czechowicz pomiędzy moimi ministrami stanowił może pod jednym względem wyjątek, iż chciał być najbardziej ze wszystkich w zgodzie ze wszystkimi przepisami, wytworzonymi przez poprzednie życie, i zawsze uważał za swój obowiązek lojalnie mi wskazać na to, iż przekraczam przy swej pracy ten czy inny przepis, lub w jego wyobrażeniu ustawę.

W historii formalnego mego stosunku do sejmu przechodzę do obecnego sejmu, w którym budżet, przedstawiony przeze mnie na następny rok, został przyjęty.

Przy pierwszym spotkaniu się z tym sejmem od razu oceniłem, że większość tego sejmu chce pozostać wierną najwstrętniejszym tradycjom sejmowania u nas i nie chce zmienić — co uważałem za główne — głupich metod swojej pracy.

Dlatego też postanowiłem od razu uniknąć przedłużenia dyskusji budżetowej przez prowadzenie długotrwałej, nudnej i głupio prowadzonej dyskusji nad dodatkowymi wydatkami. Czyniłem to tem bardziej usilnie, iż spostrzegłem od razu, że przy tej metodzie przeciążanie pracą panów ministrów jest tak niezwykle wielkie, iż niepodobna było oczekiwać przy sesji sejmowej normalnej i rozumnej pracy, wobec tego też w samym początku sesji przy zwykłej naradzie o finansach państwa z panem Bartlem, moim pomocnikiem, i panem Czechowiczem, ministrem finansów, poleciłem przeprowadzić rachunek zakończenia roku budżetowego jak najdłużej, tak, aby wszystkie obliczenia, związane z nadmiarem pieniędzy, nie mogły być dokonane w takim czasie, aby się zjawiała konieczność przedstawienia sejmowi budżetu z dodatkowymi kredytami.

Bąłem się wtedy bardzo o jedno, że spóźnię się z rozpoczęciem robót budowlanych, projektowanych na szerszą skalę, i gdy nie będę czynił zawczasu usiłowań do zrobienia szczegółowych kosztorysów i planów, postanowiłem tedy zrobić coś w rodzaju fuszerki, to znaczy wyznaczyć kredyty, że tak powiem, na wyrost, bez ścisłych obliczeń, gdyż unikałem w ten sposób największej fuszerki, jakiejbym dokonał, gdybym spróbował normalnej pracy preliminowania nadzwyczajnych kredytów przez sejm.

Wobec tego, że w końcu sesji sejmowej ciężko zachorowałem, mieszają mi się do pewnego stopnia w pamięci daty tych czy innych rozmów oraz daty tych czy innych decyzji, danych panu Czechowiczowi.

Pamiętam jednak, że nie dopuściłem do naturalnego na czas wykończenia rachunków z ubiegłego już roku budżetowego, że przeciągnąłem w ten sposób możliwość zakończenia obliczeń co do wydatków dodatkowych poza sesją sejmową.

Największą trudnością, powtarzam, było dla mnie rozpoczęcie różnych budowli bez jednoczesnego przytem wyłożenia ich do budżetu.

Dodam na usprawiedliwienie swej fuszerki, w stosunku do państwa ona groźna nie była, gdyż kredytowanie nawet przy przypuszczeniu, że dana praca nie będzie mogła być wykonana, zostawia jednak niewydane pieniądze w kasie państwowej.

Pamiętam jednak, że przy wszystkich rozmowach, które w tym czasie z panem Bartlem i panem Czechowiczem prowadziłem, obaj ci panowie nosili się jednak z zamiarem przedstawienia tych nadzwyczajnych wydatków na uchwałę sejmu i ustępowali zawsze pod moim wyraźnym naciskiem.

Dodam do tego oświadczenie, że nie mogę dostrzec w tem mojem postępowaniu ani jednej chwili, abym przekraczał czy Konstytucję, czy jakąkolwiek ustawę.

Wobec tego, iż pan w rozmowie ze mną podzielił całość tak zwanych przekroczeń budżetowych na dwie całkiem nierówne części, tak, iż w jednej jest wszystko, a w drugiej jest 5 milionów, oświadczam, iż w tej właśnie kwestji 5 milionów, które zostały przelane do mej dyspozycji, jako szefa gabinetu

nie chcę w tej chwili wchodzić in meritum sprawy, natomiast stwierdzam, iż przy żądaniu przeze mnie tych 5 milionów, na co ma pan w aktach mój list do pana ministra skarbu, miałem, jak zwykle i w innych wypadkach, zastrzeżenie, uczynione przez pana Czechowicza.

Nie widzę jednak żadnego powodu, aby te 5 milionów w jakikolwiek sposób się różniły od wszelkich innych wydatków tak zwanych przekroczeń budżetowych.

Na zakończenie podkreślam, że gabinet mój był tak urządzony i tak postawiony przeze mnie, że wszystkie formalności, związane w stosunkach ze sejmem, leżały na mnie jedynie i że żądałem od wszystkich ministrów, ażeby zaniechali czynić te rzeczy na własną rękę, tak, że oskarżenie pana Czechowicza wydaje mi się nietylko nonsensownem, ale i wysoce nieetycznem.

4 czerwca 1929.

J. Piłsudski.

WYCHOWANIE FIZYCZNE DZIECI I MŁODZIEŻY.

(22 czerwca).

Jeżeli wziąłem na siebie referat, związany z wychowaniem fizycznym, to tylko dlatego, że tyczy się to działalności pracy szanownego pana ministra oświecenia. Bałem się, że jeżeli tego nie wezmę, to nie będzie on poruszany. Nie uważam się za uprawnionego do wygłaszania zdania, jako człowiek, który nigdy nie zajmował się wychowaniem fizycznym, ale wygłaszam zdanie, jako człowiek, który reprezentuje interesy dzieci.

To jest pierwsze; natomiast drugą rzeczą jest pewna obawa, którą żywię,—mamy tu do czynienia z rzeczami zupełnie nowymi, zupełnie niestosowanymi w naszym kraju, a wiadomo jest, iż rzeczy nowe łatwo ulegają w Polsce prawom projektorianji i nowości, skąd wynikają wkońcu rzeczy trudne do zrozumienia. I z chwilą, kiedy dotkniemy właśnie szkolnictwa, ta druga prawda urasta ogromnie na znaczeniu. Niema bowiem silniejszego systemu programów, niż w szkole, i nawet wojsko może pozazdrościć tego systemu programów, jaki jest w szkołach.

Podzieliłem swój referat na dwie części; pierwszą częścią są uwagi w stosunku do istniejących prawd wychowania fizycznego we wszystkich szkołach,

które czynię z zupełną śmiałością, jako przedstawiciel dzieci i jako przedstawiciel ujmowania tej sprawy przez dzieci. Drugą częścią jest sprawa podciągnięcia wychowania fizycznego do konieczności wynalezienia pewnego miernika powodzenia w tym przedmiocie, jaki w każdej szkole istnieje dla każdego innego przedmiotu, przy określeniu minimum tego, czego się wymaga.

Nie mogę nie zacząć przede wszystkim od przymusu indywidualizacji, indywidualizacji przede wszystkim dla młodszych klas i młodszych dzieci. Próba ta, jakiegokolwiek upodobnienia w wychowaniu fizycznym do programu, na przykład, łaciny, to znaczy oparcia się na tem, co było przedtem, ażeby iść dalej, nie wytrzymuje zupełnie krytyki w zastosowaniu do dzieci młodszego wieku. Przyglądając się, na przykład, moim pannom, widząc, jak szybko rosną, dochodzę do wniosku, że w ich rozwoju rok do roku jest już tak niepodobny, że trudno dziś stosować do nich te metody, jakie się stosowało przed rokiem. Jeżeli więc wychowanie fizyczne nie będzie zwracać uwagi na ten szybki rozwój, jakiemu podlegają dzieci, szczególnie w młodszym wieku, to stanie się ono dla dzieci czemś nudnem, stanie się wprost dla nich pewnym ciężarem.

Drugą indywidualizacją, na którą bardzo usilnie zwróciłbym uwagę, jest pewna niejednakowość typów wychowania fizycznego w stosunku do większych miast, miast mniejszych i wsi. Dotyczy to zarówno znacznych odległości, jakie dzieci wiejskie, idąc do szkół, przebywać muszą, jak również wynalezienia odpowiednich terenów w większych miastach dla sprawy wychowania fizycznego, co

w przeciwstawieniu do wsi jest rzeczą trudną. Otóż o ile w tych zagadnieniach istnieje pewien brak indywidualizacji, brak ten byłby, zdaniem mojem, ogromnie szkodliwy. I tu obawiam się wprost podciągnięcia pod pewien strychulec sprawy wychowania fizycznego, a nie zapominajmy, iż podciąganie pod pewien przymusowy strychulec szeregu zagadnień jest pewną tendencją szkoły.

Przechodząc do dziedziny tak zwanych dyplomowanych instruktorów, wydaje mi się wogóle wątpliwą konieczność istnienia dyplomowanych instruktorów w niższych klasach, a to z następujących powodów. Wszelka praca wyższa o wyższym znaczeniu pociąga za sobą ogromne obciążenie prawdami formalnemi. I trzeba mieć specjalne zdolności, ażeby z tem obciążeniem dać sobie radę, zabierając się do kształcenia innych, a zwłaszcza dzieci. Dlatego więc dla prowadzenia dzieci młodszych, nawet dla chłopców, wydaje mi się, że w pracy wychowania fizycznego najlepszą jest kobieta, która z natury rzeczy ma dar właściwego podejścia do dzieci i łatwość zajęcia się nimi. Nie należy tu bowiem sięgać do wielkich prawd, związanych u nas z wychowaniem fizycznym, a raczej iść tem, co jest zabawą, ruchem, co jest małym wymaganiem, do czego nie trzeba przykładać zbyt wysokiej miary, związanej z wielkością rzeczy, wykładanych w wychowaniu fizycznym.

I bezsprzecznie łatwiej trafia do umysłów młodszych dzieci umysł, nieprzeciążony zbyt dużą ilością formalnych prawd i formalnych słów, który bierze dziecko tak, jakim ono jest, i który bliżej stoi dziecka, pod względem ilości słów i pod względem ilości pojęć; a przecież o takim właśnie pozio-

mie wykształcenia łatwiej jest dobrać potrzebny kontyngent wykładowców.

Oto moje uwagi. Uwagi te nie są ani krytyką, ani chęcią zmniejszenia wartości prowadzonej pracy. Gdybym wywołał tem samem ze strony pań i panów uwagi pod tym względem w stosunku do pracy w ministerstwie oświaty, byłbym rad niezmiernie. A obecnie przechodzę do innej sprawy, którą uważam za główną i co do której stawiam wnioski.

Mojem zdaniem, w pracy wychowania fizycznego istnieje jedna trudność, bardzo wielka i bardzo daleko idąca. Mówię o szkolnictwie. W szkole trudno jest o postawienie jakiegokolwiek miernika w pracy wychowania fizycznego. Miernikiem tym nie może być zdrowie, gdyż inne warunki, znacznie może cięższe i silniejsze, wpływają więcej na zdrowie, niż samo wychowanie fizyczne. Poprawa zdrowia zapomocą wychowania fizycznego i osobny miernik, uzyskany przez określenie medycznego stanu rzeczy przedtem i potem, jest niemożliwy na ogół do znalezienia i obawiam się, że przy dogmatyce metody szkoły — jeżeli się nie określi miernika, do którego się dąży — z miernikiem tym może być wkońcu tak, jak bywało z kaligrafją w dawnej szkole, kiedy można było mieć z niej złe stopnie, a mimo to przechodziło się z klasy do klasy. Tymczasem wobec panującego w szkołach systemu przechodzenie z klasy do klasy jest dla dzieci rzeczą główną. Główną rzeczą jest liczenie się z faktem, czy można przejść z klasy do klasy. Wkońcu więc w praktyce łatwem może być zlekceważenie tego nieszczęsnego przedmiotu, który uważać będziemy za zbędny, za ową kaligrafję

dawnych szkół, za „dodatkowy“ język, którego można się nie uczyć.

Rozumiem, że w referacie moim robię pewne sprzeczności; z jednej strony obawiam się braku indywidualizacji, z drugiej — boję się braku formy. Muszę jednak zaznaczyć, że myśląc o tym nowym przedmiocie, jakim jest wychowanie fizyczne, który już daje tak piękne rezultaty, boję się, ażeby w swym dalszym rozwoju nie stał się czemś dodatkowym, podczas gdy w istocie winien on być podciąganiem i nauczycieli, i dzieci do pewnych rzeczy koniecznych. Uważam więc wynalezienie tego miernika, o którym mówiłem, za rzecz pierwszorzędnej wagi i dlatego przygotowałem wniosek, w którym proszę, aby Rada Naukowa określeniem tego miernika i określeniem minimum, o którym mówiłem, się zajęła. Miernik i minimum. A więc dwa wnioski, w związku z czem będą utworzone może dwie komisje.

1) „Rada Naukowa wyznaczy komisję dla próby ustanowienia miernika powodzenia w wychowaniu fizycznym szkolnym na równi z innymi wykładanymi przedmiotami“.

2) „Rada Naukowa wyznaczy komisję dla ustalenia minimum wysiłków, osiąganych przez wychowanków i wychowawców w wychowaniu fizycznym, przyczem minimum musi być ustanowione odpowiednio do wieku, a to z tego względu, iż w niższych klasach trzeba iść z każdą klasą oddzielnie“.

Streszczam, co powiedziałem. Zacząłem mój referat dlatego, by wysłuchać pod tym względem uwag możliwie szerokich w stosunku do prac szkolnych. Osobiście obawiam się dla szkoły dwóch rzeczy, związanych z wychowaniem fizycznym — jednej

to jest zbyt małej indywidualizacji przy zbyt strychulcowym prowadzeniu pracy, drugiej — braku norm i celów, które się stawia wychowawcom do osiągnięcia w ciągu jednego roku. Uwaga zaś moja skierowana jest przede wszystkim w stosunku do młodszych dzieci, by nie stosować względem nich wymogów, związanych raczej z intelektualnym wykształceniem, a dokonywać natomiast większych rezultatów przez umiejętne obchodzenie z dziećmi. Oto wszystko.

LIST DO MERA MIASTA VERDUN.

(23 czerwca).

Szczerze wzruszony zaproszeniem Pańskim na uroczystości zakończenia odbudowy i inauguracji pomnika Zwycięstwa i Żołnierzy bohaterskiego Verdun, zawiadamiam Pana, iż tylko z racji nawału pilnych spraw bieżących na uroczystość tę przybyć, niestety, nie mogę.

Przesyłając na ręce pańskie moje najserdeczniejsze pozdrowienia dla tego miasta, które swą bohaterską obroną nowymi wawrzynami nieśmiertelnej chwały okryło sztandary Francji, proszę o przyjęcie również najlepszych mych życzeń dla miasta Verdun w imieniu wojska polskiego i mojem, jako obywatela honorowego.

OŚWIADCZENIE PRZED TRYBUNAŁEM STANU.

(26 czerwca).

Proszę panów! Niestety, zacząć muszę od samego Trybunału Stanu, albowiem muszę zacząć od ustawy o Trybunale Stanu i muszę zwięzać Trybunał Stanu, ustawę, z panem Czechowiczem, ministrem skarbu, z którym miałem zaszczyt pracować, oraz z samym sobą.

Wybaczą panowie, że dopiero wczoraj dotknąłem się do tej ustawy, po raz pierwszy przejrzałem ją i przeczytałem. Jeżeli będę mówił o Trybunale Stanu i jego ustawie, to nie chcę najzupełniej, aby panowie brali cokolwiek do siebie, albowiem nie panowie tworzyli tę ustawę i nie panowie ją fabrykowali.

Wczoraj akurat byłem w sytuacji zupełnie trudnej dla siebie, albowiem byłem zniechęcony do wszystkiego, i dlatego w tym, że tak powiem, złym humorze, przeczytałem ustawę o Trybunale Stanu. I wyznam panom, że gdy przeczytałem artykuł 1-szy o Trybunale Stanu, to wybuchnąłem śmiechem, albowiem konstrukcja tego artykułu 1-go, na który powołuje się oskarżenie, jest tak oryginalnie zabawna i tak oryginalnie koncypowana, że wyznam, iż nie śmiać się nie można. Ja ją przeczytam tak, jak sam przeczytałem: „Minister od-

powiada konstytucyjnie przed Trybunałem Stanu za działania i zaniechania, wynikłe z winy umyślnej lub nieumyślnej, którymi w zakresie swego urzędowania lub też ogólnego kierunku działalności i polityki rządu, naruszył Konstytucję Rzeczypospolitej lub inną ustawę, naraził państwo na niebezpieczeństwo lub interesom państwa oczywistą i znaczną wyrządził szkodę.

Na tych samych zasadach minister odpowiada za działania i zaniechania prezydenta Rzeczypospolitej, albo zastępującego go marszałka sejmu, a nadto we właściwym sobie zakresie urzędowania za działania i zaniechania podległych organów, a w zakresie ogólnego kierunku działalności i polityki rządu także za działania i zaniechania Rady Ministrów oraz innych ministrów, jeżeli owych działań lub zaniechań stał się bezpośrednio winnym lub dopuścił się do nich z winy umyślnej lub nieumyślnej“.

Jeżeli panowie przejrzą to bogactwo określeń i bogactwo pojęć, rzuconych do tej ustawy, jeżeli panowie zechcą porównać to z ubóstwem tych pojęć w Konstytucji, związanych z działalnością ministrów, to znajdziecie, że w działalności ministrów w Konstytucji niema tych pojęć, które tutaj są zawarte, i że one wszystkie są ogólnikowe. Rzecz tak literacko napisana, że dwa słowa muszą stać obok siebie, na przykład, „ogólny kierunek działalności“, co jest użyte w Konstytucji, obok zaś stoi, dla zaciemnienia sprawy, „polityka“, co jest rzeczą bardzo względną, każdy mówi o polityce, każdy mówi inaczej. Jeżeli panowie weźmiecie, że minister nieznaczne szkody państwu czynić może, a tylko znacznych czynić nie może,—pojęcie bardzo ogólne i nie znaczące. Jeżeli zestawicie wszyst-

kie urzędy, które tu są wymienione, to ja się zastanawiałem ciągle nad panem Czechowiczem, który jest oskarżony, co ten nieszczęśliwy człowiek zaniechał: „organy“ z „marszałkiem sejmu“ — „znaczne szkody“, z „prezydentem Rzeczypospolitej“. Wszystko jakieś tak skoncypowane rzeczy, że one podstawy myślowo-prawnej dać nie mogą. A czegoż ten pan Czechowicz zaniechał?

W akcie oskarżenia jest, że zaniechał sejmu. Ale sama ustawa o sejmie nie mówi, zatem — pozwala na zaniechanie sejmu. Ja też, jako szef gabinetu, to czyniłem stale. Niema za co mnie ganić, należy chwalić.

Jest ta ustawa partactwem pracy — można w niej znaleźć wszystko, ale nie można znaleźć sensu. Podobne to jest raczej do dziennikarskiego artykułu, niż do prawnych koncepcyj.

Ja rozumiem, proszę panów, że panowie, jako Trybunał Stanu, z tego powodu macie dość ciężkiej pracy, by wybrnąć z nonsensu, zrobionego bez was, bo rzucono wam ten nonsens do zgryzienia i zrobiono z was tak, jakgdyby prawdę prawną w bezprawiu pojęć, które tu są rzucone. To jest rzecz trudna. Dlatego też, mówiąc o Trybunale Stanu, zwracam się odrazu do was, żebyście umieli potrafić z rzeczy śmiesznej robić rzecz nieśmieszna, gdyż ustawa o Trybunale Stanu jest śmieszna.

Nie mogę panom nie powiedzieć mego zdania, że pod tym względem Trybunał Stanu i jego ustawa jest zbudowana tak, jakgdyby stała a parte od Konstytucji; z Konstytucją nie wiąże ją dużo, a natomiast jest tak rzucona na bok, jakgdyby nie mogła stanowić jakiegokolwiek obowiązku dla kogokolwiek.

Proszę panów, muszę natomiast ze smutkiem powiedzieć, że dzielicie pod tym względem los całej Polski. Jeżeli taka partacka robota, związana z Trybunałem Stanu, z jego ustawą, należy do rekordów śmieszności i głupoty, to, niestety, cała Konstytucja jest robiona w ten sposób. Jedne działy przeczą innym działom, paragrafy przeczą paragrafom i nawet część paragrafów przeczy ich reszcie. Wygląda to niekiedy, proszę panów, tak, że Konstytucja zbudowana była w ten sposób, ażeby każdy mógł sobie znaleźć wszystko, co chce, w tej nieporządnej prawdzie Konstytucji.

Ja, proszę panów, znany jestem z tego, że zdecydowałem się pracować i rządzić, występując przeciwko tym bezeceństwom sejmu, który brał na siebie ustawicznie nie co innego, jak suwerenność w pracach państwowych, kiedy suwerenem jedynym jest prezydent Rzeczypospolitej. Ja występowałem przeciwko sejmowi i ani razu nie naruszyłem Konstytucji, albowiem we wszystkich pracach swoich znajdowałem paragrafy, jakiegokolwiek chcieć, ażeby zaniechać sejmu.

Są suknie od stanu i do stanu i są trybunały od stanu i do stanu, szanowni panowie! Wy macie nie-szczęście być Trybunałem od Stanu, który stanu nie ma. Niestety, Polska odziana jest w szatę konstytucyjną także od stanu, która jest budowana tak nonsensowo i tak sprzecznie, że, niestety, często to, co ludzie trzymają odkryte, tu jest zakryte, a to, co jest wstydliwie chowane, tu jest obnażone.

Nie chcę wchodzić w historję naszej Konstytucji. W owym czasie byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem i wiem, co za panowie czynili tę Konstytucję, panowie, którzy zasługiwali

na szubienicę raz po raz. Jedną z hańbiących spraw naszego życia jest nasz pierwszy sejm i ten nonsens, zrobiony historycznie, trwa dotąd, ubliża on Rzeczypospolitej i czyni hocki klocki z Polski.

Przechodzę, proszę panów, do aktu oskarżenia. Ten także czytałem dopiero wczoraj, albowiem, przyznam się, bzdurstwami sejmu nie lubię się zajmować. Pierwsza rzecz, która mi się rzuciła w tej elukubracji, jest to pierwszy paragraf, który przyswaja sobie prawa nieboszczyka. Pierwszy bowiem paragraf dotyczy się ubiegłego sejmu, który z chwilą, kiedy skończył swoje pełnomocnictwa personalne, skończył swoje prawa.

I przyswajanie sobie praw nieboszczyka przez teraźniejszy sejm, jest — zdaniem mojem — nonsensem. Jeżeli ci panowie wolą być nieboszczykami, to dlaczego nie zastosować do nich praw, związanych z pierwszym sejmem. Ja spokojnie ich powieszę i zastosuję prawa, im należne. Ludzie, którzy zdradzali państwo podczas wojny, ludzie, którzy nikczemne targowisko z Polski czynili, nie zasługują podczas wojny inaczej, jak na śmierć, — niechże nieboszczyków nie wołają. Natomiast, proszę panów, jeżeli wezmę wywód, zrobiony w stosunku do pana Czechowicza o zaniechanie sejmu, to zwrócić muszę uwagę nie na co innego, jak na to, że taka czy inna praca, związana z sejmem, nie należała do zakresu działań pana Czechowicza.

Artykuł 56 Konstytucji stwierdza, że każdy minister w swoim zakresie ponosi odpowiedzialność. Prawda, że artykuł Trybunału Stanu robi ministra odpowiedzialnym i za Radę Ministrów, czyniąc go niejako wyższym od Rady Ministrów, a nie mówi o szefie gabinetu. W każdym razie w zakresie pana

Czechowicza nie był stosunek do sejmu. Ten stosunek do sejmu brałem ja sam na siebie i wyznam panom, że dumny jestem ze swojej pracy i nie znajduję w sobie nietylko winy, ale zasługę, że przeciw sejmowi szedł, że sejm ukrócił i sejmowładztwo usunął.

Nie mam pod tym względem żadnego wstydu. Ale pan Czechowicz ma swój zakres pracy — zakres zaś pracy w stosunku do sejmu jest jedynie mój. Ja jeden miałem odwagę tę w państwie, że spokojnie wziął na siebie zadanie, którego inni podejmować się nie śmieli, zadanie ukrócenia suwerenności sejmu w stosunku do prezydenta i w stosunku do rządu.

Nie mogę nie powiedzieć, że w systemie oskarżenia pana Czechowicza w tej mierze widzę chęć sfalszowania prawdy historycznej, zrobienia sobie wstydu, a mnie ubliżenia.

Jest to próba mordu rytualnego, popełniona na człowieku, który odpowiada za nieswoje czyny. Ja nie mogę nie powiedzieć, że ten system jest nieczny i niktzemny. Artykuł 56 czyni zakres działania, mówmy, jaki chcąc, byleby był ten zakres działania. Ja zaś za siebie, w gabinecie, prowadzonym przeze mnie, brałem wszystko to, co odnosi się do sejmu, na swoje barki. I wyznam, że to tem bardziej wygląda mi na mord rytualny, nieczny i niktzemny, gdy chodzi o człowieka, który stale był pomiędzy nami wszystkimi najbardziej, że tak powiem, sejmowym człowiekiem. Nie chcę wchodzić w motywy pana Czechowicza, nie chcę wchodzić w jego pobudki, lecz on był najbardziej jeżeli nie zgodny z sejmem, gdyż to jest trudne, to był najbardziej, że tak powiem, zwracający uwagę na

wszystkie rzeczy, związane z prawnym, według niego, stosunkiem do sejmu. Zawsze we wszystkich wypadkach na wszystkie ustawy się powoływał, zawsze ich szukał, zwracał uwagę, ostrzegał mnie personalnie dziesiątki razy. Dlatego też mord rytualny, który oskarżyciele chcą zrobić na pana Czechowicza, zdaniem mojem, jest niecznym, niktzemnym i niskim.

Ja zwrócę uwagę panów przytem, że akt oskarżenia, zawierający spis najrozmaitszych przekroczeń budżetowych, zwraca specjalnie uwagę na punkt, związany z 8 milionami w sumie, rzuconej na moją dyspozycję, jako szefa gabinetu. Dobrze sobie przypominam tę chwilę, gdy to uczynił, i pamiętam dobrze, że nie chciałem mieć za sobą nawet uchwały Rady Ministrów, chciałem wziąć to na siebie w całej pełni, nie chcąc nikogo z Rady Ministrów wciągać do odpowiedzialności, któraby mogła być cięższą, gdyby wybory wypadły inaczej, niż wypadły. Potwierdzam tu raz jeszcze nie co innego, jak stan w gabinecie, gdyż ja przypominałem panom ministrom o ich zobowiązaniach, wziętych w stosunku do mnie, że oni nie biorą na siebie pracy z sejmem. Cała praca z sejmem leżała na mnie. Ja rozmyślnie to silnie podkreślam.

Proszę panów z Trybunału Stanu! Ja nie mogę nie przemówić do panów z chęcią wejrzenia, że tak powiem, w motywy i pobudki, które kierują ludźmi. Nie chcę pod tym względem robić *plaidoyer* obrońcy, chcę jednak wtedy, gdy motywy i pobudki w sądach bierze się pod uwagę, chciałbym, żebyście panowie wzięli pod uwagę motywy, pobudki i przyczyny, które zrodziły ten komizm sejmowy z tym aktem oskarżenia.

Ja nie patrzę na rzeczy tragicznie, raczej skłonny jestem do komizmu. Proszę panów, pobudką, przyczyną i istotnie głęboką prawdą jest metoda pracy w sejmie. Proszę panów, miałem wielu przyjaciół serdecznych i bardzo przeze mnie kochanych, którzy zasiadali na ulicy Wiejskiej, i byłem zdumiony, jak szybko następuje u nich zaciemnienie umysłu, jak szybko stają się oni czymś w rodzaju ludzi, mających aberację, błędne widzenie, daltonizm specjalny. Stawali się oni ludźmi, uważającymi, że rozmowa bez kłótni dwóch panów z sejmu przy stoliku w kawiarni jest wypadkiem większej wagi, niż trzęsienie ziemi w Tokio, że to jest główna praca myślowa, którą ludzie mają się zajmować. Z podziwem oglądałem takie zciemnienie umysłów, następujące tak szybko u ludzi, wchodzących na ulicę Wiejską. Nie trzeba zatem rzeczy tych brać tak tragicznie i trzeba spokojnie osądzać tę pracę.

Proszę panów, widziałem niedawno zabawkę bardzo zabawną. Boję się nieco obrazić panów uszy, gdy powiem jej nazwę, gdyż nazywa się ona w handlu „pierdołką”. Zabawka przedstawia człowieka o odpowiedniej tuszy, ze skróconymi najzupełniej kończynami, mającego dwa otwory, jeden otwór pod nosem, a drugi na odwrotnej stronie medalu. Urządzona zaś ta zabawka jest w ten sposób, że gdy postawi się ją lub położy w jakiegokolwiek pozycji, to zaczyna przemawiać obu otworami i zaczyna tak szybko się poruszać, że przedtem dźwięki, łapane osobno, zaczynają zlewać się w przecudną kakofonję, tak przecudną kakofonję, że nieraz, gdy puszczałem w ruch tę zabawkę, to wydawało mi się, że jednak zdążę złapać jeden dźwięk

grubszy i drugi dźwięk cieńszy w tej potwornej kakofonji zabawki. Nie uchwyciłem jednak pomimo przysłuchiwania się i pomimo prób wielu ludzi, którym pokazywałem tę zabawkę, ani razu nie udało mi się i ani razu nie znalazłem człowieka, któryby znalazł różnicę pomiędzy obu otworami.

Proszę panów i prześwietny Trybunale, gdy zechcecie szukać, a to wam się może przydać, motywów i wytłumaczenia tego komizmu, który w sejmie robią, tych rekordów partactwa pracy, które oni czynią, to zróbcie próbę sami, stańcie się na chwilę tą zabawką. Przyjąć taką pozę łatwo i pokiwać się także łatwo. Dla nowicjusza, jestem przekonany, wystarczy pięć minut, ażeby zapomnieć imienia ojca i matki, dla fachowych — toż oni się pierdołą miesiącami, toż oni zatracają na tyle wszystkie pojęcia, że mogą zapomnieć nawet swoje nazwisko! To jest, proszę panów, tłumaczenie mądrości całego aktu oskarżenia, całego komizmu pracy waszej i całej przeklętej pracy Polski, która w tym komizmie sejmowym kręcić się dotąd, niestety, musi.

Proszę panów, kończę. Mówię nie dlatego, bym chciał kogokolwiek obrazić, gdyż nie mogę znaleźć tak śmiesznego paragrafu, jak paragraf o zaniechaniach, gdzie pojęć jest tyle do zaniechania, a tak mało w tem sensu istotnego, z czem wy będziecie mieć do czynienia w tej tragedji sprzeczności sukni, w którą Polska jest ubrana, i w tej śmieszności sytuacji, która jednak na was ciąży, że rząd, prowadzony przez największego człowieka w Polsce, którego ręce non olent tak, jak wasze, może być oskarżony i otworzyć sobą pierwsze posiedzenie Trybunału Stanu.

Ten komizm historyczny! Moje ręce w Polsce zaczynały wiele rzeczy i dumny jestem, że zostawię w Polsce prace, które przejdą wieki, — z tego rozpoczęcia pracy Trybunału Stanu dumny nie jestem, tak, jak przypuszczam, i panowie. Natomiast komizm jest olbrzymi, komizm ten zaś niczem innym wytłumaczony być nie może, jak tem nieszczęsnem zaciemnieniem umysłu sejmowego, które musi nastąpić w bardzo nieprzyzwoitej zabawie, trwającej miesiące.

Ja nie mam nic więcej do powiedzenia, chcę jednak podkreślić niecność rytualnego mordy, dokonanego z fałszerstwem prawdy historycznej na pana Czechowiczu, który był, powtarzam, najbardziej skłonny do pracy, chociaż ciężkiej i bardzo dla niego męczącej, w stosunku do wszystkich bzdurstw sejmowych, wtedy, kiedy miał przeszkodę zawsze we mnie, który tego nie chciałem. Skończyłem.

LIST NA ZJAZD LEGJONISTÓW W NOWYM SĄCZU.

(6 sierpnia).

Kochani Koledzy i Towarzysze broni! W tym roku, niestety, przybyć na doroczne święto legjonowe nie mogłem. Muszę wyzyskać sierpień na mój urlop zdrowotny i muszę zatem wyrzec się przyjemności pobytu między Wami, co stało się zwyczajem moim, jak i Waszym. Tak się już przyzwyczaiłem, że rok po roku staram się obudzić w sobie, jak i w Was, wspomnienia naszej wspólnej pracy, naszych wspólnych bólów, bojów i trudów, tak, jakgdybym, jak ongiś, przy ognisku wieczorem siedział i mógł tak gwarzyć i myśleć, jak się gwarzyło, myślało i marzyło kiedyś. Dodawałem w ten sposób roku każdego cegielkę pod budowę historii dla nas, historii, nie tej kłamanej i fałszowanej, a tej, co prawdę głosi i o sprawiedliwość woła. Gdy zaś nie jestem w stanie przemawiać, zdecydowałem chociażby napisać, by zwyczajowi zadość się stało. W służbie naszej przeszliśmy niemało. Wstydów, nam zadawanych, przeżyliśmy niemało, wstyd zaś najcięższy, wstyd pałacy nosiliśmy nie od kogo innego, jak od Polaków. Ileż to razy w przeciagu naszego istnienia, jako legjonistów, ze złością mówiłem i powtarzałem silny wiersz wielkiego poety: „Niewolnicy, gorzej — słudzy niewolników!“ Przeciwnam, przeciwko naszym dążeniom, wyrzucano

zawsze płatnych, najętych Polaków, których zawsze posiadano dostateczną ilość, tak, aby ci — nie sami zaborcy — handlowali dla swojej korzyści czy kariery naszą krwią na łuty i funty. A ile razy ja, jako Wasz wódz i przedstawiciel, szukałem jakiegokolwiek siły, chociażby nikłej i słabej, lecz polskiej, dlatego, aby jak najsilniej podkreślić, że służymy tylko Polsce, a nie zaborcom, tyle razy byłem sprzedany także na łuty i funty dla uzyskania protekcji u tych, co byli płatnymi i najemnymi Polakami. Kiedy zaś pomyślę, że już w państwie polskim podczas wojny działa się akurat to samo, prawie z fotograficzną ścisłością, powtarzam to zawsze, przychodzę do mojej syntezy, moich syntez, naszej i własnej historii. Gdy więc myślę o pięknie prawdy historycznej, gdy myślę o bohaterstwie, zawsze przy porównaniach historycznych stwierdzam, że konkurencję wytrzymać możemy z najpiękniejszymi przykładami w historii i własnej, i ludzkości. Gdy zaś myślę o otoczeniu tego piękna i tego bohaterstwa, to bardziej nędznego i pozbawionego honoru i godności otoczenia trudno wynaleźć. W większości naszego narodu, gdyśmy w szlachetniejszy metal dzwonili, gdyśmy kusili pięknem i bohaterstwem, mieliśmy co najwyżej westchnienie, niekiedy głupie łezki. Większość zaś odwracała się od nas ku tym, co sprzedajnym łajnem byli, co rozłajdaczne pyski hardo nosili — jako ku autorytetom być może brzydkim, lecz rozumnym i praktycznym. Poparcie znaleźli oni — potworki ludzkie — nie my. Przyjmijcie, kochani Koledzy, ten list, jako przyczynek do naszej historii.

Józef Piłsudski.

GASNĄCEMU ŚWIATU.

(22 września).

Naprzód ad rem. Gdzieś w czerwcu, gdyż ściśle daty nie mogę sobie przypomnieć, zgłosił się do mnie pan Daszyński, marszałek sejmu polskiego. Gdy go zapytałem, czemu mam zawdzięczać jego wizytę, rozpoczął od długiego, bardzo nieudolnie skonstruowanego opisu niezwykle rozpaczliwego stanu kraju pod względem finansowym, ekonomicznym i gospodarczym. Gdybym był naiwny albo bardzo, bardzo nierozsądny, tobym popaść mógł w wielką rozpacz z powodu zbliżającej się pełnej ruiny Polski i jej z tego powodu zguby. Następnie zaś zauważył, że po powrocie swoim z zagranicy spostrzegł w obozie socjalistycznym wielką zmianę, polegającą na tem, iż wielu z jego partyjnych towarzyszy, dotąd nieprzyjaźnie względem rządu usposobionych, staje się jego zwolennikami i nie chce dalej prowadzić taktyki bezpłodnej opozycji. Zauważył dalej, że po zjeździe „Wyzwolenia“, gdzie nie wybrano do zarządu partji wszystkich zdecydowanych nieprzyjaciół rządu, — zacytował przytem pana Thugutta, — nie można nie widzieć także i w tem stronnictwie jakiejs przemiany, analogicznej do tego, co mówił poprzednio o socjalistach. Jako wywód z tego, z czem do mnie wystąpił, dał swoje przypuszczenie, iż może stan ten daje możliwość uformowania stałej większości parlamentar-

nej, złożonej z Bloku Bezpartyjnego oraz stronnictw socjalistycznego i „Wyzwolenia”. Usunęłoby to, zdaniem jego, różne niedokładności życia państwowego polskiego. W odpowiedzi na to zakomunikowałem panu Daszyńskiemu, iż nie będąc szefem gabinetu, wolałbym tę rozmowę oddać w ręce premiera, pana Świtalskiego, sądząc, że on łatwiej, niż ja, zająć się tem jest w stanie, poradziłem mu również w sprawie Bloku Bezpartyjnego skierować siebie drogą naturalną — do pana prezesa tego klubu, pana Sławka. Tak się w czerwcu rozpoczęła historia, której zakończenie mamy obecnie.

Naturalnie, z całą lojalnością zakomunikowałem zarówno panu Świtalskiemu, jak i panu Sławkowi całość tej rozmowy czerwcowej. Wobec zbliżającego się urlopu wypoczynkowego pana premiera oraz lipcowego i sierpniowego zacisza politycznego, pan premier po rozmowie ze mną zdecydował odłożyć swoje kroki na czas września, o ileby sam pan Daszyński nie wystąpił z dalszemi krokami w tej sprawie. W ten sposób sprawa się przeciągnęła prawie do końca sierpnia, gdy się kończył i mój urlop wypoczynkowy. Przy rozmowie, jaką miałem w Druskienikach z panem premierem Świtalskim, zdecydowaliśmy podjąć inicjatywę z naszej strony, ze strony rządu, w takiej formie, aby w nieoficjalnej rozmowie w ważnej państwowej sprawie móc stwierdzić, czy owa zmiana, zapowiadana przez pana Daszyńskiego poprzednio, ma jakąkolwiek podstawę racjonalną i czy można liczyć na jakąkolwiek rzeczowość jakiegokolwiek dyskusji. Wobec zbliżającej się sesji zwyczajnej sejmku, związanej z budżetem państwowym na rok przyszły, zaproponowałem, aby jako tą sprawą ważną

dla państwa, któraby była sprawdzianem możliwości rzeczowych dyskusyj w sejmie, była wybrana praca nasza, rządowa nad tym budżetem. Już w ogłoszonym *exposé* pana ministra finansów uderzać muszą pewne nowe, związane z obecną sytuacją finansową państwa, nowe nuty i nowe poglądy. Uważałem, iż przygotowanie zawczasu opinii różnych panów w sejmie da może możliwość uniknąć bezpłodnych dyskusyj, łamania drzwi otwartych i dziwacznych ekscesów, tak cechujących niesmacznie i niezdrowo wszystko to, co w sejmie się odbywa podczas dyskusji nad budżetem. Nie przypuszczam bowiem, aby przy braku zupełnym rzeczowości w mówieniu, można było mówić poważnie o czemkolwiek bądź, tem bardziej zaś o jakichkolwiek zmianach w polityce rządu, który już czwarty dobiegający rok idzie jedną i tą samą drogą, wzmacniając siły i powagę państwa nazewnątrz i wewnątrz. Takim więc był drugi etap rozpoczętej już przez pana Świtalskiego pracy dnia 4 września niniejszego roku.

Co do mnie osobiście, miałem według ułożonego z panem Świtalskim planu zabrać głos, jako drugi, po panu Matuszewskim, przed rozpoczęciem dyskusji z panami z sejmku. Znanem już jest *exposé* pana Matuszewskiego. W pierwszym więc rządzie chciałem podtrzymać krytykę pana Matuszewskiego systemu budżetowania państwa. Pan Matuszewski opuszczał bowiem w dyskusjach ze mną najważniejszy, zdaniem mojem, argument, mianowicie — niemożliwość budżetowania każdej funkcji państwowej tą samą zupełnie metodą, gdyż wtedy budżet nie odpowiada najzupełniej treści pracy i nie daje możliwości zorientowania się w kierunku pracy

każdego z ministrów. Prowadząc ministerjum spraw wojskowych, które zabiera prawie trzecią część naszego budżetu, przekonywałem się stale, że gdy sam chcę mieć swoją orientację, muszę odrzucić na bok całą książkę i przerabiać budżet na nowo.

Sekretem bowiem naszego budżetowania jest nie co innego, jak że przystosowany on jest jedynie do pracy urzędników, nie do pracy państwowej i treści pracy ministrów.

Poza tem poruszyć miałem kwestję zupełnie nową, związaną z tak zwanymi przeze mnie luzami budżetowymi w budżetach każdego z ministrów. Bez bowiem takich luzów śmieszny etatyzm budżetowy daje w swoim wyniku prawie niemożliwość przeprowadzania zmian w zarządzie praktycznym państwa. Jednym ze stałych punktów porządku dziennego Rady Ministrów jest żądanie zmiany punktów budżetowych na inne z powiększaniem jednych i połączeniem z tem zmniejszaniem innych. Gdy zaś zważymy, że w skomplikowanym mechanizmie państwowym zmiany przeprowadzane muszą niekiedy trwać nie tylko miesiącami, lecz latami; jeżeli uwzględnimy specjalnie polskie warunki bytowania z komplikacją istnienia trzech, a nawet czterech rodzajów praw, któremi jesteśmy dzieciennie obciążeni; jeżeli uwzględnimy niemrawą i bardzo często nieudolną pracę urzędników, to łatwo będzie dostrzec, że budżetowy system polski, nie dopuszczający luzów budżetowych, jest najbardziej skuteczną i najbardziej zarazem nonsensowną zaporą do wszelkiego postępu.

Wreszcie w trzecim rządzie i ostatnim chciałem się zwrócić do panów posłów, zaproszonych na kon-

ferencję, aby może zechcieli znaleźć w swoim rozkładzie zajęć choć jeden mały kącik, w którym rzeczowo można byłoby prowadzić dyskusję nad tak ważnym problematem, jak budżetowanie państwa. Zdaniem bowiem mojem, najbardziej skutecznie kompromitują Polskę panowie posłowie sejmowi, utwierdzając świat cały w powszechnem do niedawna mniemaniu, że Polacy nie są zdolni, jako naród, do rządzenia sobą i że prowadzą zaraz nie co innego, jak *Polnische Wirtschaft*, czyniąc z siebie tak zwany *Saison-Staat*.

Niechybnie to moje przemówienie i roztrząsanie stałoby w sprzeczności z mojem żądaniem, które postawiłem już oddawna, aby budżet, przedstawiony w tym roku, był prawie kopją zeszłorocznego. Wszystkie bowiem moje rozmyślenia i doświadczenia przeszłości nie mogły mnie prowadzić do zaufania, aby stosunki w sejmie mogły ulec jakiegokolwiek zmianie, i dlatego wołałem mieć budżet kopjowany z tamtego roku, że w ten sposób może uniknąć się dało powtórki długiej i bezowocnej tej samej dyskusji budżetowej, która nietylko jest męczącą, co wstrętą.

Przechodzę teraz do trzeciego etapu całej historii mianowicie — do odpowiedzi różnych panów z sejmu na propozycję konferencji w sprawie budżetu, uczynioną przez pana premiera Świtalskiego dnia 4 września. Jeżeli użyłem wyrażenia „różni panowie z sejmu“, to dlatego, iż prawie połowa sejmu, — gdyż odliczam największy klub Blok Bezpartyjny, endeków, którzy dali odpowiedź osobno i wszystkie mniejszości narodowe, — w odpowiedzi pana Daszyńskiego nie brała udziału. Przedewszystkiem wynikała wśród tych panów *Kanape-*

Frage, czyli kwestja kanapowa. Polegała ona na tem, że ci panowie z sejmu zwątpili w możność prawną zwoływania jakichkolwiek konferencyj przez pana premiera naszego gabinetu, uważając, iż wtedy tylko konferencja dawać może rezultat, gdy zebrana jest nie gdzieindziej, jak na ulicy Wiejskiej. Wobec tak poważnej wątpliwości zaczęły się niezliczone dyskusje w każdym z klubów zosobna z odpowiednim zamętem i chaosem formuł, uchwał, konwentyklów, zebrań grupowych i wszelkich akcesorjów, tak zwanych sejmowych, przy poważnym nastroju sejmu i przy największych kwestjach. Wobec jednej wątpliwości zaczęły wyrastać i inne. Wydaje się, że główną inną kwestją było pytanie, czy wogóle rząd pana Świtalskiego jest legalnym rządem Polski, gdy pan Świtalski nie był ani razu na posiedzeniu sejmu, jako prezes gabinetu. Słyszałem, że jeden ze znakomitości sejmowych, trochę niezdrowy na żóładek, wyskoczył przerażony, że nie wzięto pod uwagę dyskusji kwestję, co ma zrobić nieszczęśliwy poseł, gdy na konferencji u pana Świtalskiego podadzą czarną kawę. Prawdopodobnie równie poważnych wątpliwości była mnoga ilość.

Gdy rosły wątpliwości i zwykły chaos i zamęt, nie można było dojść do żadnej wspólnej uchwały. Dlatego też wysmażono elukubrację negatywną. Dlatego zaś, aby ona nie była także negatywną, smażenina na kiepskim oleju była tak niezrozumiała, że dopiero pan prezes gabinetu Świtalski rozciął wątpliwości stwierdzeniem, że „może więc uważać odpowiedź tych panów za odmowę” i zapytał pana Daszyńskiego, czy to jest słuszne, czy nie, odpowiedź znowu tego pana była wahająca się

i niepewna, skłaniająca się jednak ku temu, iż odpowiedź jest odmowna.

W samej treści tej odpowiedzi uderzyła mnie odrazu uwaga tych panów, przypominająca rządowi, że marszałek sejmu jest zawsze reprezentantem tej instytucji. Zwróciłem więc uwagę i ja ze swej strony, że w tym wypadku pan marszałek sejmu nie może reprezentować zebrania kilkunastu czy kilkudziesięciu panów, jako sejm, gdyż sejm, jako instytucja, działać może tylko wtedy, gdy prawnie przez Pana Prezydenta jest zwołany na sesję i sesja jest prawnie przez przedstawicieli Prezydenta otwarta.

Jeżeli więc moja próba ustalenia możliwości dyskusji rzeczowej w jakimkolwiek przedmiocie spełzała na niczem, to znowu wyrastała prawda o fajdanitis poslinis do śmiesznych i prawie nieprawdopodobnych rozmiarów. Utożsamianie zebrań klubowych, nawet małych konwentyklów, ze sejmem widzieliśmy już bardzo często w historii sejmu w Polsce. Należy to, jak mnie się zdaje, do dobrego tonu wielu z panów posłów i wyrosło nie skądinąd, jak z niecnej pamięci pierwszego sejmu Rzeczypospolitej Polskiej. Idzie się ku temu, co prawda, wykluczając spokojnie wbrew zasadzie tak zwanej demokratycznej całe grupy posłów, całe kluby i wogóle wszystkich niezgodnych z fajdanizmem poselskim. Przecież niejednen z tych panów dochodzi w swojej ewolucji fajdanizmu do tego, że uważa siebie, to znaczy poszczególnego posła, za sejm Rzeczypospolitej i chce wymagać dla siebie personalnie wszystkich przywilejów, zastrzeżonych przez prawo sejmowi. Na szczęście zawikłani stale w *Kanape-Fragen*, są przedstawicielami gasnącego

już świata, świata, który odchodzi, a swem postępowaniem dają raz po raz, że ta dżagnoza jest niemylna.

Są światy gasnące i są wschodzące słońca. I jeżeli w dzieje ludzkości się spojrzysz, znajdziemy zawsze, znajdujemy ciągle, wschodzące słońce i gasnące światy. I niemylną gaśnienia cechą jest wymieranie treści, a wzrost znaczenia formy. Zjawia się wtedy jakgdyby aberacja myślowa, jakgdyby wykoszlawienie duszy ludzkiej do tego stopnia, że człowiek poważny błaznem się staje i, jak opętany i zatruty jadem degeneracji, o treści każdej pracy zapominając, czepia się formy, czepia się literek, nawet nie słów, tak kurczowo i konwulsyjnie, jakgdyby zatrzymać chciał musowe zatonięcie w mrokach przeszłości przez niezgrabne kurcze i konwulsyjne ruchy. A obok ludzi poważnych kroczą mniej poważni. Ci, co wyrosli nato, by przez małpie grymasy, przez pajacowe ruchy kompromitować i ośmieszać to, co chcą utrzymać, a co zginąć musi.

Gdy malcem małym byłem, gdy młodzieńcze życie rozpoczynałem, byłem zachwycony światem klasycznym, pięknem dawnych Greków, żelazną potęgą Rzymu. Piękne baśnie o bohaterach, cudowna, piękna mitologia pogańska, cuda Olimpu, powaga senatu i dyktatorów rzymskich chwytala mój umysł i wyobraźnię niekiedy tak silnie, iż życie, w które zaledwie wchodziłem, wydawało mi się nikłe, marne i bez wartości. Dlatego z pewnym bólem dotykałem potem do ksiąg, co dzieje upadku, dzieje degeneracji i Olimpu, i senatu, i dyktatorów opowiadały. Powiadają, że авгуrowie, ci, co wielkie zwycięstwa z wróżb ogłaszali, ci, co chwale oręza rzymskiego i potędze swojej ojczyzny wier-

nie służyli, że ci właśnie podczas upadku i potęgi, i chwały przy spotkaniach z sobą na głos się śmieli, wysmiewając swoje wieszczby i czyniąc z siebie błaznów.

Pamiętam też także trochę bólu i wewnętrznej przykrości, gdy po raz pierwszy był na znanej operetce *Piękna Helena*. Wydawało mi się dzikiem i nieładnym, gdy niegdyś ludzie głowy łożyli za piękno Olimpu, za prawdy Grecji, tak publicznie i tak bezczelnie na pośmiewisko to wystawiać. I ze sceny tej właśnie *Pięknej Heleny* najbardziej utkwiła mi w pamięci scena ostatnia, gdy ową piękną śmiertelną namawiają ludzie wraz z kapłanem na to, by usiadła na wóz bogini Wenery, który na scenę zajeżdża. I podczas śpiewu barytona Calchasa, co sławę i piękno bogów wielbi, wpada karczemna nuta szynkowni, kankan wesoły. I kapłan kończy już pieśń bogom i na nutę kankana wesoło podryguje nogami.

I pamiętam nieraz, przy studjach tej czy innej epoki, przypominałem tę scenę, jako świadectwo prawdy gasnących światów. Pamiętam nawet nieudolny wierszyk o Calchasiu, który ułożyłem, i tym wierszykiem pisaninę swoją zakończyć:

Wyśpiewując sławę bogom,
Podryguje, rusza nogą
W kankan, kankan płynie.
O, mądrala! Ten nie zginie
Nigdy, nigdy nam na świecie
Wiedz-że, durniu, wiedz-że przecie!

SPRAWOZDANIE O ZAJŚCIACH W SEJMIE

(7 listopada).

Przystępując do mego sprawozdania z zajęć, wywołanych przez marszałka sejmu, pana Daszyńskiego, w gmachu sejmu dnia 31 października bieżącego roku, stwierdzić na początku muszę, że w zastępstwie chorego prezesa ministrów, pana Świtalskiego, przybyłem do gmachu sejmu o godzinie 4 bez pięciu minut. Gdym wchodził do gmachu sejmu, spostrzegłem grupę oficerów, którzy, utworzywszy szpaler, oddali mi należne honory. Przechodząc zaś przez następną salę, widziałem całe mnóstwo ludzi, którzy w spokojny sposób krążyli po sali, ustępując mi miejsca do przejścia. Natychmiast po wejściu do pokoju rządu kazałem swemu szefowi gabinetu, panu podpułkownikowi Beckowi, zawiadomić marszałka sejmu o mojem przybyciu ze stwierdzeniem, że jestem w zastępstwie pana premiera, który jest niezdrów. Po pewnym przeciągu czasu pan podpułkownik Beck wraz z panem ministrem spraw wewnętrznych Składkowskim wrócił, komunikując mi, iż pan marszałek sejmu Daszyński oświadczył, że wobec wkroczenia siłą do sejmu oficerów nie otworzy posiedzenia izby.

Gdym to usłyszał, zdecydowałem odrazu, że ten pan jest nieprzytomny i jest warjatem, i muszę dlatego pozostawić załatwienie sprawy z warjatem czynnikom sejmowym, bez mego w tej sprawie udziału.

Przy przeprowadzaniu dochodzeń w stosunku do panów oficerów za podstawę wziąłem ogłoszony w dniu następnym przez tego pana komunikat prasowy. W stosunku więc do niego stwierdzam, co następuje:

a) Co do zajęcia przemocą części gmachu sejmu przez panów oficerów.

Co do przedsionka (inni nazywają to hall'em) wziąć trzeba pod uwagę, że znajduje się tam oddział pocztowy, wolny w dostępie każdemu, tak, iż mowy być nie może o zajmowaniu przedsionka przemocą. Dochodzenie, jakie zrobiłem, stwierdza, iż żaden z oficerów tam obecnych nie był ani pytany, ani zatrzymywany, ani też w jakikolwiek sposób nie przeszkadzano mu w wejściu do tej części sejmu. Co się tyczy wejścia dalszego, stwierdziłem, iż tylko niektórych pytano, w jakim celu przybywają, przyczem, gdy prawie większość miała na celu wystaranie się o bilety na galerję lub wogóle wejścia na sejm przez znanych sobie posłów, niektórych z nich odsyłano do jakichś innych wejść, gdzie znaleźć można było przejście do sal klubowych, innych zaś puszczano i dalej, gdy można było skonstatować, że dany poseł lub inny jakiś znajomy znajduje się gdzieś w pobliżu.

Wobec tego, iż nie chciałem przypuszczać, że całe zajście jest zmyślane przez tego pana, zacząłem poszukiwać — co mi zajęło dużo czasu —

jakiegoś chociażby drobnego zajścia pomiędzy którymś z oficerów, a pomiędzy kimkolwiek w gmachu sejmowym. Przypuszczałem, że mogła być jakaś ostrzejsza rozmowa lub nawet próby czynnego znieważenia. Stwierdziłem jednak, że niema ani jednego takiego wypadku, tak, iż dumnym być mogę z umiejętności taktownego zachowania się panów oficerów, nawet w najprzykrzejszych sytuacjach.

Kłamstwem więc jest twierdzenie tego pana o tem, iż w dniu 31 października oficerowie przemocą zajęli jakąkolwiek część gmachu sejmowego.

b) Co do uzbrojenia oficerów.

Przy przejściu mojem przez szpaler oficerów, oddających mi honory, rzucałem wedle zwyczaju okiem w prawo i w lewo. Stwierdziłem odrazu, iż przy szabli mogła być zaledwie połowa oficerów, inna zaś część zewnętrznie nie miała na sobie broni. Dodam, iż sam osobiście byłem przy szabli i miałem w ręku białe rękawiczki. Coprawda, pan ten w ostatnich ustępach swego ogłoszenia publicznego mówi tylko o szablach, gdy mnie osobiście mówił o bagnietach, karabinach i rewolwerach. Dla wyjaśnienia więc stwierdzam, że szabla dawno już przestała być bronią i z wyjątkiem kawalerji nigdy nawet nie bywa ostrzona, stanowiąc tylko tradycyjną część uniformu. Ta część uniformu jest w niektórych wypadkach nawet nakazana do noszenia. Dodam, że przy długich dyskusjach, które się toczyły z powodu szabli, jako broni, zawsze powtarzałem ulubiony mój frazes, że wolę dobrą laskę, niż szablę, jako broń. Już przy rozmowie, ogłoszonej przeze mnie, z panem Daszyńskim byłem

zdziwiony tem twierdzeniem o uzbrojeniu oficerów i pytałem go, czem on tego dowiedzie. Wobec zaś tego, iż pan ten innych dowodów poza temi, które słyszałem w ogłoszonym przez siebie komunikacie, nie przytoczył, pozostaje mi jedynie do stwierdzenia, że kłamstwem jest, jakoby oficerowie, którzy byli w sejmie, byli uzbrojeni.

c) Co do liczby oficerów.

Dochodzenie w tej sprawie było mi bardzo trudne ze względu na to, iż część oficerów, względnie zresztą niewielka, przychodziła do sejmu na bardzo krótki okres czasu i zaraz po tem gmach sejmu opuszczała. Liczba takich oficerów, stwierdzona przeze mnie, dochodzi do 8 (ośmiu). Co się tyczy liczby oficerów, którzy w gmachu stanowili grupę, dzięki niemiłym i niestosowanym zarządzeniom tego pana, to nie dochodzi ona do pięćdziesięciu i stanowi cyfrę 47. Gdybym więc nawet dodał owych ośmiu oficerów i gdybym dodał całą liczbę oficerów, która była z przepustkami stałemi do sejmu, to nie dojdzie ona nigdy nawet do liczby osiemdziesięciu, a cóż dopiero do liczby „stu kilkudziesięciu”. która jest zgłoszona przez komunikat tego pana. Stwierdzam więc, że kłamstwem jest jakoby w inkryminowanym przez tego pana dniu 31 października znajdowało się stu kilkudziesięciu oficerów w gmachu sejmu.

d) Co do dwukrotnego wezwania panów oficerów do opuszczenia gmachu sejmu.

Wszyscy oficerowie, którzy w inkryminowanym przez tego pana dniu byli w przedsionku sejmowym, stwierdzili mi w swoich raportach,

iż z chwilą, gdy jako minister spraw wojskowych przybyłem do gmachu sejmu, to mogli usłuchać mego rozkazu czy polecenia, lecz nie mogli słuchać niezrozumiałych dla nich zaprosin do wyjścia za drzwi i pozwolenia zrobienia sobie w ten sposób afrontu. Gdy zaś pan ten, substytuując siebie w stosunku do oficerów przez nieznanego zupełnie komukolwiek pana, wkroczył w dziedzinę kryminalną, to oficerowie nie byli w stanie poddać się takiemu nakazowi i zmuszeni byli czekać rozkazu swego przełożonego. Jeżeli twierdzę, że w ten sposób wkrocza się w dziedzinę kryminalną, to dlatego, iż rozkazodawstwo w stosunku do wojska, do jego grup i jego oddziałów, jest bardzo ściśle oddane przez państwo w określony zupełnie sposób określonym osobom i istnieją paragrafy karne, które niewczesną substytucję dowodzenia karzą bardzo surowo. Nie mówię, naturalnie, tego, żebym nieodpowiedzialnego pana proponował pociągnąć do odpowiedzialności, lecz dlatego, gdyż system taki nie odpowiada ani powadze, ani stanowisku marszałka sejmu polskiego. Dodam, że w przeciągu całego mego pobytu w sejmie, który trwał do godziny 5.30 wieczorem, ja, zastępujący prezesa gabinetu, ani razu nie byłem zawiadomiony o tych niesmacznych próbach substytuowania prawa rozkazodawstwa w stosunku do wojska przez pana Daszyńskiego i przez podwładne mu organy.

Z powyższych więc powodów podaję swój wynik, który streszczę w krótkich słowach. Kłamstwem więc jest, że panowie oficerowie w dniu 31 października wywołali jakiegokolwiek

zajście w gmachu sejmowym, natomiast prawdą jest, że zajście to wywołał marszałek sejmu, pan Daszyński. Wreszcie dodaję, że sprawa ta wywołała bardzo żywe i silne zaniepokojenie wśród wszystkich oficerów wojska polskiego, którzy nagle dowiedzieli się, że gmach sejmu jest dla oficerów niedostępny. Nad zajściami w gmachu sejmowym na zebraniach oficerskich dyskutowano z kodeksem honorowym w ręku. Dlatego też zmuszony byłem wydać *rozkaz oficerski*, kończąc to zajście tym rozkazem. Rozkaz ten w załączeniu przesyłam.

Minister Spraw Wojskowych

J. Piłsudski.

Marszałek Polski.

Warszawa, dnia 7 listopada 1929 roku.

ROZKAZ OFICERSKI.

Dnia 31 ubiegłego miesiąca zaszedł dla oficerów przykry wypadek, a mianowicie — kiedy oficerowie dla różnych powodów do gmachu sejmowego przybyli, spotkali się tam z afrontem.

Oficerowie ci odczuli, jako afront, skierowane do nich przez przedstawiciela władz sejmowych wezwanie do opuszczenia przedsionka sejmowego, dostępnego zwykle dla szerszej publiczności i w krytycznym momencie zajętego przez cywilną publiczność, przez nikogo niezmuszaną do

usunięcia się z miejsca, gdzie z niezrozumiałych powodów pobyt został wzbroniony oficerom.

Wezwanie to uraziło oficerów tem dotkliwiej, że zostało powtórzone w chwili, kiedy osobiście znajdowałem się w gmachu sejmowym, to jest, kiedy mieli słuszne prawo oczekiwać ode mnie, nie od kogo innego, takich czy innych rozkazów i poleceń. Oficerowie w wyżej wymienionem niewłaściwym i nietaktownem odniesieniu się do nich przedstawiciela panów posłów widzieli — nie bez słuszności — lekceważenie i nieposzanowanie mundurów.

Stwierdzam przeto, że wobec tego, iż poseł do sejmu jest nieodpowiedzialny, powyższe zajście muszą oficerowie uważać za zlikwidowane i dla siebie bez uszczerbku na honorze załatwione.

J. Piłsudski.

WSPOMNIENIE O GRZYBOWIE.

(9 listopada).

Jakżeż to daleko Grzybów! Wydaje mi się niekiedy, gdy swoje wspomnienia odgrzebuje, że jest gdzieś daleko, w jakimś kącie, co najmniej Australji, że nie jest to wcale znany w Warszawie plac Grzybowski z kościołem, plac, po którym ludzie spokojnie chodzą, dzieci biegają, ale że jest to jakiś plac z bajki życia, które tak gwałtownie i szybko się zmieniło, że chyba i kościół, i bruki, i ludzie co najmniej do innej części świata należały.

Grzybów należy do moich wspomnień, chociażby dlatego, że w wypadkach, które na tym placu się zdarzyły 25 lat temu, magna pars fui. Prawda, że w wielu wypadkach byłem tą wielką i największą częścią. Prawda, że niejeden z tych wypadków błyskawicowo ogromnej jest miary i przerasta wypadki grzybowskie historyczną swoją prawdą tak bezmiernie, że biedny, mały Grzybów ginie w ich cieniu. Nie mogę jednak nie powiedzieć, że Grzybów należy mi do wspomnień, które nieraz pieścić, należy do pieśczoł mego życia. Prawdą też jest, że i ja, obecny Marszałek Polski, były Naczelnik Państwa, z nazwiskiem, znanem po całym świecie, nie byłem takim rozgłośnym, jakim jestem obecnie. Nie chcę nawet powiedzieć, że ta rozgłośność od Grzybowa się zaczyna, lecz są w Grzybowie

i w grzybowskich wypadkach momenty, które dotyczą najgłębiej istoty mojej, które czynią mnie nieco sentymentalnym i tak, jakby pieśczołym przez wspomnienia i zarówno wspomnienia pieśczołym.

Jeżeli wezmę wymiar historyczny, to grzybowska manifestacja jest jednym z nieznacznych epizodów wielkiego zdarzenia historycznej dziejowej miary, jakim była wojna Rosji z Japonją. Wojnę tę wielkie potężne mocarstwo rosyjskie przegrało z małą w stosunku do niego, nieznaczną wówczas w świecie odgrywającą rolę — Japonją.

Grzybów i grzybowska manifestacja wyrasta tylko wtedy, gdy się zatrzymamy ściśle na Polsce, gdyż był to pierwszy, bardzo nieznaczny, przejaw, lecz w każdym razie przejaw walki zbrojnej przeciwko zaborcy rosyjskiemu.

Gdy wojna z Japonją wybuchła w lutym 1904 roku, stałem na czele najsilniejszej w owe czasy organizacji polskiej i silnej nie tylko liczbą, lecz i największą w Polsce odwagą wystąpienia. Mówię tu o ówczesnej Polskiej Partji Socjalistycznej. Dla charakterystyki ówczesnego stanu umysłów przystość tu wspomnienia własne z samego początku wojny, to znaczy z lutego 1904 roku.

Wiadomość o wybuchu wojny zastała mnie w Siedlcach, gdzie przyjechałem dla rozmówienia się z pewnym młodym lekarzem, który się zgodził urządzić mieszkanie dla podręcznej tajnej drukarni, gdy centrala znajdowała się daleko w Rydze, albowiem odczuwała się gwałtowna potrzeba drukowania odezw i ulotek bliżej centrum ruchu. Miałem się tam zjechać u tego pana z głównym w owe czasy technikiem rozwożenia druków, obecnym

generałem Rożenem, który niedawno wyszedł z wojska rosyjskiego i stanął do mojej dyspozycji dla pracy tak zwanej w owe czasy „technicznej”. Gdym tam o wojnie i manifestacie cara się dowiedział, dowiedziałem się zarazem, że cały plan siedlecki przewraca się do góry nogami, gdyż nasz, mój i Rożena, gospodarz został zmobilizowany, jako młody lekarz, i już nazajutrz miał się stawić do poboru. Miał być wysłany do Mandżurji. A że miał u siebie skład nielegalnych wydawnictw, żądał od Rożena, aby można było jak najszybciej mieszkanie oswobodzić. Pamiętam, śmiałem się z siebie, że wojna, którą w duchu błogosławić zacząłem, zmusza mnie odrazu do tak lichych i małych czynności i daję małą ilustrację tej olbrzymiej przewagi sił, z którą my, Polacy, i my, partja P. P. S., mamy do czynienia. Natychmiast też się zająłem skonstruowaniem chociaż jakiegoś takiego planu, któryby dał możność jakiegokolwiek bądź reakcji na wypadek tak wielkiej miary, jak wejście w stan wojny państwa zaborczego. Wiedziałem bowiem dobrze, że setki i tysiące ludzi czekać gorączkowo muszą, nieraz w męce, na to, jakie my stanowisko zajmiemy w stosunku do wypadków, męczyć się muszą tą bezmocą i bezsiłą, gdy może i my, jako poddani Rosji, zmuszeni będziemy do oddania krwi i życia na rzecz swego wroga.

Rozumiałem, że zrobić dużo nie jesteśmy w stanie, rozumiałem dobrze, że znikomo mali jesteśmy wobec ogromu wysiłków, do których zmusza wojna każde państwo. W dodatku zaś Rożen grubym basem tłumaczył znaczenie mobilizacji i jej aktów przerażonemu gospodarzowi, któremu mobilizacja życie rujnowała. W każdym razie pozostawał i mu-

siał istnieć najprostszy, najzwyczajniejszy dla nas sposób reakcji, to znaczy odezwa. Siadłem więc i pisałem swoją odezwę, zapowiadawszy Rożenowi, że wprost stąd pojedzie do Rygi, by oddać odezwę do druku, ja zaś zaraz się zajmę ułożeniem bardzo skomplikowanej pracy, związanej z przygotowaniem aparatu odbiorczego w całym kraju dla odezwy, która ma być wydrukowana. Tą odezwą chciałem przygotować chociażby trochę nastroju dla przyszłej pracy, która musiała nabrać charakteru bardziej realnego i zbliżającego do otwartego protestu przeciwko udziałowi Polaków w tej dalekiej i obcej dla nas zupełnie wojnie.

Jakież więc było moje przerażenie i zdziwienie, gdy po wszystkich znużających pracach nastawienia aparatu przyjechałem do Rygi, do naszej drukarni, i z przerażeniem się dowiedziałem, że ówczesny redaktor pisma *Robotnika*, zresztą mój przyjaciel, Felek Perl, napisał już i puścił na druk inną odezwę, w której, jak ja się śmiałem, stwierdził, że gdy dwie burżuazje się biją, to proletariatu nic po temu. Zbeształem Felka, tak, jak może rzadko człowiek bezstałem. Pierwszy bowiem mój krok najzupełniej zawiódł. Naprawić szkody już nie mogłem, gdyż wybrać inną metodę, to znaczy zmusić do drukowania mojej odezwy nie było sposobu. Wszystkie bowiem terminy już nastawione pękłyby i trzeba byłoby puścić w ruch nowe, bardzo skomplikowane poruszenia, przejazdy i nastawienia, równie skomplikowane prace drukarni, związane z papierem, farbą i innymi drobiazgami, co by wszystko zajęło mnóstwo czasu. Postawiłoby to pod wielkim znakiem zapytania moje osobiste plany rozjazdów, które już sobie ułożyłem, i mnóstwo

ludzi pouprzedzałem. A wszystko przecie w owe czasy odbywało się tak konspiracyjnie, bez żadnych listów, bez żadnych depesz i telefonów, że terazniejsi ludzie wyobrażenia nawet nie mają — i dlatego na początku odsyłałem ich aż do Australji lub do Buszmenów — o tych olbrzymich trudnościach, jakie musiano mieć przy zebraniu się nawet trzech ludzi razem.

Z tego małego faktu pierwszego mego zawodu podczas wojny rosyjsko-japońskiej wnosić łatwo można, jaki olbrzymi przeskok uczynić trzeba było do manifestacji zbrojnej na placu Grzybowskiem w listopadzie. Wiedziałem dobrze, że wojna zaczyna się od mobilizacji. Udałem się więc do Petersburga, żeby sobie skontrolować, w jakim stopniu i gdzie zaczyna mobilizacja Polskę. Nawet przez niewielkie stosunki, jakie posiadałem, zdobyłem wiadomość główną, że wobec stanu kolei sybirskiej, która nie dopuszczała do szybkiego przewozu wojsk, o jednoczesnej i wielkiej mobilizacji niema mowy i że w każdym razie mobilizacja w pierwszym rzędzie odbywać się będzie na samej Syberji i w niektórych tylko częściach moskiewskiego i kazańskiego okręgu wojskowego. Zrobiło mi się znacznie łatwiej. Miałem więc jeszcze dużo czasu. Nie chciałem się zatrzymywać na tych długich miesiącach, które leniwie i powoli biegły ku listopadowi. Wobec tego, że wbrew konspiracji zaangażowałem otwarcie swoje nazwisko w najrozmaitszych rozmowach, które toczyłem z ludźmi, najzupełniej do konspiracji nieprzyzwyczajonymi, a czyniłem to w dwóch miejscach, w Petersburgu i Warszawie, departament policji ówczesnej z Petersburga rozesłał moje fotografie na wszystkie granice i do wszystkich zarzą-

dów żandarmerji z poleceniem aresztowania mnie, przyczem, jako motyw, dano, że przygotowuję powstanie polskie. Coprawda, że byłem w owe czasy wielce pod wrażeniem historii powstania 1863 roku, którą z różnych źródeł studjowałem, i nieraz w tych rozmowach, które prowadziłem, wskazywałem na moment branki, jako moment niebezpieczny dla stanu umysłów, i wskazywałem na różne jej skutki. Zmusiło mnie to do większej ostrożności, niż zwykle, i do pokazania siebie w Krakowie, skąd po pewnym przeciągu czasu, według moich obliczeń, muszą dojść dane do Warszawy, tak, że agencja wreszcie z powodu mej osoby się uspokoi. Tam właśnie, w Krakowie, doszła mnie wiadomość, że i Polska ma być dotknięta mobilizacją. Nie było dla mnie mowy o tem, byśmy mogli odpowiedzieć na brankę tak, jak ojcowie nasi odpowiadali w 1863 roku; byliśmy na to zanadto słabi, zanadto nieumiejętni i zanadto — powiedzmy — teoretyczni. O tem zaś, by kto inny poza P. P. S. mógł się odważyć choć na cień protestu, mowy być nie mogło zgóry.

Pomimo woli przypuszczałem, że Rosja pójdzie śladami dawnej Rosji i Wielopolskiego i zaawanturowuje się w mobilizację najbardziej żywego materjału ludzkiego, w mobilizację ludności miejskiej.

Dla mojej głównej idei protestu byłoby to bardzo na rękę. Wezwałem więc do Krakowa przede wszystkim głównego menera warszawskich organizacyj, Kwiatka, zmarłego już obecnie, miłego przyjaciela. Nim przyjechał, stwierdziłem już z pism, że i tym razem spotkał mnie zawód. Rosja mobilizowała niektóre powiaty w Kaliskiem, Płockiem i Suwalskiem, akurat w tych miejscach, w któ-

rych my, jako organizacja, nie posiadaliśmy ani wpływów, ani znajomości, ani możności szerszej nielegalnej pracy, nawet odezwovej. Nie pamiętam już, ile nocy spędziłem bezsennie, chodząc po pokoju, paląc papierosa jednego za drugim i pijąc całe mnóstwo herbaty. Myślałem ciągle nad formą, w jaki sposób można wobec tego faktu znaleźć wyraz protestu i wyraz naszego stanowiska. Naturalnie, wiedziałem, że pomimo wielkiej niechęci i niechęci do myśli, że się będzie umierało za Rosję, wbrew sobie i wbrew swoim uczuciom, rezerwiści stawiają się tak, jak im państwo nakazuje. Tak, jak jakieś bydło, na rzeź prowadzone, mają Maćki i Bartki leżeć do wagonu i jechać na kraj świata, umierać, chorować, cierpieć i dawać z ciała i życia swego ofiarę na rzecz mocy swego wroga. I wszystko tak bez protestu, i wszystko, nie mówiąc ani słowa, i wszystko, nie stawiając żadnych przeszkód aktowi przemocy! Nie mogłem prawie żyć z rozpacz!

Wreszcie przyjechał Kwiatek. Przy pierwszej rozmowie z nim stwierdziłem odrazu, że przy decyzji zrobienia jakiejś manifestacji głośniejszej nie znajdę wielkich przeszkód, chyba w samej technice wykonania. Kwiatek upierał się przy tem, aby Warszawa wzięła na siebie pracę manifestacji, gdyż ta najwięcej daje rozgłosu i może dać najwięcej efektu realnego na późniejszy rozwój wypadków. Moje uwagi szły w kierunku obliczenia możliwych skutków dla największej naszej organizacji warszawskiej, gdy tak łatwo można było rozbić centrum naszej pracy, wydatkując odrazu wszystko, co mamy. Twierdziłem, że możnaby myśleć i o innej metodzie, gdyby manifestacje rozlać

szerzej po kraju, zmniejszając ich jaskrawość i ich — że tak powiem — ostrość. Kwiatek zaś sądził, że wtedy zaniknąć może siła impresji i cała praca może spalić na panewce, gdy to nie będzie dostatecznie powszechne. Specjalnie zaś nas obu zniechęcała myśl, że właśnie tam, gdzie mobilizacja się odbędzie, nie znajdziemy żadnego oddźwięku. Stało więc w ten sposób, że wystąpi Warszawa i że może się uda dodać w najgorętszych i najlepiej zorganizowanych punktach jakby dodatki mniej ostre. Przyjęta też została forma manifestacji zbrojnej.

Co do mnie, radziłem zbrojność zmniejszyć pod względem ilości uzbrojenia, gdyż wskazywałem, że nie mamy dostatecznego obycia z bronią i możemy narazić się może na śmieszność, za którą krwawo zapłacimy. Radziłem więc mieć uzbrojony tylko ściśle określony oddziałek, z ludzi zimnej krwi złożony, aby uniknąć tak smutnego skutku. Mówiłem, że sam bym z ochotą pojechał, by technicznie przeprowadzić tę pracę, lecz obawiam się, że za dużo będę musiał stracić czasu na poznanie ludzi, którzyby tę czy inną pracę musieli wziąć na siebie. Kwiatek brał wszystko na siebie i prosił mnie, abym w ten sposób nie ryzykował i nie narażał swojej osoby. Na siebie więc brałem zakup broni i przemykanie jej do Warszawy.

Pierwszy raz w owe czasy zetknąłem się z tem zajęciem. Jeżeli byłem specjalistą do łamania granic, to znowu z bronią palną ani w zakupie, ani w sposobie jej przemykania nigdy nie miałem do czynienia. Sprawilo mi to dużo kłopotu. Więk-

szość broni była zakupiona w Katowicach i Bytomiu.

Przebiegu samej manifestacji nie opisuję, jako że nie brałem w niej bezpośrednio udziału. Słyszałem tylko opisy różnych uczestników tej manifestacji i opowiadania o niej różnych panów i pań z Warszawy. Wywód mój, który sobie zaraz uczyniłem, był bardzo przykry i smutny dla mnie. Nie mogłem się bowiem powstrzymać od technicznej oceny pracy, która o ile była dowcipna, o tyle też z trudem mogła nastraszyć kogokolwiek z tych, których zamierzaliśmy straszyc. Lecz że dała efekt bardzo duży i że wpłynęła na zmniejszenie do minimum zakresu mobilizacji w Polsce, więc uczestnicy tej manifestacji poszczycić się istotnie mogą, że wpłynęli na losy Polski w sposób znaczny, znaczniejszy, niż przypuszczali. Z powodu tej manifestacji skonstruowałem sobie aforyzm, że dowcip w historii często więcej znaczy, niż siła.

LIST DO WDOWY PO Ś. P. PROFESORZE
DYBOWSKIM.

Warszawa, dnia 2 lutego 1930 roku.

Czcigodna Pani! Z najgłębszym smutkiem dowiedziawszy się o śmierci ś. p. Małżonka Jej, profesora Benedykta Dybowskiego, śpieszę wyrazić Pani mój serdeczny żal i współczucie w nieszczęściu, które Ją spotyka.

Piękna i czysta postać ś. p. profesora Benedykta Dybowskiego, gorący Jego patriotyzm, który tchnął tyle ducha i wiary, oraz spuścizna naukowa, którą pozostawił po Sobie, stanowią i stanowić będą bezcenny skarbiec ducha dla przyszłych pokoleń.

Józef Piłsudski.

O PRZYCZYNACH UCHYLENIA SIĘ OD MISJI TWORZENIA RZĄDU.

(18 marca).

Wczoraj, to znaczy w poniedziałek, po decyzji Pana Prezydenta o przyjęciu dymisji gabinetu pana Bartla, Pan Prezydent zwrócił się do mnie z żądaniem, abym objął prezydjum i sformował nowy rząd. Nie zwykłem odmawiać Panu Prezydentowi jakiegokolwiek pomocy w jego urzędowaniu. Nie zwykłem dlatego, że zawsze w pamięci mam ten piękny i niepiękny dla mnie czas, kiedy byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem armji, będącej w wojnie, i zostałem zupełnie samotny ze swoją pracą tak dalece, iż z wyjątkiem bardzo ścisłego otoczenia nie miałem w centrum państwa żadnej szczerzej, żadnej chętnej pomocy. Długą jednak rozmowę z Panem Prezydentem ku swemu wstydu zakończyłem, nie powiem zupełną odmową, lecz prośbą w stosunku do Pana Prezydenta, aby zechciał zrobić inne próby, niż ze mną, gdyż nie mógłbym nie stwierdzić, że to zadanie byłoby w tej sytuacji, w jakiej żyjemy, dla mnie prawie ponad siły. Dodałem zaś Panu Prezydentowi, że nie będę mógł nie wytłumaczyć publicznie motywów, dla których tak nieładnie w stosunku do Prezydenta postąpiłem.

Przypuszczam, że niejednemu z Polaków i niejednej z Polek jest znanym mój wstręt organiczny do metody pracy, którą wogóle parlamenty, a nasz sejm specjalnie, stosują do swoich robót. Istotnie wydaje mi się niekiedy, że metoda pracy sejmowej jest wymyślona dlatego, żeby wzniecić u każdego pogardę dla tej metody. Tak przeczy ona bowiem każdemu pojęciu o pracy, tak przeczy ona bowiem wszystkiemu, co może być nazwane sumiennem, produktywnem, a już nie mówię — rozumnem, czy nawet rozsądnem. Każda bowiem praca techniczna — a rząd każdej pracy czysto technicznej ma najwięcej — staje się atechniczną, treść sama pracy otrzymuje cios natychmiast, gdy minie przedsięwzięcie pewnego gmachu na ulicy Wiejskiej. Lecz nie był to ten motyw, który mnie zmuszał do odmownych w stosunku do propozycji Pana Prezydenta myśli. Nad tem przeszedłbym nietrudno do porządku dziennego.

Przeszkody główne dla mnie, które Panu Prezydentowi krótko wyluszczyłem, są całkiem innej natury. Pierwsze — jest to niezwykła łatwość u panów posłów brudzenia sobie języka niezwykle łatwem u nich oszczerstwem. Nie mogę nie zwrócić uwagi na to, iż przerażony byłem tą stroną życia panów posłów jeszcze wtedy, gdy byłem Naczelnikiem Państwa. Przyczem rzeczą najcharakterystyczniejszą i najbardziej nikczemną jest zawsze to, że taki oszczerczy język zaczyna swoją niecną pracę nagle i niespodziewanie wtedy jedynie, gdy chodzi o osobę, która wchodzi w ten czy w inny sposób w jakąś grę polityczną. Tak, że taki oszczerczy język nie może

nie dać powodu do myślenia, że działają w tym wypadku nie inne motywy, jak drobny nawet interes własnej korzyści czy zazdrości, czy też korzyści jakiejś grupy, czy grupki panów posłów. Nie szczędzą wtedy ci panowie ani przyjaciół, ani nieprzyjaciół, utrzymują zresztą z takim panem, zaszczekanym i zabrudzonym ich brudną śliną, stosunki nawet zażyłej znajomości. Tak, że to postępowanie wygląda mi zawsze jako nieodłączne od fachu pana posła, jako coś, co wydaje się prawdopodobnie tym panom za pracę pana posła konieczną i obowiązkową. Dodam, że nie szczędzą wtedy ani cici kobiet, ani dziecka, ani kogokolwiek nawet z bliskich znajomych danego obiektu dla ich brudnej śliny. Dodam jeszcze, że taki pan nadzwyczajnie łatwo ustępuje, bardzo łatwo, przy najlżejszym nacisku, od takiego oszczerstwa.

Wobec tego, iż w życiu swoim, nie znosząc wogóle oszczerstwa, wyrzucałem za drzwi co najmniej setki osób za próby oszczerstwa w stosunku nawet do dalszych moich znajomych, wobec tego, że większą ilość skrzyczałem i zbeształem tak, że języka w gębie zapominali, nie jestem w stanie przypuszczać, abym mógł łatwo, a nawet i bardzo trudno oddychać atmosferą przepełnioną taką nikczemnością.

Drugie — w zwyczajach i obyczajach panów posłów istnieje jakaś śmieszna, jakaś nieprzyzwoita forma bytowania, która dla mnie jest po prostu niedopuszczalna, mianowicie — mówienie nierzeczowe o każdej kwestji i o każdej pracy. Taka zwykła gadalnia. I zawsze sobie mówię — a niechby sobie tak i mówili! Ale dlaczego ja,

sumienny człowiek, który się na rzeczy zna i rzeczowo o niej myśli, ma słuchać tych słów nierzeczowych? Dlaczego się ma męczyć i wymyślać określenia, któreby analfabecie wytłumaczyć mogły to, czego on niezdolny jest rozumieć? Naturalnie, że ten sposób jest bardzo męczący i bardzo trudny, lecz nad tem przejść do porządku także można. Lecz nie mógłbym łatwo i trudno nawet znosić ton panów posłów, który pozwala nie na uszczypliwość i złośliwość, gdyż to także jest mniejsze, lecz na ton wyższości swego często durackiego sądu w stosunku do ludzi, którzy masę pracy włożyli w to, aby o rzeczy rzeczowo mówić. Tego nikczemnego tonu wyższości, który jakkolwiek oznacza prestiżowe stanowisko pana posła, tej napastliwej, głupio przypięskiej formy ja osobiście poprostu nie znoszę. Bez względu na to, czy tyczy się mnie, czy kogo innego. Jeżeli użyłem słowa nikczemność, to jedynie dlatego, że i w tym wypadku nie mogę nie dostrzegać stale i ciągle, że zwyczajem i obyczajem panów posłów jest bezceremonjalny stosunek jedynie wtedy, gdy chodzi o osobistą korzyść lub zawiść, lub też o korzyść tak zwanej przeze mnie wygodki partyjnej.

Nie chcę, ażeby mnie źle tłumaczono. Człowiek głupi i niewykształcony bardzo często ma bardzo piękną duszę. I zwykle ja sobie zgóry mówię, że jest gdzieś jakiś zakątek pracy ludzkiej, gdzie ja znacznie jestem głupszy i mniej wykształcony i znacznie mniej rzeczowy, niż taki osobnik. I wcale się nie wstydzę swojej w tej mierze skromności, i szukaćbym nie mógł, bobym się wstydził jakiejś supremacji w takich właśnie

zakątkach. Lecz pan poseł, jako nieodpowiedzialny ani honorowo, ani pod względem czci, ani pod względem rozumu, ani pod względem rozsądku, ani pod względem pracy i uciekający jak najstaranniej nie od czego innego, jak od odpowiedzialności, czyni z siebie poprostu potworka, który, dla swego jakoby prestiżu, skacze po różnych pracach, w każdej chwili zmieniając swój sąd o rzeczy i czepiając się ludzi w sposób jakiegoś gałęzińskiego psa.

Nie kto inny, jak ja, był w Polsce wynalazcą sejmu, a zatem i wynalazcą panów posłów. I nie mogę nie powiedzieć, że natychmiast nauczony nikczemnością niecnego sejmu pierwszego i przypatrując się obyczajom i zwyczajom tego nowego w Polsce zjawiska, twierdziłem sobie ciągle i dotąd to twierdzę, że pomiędzy nowymi nabytkami, które Polska ma od czasu swego niepodległego bytu, bodaj najnikczemniejszym jest pan poseł do sejmu. Dotąd w pamięci mi ciągle stoją postępowania tych panów w stosunku do prezydentów Rzeczypospolitej. Oto jeden z charakterystycznych obrazków. Wszyscy u nas przysięgali, przysięga więc każdy z ministrów, przysięga Pan Prezydent, przysięga każdy sędzia, przysięga każdy oficer, ci panowie jakoby ślubują. I widziałem tę scenę, jak ja nazywam ślubowanie. Taki beczelny pan, który od innych przysięgi żąda, rozwalony z rozpiętymi spodniami łaskawie wymawia, tak, że nikt go nie rozumie, jakieś słowa, zaczynające się na ś. I takie ślabowane portki chcą odbierać przysięgi i chcą się panoszyć swoim brudnym, jakoby prestiżowym językiem.

Ta nieprzyzwoita forma prestiżu, tak uchylająca człowiekowi forma bytowania, należy do tych właściwości charakteru polskiego, które znoszę z takim trudem, gdy w życiu tę właściwość spotykam, że nie mogę nie twierdzić, iż bez zmniejszania tego prestiżu, chociażby gwałtem, nie mógłbym przeżyć z takimi panami nawet dwóch dni.

Wreszcie przechodzę do trzeciej prawie niemożliwości mego współżycia nawet z sejmem, już nie mówię o współpracy. Mówię tu o poczuciu honoru. Gdy myślę o honorze, zawsze przypominam sobie moje próby określenia honoru i potrzeby jego w życiu, którą zawsze mam w pamięci. Mianowicie, że honor jest surogatem cnoty i dlatego jest bardzo potrzebny w życiu. Cnota tak wysokie stawia od człowieka wymagania, że rzadko człowiek może odpowiedzieć wymogom cnoty. Honor zaś, idąc niżej od cnoty, wymaga znacznie mniejszych wysiłków ludzkich, dlatego, by się utrzymać na przeciętnej ludzkości. Ja osobiście, o ile sobie przypominam, nigdy w życiu nie potrafiłem naruszyć granic honoru i dlatego jestem niezwykle wrażliwy, gdy wymogi honoru są naruszane z widoczną dla niehonorowego człowieka łatwością. Niestety, panowie posłowie już w samym początku istnienia u nas sejmu poszli na drogę wymazania ze słownika swego słowa „honor”. Ba, więcej — urządzono się w ten sposób, aby nieodpowiedzialność posła rozciągnięto obowiązkowo dla posła w kierunku nieodpowiedzialności honorowej. Tak daleko, jak świat cywilizowany sięga, nie poszła żadna instytucja, żadna grupa, żadne stowarzyszenie, a tem

bardziej żadna instytucja o państwowym charakterze. Ja nie przypuszczam, aby można było znaleźć bezwstyd tak daleki i tak nikczemny, jak ten, który został wynaleziony dla panów posłów właśnie w Polsce. Wyznaję, że będąc Naczelnikiem Państwa przypuszczałem, że znajdę w Polsce, gdzie jakoby honor stoi wysoko, jakiś odruch, niweczający to niecne dzieło pana Trampczyńskiego. Osobiście widziałem ludzi, którzy mnie prosili o pozwolenie, jako swego Wodza, zastrzelenia kilku panów, pomiędzy innymi i pana Trampczyńskiego, i którzy, gdy im tego odmówił, szukali śmierci samobójczej.

Niestety, tego spodziewanego odruchu nie znalazłem. I jedynie w ostatnich czasach, gdy z powodu ostatnich wyborów weszło do sejmu grono ludzi całkiem świeżych, którzy z brudami panów posłów nie mieli do czynienia, mam narreszcie w tym samym sejmie najliczniejszy klub, mianowicie — klub Bloku Bezpartyjnego, który publicznie się wyrzekł przywileju nietykalności poselskiej, łącząc to razem z unikaniem nieodpowiedzialności honorowej. Jeżeli jednak postępowanie większości panów posłów właśnie dlatego największy klub poselski wyłącza z miana posłów, to moja sytuacja w takim towarzystwie staje się nie do wytrzymania.

Wyluszczając te motywy Panu Prezydentowi, zakończyłem prośbą do niego, aby zechciał może próbować innych wyjść, nie robiąc dla mnie tak wielkiego wysiłku, w którym dusza moja z nadto łamać się będzie. Pozostał jednak we mnie wstyd, że Panu Prezydentowi mogłem odmówić pomocy. I pomimo woli przypominały mi się mo-

je złote sny dziecka. W dzieciństwie bowiem, kiedy byłem małym chłopcem, sądziłem naiwnie, że niema granic dla tego, co znieść mogę, i granic dla tego, co mogę na sobie wymóc. Pamiętam śmieszne moje dziecinne eksperymenty — kładłem więc palec do palącej się świecy, robiłem wszystkie próby dla przezwyciężenia naturalnego u dziecka uczucia strachu, robiłem wszystkie błazeństwa i wszystkie miary tego, co dziecko wytrzymać może, i podniecałem wciąż swoją wyobraźnię i stawiałem jej coraz nowe wymogi i coraz nowe żądania. Jednak i wtedy cofałem się przed niektórymi rzeczami. Zwykłem cofaniem się, które do główki dziecinnej stale wracało, była samokrytyka, że jednak pewnych rzeczy na sobie wymóc nie potrafię. I wtedy zawsze stawiałem przed sobą talerz z ekskrementami, twierdząc: więc spróbuj! Ta próba dziecinnej prawdy, gdy dziecko rosło w wielkość, powracała mi często pod tą właśnie nazwą, jako jakiś egzamin do złożenia, gdy stawałem przed jakoby niemożliwościami. To samo wspomnienie na myśl mi przychodziło, gdy Panu Prezydentowi wreszcie odpowiedział, że gdyby Panu Prezydentowi inne próby się nie udały, staję do jego rozporządzenia.

O ROLI PODOFICERA W WOJSKU.

(28 marca).

Kiedy co rok napływa do koszar tysiące i tysiące młodych chłopców, co ani z bronią, ani z ruchami, ani z porządkiem wojskowym nigdy nie mieli do czynienia, a w krótkim czasie trzeba ich przerobić na zdatnego do pracy żołnierskiej człowieka — to nieraz w głowie się mąci, czy to się daje dobrze wykonać.

Rola wtedy podoficera olbrzymieje, rola jego w wojsku staje się dużą i wielką. Wtedy każda minuta, jak w boju, jest droga i, zda się, sił nie wystarczy, by wszystkiego dokonać. Mówię, jak w boju, gdyż sobie dnię bojów wspominam, gdy dzień bojów mijał, nocy nie dosypiałem, by prze-myśleć prace następne, i gdy nie znam wypadku, bym sobie nie wyrzucał, że wszystko, co należy, zrobiłem.

Józef Piłsudski.

Belweder, 28 marca 1930 roku.

I WYWIAD BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO.

(26 sierpnia).

— *Jaki jest program Pana Marszałka, jako szefa rządu, na najbliższy okres czasu?*

— Pan, jako poseł, postawił pytanie po poselsku — to jest tak, że odpowiedzieć na nie niesposób; albowiem poseł do sejmu jest stworzony na to, ażeby głupio pytał i głupio mówił. To też, wie pan, ja osobiście nieraz wątpię o jakiegokolwiek wartości tak zwanych demokratycznych pojęć, a jeszcze mniej o wartości tak zwanego parlamentaryzmu, gdyż on prowadzi do musu oszukaństw i do musu życia w świecie oszukańczym. Postaram się jednak odpowiedzieć panu, chociażby w przybliżeniu.

Każdy z szefów rządu, gdy idzie do pracy, idzie na troski i kłopoty. Musi jednak wybrać te troski i kłopoty, które są główne, i niemi się zajmować, odrzucając na bok te troski i kłopoty, które nie są ważne dla danego czasu. Jestem pod tym względem człowiekiem, który *Mädchen für alles*, to jest dziewczyną do wszystkiego, nie może być; i dlatego zawsze szukam głównej troski, spokojnie odkładając na bok wszystko inne. Za taką zaś główną troskę muszę uważać w Polsce zmianę tych prawnych zasad podstawowych, które nazywamy Konstytucją. Nazwa jest głupia — dlatego, że jest cudzoziemska; i dlatego prawdopodobnie ludzie nie chcą często rozumieć, jak wiele pracy włożyć trze-

ba, aby być w zgodzie z Konstytucją i z zasadami prawnymi, gdy się stoi na czele rządu. Jeśli zaś Konstytucja jest niechlujnie ułożona i napisana, wytwarzać ona musi chaos prawny tak daleki, że utrzymanie porządku w myślach prawnych staje się niekiedy niepodobieństwem. Jako przykład tego niechlujstwa dam panu posłowi system układu Konstytucji naszej, związany z pracą sejmu. Mamy więc kilka sposobów wyrażania woli czy zgody sejmu — i wszystkie są nieokreślone, są chwiejne. Mamy więc w artykule trzecim bardzo pompacyjne słowa, które brzmią: „Niema ustawy, bez zgody sejmu wyrażonej, w sposób, regulaminowo ustalony”. W samej zaś Konstytucji nie jest nigdzie powiedziane, co to słowo „regulaminowo” ma oznaczać; tedy każda ustawa jest zachwiana jakąś śmieszną nieokreślonością, wątpliwością, czy jest „regulaminowo” ustalona — i każda ustawa może być zacepiona, że nie jest ustawą.

— *Pozwolę sobie zauważyć, Panie Marszałku, że istnieje uchwalony regulamin sejmowy.*

— Słusznie, proszę pana posła, ale regulamin nie jest Konstytucją, bo jest — i w każdej chwili może być — dowolnie zmieniany; bo jest zwyczajnym regulaminem obrad.

Zaś w artykule 58, proszę pana posła, mamy wprowadzenie — już nie wiem, czy „regulaminowe”, czy nie — pojęć nowych. Mamy więc odpowiedzialność parlamentarną rządu, gdzie wymagana jest zwyczajna większość — to znaczy dosłownie 223 głosów, bo wtedy dopiero jest zwyczajna większość. Wszelka więc parlamentarna odpowiedzialność musi być dla rządu wyrażona zapomocą 223 głosów — nie mniej, panie pośle. I każdy rząd, który nie otrzyma przeciw sobie 223 głosów, może po-

zostawać spokojnie bez żadnego uchybienia Konstytucji.

W artykule zaś 59 mowa już o konstytucyjnej odpowiedzialności, tak, jakgdyby parlamentarna odpowiedzialność nie była konstytucyjną. Lecz dla konstytucyjnej odpowiedzialności trzeba głosów znacznie mniej, niż dla parlamentarnej, gdyż wymagana jest obecność co najmniej połowy ustawowej liczby posłów, czyli 222, i wtedy wystarcza $\frac{3}{4}$ oddanych głosów — nawet nie 222, ale oddanych głosów tylko. „Konstytucyjna” więc odpowiedzialność postawiona jest znacznie niżej, niż odpowiedzialność „parlamentarna”.

Jak pan widzi, panie pośle, układ Konstytucji jest tak chwiejny i nieokreślony, napisana jest tak niechlujnie, jak niechlujnym jest umysł panów posłów. Wogóle powiedzieć panu muszę, że ta niechlujna pisanina czyni z naszej Konstytucji coś w rodzaju kiepskiego bigosu, w który obok zgniłej szynki pakują nadgniłą słoninę i kładą to obok niedokiszonej kapusty; tak, że można i należy każdy paragraf i artykuł brać zupełnie osobno, nie wiążąc go z niczem innem, z żadnym innym artykułem. Naturalnie, zgniła szynka jest dla pana prezydenta, nadgniła słonina dla pana rządu, no a posłom zostaje niedokiszona kapusta. Jak pan rozumie, żołądki wtedy nie mogą nic zrobić i wychodzi z tego smród, tak, że ulica Wiejska cała śmierdzi — proszę pana. I wyjście z tego chaosu jest możliwe tylko przez zmianę Konstytucji i napisanie jej w przyzwoity sposób.

Dodam do tego, że nikt nie ma prawa interpretować Konstytucji. Interpretacja jest zakazana — i wobec tego państwu pozostaje tylko bigos.

— *Czy nie sądzi Pan Marszałek, że zakaz interpretacji jest właściwie fikcją, że interpretują ją wszyscy, a przedemszystkiem posłowie?*

— Pewnie, proszę pana, że interpretują, bo bez interpretacji iść trudno, przy posiadaniu tak niechlujnej Konstytucji, która śmierdzi chlewem poselskim. Wie pan, nieraz słyszałem o najrozmaitszych sposobach ujmowania Konstytucji i szukaniu oparcia dla swoich twierdzeń czy żądań jako by na naszej Konstytucji. A ja tego, proszę pana, nie nazywam Konstytucją, ja to nazywam konstytutą. I wymyśliłem to słowo, bo ono najbliższe jest do prostytutki. Gdy w szanownym waszym sejmie autorytetami prawnymi są jakieś kauzyperdy w rodzaju Liebermana, albo jakieś ciemne indywidua, w rodzaju napędzonych złodziei, to — proszę pana — możliwą jest i taka interpretacja, ale ona prawną nie jest i nikt tego przyjąć, jako prawo, nie jest w stanie. Ten system nałamywania Konstytucji do różnych potrzeb czynić musi z Konstytucji zwyczajną dziewczkę — i tego dopuszczać nie wolno. Ja, naturalnie, zawsze przechodzić będę do porządku dziennego nad wszystkimi tego rodzaju pomyśłami, nie prowadząc przytem żadnych sporów prawnych.

— *Pozwolę sobie zauważyć, Panie Marszałku, że zrozumienie konieczności zmiany Konstytucji dojrzało w społeczeństwie. Nawet nierozsystkim posłom ten obecny „kiepski bigos“ smakuje.*

— Pan wprowadził znowu, po poselsku, dwa pojęcia—społeczeństwo i posłów. Pozwoli pan jednak, że ja to rozdzielę. Społeczeństwo wyrazu swojego zajęcia się czemkolwiek nie ma. I dlatego każdy może o społeczeństwie mówić, co chce. Natomiast

co do panów posłów, to panu powiem całkiem inne rzeczy. Proszę pana — w Konstytucji jedno jest zupełnie wyraźne: że poseł nie ma prawa rządzić. Tymczasem pan poseł tylko to właśnie chce robić. Jeżeli pan przysłuchiwał się kiedykolwiek uważnie, co jest trudne, obradom panów posłów, to musiał pan dostrzec, że pan poseł chce być nadinżynierem, nadkonduktorem, nadlekarzem, nadprawnikiem, nadagronomem, nadrządem, nadprezydentem — i szuka, że tak powiem, swojej chwały w bredzeniu, tak, że uszy wiedną. Albowiem takiego uniwersalnego człowieka niema na całym świecie, tylko pan poseł chce udawać taki „uniwersał“, istniejący w nieszczęsnej Polsce. System przecie panów posłów, nad czem ja dziesiątki razy się zastanawiałem, polega na jakiejś chęci pokazania, że on jest rozumniejszy od wszystkich. Połączone to zaś jest z żądaniem, ażeby wszyscy stali na śmietniku i składali ukłony: *chapeaux-bas*, kapelusze z głowy — chociaż pan poseł same głupstwa bredzi. Czy pan wie, że ja przyglądałem się nieszczęsnym panom ministrom oddawna — i zawsze spostrzegałem śmieszne zjawisko, że każdy z ministrów, przychodzących na nowo, chciał myśleć, że jemu właśnie się uda przekonać kogokolwiek z panów posłów; i zawsze kończyło się to abominacją tak głęboką do jakiegokolwiek rozmowy z panami posłami, że bałem się wciąż, iż panowie ministrowie pojedą do Rygi, że rzygać będą po każdej rozmowie z posłami. A jest tych posłów aż 444. Toż, proszę pana, zawartości żołądka nie wystarczy na takie obcowanie, a już chętki stać *chapeaux-bas* na śmietniku — nikt nie ma. Wszystkie próby, dotąd czynione, dawały w rezultacie kompletne fiasco

Pan poseł, to nikczemne zjawisko w Polsce, pozwala sobie bowiem na czynności tak upakarzające — zarówno sejm, jako instytucję, jak i samych siebie, jako posłów — że powtarzam, cała praca w sejmie śmierdzi i zaraża powietrze wszędzie. Ja, proszę pana, nie jestem w stanie pozwolić wbrew Konstytucji rządzić panom posłom i uważać ich za jakichś wybrańców do rządu. Zdaniem mojem, w każdym urzędzie pana posła należy usuwać za drzwi; jeżeli zaś przytem coś im dołożą — to także nie szkodzi. Bo, proszę pana, pan poseł obstawia siebie jakimś śmiesznym pojęciem o nietykalności, wtedy, gdy Konstytucja mówi tylko o nietykalności sądowej; wszystko inne, panie pośle, jest tykalne! Opowiem panu jedną śmieszną bardzo anegdotę. Pewien taki niehonorowy pan, w pewnym mieście, został obity po buzi i zwrócił się do komendy miasta z żądaniem ochrony. Pan generał, do którego się udał, odpowiedział mu bardzo solidnie i spokojnie, że on nie jest prochownią, ażeby musiał *karaulę* stawiać przy nim i dlatego *karaulę* nie postawi. Dlatego też i rząd *karaulę* żadnych nie postawi — bądź pan przekonany.

Proszę pana — jako ilustrację stanu rzeczy powiem panu słów parę o przyzwoitości. Panowie posłowie już zatracili wszelką przyzwoitość, tak, jak gdyby chcieli powiedzieć, że poseł do sejmu chociażby był kryminalistą, łotrem i chociaż nie robi nic, a tylko dokucza każdemu, — to jednak wszyscy muszą stać przed nim na śmietniku i kłaniać mu się nisko. Ja, proszę pana, na taką sytuację nie mogę pozwolić; państwo wtedy bowiem idzie na anarchję — wpada w anarchiczny chaos. Jeżeli pan zechce spojrzeć, jak ta nieprzyzwoitość wygląda w Konstytucji, to pan znajdzie, że od prezydenta

wymagana jest przysięga, od każdego z ministrów wymagana jest przysięga, Konstytucja obstawia pracę prezydenta i pracę ministra tak zwanymi Trybunałami Stanu, które mają równie niechlujne urządzenie prawne, jak niechlujnie jest pisana Konstytucja. Natomiast pan poseł nie przysięga, bo do żadnych obowiązków względem państwa się nie poczuwa. Panowie posłowie tylko „ślabują”; chyba dlatego, żeby nie być pociągniętymi o krzywoprzysięstwo. Proszę pana, ja otwierałem wszystkie sejmy Rzeczypospolitej i nigdy nie zapomnę swego obrzydzenia przy akcji „ślabowania”. Naprzykład, w ostatnim sejmie. Pamięta pan ten śliczny obrazek — naprzód idzie zwyczajna burda szynkowa; pamiętam — siedziałem w ławach rządowych i przyglądałem się tej burdzie szynkowej; widziałem, jak różne „lwi” podnosiły krzyki i hałasy; nie mogłem, wyznam panu, wytrzymać ze śmiechu, gdy oczekiwałem, kiedy ten „lew” zaśmierdzi ze strachu; tak się też i stało. Samo „ślabowanie” — w jakiejże to formie się odbywa! Prześladuje mnie poprostu ten obraz. Taki pan z rozpiętymi spodniami nie raczy nawet przyzwolicie wstać i odpowiedzieć swoje: „ślabuję”. Takie brudne ślabowane portki, od których państwo ma zależeć! To jest rzecz niemożliwa do zniesienia. Niechlujna praca, nicpoństwo, wprowadzenie anarchji — temu raz koniec trzeba postawić!

Czy pan wie, nad czym ja najczęściej się zastanawiam? Nad dziwną aberacją myślową panów z „gasnącego świata”. Pan mi mówił o społeczeństwie. Ci panowie zaś mówią o sejmie; czy ich jest dwóch, czy ich jest trzech, czy ich jest dwunastu, każdy stanowi sejm i każdy mówi o swojej

zgodzie, czy o swojej woli, jako o zgodzie sejmu. A gdzie jest ta zwyczajna większość? Bo „śladowane” portki nie pracują — ich nawet zebrać trudno — a pieniądze za to biorą. Świeżo, na przykład, powstało urządzenie „lewskiego centra” albo „centrego lwa”. Także mądre urządzenie. Jakieś uniwersały rozsyłane wszędzie — i to wszystko w imieniu sejmu, kiedy sejm istnieje tylko wtedy, gdy jest posiedzenie i kiedy jest 223, a nie jakieś bzdury. Toż, proszę pana, można zebrać łotrów, bo jest ich dużo w sejmie, jakąś setkę — i mówić, że to sejm. I od takich łotrów ma państwo zależeć?

Druga rzecz, proszę pana, nad którą się nieraz zastanawiałem, to są motywy, dla których ta banda w tak anarchiczny sposób postępuje. Moje przekonanie, wyciągnięte z kilku lat stałej i ustawicznej myśli, jest jasne i nieodwołalne — panom posłom trzeba pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy. Niech rząd kradnie pieniądze, z podatków zbierane, a daje im. I trzecia rzecz — wygodki partyjne; to znaczy, że z pieniędzy podatkowych mają być utrzymywane partje, mają być płaceni ich agitatorowie, ich wypędki najrozmaitsze. To jest ich cel, ich dążenie. Mają być subsydjowane ich towarzystwa, które panowie partyjnicy okradną — i to wszystko z pieniędzy, składanych z podatków. Wszystko dla nich musi być darmo robione i każdy ma stać na śmietniku przy panach posłach, którzy dążą tylko do zupełnej bezkarności. Ten system anarchji, wprowadzany przez różne „centry” i „lwi” oraz ich cichych wspólników, którym wstyd jest być „centrami” i „lwami”, — jest największą chorobą nowoczesną. Dlatego też na pytanie pana, co jest naj-

większą moją troską — twierdząc, że największą moją troską jest odparcie ataku na pieniądze skarbowe, na wydawanie ich na wychodki partyjne. „Partjów kawałek” nie istnieje dla rządu. Muszę panu powiedzieć, że zatracenie zupełne przyzwoitości jest charakterystyką nowych czasów. Ja nieraz wzdychałem: żeby choć przyzwoicie! Lecz pan poseł chce być wolnym od praw, które karzą sądownie, od praw honoru i od praw przyzwoitości; i w ten sposób zwalnia i innych od tychże praw przyzwoitości. Muszę wyrazić swoje głębokie zadowolenie, że jednak najliczniejszy klub wyłączył się z tego chlewu, ogłosiwszy, że stawia się jego członkowie do każdego sądu, który ich zażąda, chociażby do odpowiedzialności karnej, i nie chcą podlegać prawom o honorze, robionym przez panów posłów. Daje to nadzieję poprawy i daje możność myślenia, że „partjów kawałek”, żądający pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy, nie będzie panującym w Polsce.

II WYWIAD BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO.

(6 września).

— *A więc, Panie Marszałku, od tygodnia weszliśmy w okres wyborczy.*

— Wie pan, okres wyborczy istnieje obecnie przede wszystkim dla rządu, no i dla możliwych, że tak powiem, kandydatów na posłów. Co do tych kandydatów, nic narazie mówić nie będę, gdyż imiona ich nie są mi znane. Natomiast mnie ten pierwszy tydzień wyborczy dał się we znaki bardzo silnie; muszę bowiem mieć do czynienia z całym szeregiem praw i przepisów, w których, naturalnie, jest zwykły chaos i masę sprzeczności. Poza tem mam, niewiadomo dlaczego, mus zajęcia się byłymi posłami do sejmu — i wyznam panu, że to drugie zajęcie zmusza mnie do pracy bardzo wstętnej, mianowicie — do babrania się w nieczystościach. Gdy bowiem hasłem istotnem u panów byłych posłów jest: pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy — albo dla siebie, albo dla partyj nawet najrozmaitszych — to nasuwa się mus wchodzenia w nieczystości i brudy, co dla mnie jest specjalnie uciążliwe, gdyż jestem dostatecznie znany z nieumiejętności zrobienia jakiegoś brudnego uczynku.

Lecz wróćmy do praw. Przede wszystkim więc musiałem mieć do czynienia z tak zwaną ordynacją wyborczą. Pierwszym moim kłopotem było to, czy mogę uznać prawa, wyraźnie sprzeczne z Kon-

stytucją. W Konstytucji bowiem nie znajdzie pan żadnego artykułu, któryby gdziekolwiek choć w jednej literze mówił o partjach, o klubach i o jakiegokolwiek wewnętrznej organizacji posłów. Przeciwnie — Konstytucja ciągle wymaga od posłów zupełnej swobody rozstrzygania tej lub innej sprawy według swego własnego sumienia, nie według nakazu jakiegokolwiek partji czy organizacji, którą może zaprzeczyć sumieniu. Na te „ślabowane portki“ nawet ślubują. I nagle, według ordynacji wyborczej tak zwanej Państwowej Komisji Wyborczej, muszę mieć do czynienia z przedstawicielami tych klubów, z przedstawicielami partyj, które w dodatku mają jakoby pilnować czystości wyborów.

Przyznam się panu, że się zawahałem co do możliwości wykonywania przeze mnie tego niecnego prawa. Boć przecie ta Wyborcza Komisja Państwowa ma zostać i po nowych wyborach, na cały czas do rozpisania następnych wyborów, to znaczy, że jakiś klub może przy nowych wyborach okazać się nieistniejącym, może zdechnąć, być zwyczajnem ścierwem — a jednak mieć jakieś znaczenie, mieć opłacane, naturalnie, swoje podróże, swoje djety, hotele, tak, że jakiś „były poseł“ znajdzie choć darmową wyżerkę. Wahanie moje było ciężkie, gdyż niema paskudniejszej rzeczy w państwie, jak demoralizowana banda byłych posłów, zdeklasowanych jakichś klaczy czy marnych wałachów, którzy krzyczą: pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy i mogą per procura mieć jakieś mandaty. Wyznam panu, że rozstrzygnięcie tych moich wątpliwości prawnych — gdy ten śmierdzący „kawalek“ partyjny wyraźnie przeczy Konstytucji — było mi

bardzo ciężkie. Pierwszym moim rzutem była chęć skasowania tego zupełnie bezwzględnie i wyrzucenia za drzwi tego ścierwa, które sprawę wyborów tylko komplikować może.

Ten „partjów kawałek“ należy do tych systemów, których jest mnóstwo: dokradania przez najrozmaitsze dodatki do Konstytucji uprawnień, oznaczających tylko pieniądze, pieniądze, pieniądze i darmową wyżerę dla panów posłów do sejmu. Jeżeli tego nie zrobiłem, to dlatego, iż w tak szybkim czasie ułożenie czegoś innego byłoby za trudnem; to był jedyny powód, dla którego dopuściłem różne ścierwa do istnienia i zarażania powietrza.

— *O ile mi wiadomo, Panie Marszałku, rząd miał coś w rodzaju konfliktu z sejmem o pogrobowe pretensje do pieniędzy skarbowych?*

— Aha, to pan zapewne mówi o głodującym panu Daszyńskim i innych kolegach jego. Muszę panu powiedzieć, że ta sprawa zajęła mi także sporo czasu, lecz ja stanowczo odrzucam wszystkie zamachy na pieniądze skarbowe. Przedewszystkiem, proszę pana, w artykule Konstytucji, który mówi o rozwiązaniu sejmu, nie ma ani jednego słowa o tem, żeby pozostający marszałek sejmu i jego zastępcy mieli pobierać jakiegokolwiek pieniądze. Doczepieni do tego panowie wicemarszałkowie nie są nawet wspomnieni w tym artykule, jako wicemarszałkowie; mowa tylko o zastępcach. A wobec tego, że tenże Daszyński zastępuje siebie nieraz wcale nie posłami, jak to było w znanym wypadku z oficerami, gdy jakiś biedny urzędniczyna zastępował Daszyńskiego — to ja nie wiem nawet kogo się to tyczy, gdy tak daleko rozciągnięte być może pojęcie zastępcy. Jeszcze raz jednak zwracam uwa-

gę, że w Konstytucji ani słowa nie ma o jakiegokolwiek płacy.

Wysłuchałem całej masy zawitych wywodów prawnych w tej sprawie i wszystkie one przy bardzo dalekiej i głębokiej analizie skłaniają się do mego zdania, nie do zdania Daszyńskiego. Naturalnie, różne kauzyperdy konstytutę-prostytutę mogą sobie wykręcać inaczej, ale to nie pomoże nic a nic, gdyż ja nie jestem skłonny wydawać bezprawnie pieniądze, tak ciężko zbierane z podatków, na byłych posłów sejmowych. I na pewno nie wydam ani grosza na to.

To samo tyczy się i panów z tak zwanej Komisji Długów, którzy mają pobierać wynagrodzenie wtedy, kiedy nie mają djet, i również podczas przerw w posiedzeniach sejmowych. Nie można jednak rozwiązania sejmu uważać za przerwę. Że ci panowie zamiast djet zrobili sobie bezprawnie gazę, a w dodatku, dla lepszej wyżerki, podczas przerw jeszcze zbierają dodatkowe pieniądze, to nie oznacza wcale, abym mógł uważać nieistnienie sejmu za przerwę. Dlatego też, proszę pana, z tej darmowej wyżerki nie będzie nic.

Zastanawiałem się wogóle nad celowością 29 artykułu Konstytucji, na którym Daszyński się opiera, a który nic nie mówi o wynagrodzeniu. I wyznam panu, że dojrzałem pewną dozę celowości w tem urządzeniu, gdyż zapłatane rozrachunki z pieniędzy, wydawanych na sejm, wymagają jakiegoś okresu likwidacji. Przecież są zaliczki, pobrane przez panów posłów, masa ich długów, które włożą im na djety, zaległości w restauracji, w hotelu, które muszą być w jakiś sposób uregulowane. Obliczenie zaś, że to wszystko, co się należy za fotel, za

hotel, za burdel i za serdel, ma opłacić rząd z pieniędzy skarbowych — musi zawieść. Dlatego też prawdopodobnie jest zostawiony okres do zebrania się przyszłego sejmiku dla uregulowania tych rachunków — i to tak, aby była jakaś dyscyplina na byłych posłów. Naturalnie, konstituta czy prostituta może sobie to tłumaczyć inaczej, bo ten naturalny cel nie jest wcale wymieniony w Konstytucji, ale nie wymienione są i inne cele. I jeszcze raz powtarzam, że w artykule tym ani słowa o wynagrodzeniu niema.

— *O ile dobrze rozumiem, to Pan Marszałek nie zamierza uznawać instytucji „byłych posłów” i jakichkolwiek ich uprążeń?*

— Pan postawił mi pytanie, na które z natury rzeczy wypływa odpowiedź. Gdy sejmik jest rozwiązany, to posłów niema — nie istnieją — i każdemu wolno sądzić, że o ile chcą zatrzymać swe uprawnienia, to mogą być uważani, jak to podkreślam, za zwyczajne ścierwo, które musi zatruwać swoim istnieniem powietrze. Otóż ja panu powiem, że, dzięki małym zresztą wypadkom, myślałem dużo o tak zwanej aberacji myślowej. Jest to sprawa, którą się zajmuję od bardzo dawna; nieledwie od wczesnej mojej młodości stawiałem sobie często pytanie, skąd u ludzi pochodzi ta dziwna chęć do zmiany realnych rzeczy, realnych faktów na nierealne, nieistniejące — i skąd pochodzi ta chęć upiększania, jakgdyby dla siebie, swojej małości i nicości nierealnymi faktami i nierealnym życiem myślowym, tak, iż ta aberacja myślowa prowadzi się zdaje ludzi do szpitala warjatów.

To, zdaje się, można zastosować w zupełności do panów byłych posłów sejmowych.

Jeszcze niedawno rozmawiałem z jednym z wybitnych mężów stanu Europy i, mówiąc o jednym z państw istniejących, — nazwy tego państwa nie wymienię — mówiłem, że mamy do czynienia z ludźmi chorymi, którzy naprzód zachorowali na daltonizm, czyli że widzieli jaskrawą zieleń wiosny w kolorze żółtym czy czerwonym, natomiast kolor czerwony widzieli jako zielony; choroba, jak kiedyś czytałem, dosyć rozpowszechniona; lecz gdy choroba u tych ludzi postępowała dalej, zaczęli chodzić na głowie, brykając nogami w górę; a że takie chodzenie jest niewygodne i cały świat widzi się na wywrót, więc sprowadza to ból głowy; i wtedy skarżą się, także na wywrót, na kogoś — że ich głowa boli.

Byli posłowie, proszę pana, niezwykle przypominają mi to państwo. Przedewszystkiem wyobrażają sobie, że oni są istotnymi posłami do nieistniejącego jednak sejmiku i dlatego próbują urządzić ze związku zawodowego byłych posłów do sejmiku państwo w państwie, państwo nowe pod tytułem „Ulica Wiejska”. „Państwo” to chce być z Polską, jako państwem, w stanie wojny — może w obronie darmowego serdelu, może w obronie darmowego hotelu. Sądzą oni, jak owe państwo, o którym mówiłem, że jeżeli być w stanie wojny, to może coś się wygra, może choć darmowy serdel się oberwie przytem, może darmowy hotel. Pozwalają więc sobie przy takim stanie wojny korzystać z budynków rządowych, jakgdyby ze swojej własności; pozwalają sobie, jako „rządzące” partje, robić sobie jakieś senaty, wkrótce może wybiorą sobie prezydenta i wyznaczą nowe rządy. Nadaje się już bodaj wielu z nich do szpitala warjatów, jeżeli nie

do kryminału. Naprzykład, proszę pana, zmusili już do poszukiwania broni, na dowód, że oni znajdują się w stanie wojny — i chcą, zdaje się, przede wszystkim zatruć wyziewami tego, kto dowodzi stroną przeciwną, czyli szefa rządu, zmuszając go do babrania się w nieczystościach.

Najzabawniejszą jednak rzeczą jest u panów posłów inna jeszcze aberacja myślowa, to jest stałe ogłaszanie, że im jest ich mniej, tem bardziej reprezentują oni sejm. Obawiam się, że wreszcie zostanie ich kilku, którzy z pompą ogłaszają, że „mi, to jest sejm“ i to sejm suwerenny; bo przy znanej tendencji panów posłów do sejmu, aby być nadszoferem, nadprezydentem, nadinżynierem i nadkonduktorem, ta rzecz łatwo zdarzyć się może. Ja sądzę, że będzie najłatwiej dążyć z ratunkiem dla poszarpanego zdrowia tych panów z sikawką pożarną, aby ich nieco przyprowadzić do przytomności. Dawna to, proszę pana, metoda — oblewać warjatorów zimną wodą. I pomyśleć, że to wszystko walczy pod sztandarem darmowego serdelu. No, czyż może istnieć takie śmieszne „państwo“? Państwo zawodowego związku byłych posłów, stających w obronie czystości wyborów! No, no, panie, tego już za wiele! Darmowy serdel i czystość wyborów — połączone razem!

Więc, jak pan widzi, dość już miałem kłopotów wyborczych, jak na jeden tydzień.

III WYWIAD BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO.

(13 września).

— *Czy wolno Pana Marszałka, jako szefa rządu, zapytać o aresztowania byłych posłów?*

— Ależ bardzo proszę. Historia tego wypadku jest następująca:

Jeszcze przed rozwiązaniem sejmu, gdy posłowie byli istotnymi posłami, a nie „byłymi“, wpływała dość wielka ilość karnych procesów, wytaczanych przez prokuraturę różnym posłom i z bardzo rozmaitych powodów. Nie mam bowiem, proszę pana, żadnej wątpliwości, że panowie posłowie dążyli do immunitetu, czyli nietykalności, tak dalece rozszerzonej, że utworzyło się jakgdyby zbiorowisko ludzi, uprzywilejowanych w sposób ani konstytucyjny, ani prawny, ani w żaden sposób, związany ze zwyczajną etyką.

Przy rozwoju naszego tak zwanego parlamentarizmu weszło więc w zwyczaj, że wspólnicy nawet takiego czy innego występku czy zbrodni nie byli pociągani do odpowiedzialności sądowej; ta bezkarność przy ostatnim sejmie doszła już do jakichś potwornych rozmiarów, przekraczających możliwość znoszenia tego dalej.

Ja osobiście wogóle nie znoszę bezkarności, prowadzącej w sposób naturalny do rozwydrzenia i obniżenia gwałtownie i szybko wszelkiego

poczucia zwyczajnej moralności; dla tego też od razu zdecydowałem wykorzystać ten normalny czas, gdy posłowie stają się zwyczajnymi obywatelami państwa, aby choć raz w Polsce postawić sprawiedliwość, wymierzaną przez sądy, na normalną drogę, nienaruszaną tak bezecnie, jak to czynili posłowie z immunitetem w pyskach.

Dlatego też kazałem zebrać poruszone przez prokuraturę sprawy; i wie pan — nazbierało się ich ogromnie dużo; a przy naturalnym pędzie sprawiedliwości do niewyłączania z powodu jakichkolwiek przywilejów poszczególnej warstwy ludzi — liczba ta, rosnąc coraz bardziej, może dobiec do poważnej cyfry.

Mogę panu powiedzieć, że musiałem, niestety, zatrzymać nawet karzącą rękę sprawiedliwości, gdyż nie mogłbym dać sobie rady z taką ilością jednocześnie. A gdy policja obecnie zajęta jest mnóstwem dodatkowych prac, związanych z wyborami do sejmu, nie mogłem również przeciążyć zbytnio policji. Dlatego też zdecydowałem nie osiągać rekordu i zatrzymałem się — dla pierwszej transzy — przy jednej czwartej za ledwie. Niestety, nie mogę panu powiedzieć zupełnie ściśle, za co właściwie taki czy inny pan jest ścigany przez sprawiedliwość, gdyż przy każdym nazwisku sprawiedliwość stawia paragrafy i artykuły karne, których ja, niestety, nie znam; wiem tylko, że są one bardzo rozmaite i sama liczba tych paragrafów jest znakomicie wielka — tak, że musiałbym mieć ciągle do czynienia z kodeksem karnym, co nie jest moim obowiązkiem. Wiem, że są tam strzelania do policji, jakieś ma-

cherki z wekslami, oszukaństwa i szantaże — no, i temu podobne paskudztwa.

Aresztowania są zatem, pod względem wyboru, dość wypadkowe; mógłbym wybierać co piątego, co dziesiątego. Bo przecież doprawdy ci panowie posłowie upodobali sobie dość dziwny sposób życia — dla obrony „praw wolności“ niemal, że siadali na ulicy, aby robić nieczystości — z immunitetami w pyskach. Toż tego znosić nie można! Takie „prawo wolności“ — toż końby się z niego śmiał, mówiąc językiem legjonowym. Tam oszukać, tam szantażować, tam strzelić z rewolweru, tam ukraść — to są „prawa wolności“.

To rozciągnięcie prawa immunitetu poselskiego — ze stałą ze strony marszałków sejmu odmową prowadzenia nawet dochodzeń — jest takim urąganiem poczuciu sprawiedliwości i takim bezczelnym deptaniem honoru samej instytucji sejmu, że chyba dalej już nie idzie. Jest to jedna z największych nieprzyzwoitości, które były popełnione w ubiegłym okresie sejmowładztwa; właśnie ta nieprzyzwoitość stale mnie skłaniała do przypuszczenia, że głównym celem pracy panów posłów jest bezkarność wobec sądów Rzeczypospolitej za wszelką cenę.

— *Pan Marszałek dąży zatem do tego, aby w okresie obecnym mymiar sprawiedliwości poszedł normalnym trybem, zahamowanym poprzednio przez wybujałe potwornie rozszerzenie immunitetu?*

— Gdyby mi się udało wprowadzić choć trochę przyzwoitości w te zabrudzone stosunki, tobym był bardzo dumny z tego. Zawsze zachętą dla mnie jest oświadczenie grupy byłych posłów z tak

zwanej jedyńki, którzy ogłosili publicznie, że nie chcą korzystać z immunitetu poselskiego i nie chcą być sądzeni jedynie przez tak zwany sąd honorowy sejmu.

Ale, wie pan, powrócę do swego poprzedniego tematu — aberacji myślowej. Czyż nie widzi pan u ludzi z aberacją myślową tej bezwiednej tendencji przedłużania swego stanu „jakoby posła” nawet na okres wyborczy? Czy pan wie, że w liczbie aresztowanych posłów jest kilku panów — ja pamiętam tylko nazwiska panów Kwiatkowskiego i Baćmaga — ludzi, oskarżonych właśnie o zwyczajne kryminały, którzy przy przewożeniu ich do więzienia krzyczeli ustawicznie, że oni są posłami. Zaś pan Dębski wybił nawet szybę w samochodzie, którym go przewozili; może dlatego, że kiedyś był wojewodą, przypisywał sobie znowu nadzwyczajne przywileje. Nie wiem, naturalnie, — może sądzili oni w swojej durnej aberacji myślowej, że gdy przechodzień usłyszy, że to jest poseł, to rzuci się, by go ratować, spełniając przy tem szczytny obowiązek bronięcia „praw wolności”.

A, wie pan, przy tej ostatniej historii zwrócił moją uwagę wypadek, który zaszedł z panem Witossem. Ten pan przewożony był przez Kraków, gdzie przewożący go spostrzegli, że mają nieodpowiednie pieczątki, wystawione w dokumentach podróży. Wozili więc biednego Witosza po Krakowie, od urzędu do urzędu, zdobywając należytą pieczętkę. Pan Witos zachował się przez cały czas tak spokojnie, że przy powszechnej nieprzyzwoitości i draństwie może być uważany za za-

szczytny wyjątek. Zachował godność człowieka w sobie.

— *Przypuszczam, Panie Marszałku, że jeżeli aberacja myślowa jest uleczalna, to zostały zastosowane dość radykalne środki?*

— Powiem panu, że środek zastosowany okazał się istotnie bardzo skuteczny, gdyż nie otrzymałem dotąd z więzienia żadnego meldunku o aberacji myślowej. Dyscyplina więzienia jest twarzą i może ci panowie, gdy wyjdą z więzienia, okazać się ludźmi bardziej dyscyplinowanymi, niż wówczas, gdy tak bezpiecznie „służyli Polsce” w sejmie.

Niechybnie — wracając znowu do aberacji myślowej — postępowy rozwój tej aberacji prowadzić musi do szpitala warjatów. Nigdy nie zapomnę, proszę pana, moich wrażeń ze szpitala warjatów. Pamiętam tam jednego pana, który dzień i noc chodził po pokoju i stukał silnie od czasu do czasu jedną nogą — nogą w przydeptanym szpitalnym pantoflu. Byłem zdziwiony tem uporczywym stukaniem i razu pewnego ośmieliłem się zapytać tego pana bardzo grzecznie, czemu właściwie stuka on, chodząc, tak mocno nogą. Popatrzył na mnie zgóry — tak, jakbym ja stał na śmietniku, a on gdzieś wysoko — i spokojnie mi odpowiedział z dużym odcieniem pogardy: — „Ja tu jestem schowany, bo robiono zamachy na moją wolność i życie, ale za każdym razem, jak ja stuknę, to *gradonaczalnik* rozumie, co to znaczy!” — dodam dla wyjaśnienia, że *gradonaczalnik* był to ktoś w rodzaju naszego komisarza rządu miasta Warszawy. Ileż to, proszę pana, takich stuknięć przydeptanych pantofli ma „rozu-

mieć“ nasz biedny Jaroszewicz! Wątpię jednak, czy on to rozumie.

— *Pomimo tego wszystkiego, po zmęczeniu pierwszym tygodniem wyborczym widzę dziś Pana Marszałka w lepszym usposobieniu.*

— Wie pan — ratuję się, jak mogę, bo jednak to babranie się w nieczystościach, upstrzone paragrafami karnemi, — to nie jest wesoła robota. Dlatego ratuję się często śmiechem, jako najlepszym lekarstwem na wstręt do pewnych prac. Opowiem więc panu, co mi się przypomniało z powodu tych najrozmaitszych prób obrony posiadania stanu „byłych posłów“.

Jak pan wie, urodziłem się w Zułowie, dużym dworze pod Wilnem. Jak zwykle, wyprawiano tam doroczne dożynki. Dożynki w Zułowie robią obfite i sute, z mnóstwem „wódeczności“, gdyż ojciec prowadził i wielką gorzelnię. Co do mnie, malca, byłem szczególnie zajęty zawsze przyglądaniem się tańcom. Nie mogłem bowiem zrozumieć, dlaczego parobcy ciężkimi butami nie zmiażdżą bosych stóp dziewcząt. Wydawało mi się to niemożliwe. To było moje zajęcie. Oczywiście, z biegiem dożynek wzrastała coraz bardziej ochota i humor. Pamiętam, że pewnego roku dzieci trzy razy prosiły rodziców, by ich nie kładziono do snu, tak bardzo dożynki były huczne i oho-cze. Wreszcie, gdy zupełnie zciemniało, po sutej kolacji, stanęto znowu do tańca. Zagrało równocześnie sześć harmonij: odchodziła „lewonicha“. Sześć harmonijek grało od ucha. Ojciec mój, bardzo muzykalny człowiek, krzywił się, jakby jadł cytrynę; w pewnej chwili zobaczyliśmy skaczącego do góry naszego kuchcika, który wywijał

rękami i olbrzymią miednicą mosiężną do smażenia konfitur — i nagle wielkim móżdżkiem zaczął wybijać takt, niezgodnie ze wszystkimi harmonijkami. Ojciec, przerażony tą okropną kaskadą, podszedł do niego i zapytał: — „Joachimku, co ty robisz?“ — „Panie, panie — byle szum, byle szum!“ — odrzekł rozbulany Joachimek. Ojciec odszedł zawstydzony. Ileż to, proszę pana, u nas znowu uporczywych Joachimków się nabierało!

Skoro pan mnie zagadnął o lepszy humor, to powiem panu, że humor jest lepszy też i z tego powodu, że mogę przystąpić do racjonalniejszej pracy. Miałem więc posiedzenie Rady Ministrów, teraz zaś zaczynam pracować nad budżetem państwowym i rozmaitymi obiektami poważnymi, a mniej śmierzdacemi, niż babranie się w kryminałach i w steku nieczystości, zostawionych przez sejm.

— *Pomimo przygotowań wyborczych nurtują w opinii publicznej wątpliwości, czy — wobec negatywnego stosunku Pana Marszałka do posłów — nie zamierza Pan obchodzić się bez nich zupełnie na przyszłość?*

— Dotyka pan kwestji, którą niegdyś podniosłem, mówiąc o gasnącym świetle. Kwestja jest bardzo poważna i bardzo głęboka, gdyż niewątpliwie parlamentaryzm wszędzie na świecie jest chory. Wszędzie też czynią próby naprawy stosunków w ten czy inny sposób.

Co do mnie, proszę pana, nie sędzę, aby można było obejść się bez jakiegoś przedstawicielstwa, wybranego i czyniącego zadość poczuciu odpowiedzialności. Natomiast nie mogę nie powiedzieć, że wszystko, co się daje zaobserwować w Polsce

w tej sprawie, czyni pracę nad zachowaniem tej zasady u nas niezwykle ciężką i niezwykle trudną do obronienia. A to głównie z powodu niecnego i nieprzyzwoitego zachowywania się posłów. Jak dotąd jednak — powtarzam — nie potrafiłbym zmienić sobie o tyle; dałem zresztą tego dowód, szukając na drodze wyborów naprawy naszego chorego parlamentaryzmu.

IV WYWIAD BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO

(27 września).

— *Po dwutygodniowej przerwie pozwolę sobie znowu zapytać Pana Marszałka o bieg jego prac, jako szefa rządu.*

— Proszę pana, cały właściwie jestem teraz w budżecie, który musi być ułożony na rok przyszły — i zaledwie drobną cząstkę siebie mogę poświęcić na co innego.

Bo, wie pan, z budżetem jest jedna bieda doroczna. Bieda ta polega na tem, że rząd musi przewidzieć dochody państwowe na rok następny, ażeby, dopasowując się do nich, ułożyć wydatki. Za dawnych, przedwojennych czasów sprawę tę prowadzono inaczej: spokojnie łątano niedobory nie czem innem, jak pożyczkami, tak, że zadłużenie państw rosło z dnia na dzień, a przynajmniej z roku na rok. Teraz ten „ułatwiony” sposób budżetowania nie idzie; budżetować trzeba, zaczynając od dochodów. Ta zaś praca jest mocno utrudniona nie przez co innego, jak przez terminy składania budżetu. Przewidywać trzeba dochody po przeżyciu zaledwie jednego półroczka, gdyż zaraz w październiku konstytucyjnie trzeba składać budżet. Ponieważ zaś dochody państwowe u nas, jako w kraju rolniczym, właśnie są największe w końcu roku kalendarzowego, przewidywania

te muszą być bardzo chwiejne i naturalną tendencją staje się aż nadto ostrożne obchodzenie się z dochodami.

Pewnie, że zupełnie spokojnie można byłoby przenieść obowiązek składania budżetu na czas po grudniu, kiedy zostaje do skończenia roku budżetowego jeszcze trzy miesiące. Wtedy przewidywania mogą być oparte na mniej chwiejnych podstawach, a zatem bardziej rozsądne. To też zawsze mnie dziwiła dziwna taktyka sejmowa, która w stosunku do budżetu chce dla pracy sejmowi nad budżetem zająć pół roku, rozciągając swoją pracę w sposób, panu zresztą znany, bez żadnej sprawności technicznej, szukając u rządu jedynie pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy dla siebie. Ten system przedłużania prac sejmowych nad budżetem najczęściej zmusza ludzi rozsądnych do pracy na chybcika, do pracy banalnej, tak, aby, że tak powiem, naprawiać budżet dopiero przy jego wykonywaniu. Co do mnie, to od razu już wprowadziłem dla rządu mus podawania budżetu dopiero w samym końcu października — to znaczy przedłużyłem możność robienia budżetu o jeden miesiąc. Wprowadziłem również drugi zwyczaj — wykorzystywania praw prezydenta do odłożenia debaty sejmowej nad budżetem jeszcze o jeden miesiąc, tak, aby budżet wyglądał przyzwoiciej, niż może wyglądać wtedy, gdy przewidywanie dochodów opierać się musi jedynie na jakimś „zgaduj, zgadula”.

Jeżeli zaś dodać do tego biurokratyczny system w stosunku do budżetu, jaki dzięki temu powstaje, to powiem panu dziwoląg, istniejący u nas jako zwyczaj — że zaraz po uchwaleniu budżetu,

bez przeżycia nawet dwóch tygodni doświadczenia zaczyna się praca nad nowym budżetem. Przyczem zaczyna się już nie od dochodów, ale od wydatków, które w tym wypadku sięgają 4—6 miliardów, i cały rok trwa praca nad obcinaniem budżetów wydatkowych. System ten, tak śmieszny sam w sobie, przeczy właśnie głównej zasadzie, że budżet musi być ułożony według dochodów, a nie według wydatków.

Praca nad przełamaniem tych śmiesznych i nonsensownych zwyczajów i obyczajów, wyrosłych na tle naszego chorego parlamentaryzmu, nie jest, proszę pana, łatwą pracą. Raz kiedyś — pamięta pan — udało mi się ją przełamać do pewnego stopnia; robiłem to jednak na gwałt i w pośpiechu. Teraz zaś pracuję nad tem *con amore*, choć nie mam znowu tych dodatkich stron, jakie były w owe czasy, gdyśmy już wyzyskiwali pożyczkę, która była w biegu.

— *Czy natomiast nie będzie w tym roku ulgą to, że nowy sejm zbierze się dopiero w grudniu?*

— Oczywiście — dotychczasowy okres budżetowania przedłuża się tym razem o cały miesiąc. Natomiast wielkiem utrudnieniem dla zakończenia budżetu jest czas dość ciężki gospodarczo, z którym mamy do czynienia i który całkiem nie jest podobny do tego okresu, kiedyśmy mieli w rozporządzeniu wielkie sumy, pochodzące z pożyczki. Powiem panu od razu, że ten rok budżetowy niechybnie zamkniemy bez deficytu. Ale osiągnąć to można jedynie dzięki bardzo uciążliwej pracy nad osiągnięciem celu — bezdeficytowego budżetu.

Przy wszelkich analizach naszego budżetu tego rocznego, które dotąd uczyniłem przy pomocy pana

ministra skarbu, dochodzę zawsze do tego samego wyniku — że nad naszym tegorocznym budżetem, jak zmora, ciąży trzy specjalne obciążenia. Pierwsze obciążenie, proszę pana, polega na niezwyklej trudności zrobienia budżetu produkcyjnym, a nie „przejadanym”, to znaczy ściśle gażowym. Trzeba panu dobrze pamiętać dla zrozumienia tej strony rzeczy, że wydaliśmy dzięki pożyczce amerykańskiej zgórą 135 milionów na podniesienie płacy urzędnikom. 135 milionów więc — wydane z pożyczki — obciąża potem budżety normalne, bezpożyczkowe. W roku przeszłym, gdy dochody państwa doszły do nieznanej poprzednio wysokości i przekroczyły 3 miljardy, dochody ze zwykłych źródeł ten nadmiar pokryły, tak, że rok przeszły budżetowy wytrzymał nawet wszystkie szkody, które nam zrobiły mrozy w zaprzeszłej zimie, a które jednak dochodziły do 70 milionów. Natomiast w tym roku już to obciążenie nadzwyczajnie silnie daje się we znaki budżetowi.

Dodam do tego, że to powiększenie o 135 milionów zrobiono wbrew moim doradom i wbrew moim chęciom, gdyż ja już wtedy ostrzegałem przed podobnie nierozsądnym maszerowaniem naprzód z gażami. Coprawda, w owe tłuste lata sądzono, że się uda przeprowadzić podwyżki podatkowe, które umożliwią wyciągnięcie budżetu, tak nadmiernie wyrosłego. Lecz, jak pan wie, sejm spokojnie, po swojemu, załatwiał sprawy, podwyższając uchwałami dochody i czyniąc w ten sposób budżet zupełnie komicznym i całkiem niezdatnym do wykonania. Podwyższano więc dochody celne, które akurat spadają; podwyższano dochody monopolowe, które akurat się zmniejszają; podwyż-

szano dochody z kolei, która dochodów nie daje. Jednem słowem, robiono z budżetu jakieś hocki klocki, czyniąc realnem tylko podwyższenie wydatków na sejm, to jest na panów posłów — zgodnie zresztą z zasadą, że za uchwalenie budżetu trzeba dać pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy i do kieszeni panów posłów. W ten sposób pobożne zamiary rządu spełzały na niczem, a obciążenie pozostało w całej sile.

Drugiem obciążeniem naszego budżetu tegorocznego jest tak zwana interwencja na ceny zboża, która kosztuje miesięcznie 3 do 3 i pół milionów, co rocznie daje około 40 milionów dodatkowego wydatku. Niedosć tego, jest i trzecia dziura dość duża — w związku z wytężoną pracą nad opanowaniem zjawiska bezrobocia. Prawda, że ta praca dała jednak w rezultacie bardzo wielkie zwycięstwo, gdyż liczba bezrobotnych spadła w ciągu ostatnich miesięcy więcej, niż o 100000, spadając prawie do czasów normalnych. Ale że to kosztuje, to kosztuje.

To są, proszę pana, trzy obciążenia budżetu, bardzo silne i bardzo utrudniające dojście do głównego celu — bezdeficytowego budżetu. Niechybnie na mnie spadła łatwiejsza praca, niż na pana Sławka; łatwiejsza dlatego, że stoimy obecnie przed tłustszymi miesiącami, niż były miesiące letnie. Jednak praca nad naprawą szkód, zrobionych za lat ubiegłych, nie jest wcale łatwa. Gdy zaś wrócę do budżetowania przyszłego roku — to główną kwestją, nad którą zastanawiać się teraz ciągle muszę, jest określenie globalnej sumy, którą budżet się zamknie. Dotąd nie jestem zupełnie pewien, na czym się zatrzymam. Chciałbym odcią-

gnąć tę chwilę na dalszy nieco termin, skracając w ten sposób przepracowanie budżetu w detalach. Pragnąłbym przytem bardzo, ażeby nonsensowny październikowy termin dla budżetu został w jakikolwiek sposób zniesiony; aby można było budżet składać dopiero w styczniu i aby można było zmusić sejm do umiejętniejszej w przyszłości pracy nad budżetem. To jednak, jak pan rozumie, zależy od tego, czy wyborcy przestaną wybierać oczajduszów, płatnych łajdaków i ludzi, którzy mają jechać do Warszawy dlatego, żeby być nadsoferem i nadprezydentem, nadkonduktorem i nadfinansistą. W każdym razie powiedzieć panu mogę, że budżet tegoroczny zamknięty będzie bez deficytu i że tak samo zupełnie postąpię z przyszłym budżetem.

— *Tedy Pan Marszałek w ostatnich czasach obciążony był głównie pracą nad budżetem?*

— No, to się pan grubo myli. Jesteśmy przecie po czterech tygodniach skończonych okresu wyborczego i moja praca nad szanownymi byłymi posłami ustać nie może. Przedewszystkiem zanotować muszę ogromną swoją radość, że sądownictwo idzie mniej więcej w ten sam sposób, jak jałym sobie życzył i to — mogę pana zapewnić — bez żadnego nacisku z mojej strony.

Bo jeszcze raz panu powtarzam, że to dziwaczne pojęcie zupełnej bezkarności panów posłów, sięgające tak daleko, że żaden z nich nie może być ścigany sądownie nigdy i w żadnym wypadku, ba — nawet dochodzenia sądowe nie są dozwolone w stosunku do nich — że zjawisko to, tak nieczne i nikczemne, musi przedewszystkiem obrażać poczucie sprawiedliwości, nie mówiąc już

o stałej demoralizacji, coraz bardziej zwiększającej się w tej uprzywilejowanej grupie ludzi. Demoralizacja ta od czasu istnienia Polski tak się powiększyła, a panowie posłowie tak się rozbestwili, że ja, gdy przyszedłem do władzy, postawiłem sobie za zadanie rozbić tę aberację myślową panów posłów, jakoby mieli prawo kpić z praw, z przyzwoitości i ze wszelkich norm, cenionych przez ludzi. Dlatego też zakpiłem wyraźnie ze wszystkich płaszczyków, w które ci panowie chcą ubierać swoje nieczne postępowanie. I jeżeli czego żałuję, to, niestety, powolności w procedurze sądowej, która może nie nadaży za krótkim terminem, wyznaczonym na „karność” panów posłów. Lecz przynajmniej te niechlujne stworzenia wysiedzą się należycie w więzieniu; nauczą się może trochę dyscypliny, stosowanej do nich, i może trochę tej durnej aberacji myślowej panowie „pyskacze” zagubią.

Zresztą, proszę pana, te dwa tygodnie pracowałem też nad jednym jeszcze zjawiskiem, związanym z panami posłami. Jak pan wie, panowie posłowie, którzy byli urzędnikami państwa, mają prawo do powrotu do służby państwowej natychmiast po zakończeniu swojej, jakoby „służby” w sejmie. Panowie ci, naturalnie, jako uprzywilejowani, wracając do służby, nie chcą służyć wcale, pobierając jednak odpowiednie uposażenie; jeszcze raz: pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy, tem bardziej, że im się nadzwyczajnie chce prowadzić dalej swoje nieczne życie, a zatem kandydować raz jeszcze. Sytuacja zaś wytwarza się taka, że posady, które ongiś ci panowie zajmowali, są zajęte i jakoby państwo wtedy powinno

dla tych byłych urzędników i byłych posłów razem wyrzucać z posad ludzi, którzy tam pracowali, na rzecz panów, którzy nie chcą pracować; albo też wyszukiwać fikcyjne posady, na których ci panowie nie będą pracować, a jednak pobierać gaże. Takich panów okazało się do czterdziestu. I panowie ministrowie wraz ze mną mieli sporo pracy nad tymi dokuczliwymi jegomościami. Wybrnęliśmy jednak jako tako, nie obciążając, jak dotąd, skarbu więcej, niż tylko jednomiesięczną gażą. Ten więc haniebny proceder tak zwanych byłych posłów rozciąga się, jak pan widzi, we wszystkich dziedzinach życia państwowego — od więzienia aż do ciepłej posady. I nad tem wszystkim szef gabinetu musi pracować. Niech mi pan wierzy, że pracuję jak najgorzej dla panów byłych posłów, żeby przynajmniej niećność życia takich ananasów wylazła na zewnątrz.

V WYWIAD BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO. (4 października).

— *Jakież są perspektywy doprowadzenia do pracach budżetowych do tych celów, o których Pan Marszałek mówił ostatnim razem?*

— Wie pan, że znowu dwie trzecie tygodnia poświęciłem wyłącznie pracy nad budżetem, starając się coraz bardziej uściślić te wątpliwości i niepewności, jakie jeszcze w tej pracy pozostały. I wreszcie stanąłem przed główną kwestją w sprawie ułożenia budżetu. Pan się może zdziwi, że nazwę tę kwestję bardzo ostro i złośliwie, a jednak tak ją nazwę; zatrzymałem się mianowicie na zagadnieniu, jaką dozę „oszukaństwa” mam sobie dozwolić w budowaniu budżetu.

Powtarzam, niech się pan nie dziwi mojemu określeniu. Nieraz używać muszę bardzo ostrych określeń dlatego, że, niestety, tylko takie określenia pozostają w Polsce w pamięci; inne określenia, bardziej, że tak się wyrażę, dyplomatyczne prowadzą tylko do wzrostu aberacji myślowych.

Nigdy nie zapomnę, wie pan, jednego wypadku w swoim życiu, który mnie doprowadził do wielkiego zażenowania się. Było to w tych czasach, kiedy byłem Naczelnikiem Państwa i kiedy ówczesny premier angielski, znany Lloyd George, występował dość często przeciwko Polsce w niezwykle

ostrzych przemówieniach. A było to, proszę pana, w okresie tym, kiedy cała Polska chorowała na nadczułość właśnie w sprawach zagranicznych. W rozmowie więc z posłem angielskim zwróciłem mu uwagę na ten fakt ostrzych wystąpień premjera angielskiego, twierdząc, że w ten sposób wymusza on prawie odpowiedź w takim samym tonie. Poseł angielski — obok innych tłumaczeń — dodał wreszcie, że ja muszę zrozumieć, iż w takim zac zadaniu, w jakim Polska w sprawach międzynarodowych pozostaje, inny sposób wystąpienia jego premjera nie byłby zrozumiały i rzeczy, delikatnie wyrażone, każdyby tłumaczył na swoją jedynie korzyść. Wyznam panu, że jako główny reprezentant Polski na Bożym świecie, nie pamiętam drugiego tak głębokiego zażenowania.

Oczywiście więc, gdy mówił o „oszukaństwie“, łatwiejby mi było użyć określenia „nieścistości“ i „niedokładności“; w budżecie państwa bowiem liczy się na miliony i miliardy i tylko idjota, albo jakiś głupi bubek, który niedokładnie liczy nawet swoje chustki do nosa albo inne części bielizny, może sądzić, iż jakikolwiek rachunek na miliony i miliardy może być podobny do rachunku na złotówki i grosze.

Gdy jednak używam słowa „oszukaństwo“, czynię to dlatego, że nasze budżety zawsze dotychczas spotykały się ze szczególnym gatunkiem ludzi i równie szczególnym systemem w sejmach. System, dotąd, niestety, spotykany w sejmach polskich, należy do najniższego gatunku pracy ludzkiej i do najnikczemniejszych sposobów postępowania z poważną pracą państwową.

Proszę pana, kiedy to mówię, to myślę o swojej pracy w tej właśnie dziedzinie, poczynając od wypadków majowych. Będąc zasadniczym przeciwnikiem jakichkolwiek rządów sejmowych, rządów klubowych, rządów, gdzie głównym interesem jest — wbrew Konstytucji, jak to udowodniałem — wzrost wychodków partyjnych, zdecydowałem odrazu, że permanentnych sejmów w Polsce nie dopuszczę. Dlatego też zastanowiłem się musiałem nie tylko nad ograniczeniem czasu trwania sesji panów posłów, ale i nad przedmiotami, któreby były obiektem ich prac. Zatrzymałem się wtedy na myśli, że — szanując, naturalnie, nie posłów, lecz samą instytucję sejmu — skoncentrować muszę pracę tak zwanego parlamentu na budżecie. Gdyż właściwie budżet jest istotą praw parlamentów na świecie i z tego właśnie źródła wypłynęła walka, na całym świecie w swoim czasie toczona z absolutyzmem, która tyle krwi i tyle wysiłków kosztowała całą ludzkość. W tym kierunku też postępowałem i uczyłem postępować to pokolenie ministrów, które zaczęło pracować po maju. Jednakże, przyglądając się bacznie tej właśnie pracy i tej dziedzinie życia publicznego w Polsce, przekonałem się dość szybko, że jestem, niestety, z temi sejmami, a raczej z tymi posłami, na bardzo uciążliwej i demoralizującej drodze.

Przedewszystkiem, proszę pana, pamiętać trzeba o technice pracy rządowej. Technika ta, podwyższając się co roku, stała zawsze znacznie wyżej, niż technika pracy sejmu, tak, że najczęściej była to rozmowa człowieka z gęsią i prosięciem. Działo się zaś to głównie dlatego, że panowie po-

słowie — zamiast ześrodkować się na głównych kierunkach i rysach budżetu — próbowali, swoim niecnym zwyczajem, być nietylko konkurentami, ale i zwierzchnikami rządu właśnie w drobnych szczegółach, czyniąc w dodatku małpie wysiłki w celu dobrania się, jeżeli nie do łydek, to przynajmniej do spodni panów ministrów. Tendencja ta musiała kureczyć i zmniejszać jak najbardziej ambicje panów ministrów w ich pracy. Zmuszała ich do stosowania się do poziomu najniższego. I wtedy całe mnóstwo drobnych targów i „oszukaństw” zostało z konieczności zepchnięte przez ministrów na ich urzędników. Były to śmieszne małpie grymasy, w których uważano za wielki cwenement, na przykład, zmniejszenie dotacji reprezentacyjnej o jakieś 12 złotych lub coś podobnego.

Rozwijala się ta historia według przysłowia: im dalej w las, tem więcej drzew. Tem więcej tedy było bezczelnej konkurencji w rzekomej znajomości przedmiotu, tem więcej łgarstwa śmiesznego i głupiego i tem więcej targów, chociażby poza kulisami z drobnem macherstwem politycznem, i wyciągania grosza publicznego na panów posłów i na wychodki partyjne.

Naturalnie, rozumie pan, że jeżeli idzie o taką błazeńską komedję, to górą zawsze mógłby być rząd, jako lepiej znający przedmiot, umiejętniej obracający temiż milionami i miliardami i — jeżeli idzie o faktyczną przewagę — to mogący zupełnie nie dbać o sądy panów posłów i spokojnie oszukiwać ich, jak mu się żywnie podoba.

W moich próbach naprawienia tego stanu rzeczy zawiodłem się głęboko. Poszedłem wtedy, jak

pan wie, inną drogą — skracaniem za wszelką cenę okresu gadania budżetowego, zmniejszając w ten sposób przemęczenie rządu i ministrów ustawicznymi szantażami, zarówno poszczególnych posłów, jak i całych wychodków partyjnych. A jeżeli teraz zastanawiam się nad dopuszczalnym stopniem niedokładności i nieścisłości, a zatem i „oszukaństw” w sprawie budżetu, to dlatego, że mam wciąż jeszcze do czynienia z nawykami i przyzwyczajeniami pracy dotychczasowej.

Głównym zaś rzeczowym powodem tego, że tak powiem, wzmożenia moich wątpliwości jest podniesiona już raz przeze mnie kwestja luzów budżetowych. Pewna elastyczność w budżecie wydaje mi się konieczna, już to dlatego, żeby przewidywania budżetowe ściślej przystosować do rzeczywistości gospodarki co najmniej rocznej, a w wielu wypadkach z musu sięgającej do lat czterech i pięciu; a to dlatego, że i rok rokowi nie jest równy. Nie sądzę jednak, iż mógłbym zmienić nawyki i przyzwyczajenia i nie przypuszczam, abym mógł wprowadzić zupełnie otwarte i szczere postępowanie; muszę się tedy zastanowić nad kwestją luzów i zrobienia budżetu uczciwie bardziej płynnym w rękach ministrów.

Tracę, jak pan widzi, czas i wysiłki swoje, ażeby wydobyć choć cokolwiek dla mojej zasadniczej tendencji — zrobienia budżetu o bardziej prawidłowej budowie i podniesienia poziomu pracy nad budżetem zarówno w rządzie, jak i w sejmie. Czy mi się to uda — to jest pytanie, które postawiłem sobie na piątkowej konferencji z ministrem skarbu. Forma, proponowana mi przez ministra

skarbu, niebardzo mi się podoba i niełatwo mogę się na nią zgodzić. Na tem więc, widzi pan, utknęła moja biedna praca nad budżetem.

— *Dążeniem Pana Marszałka w konstrukcji budżetu byłoby zatem uczynienie go bardziej dostosowanym do życia?*

— Zapewne, proszę pana, można to określać i w ten sposób, gdyż sama forma naszych budżetów jest niedostosowana ani do życia, ani do możliwości zrozumienia. Dość panu powiedzieć, że dzięki tej właśnie formie ja, jako minister, nigdy nie otwierałem tej księgi dla swojej pracy, gdyż musiałem, że tak powiem, przerobić ją tak, ażeby móc wyodrębnić kwestję, nad którą w danej chwili pracowałem, wyciągnąć ją z gęstwiny cyfr, ułożyć ją inaczej, ażeby mieć dostateczny przegląd dla swoich prac. I jeżeli musiałem to robić za każdym razem, kiedy przystępowałem do pracy, ułożyć ją inaczej, ażeby mieć dostateczny dowód, że budżety są ułożone niepraktycznie i niedostosowane do istoty pracy każdego z ministrów.

Naturalnie, proszę pana, gdy mamy za sobą taką przeszłość, gdy panowało stałe oszukiwanie, to im więcej zaplątanie rzecz ułożyć i napisać, tem więcej miejsca do oszukaństwa. Przecież, proszę pana, minister u nas zaczyna rozumieć treść swego budżetu, tak napisanego, dopiero po roku dobrej służby; przecież musiano trzymać cały szereg „speców” do tego, żeby tak napisać budżet. Zawsze sobie przypominam, gdy o tem mówię, niejakiego majora Grosska, który dlatego, aby wojsko nie było zanadto naciągane i oszukiwane, nauczył się tej specjalności, tak, żeby

i wojsko oszukiwać mogło. Naturalnie, nie chodziło tu o sejm, ale o inną dykasterję konkurencyjną w postaci ministra skarbu i jego urzędników. Gdyż sejm oszukać jest zawsze łatwo — to musi się pan z tem zgodzić — z tamtymi zato jest gorzej; tam bowiem siedzą główne „spece”.

W tym roku, proszę pana, pójdę na pewno w tym kierunku, którego dawno się domagam: przynajmniej swój budżet, budżet ministerstwa spraw wojskowych, ułożę inaczej, niż dotąd był układany. Zrobię przynajmniej jakiś przyzwoity początek, gdyż nie wątpię, iż innym ministrom przyjdzie to z wielką trudnością. Cała praca nad przejrzystością budżetu wymaga, zdaniem mojem, kilku dobrych lat pracy bardzo ciężkiej i bardzo mozolnej.

Więc widzi pan, że mówiąc: „dostosowalny do życia”, postawił pan kwestję, która się zaraz rozpada na kilka odrębnych; gdyż życie jest zanadto ogólnikowem pojęciem i tyczyć się może nietylko życia posłów, ale i osłów — że strawestuję mistrza Słowackiego, który w ten właśnie sposób rymował, panów posłów do osłów przyrównywując.

Jak pan widzi, trzymają się mnie i żarty. Ot, co znaczy odejść choć na tydzień od niezdolnej i obrzydliwej pracy babrania się w brudach; zaraz i humor przybiera i po dawnemu nasuwają mi się cytaty ze Słowackiego.

VI WYWIAD BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO. (18 października).

— *Minęły dwa tygodnie od ostatniej rozmowy, Panie Marszałku, pozwałam więc sobie znowu zwrócić się z zapytaniem o bieg prac Pana Marszałka, jako szefa rządu.*

— Pan, jako dziennikarz, oczekuje ode mnie, naturalnie, wynurzeń, związanych z rzeczami najbardziej epatującymi. Niestety, proszę pana, temi właśnie epatującymi rzeczami ja się zajmowałem mało i dlatego od nich nie zacznę; natomiast zacznę od rzeczy, którą się najbardziej zajmowałem, to znaczy od nieszczęsnego budżetu. Pan wybaczy, że pana i czytelników pańskich będę nudził, ale kiedy przyszedłem na stanowisko szefa gabinetu — a jak myślę, z pewnem powodzeniem dotąd rządę państwem — to odrazu zdecydowałem, że specjalnie dużo będę musiał poświęcić czasu na budżet państwowy na rok przyszły; powiedziałem też sobie odrazu, że jest tam właśnie dla mnie coś do zrobienia.

Przedewszystkiem zaznaczyć muszę, że dotąd nie dobraćałem do globalnej sumy wydatków, dopasowanych do dochodów, natomiast wyznaczyłem już i ogłosiłem panom ministrom termin, kiedy zasiądziemy do uchwalenia budżetu — około 1 listopada. Wy tłumaczyłem również panom ministrom, że zastrzymuje mnie w tej sprawie nie kto inny, jak mój

doradca finansowy, minister skarbu. A to dlatego, że ja, pomimo względnie ciężkiego stanu, chciałbym iść z budżetem o niezmienionej globalnej sumie w porównaniu z tegorocznym, natomiast mój doradca finansowy nalega uporczywie, ażebym zgodził się na obniżenie budżetu. Zdecydowałem się więc omówić z każdym z ministrów z osobna kwestję, co on może ze swego budżetu ustąpić; zastanawiałem to także do samego ministra skarbu. Dając przytem ministrom, nie wyłączając ministra skarbu, zapewnienie, że swemu doradcy finansowemu nie zdradzę, jak daleko sięgnąć może każdy z nich w obcięciu swego budżetu; tego święcie dotrzymuję, tak, że dotąd nikt nie wie, jak daleko każdy minister doszedł ze mną w tej sprawie. Upowiedziałem ich wszystkich, że muszą być przygotowani przy określeniu sumy globalnej na dwie ewentualności: jedną, która wyraża moją dotychczasową opinię, że możemy nie cofać się od sumy globalnej obecnego budżetu, i drugą, to jest ewentualność, że będę musiał ustąpić swemu doradcy finansowemu, panu Matuszewskiemu, i budżet zmniejszyć.

Upowiedziałem też panów ministrów, że, naturalnie, przy ostatecznej rozmowie odbędą się targi z panem Matuszewskim, że ja będę szedł in plus, a on — in minus, i wtedy dopiero podzielę globalną sumę pomiędzy ministerstwa. Z prawdziwą przyjemnością zaznaczyć, że jak dotąd żaden z ministrów nie pozostał głuchym na moje żądania i każdy podał mi, choć z biedą, do wiadomości te sumy, o które może jego budżet być obcięty. Tak, że teraz w głowie mi ciągle tańczą cyfry przypuszczalnej sumy globalnej, do której w ten sposób dojść mogę.

Dodam panu do tego tę rzecz, która, jak mówiłem, jest dla mnie do zrobienia i do której nareszcie się dorwałem. Nie mogę bowiem dotąd pogodzić się z myślą, aby budżet był konstruowany i układany w ten sposób, jak dotąd w Polsce się on układał. Rozpoczywałem tę sprawę już nieraz po wypadkach majowych i za każdym razem w tym durnym systemie pracy sejmowej musiałem ją zarzucić. Teraz zaś zdecydowałem się iść do końca.

Chodzi mianowicie o zasadę, że minister odpowiada za swój budżet przed sejmem i dlatego nie należy mu przeszkadzać w układaniu budżetu tak, jak jego indywidualna obrona swego budżetu wymaga.

Jak pan rozumie, ten sposób układania budżetu wymierzony jest przeciwko dotychczasowej supremacji „redakcyjnej” ministra skarbu i jego urzędników nad ministrami resortowymi w układzie budżetu; następcza to, rzecz prosta, poważne trudności.

Oświadczyłem panom ministrom na wczorajszym posiedzeniu Rady Ministrów, że każdy z nich jest wolny w układaniu budżetu swojego resortu, układając go w formie dla niego indywidualnie odpowiedniej. Żądałem tylko jednego, ażeby wszystkie wydatki osobowe były wyodrębnione albo też zestawione dodatkowo, dla jasności sytuacji. O ile ta rzecz jest nowa, sądzić można z tego, że na tem posiedzeniu panowie ministrowie nie mówili nic, dopóki tej sprawy nie poruszyłem; wtedy dopiero zaczęły się pytania i dyskusje. Dotąd uśmiecham się wesoło, gdy ten moment sobie przypominam, a sędzę, że koledzy wybaczą mi tę niedyskrecję, popełnioną publicznie. Wybacz i pan,

że się trochę nad tem zatrzymam — dlatego, że rzecz warta jest zastanowienia.

Prace budżetowe w latach ubiegłych dążyły wiednie i bezwiednie do systemu skamieniałości. Skamieniałości, tak daleko idącej, jakgdyby można było przewidzieć, na półtora roku przed zakończeniem wykonania układanego teraz budżetu, prace każdego resortu z dokładnością nawet nie w milionach złotych, ale w setkach złotych. Ja w mojej dotychczasowej pracy liczę, rozumiuję i kalkuluję tylko milionami, nie dopuszczając nawet do kalkulacji półmilionami. Bo i jakżeż jakkolwiek minister może kalkulować setkami złotych? Jest to jedna uwaga.

Druga uwaga jest ta, że taka skamieniałość powtarzać się musi nieledwie rok w rok, dążąc jakgdyby do uwiecznienia. I wtedy to „paleontologiczne” ujęcie budżetu nie daje możliwości jakiegokolwiek postępu. A wobec tego, że to jest niemożliwe, więc duża część budżetu staje się oszukańczą i zmusza do kręactw, specjalnie u panów urzędników bardzo daleko idących. Obok tego ta supremacja ministerstwa skarbu we wszystkich drobiazgach budżetu nie może nie dać skrępowania każdego z ministrów, tak daleko idącego, że zatracą on indywidualność swojej pracy i musi podlegać nieodpowiedzialnym elementom biurowym, podczas gdy to on przecież odpowiada za wszystko. Niechybnie, proszę pana, nie można myśleć, że moja próba, uczyniona w tym roku, da wielkie rezultaty. Ja otwieram tylko drogę, którą iść należy i która w swoim rozwoju, po kilku dobrych latach, da jednak lepsze i większe rezultaty, niż ludzie myślą.

Ta główna wada naszego budżetu jest wynikiem wielkich wad parlamentaryzmu, które prowadzą

do tak wielkiej dozy oszukaństwa, że w jego powodzi trudno już nawet złapać to, co jest istotną prawdą. Weźmy, na przykład, system nieodpowiedzialności. Przy dzisiejszych wyborach doradzałem ministrowi Carowi i ministrowi Składkowskiemu, żeby dali się wybrać i na wszelkie krzyki panów posłów, grożąc im kulakiem, odpowiadali językiem parlamentarnym: „Ty, durniu, ja jestem poseł, nieodpowiedzialny, jak i ty, bałwanie, — a zatem milcz i schowaj pysk do swego wychodka!”.

Radziłem właśnie taką odpowiedź, jako może najlepszy system ośmieszenia tej nieodpowiedzialnej niegodziwości. To samo jednak dotyczy się odpowiedzialności finansowej. Przy stałej tendencji robienia prób rządzenia zapomocą sejmu stwarza się rządy nieodpowiedzialnych urzędników, albowiem każdy parlamentarny rząd nie czem innym zajmować się musi, jak codziennem określaniem swojej sytuacji w sejmie — i poświęca na to tyle uwagi, że o istotnej pracy ministra nad resortem niema mowy. W tych warunkach, proszę pana, na stanowisko ministra dobiera się najzręczniejszego intryganta i ta właśnie cecha jest najwyższej ceniona. Więc pocóż tak głośno krzyczeć o jakiejś odpowiedzialności, robić z tego błazeństwa „żrenicę swobody” i używać różnych innych pięknych słów?

— *Jak widać z powyższych wynurzeń Pana Marszałka, ostatnie „epatujące” zdarzenia nie odegrały go istotnie od głównej pracy?*

— Wie pan, takim zjawiskom, jak zamach na mnie, czy na kogo innego, oraz te bezmyślne najzupełniej wybryki w Częstochowie, nie poświęcałem zbyt wiele uwagi. Jest, co prawda, przysłowie: kto wiatr sieje, ten burzę zbiera. Ale wypadki te za-

nadto mało podobne są do burzy. Co do mnie, spokojnie określiłem, że mamy do czynienia w obu tych wypadkach z elementami rozkładu: rozkładu wydętej i dość smrodliwej wielkości, który to rozkład dawać musi raz po raz takie czy inne, trudne do obliczenia i przewidzenia wypadki. Kto bowiem gada o „uzbrojeniu ludu” i kto dobiera do tego elementy ciemne i mało rozwinięte — potem się zaś wyrzeka wszystkich swoich poprzednich obietnic — ten musi konsekwentnie, jako czynnik nieodpowiedzialny, zrzucić na plecy innych skutki swojego głupiego postępowania.

Ja nieraz rozmawiałem z panem chętnie o zjawisku aberacji myślowej, która prowadzi właśnie do tak chaotycznych i niezdolnie głupich kalkulacji. To samo się zdarzyło z naszymi socjalistami, którzy zachorowali na niedorzeczną megalomanię i tak bezpodstawne mniemanie o sobie, że dla mnie, na przykład, byli tylko śmieszni, chociaż innych napawali obawą. Jednak próba połączenia parlamentaryzmu z rewolwerem stanowi rekord głupoty naszych socjalistów. Do takiego nonsensu jeszcze nikt się nie domyślił. Uprzedzałem tych, którym wiedzieć o tem trzeba, że skutki tej megalomanji dadzą się odczuć w Polsce dosyć długo i wątpliwe, by minęły szybko. Jest to jeden z powodów, dla których, gdy przyszedł okres wyborczy, zdecydowałem się odrazu na zakaz wszelkich manifestacji i pochodów i to zakaz bezwzględny. Zaś ostatnie wypadki — w dostatecznej, jak mi się zdaje, mierze — udowodniły, jak dalece ten zakaz był słuszny i celowy.

VII WYWIAD BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO.
(24 października).

— *Proszę o wybaczenie, Panie Marszałku, że pozwalam sobie trudzić go znorow. Tym razem chciałbym zapytać o wybory.*

— Bardzo rad jestem, że pana widzę, gdyż rozumiem, że będę musiał wytłumaczyć publicznie, dlaczego, wbrew dotychczasowemu mojemu postępowaniu, zgodziłem się dać swoje imię na wybory do sejmiku. Nigdy dotąd tego nie czyniłem, pomimo, iż przy każdych prawie wyborach byłem upraszany o to. Zawsze odmawiałem stanowczo. Odmawiałem zaś przede wszystkim dlatego, że nie mogłem sobie wyobrazić swojej osoby w tej metodzie pracy, jaką ma każdy sejm i każdy parlament. Były jednak poprzednio i inne motywy, do których przywiązywałem nadzwyczajną wagę.

Nie mogłem sobie mianowicie wyobrazić, że mogę stanąć w jakiejkolwiek szranki partyjne. Tem bardziej, że rozwój pracy sejmiku u nas prowadził partje do takiego zacieśnienia, iż każda drobna praca partji znaczyła dla posłów znacznie więcej, niż praca dla ogółu, niż praca dla wszystkich. Konkurencja partyjna poszła u nas od pierwszej chwili istnienia państwa tak dziwnie i tak ostro, a zarazem z tak wielką ilością kłamstwa i łajdactwa, że odrazu zaczęło się wy-

tworząc to, co nazwałem: „cloaca maxima”. Każde nadużycie, każde łajdactwo było dobrem wtedy, gdy robił je człowiek partji własnej, złem zaś tylko wtedy, gdy robił je członek innej partji. Chciwość zaś na pieniądze, jako czynnik siły partyjnej, rosła tak gwałtownie, że każda partja cuchnęła zbyt silnie, abym ja był w stanie wytrzymać.

Nawet, gdy przy przeszłych wyborach stanął w szranki walki o mandaty tak zwany Blok Bezpartyjny, odmówiłem i temuż Blokowi swojego imienia, — dlatego, że się bałem, iż nie potrafi on nacisku partyjniactwa wytrzymać. Minęło jednak parę lat pracy. Obserwując ją, musiałem skonstatować, że zjawienie się na arenie publicznej Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem, który wyszedł odrazu na najliczniejszy klub w sejmiku, spowodowało natychmiast połączenie się wszystkich partyjnych wychodków przeciwko Blokowi. Jakgdyby zostało rzucone hasło: „Wszystkie łajdaki partyjne, łączcie się, bo wspólne niebezpieczeństwo idzie!”.

Niechybnie — przy tem niebezpieczeństwie, grożącym metodom, wyrobionym przez dotychczasowe sejmy, żeglujące pod banderą warcholów partyjnych, rosła zaciekłość i nienawiść, a jednocześnie wzrastała niemożliwość dalszego brnięcia w tym samym kierunku, w którym szły dwa sejmy poprzednie. Po namyśle więc zadecydowałem, że nazwisko swoje muszę dać tam, gdzie jest słuszność i większa nadzieja na poprawę tak zabagnionych stosunków Rzeczypospolitej. W Bloku Bezpartyjnym skupiają się bowiem ludzie, którzy potrafią przechodzić do porządku

dziennego nad wszystkimi drobnymi interesami i wygodami, nad interesami czy wygodami swej grupy, dla pracy nad dobrem ogólnem. Możliwą więc się staje przyzwoita praca i możliwą jest także naprawa zepsucia, wniesionego do Polski przez zawodowych „pyskaczy” partyjnych.

Drugą przyczyną, dla której nazwisko swoje dałem Blokowi Bezpartyjnemu, był stosunek Bloku do odpowiedzialności, którą każdy człowiek ponosić musi za swoje czyny. Osobiście nie mogę poprostu znosić tego poczucia nieodpowiedzialności, które tak silnie jest założone w charakterze Polski. Jest to, zdaniem mojem, dowód słabości, gdyż silny człowiek nie może nie szukać odpowiedzialności za swoje czyny i nigdy nie zechce odpowiedzialności za nie unikać. System zaś partyjnictwa, choć nie dał u nas na szczęście przewagi żadnej partji, uczynił jednak brak odpowiedzialności zasadą życia i postępowania. Gdy zaś weźmiemy, jako punkt wyjścia, to, co mówiłem o partyjnictwie, znajdziemy łatwo tak daleko posuniętą niechęć do odpowiadania za swoje czynności, że bodaj najbardziej charakterystyczną i najbardziej rzucającą się w oczy cechą naszych sejmów było właśnie unikanie za wszelką cenę jakiegokolwiek odpowiedzialności za każdy brud, czyniony przez posłów. Demoralizacja, siana w ten sposób w naród, szła nieledwie z każdym tygodniem dalej i dalej, czyniąc życie ohydne i przebrzydłem; „cloaca maxima”, zebrana na ulicy Wiejskiej, sięgała swym zapachem do wszystkich zakątków życia, czyniąc ten zapach charakterystycznym dla państwa. Ten system przenosił się z ulicy Wiejskiej na urzędy,

przenosił się na samorządy, wkładał się w życie prywatne, czyniąc z nieodpowiedzialności sądowej nieledwie zasadę życia polskiego.

Blok Bezpartyjny zdobył się na tak piękny i szlachetny odruch, że jest on bodaj najładniejszą prawdą w historii naszego państwa. Mianowicie — ogłosił, że każdy z członków klubu staje do rozporządzenia każdej władzy sądowej, zrzekając się praw, tak zacięcie przez resztę sejmu bronionych, praw tak zwanego immunitetu.

Klub ten uważał sobie za dyshonor, za brak wewnętrznej uczciwości, pozostawanie w tej sytuacji, że gdy każdy z obywateli jest odpowiedzialny sądowo, to poseł — za te same czyny, przestępstwa, czy zbrodnie — pociągany do odpowiedzialności nie jest.

Wystąpieniem tem — więcej bodaj, niż czemkolwiek innem — Blok Bezpartyjny uczynił niemożliwym do wytrzymania zaostrenie stosunków pomiędzy sobą, a resztą sejmu. Panowie z reszty sejmu ze zwykłą sobie bezczelnością rozpoczęli taktykę zupełnego negowania najliczniejszego w sejmie klubu za taką „błuznierczą” chęć naruszania „żrenicy wolności” łajdaków i szujów.

Te dwa motywy wystarczyły mi w zupełności, abym się wyrzekł dotychczasowej swojej abstenencji i dał swe nazwisko na wybory.

Te dwa motywy, to jest partyjnictwo i unikanie przez panów posłów za wszelką cenę odpowiedzialności, wystarczyły mi najzupełniej do postawienia mego nazwiska do dyspozycji wszystkich tych, którzy wyraźnie tym dwom nieznośnym wadom naszego życia zaprzeczyli.

Nie mogę jednak nie powiedzieć panu, że przy bacznej obserwacji naszego życia spotykać się muszę z dość wyraźną niechęcią do takowego stanowiska, gdyż ogromna ilość ludzi w Polsce sądzi najspokojniej, że z chwilą, gdy Piłsudski daje sobie radę i pracuje na rzecz ogółu i dobra publicznego, to to zupełnie powinno wystarczyć i oswabadza ich wszystkich od jakichkolwiek wysiłków w tym kierunku, a zatem i od zajmowania się taką nudną kwestją, jak wybory do sejmu. Nazywam „dureńkami” tych panów, których, niestety, tak dużo w Polsce. Pogląd taki — że go nazwę cezarystyczno - rewolucyjny — jest odpowiednikiem zupełnie przeciwnego kierunku: parlamentaryzmu z rewolwerem. „Dureńki” doskonale się nawzajem uzupełniają.

Nie mogę jednak wobec tego nie zatrzymać się na historii, tak świeżej, a tak łatwo zapominanej, naszych prac od czasu powstania Polski.

Mówimy bowiem często za dużo o tak zwanem budowaniu państwa, nie licząc się najzupełniej z faktami historycznymi, a licząc się jedynie ze swojemi chwilowemi nawet poglądami, które wychodzą poza realność i dają w ten sposób jeszcze raz dowód, jak aberacja myślowa, prowadząca do irrealności, jest częstą w Polsce.

Proszę pana, kiedy 11 listopada 1918 roku wrócił z więzienia magdeburgskiego do Polski, znalazłem Polskę w takim rozgardjaszu i chaosie organizacyjnym i myślowym, że zrazu szukał jedynie scałkowania tego rozgardjaszu i chaosu, by zacząć budowę nowego tworu historycznego: państwa polskiego. Muszę powiedzieć, że na drodze przedewszystkiem stało mi nie co innego,

jak rozszalałe w bezsilności swojej partyjnictwo i „dureństwo” — bądź „cezarystyczno - rewolucyjne”, bądź połączenie demokratyzmu z rewolwerami, bądź znowu tak znane niechlujstwo w pracy.

Zdecydowałem wtedy odrazu — a byłem wtedy niepisany dyktatorem Polski — śpiesznie zwołać sejm polski, dlatego, by skomplikowaną pracę budownictwa państwowego nań złożyć, zostawiając sobie jedynie pracę nad wojskiem i musowe dowodzenie niem podczas wojny; gdyż rozumiałem, że burza wojenna, uspokojona na Zachodzie, idzie swoją nawałnicą na nas. I teraz, gdy się zastanawiam nad tą chwilą, nie sądzę, bym się omylił. Mogłem się omylić — i omyliłem się istotnie — sądząc moich współziomków; gdyż chciałem przypuszczać, że chwila tak wielka i tak historyczna odrodzi duszę polską. Tegom jednak w pracy swojej, niestety, nie spotkał.

Pierwszy sejm, zwołany przeze mnie do Warszawy, był sejmem najmniej udanym. Nietylko panował w nim pełny chaos i nieumiejętność pracy; zaciekłość partyjnictwa i szukanie przewagi partyjnej nad wszystkimi i wszystkim była tak olbrzymia, że dopuszczała wszelkie — ale to wszelkie — łajdactwa, wszelkie oszukaństwa i wszelkie zbrodnie na rzecz tej absolutnej przewagi rozwydrzonego partyjnictwa. Sejm był suwerennym za moją zgodą, lecz ja przeciwstawiłem sobie jakiegokolwiek przewadze, jakiegokolwiek partji w Polsce — i swoje zadanie spełniłem do końca. Niestety, okupić to musiałem ustępstwami na rzecz suwerenności tak dziecinnej i — powiedzmy — tak łajdackiej, jaką była ona w tym

pierwszym sejmie. Gdy wojna zwycięstwem mojem się skończyła, zastanawiałem się nieraz nad kwestją, czy — wobec rozwielenia suwerennego łajdactwa — nie położyć temu kres zapomocą rozwiązania tego sejmu, chociażby siłą, i zwołania innego, dla jednej, jedynej pracy — stworzenia dla Polski Konstytucji.

Było to dla mnie tak możliwem i technicznie tak łatwem, że nawet nie wymagałoby dużego wysiłku. To znaczy, łatwem było dla mnie stworzyć odpowiednik dla „cezarystyczno-rewolucyjnych“ poglądów „dureńków“ polskich. Jeżeli się zatrzymałem przed tym aktem, to łatwo panu zrozumieć, że nie uczyniłem tego dla jakiegoś tchórzostwa, gdyż — powtarzam — fizycznie to było bardzo łatwe. Zatrzymałem się zaś dlatego, że nie mogłem sobie wyobrazić siebie — takiego, jakim jestem — w pracy stałej i ustawicznej, powiem wyraźnie — ze złodziejami. Jak nie mogłem — to nie mogłem. Jak nie potrafię — to nie potrafię. Myślę zawsze technicznie i dlatego jedynie powiedziałem sobie, że tej pracy nie potrafię na sobie wymusić. Nie będę opisywał, co mnie to kosztowało. Powiem tylko, że zacząłem ciężko chorować, że nieledwie co miesiąc byłem w gorączce, a tymczasem ten przeklęty sejm, ten stek łajdaków i szujów wszelkiego rodzaju, przeciągał tworzenie Konstytucji — zresztą niechlujnie napisanej — nie na miesiące, ale na lata. Myślałem, że żywy nie wyjdę z Belwederu.

Ten załączek suwerennosci, do którego dopuściłem w początkach Polski, mści się na Polsce, na życiu i na pracy sejmu dotąd, bez końca, nie dając możliwości państwu wyjść na normalne tory

i drogi. Suwerennosci bowiem panowie posłowie nigdy nie chcą rozumieć, jako suwerennosci instytucji, chociaż i ta jest według mnie nonsensowna, ale zgodnie ze swoim partyjnictwem, usilnie rozszerzają tę suwerennosc ciagle i stale na partje, a specjalnie na panów posłów, czyniac w ten sposob z życia polskiego bagno, nie dajace możliwości dla normalnej pracy.

Już mówiłem panu, że ryba cuchnie od głowy — i gdy w centralnych instytucjach przeważa cuchnięcie, w kraju całym ten zapach przeważa także.

Niechybnie, proszę pana, mam za sobą także wypadki majowe, gdy wystąpiłem ze środkami przemocy w stosunku do istniejących w owe czasy w Polsce porządków. Uczyniłem to dlatego, że — zdaniem mojem — Polska w owe czasy stała na brzegu nieuniknionej i zupełnie widocznej dla mnie przepaści. Sejmowładztwo bowiem, w łączności z całym szeregiem nadużyć, stwarzało sytuację w rodzaju czasów upadku Polski, to znaczy — stawała ona otworem dla każdego, kto chciałby wejść.

Wiem jednakże, że i w owe czasy zawiodłem przypuszczenia „cezarystyczno-rewolucyjne“, kierując przebieg dalszych wypadków na płaszczyznę czystego legalizmu.

Naturalnie, i pan, i wszyscy mogą łatwo zrozumieć, że ja, zarówno, jak i wszyscy ci, którzy ściśle współpracują ze mną, przegrać nie jesteśmy w stanie, to znaczy, że niemożliwem jest przypuszczać, aby sejmowładztwo czy posłowładztwo w Polsce mogło zwyciężyć wraz ze swoją „suwerennoscia“ w jakikolwiek sposób — i sprawa, po-

stawiona przeze mnie na wybory, nie może polegać na jakiejś możliwości przegranej z mojej strony. Były czasy znacznie cięższe i znacznie trudniejsze, a jednak zostały one zwycięsko przetrzymane. Jeżeli skłoniłem Pana Prezydenta do zarządzenia wyborów — to jest postawienia przed narodem pytania, na które żąda się odpowiedzi — uczyniłem to dlatego, aby raz nareszcie odwrócić kartę historii ze smutnemi dla nas wspomnieniami, z tak smutną a pełną łajdactw przeszłością; aby na przyszłość swobodniej, łatwiej i snadniej mogła być prowadzona praca nad rozwojem Polski.

To pytanie brzmi więc: czy Polska chce, aby jej sejmy były podobne do dawnych i miały cechę suwerenności partij i wychodków partyjnych, rozzuchwalających się stale w nadużyciach, — czy też chce z tem zerwać tak, aby śladu z tej przeszłości nie zostało? Jeżeli to pytanie postawiłem, to dlatego, iż jestem przekonany, że panowie wyborcy są daleko lepsi, niż bywali ich wybrańcy, i że nie mają zepsutego gustu do smrodu i do różnego partyjnego paskudztwa.

VIII WYWIAD BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO.

(26 listopada).

— *Wobec nowej sytuacji pozwałam sobie zapytać, jak Pan Marszałek zapatruje się na sprawę reformy ustroju państwa?*

— Pan, naturalnie, zadaje to pytanie w związku z uzyskaniem większości w nowym sejmie. Mogę powiedzieć, że jesteśmy teraz wyjątkiem w całej Europie; wykorzystać to powinniśmy nie dla powtarzania starych błędów, ale dla próby stworzenia normalniejszych podstaw dla prac państwowych. Dlatego też ja osobiście bardzo ciekaw jestem, jak uda się nasza praca, gdy trzy główne czynniki w państwie — Pan Prezydent Rzeczypospolitej, rząd i sejm — nie będą się kłócić między sobą, lecz zgodnie pracować. Wyznam panu, że wielkie nadzieje w tem pokładam. Gdy starannie unikać będziemy, jak mówię, błędów przeszłości, możemy dojść w przeciągu najbliższych lat do ustalenia sytuacji w Polsce i wielkiej rozbudowy jej wewnętrznej pracy i mocy. Jako główną zaś pracę, która stać musi na czele wszystkich innych, stawiam nie co innego, jak zmianę Konstytucji. I bardzobym chciał, aby unikano prób zaciemnienia tej pracy zapomocą zwykłej, niestety, u nas metody przewagi zmieniających wymagań, płynących każdorazowo z chwili

bieżącej i chwiejących się stale, jak pogoda w listopadzie. Chciałbym wobec tego powiedzieć panu swoje zdania o dotychczasowych próbach Bloku Bezpartyjnego w tym zakresie.

Znam jest panu, jako dawnemu członkowi tego klubu, że usiłował on już kilka razy w przeszłym sejmie zainicjować sprawę zmiany Konstytucji i czynił to dosyć bohatersko, pomimo zgielku, wrzawy i nonsensów, przez przeszły sejm czynionych.

Jako dziedzictwo klub Bloku Bezpartyjnego ma za sobą swój projekt zmiany Konstytucji, wniesiony do przeszłego sejmu. Muszę stwierdzić, że klub usilnie się starał o pociągnięcie mnie osobiście do tej pracy. Nie mogę też nie powiedzieć, że ja — równie usilnie — starałem się tej pracy uniknąć, dla tej poprostu zwyczajnej przyczyny, że nie czuję się uzdolnionym do formułowań prawnych w jakiegokolwiek kwestji. A że jestem człowiekiem, który może zawsze za Napoleonem powtórzyć: *j'aime les choses bien faites* — lubię rzeczy dobrze odrobione — nie chciałem, pomimo starań klubu, brać osobiście udziału w wypracowywaniu wielkiej liczby paragrafów, z których się Konstytucja składa. Praca ta bowiem mnie bardzo nuży i nigdy nie próbowałem nawet być zadowolonym z takiej pracy.

Niestety, nie mogę powiedzieć, żebym zdołał uniknąć w zupełności tej pracy, gdyż komisja, która wypracowywała ten projekt, w ostateczności wydelegowała mego rodzonego brata, który był głównym referentem projektu Konstytucji w sejmie, aby ten przynajmniej się porozumiał ze mną. Z prawdziwą biedą się na to zgodziłem —

i pamiętam żywo tę chwilę, kiedy mój brat przyszedł do mnie z napełnioną papierami teką. Pamiętam, jak z przerażeniem patrzyłem na grube zwoje papieru i ze strachem myślałem, co też ja biedny z tem będę robił. A brat mój, spokojnie nałożywszy okulary na nos, powiedział, że nie uwolni mnie od siebie, dopóki przynajmniej dużej części z nim nie przepracuję. Wzdychałem, jak wieloryb, na myśl, że miałbym siedzieć tak długo i mieć do czynienia z tylu paragrafami.

Przedewszystkiem oświadczyłem, że mi się bardzo nie podoba postanowienie klubu, wzięcia za podstawę dotychczasowej Konstytucji; że rozumiejąc optymizm panów posłów, którzy sądzili, że w ten sposób ułatwią przejście chociażby części zmian konstytucyjnych, mając do czynienia z coraz bardziej zwierającą się w jedną masę tak zwaną opozycją. Dalej zaś odrazu powiedziałem, że istniejąca obecnie Konstytucja nie wiadomo poco i naco ubrała się w pieluszki dziecinne, czyniąc wstępy, złożone z samych pryncypjów i z samych jakoby zasad, podczas gdy właściwie Konstytucja ma zawierać tylko coś w rodzaju układu, coś w rodzaju kontraktu pomiędzy trzema głównymi sprężynami, poruszającemi centralę państwową; coś w rodzaju możliwie ścisłego podziału funkcji państwowych pomiędzy temi trzema sprężynami. Gdyż główną wadą dotychczasowej Konstytucji jest zupełny brak ścisłości właśnie w dziedzinie podziału funkcji pomiędzy prezydentem, rządem, sejmem i senatem — tak, że cała Konstytucja ułożona jest jakgdyby tylko na to, ażeby się wszyscy pomiędzy sobą kłócili. Dlatego też oświadczyłem, że przeszkadzać pracy tak

potrzebnej dla państwa nie będę i będę żądał tylko pewnych rzeczy, które mnie się wydają jako konieczne w Konstytucji. W ten sposób odbudowałem dość dużo z tych pryncypjów i zasad, ogłaszających jakgdyby „prawa człowieka“, które to prawa i ogłaszanie ich miały może sens w odległych bardzo czasach — gdy zresztą przy ogłaszaniu praw człowieka skracano o głowę całą masę ludzi.

Główną zmianę, którą wprowadziłem do projektu Konstytucji, jest ta, której dałem wyraz prawie natychmiast po rozwiązaniu sejmu, to znaczy zaniechanie nonsensownego immunitetu sądowego dla panów posłów. Żądałem, aby do projektu Konstytucji wprowadzono paragraf, który przyrównywuje posła w tej dziedzinie do zwyčajnego obywatela państwa, twierdząc, że koło tego nowego paragrafu skoncentrować się musi zczasem cała walka tak zwanej „opozycji“ i że radykalna naprawa w tej właśnie dziedzinie warta jest całego mnóstwa innych paragrafów, z których Konstytucja się składa. Żądałem zaś tego z całą stanowczością, gdyż demoralizacja, wprowadzana przez brak takiego paragrafu, wydawała mi się największą biedą Polski.

Niestety, przy chęci trzymania się jako podstawy i bazy dotychczasowej Konstytucji, nie zdołałem w projekcie Bloku Bezpartyjnego wprowadzić tak pożądanego ścisłego podziału pracy państwowej pomiędzy te trzy główne sprężyny, poruszające maszyną państwa. Dlatego też teraz chciałbym poświęcić słów parę przynajmniej głównym punktom moich dezyderatów.

Zatrzymam uwagę pana i pańskich czytelników na jednej zupełnie specjalnej dziedzinie pracy państwowej. Jest nią przesada prawna, zawarta w pojęciu o ustawodawstwie. Wszystkie próby określeń w tej mierze, czynione przez prawników, nie rozgraniczają należycie dziedzin, wymagających istotnie norm ustawodawczych, od tych zjawisk życia powszedniego, które winny być regulowane przepisami i rozporządzeniami rządowymi, posiadającymi większą możność i łatwość przystosowania się do życia. I dlatego rozszerzany bywa zakres ustawodawstwa tak daleko, że życie może być zatrzymanem przez niemożliwość regulowania na czas wszystkich jego potrzeb. Zarazem zaś utrzymuje się dowolność i przypadkowość tych granic pomiędzy ustawodawstwem a pomiędzy rozporządzeniami do tego stopnia, że nie potrafi wytrzymać rozumowania ludzkiej logiki pod tym względem.

Jeżeli pan zechce się zastanowić nad ciągłymi zmianami nowoczesnego życia, wywołanymi nie przez co innego, jak przez cały olbrzymi postęp techniki, dotykającej codziennego bytu ludzi, to znajdzie pan łatwo mus wzrostu przepisów, związanych z ciągłymi zmianami tegoż życia powszedniego. Niekiedy, proszę pana, myślę z przerażeniem o tem, jak ludzkość zdążyła do wytworzenia przepisowego mężczyzny, przepisowej kobiety i przepisowego dziecka — takim mnóstwem przepisów obowiązujących otoczone jest życie.

Gdy zaś weźmiemy pod uwagę, że większość wynalazków technicznych jest bardzo skomplikowana technicznie, a zarazem grozi życiu ludzkiemu niebezpieczeństwem w razie nieostrożnego

obchodzenia się z niemi, to ujrzymy całą trudność ustawodawczego traktowania tych spraw, Czy weźmiemy bakterje, których nikt prócz specjalistów nie zna i które wymagają również zabezpieczeń od nich, czy weźmiemy kolej, wymagającą rozmaitych, bardzo daleko sięgających przepisów, czy wzmagający się w sposób niezwykle ruch samochodów, czy rozwój elektryczności, czy wreszcie rozwój pedagogji i jej wymagań w szkołach — wszędzie znajdzie pan jedno i to samo: potrzeba przepisów, obowiązujących ludzi, wzrasta niezmiernie szybko. Przepisy zaś wymagają giętkości, bardzo daleko idącej, a przecie ustawodawstwo nie może ani się śpieszyć, ani nie może nadążać technicznie w dostatecznej mierze. Nie można też wnosić doń nieuniknionego elementu pracy parlamentarnej, to jest polityki, bez niebezpieczeństwa zepsucia samej techniki i samej wartości przepisów. Nieraz próbowałem powstrzymać upartą logikę prawników pod tym względem, aby nie kompromitowali samego prawa nielogicznością postępowania technicznego. Jako przykład komedji prawnej przytoczyć panu mogę treść jednego z dekretów Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, który wymagał specjalnego punktu porządku dziennego na Radzie Ministrów, położenia podpisów przez wszystkich panów ministrów co do jednego, w pewnej bardzo prostej sprawie, w której przecież nikt prócz specjalistów głosu zabierać nie może; chodziło mianowicie o uregulowanie norm, któremi się kierować mają inżynierowie przy budowie kolei.

Minister komunikacji chciał bowiem wyzyskać czas braku sejmu dla ujednolajnienia w Polsce

różnych przepisów, pochodzących z okresu trzech zaborów. Chodziło o pomiary przestrzeni, które w jednym zaborze liczone być musiały od środka toru, w drugim — od szyny jednej i drugiej, w trzecim — od granic posiadłości kolejowej. Niechybnie, chodziło tu o rozszerzenie lub zwężenie pewnych praw kolei, ale rozwiązanie takiej kwestji nie może być inne, niż czysto techniczne, utrzymywanie zaś rozmaitych przepisów w tym samym przedmiocie musi wywoływać zamieszanie. Z tego jednak małego przykładu pan zrozumie, ile przeszkód i ile nonsensów wytwarza brak określonego podziału funkcji państwowych pomiędzy te trzy główne sprężyny, o których mówiłem. Niema wątpliwości, że takich przykładów przytoczyć można tysiące, a owe właśnie przepisy stanowią główną pracę rządu i zajmują najwięcej czasu panom ministrom.

Nie będę pana zatrzymywał, mnożąc przykłady za przykładami i opisując troski wszystkich ministrów, którzy w większości wypadków są zatrzymywani w swojej pracy niemożliwością najkonieczniejszych nawet zmian we wszystkich sprawach technicznych, jeśli tylko kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób zostały one dotknięte prawodawstwem sejmowem, chociażby ubocznie — pomimo, że najczęściej chodzi o zmianę nie całości, ale tylko niektórych szczegółów.

Co do mnie, cały czas namawiałem panów ministrów od czasów pomajowych do niedbania o tę formalistykę prawną i przechodzenia nad tem do porządku dziennego, szukając wyjścia w ułożeniu słów tak, ażeby nigdzie i nikogo jakoby nie zaczepić. Twierdziłem zawsze przytem, że zajmo-

wanie nie tylko sejmu, lecz nawet Rady Ministrów takimi punktami porządku dziennego jest niestusznem i niepotrzebnem, gdyż Rada Ministrów tak samo nie składa się z ludzi, mogących głos zabierać i sądzić w każdej technicznej kwestji. Niestety, na drodze zawsze stał prawnik, który, chociaż łysawy, wrywał sobie włosy z głowy. Naturalnie, że dla wybiegów prawnych zawsze jest otworzona droga; ale jednak ogromna bieda państwowa wynika nie skądinąd, jak z braku jakiegokolwiek ścisłości w dziedzinie podziału funkcji państwowych pomiędzy trzema sprężynami głównymi centrali państwowej: pomiędzy prezydentem, rządem a sejmem.

Niech mi pan wierzy, że kiedy tak często powtarzałem w poprzednich naszych rozmowach, że „panowie byli posłowie dążyli do tego, by być nie tylko nadprezydentem, ale i nadszoferem, nadinżynierem i nadkonduktorem“, to miałem tę biedę państwową ciągle na myśli. Pamiętam dobrze, jak były premier, pan Świtalski, śmiał się, mówiąc przy dyskusjach nad votum zaufania dla niego, że on z podziwem słuchać musi tej dyskusji, która w dziewięciu dziesiątych nie dotyczy zupełnie jego pracy. Konieczną więc wydaje mi się i musową pracę sejmu nad samoograniczeniem siebie i to w mierze bardzo dalekiej — w kwestji przedmiotów i obiektów swojej pracy; koniecznem jest zwolnienie sejmu od zajmowania się wszystkim, pozostawiając wolną rękę nie komu innemu, jak rządowi, w całym mnóstwie przepisów obowiązujących, a obejmujących, niestety, tak szeroko życie codzienne ludzi, gdy ten, jak powiadam, wzrastający „technicyzm“ życia zmu-

sza do uczynienia z ludzi przepisowego mężczyzny, przepisowej kobiety i przepisowego dziecka.

Nie będę przedłużał tej kwestji; zajmuje mnie ona tak silnie, gdyż jest kwestją nie tylko naszą, polską, ale i całego świata i jest może jedną z głównych chorób parlamentaryzmu; wątpię, czy bez uleczenia tej choroby zasada sejmu wogóle utrzyma się na świecie. Bo wszystko przemawia przeciwko sejmowładztwu w tej dziedzinie, gdy dziedziną istotną sejmu musi być najbardziej może nieokreślona i najbardziej niepoddająca się określeniu dziedzina polityki. Dlatego też sejm i prawnicy dużo nałamać sobie głowy muszą, by linię, rozdziałającą prawa i obowiązki rządu, wykreślić z jednej strony jak najostrzej, aby się ustrzec wpływu polityki na technikę, a z drugiej strony przeciągnąć tę linię demarkacyjną tak, by nie kłótnię, a współpracę umieć wprowadzić w nasze życie.

Pozostawiam następną ważną dziedzinę, mianowicie — pracę jedyne go suwerena w Polsce — Pana Prezydenta Rzeczypospolitej — do omówienia innym razem.

WYWIAD TADEUSZA ŚWIĘCICKIEGO.

(13 grudnia).

— *Przychodzę do Pana Marszałka już nie jako do prezesa Rady Ministrów, ale jako do ministra spraw wojskowych. Czy Pan Marszałek jest z tej zmiany zadowolony?*

— Ja się dziwię panu, że pan tak oryginalne pytania zadaje. Wszedłem bowiem na prezesa gabinetu tylko na pewien czas i dlatego cały ten czas postępowałem zupełnie logicznie, pan zaś nie postępuje logicznie, gdy zamiast pytać o rzecz, dla której pan przyszedł, pyta pan o całkiem inne rzeczy.

— *Przepraszam, Panie Marszałku, ale sądziłem, że wolno zapytać o sprawę, co do której Pan Marszałek jest odrębnego zdania, niż przeważna część ludzi?*

— Być może, kochany panie, ale pan powinien byłby znać mnie o tyle, że ja zwykle myślę inaczej, niż przeważnie myślą ludzie. I dlatego wracam do rzeczy. Myślałem o tem, czy prolongować wprost dany tak dawno panu Miedzińskiemu mój wywiad poprzedni, czy też zacząć jakoś inaczej. Jeżeli pan pozwoli — trzymać się będę pierwszej drogi.

Mówiłem więc panu Miedzińskiemu o trzech sprężynach, jakie istnieją w głównej centrali

każdego z państw. Pierwszą sprężyną jest pan prezydent, drugą rząd, a trzecią są ciała, wybrane i stanowiące część centrali. Obiecałem poprzednikowi pana, że dać mogę swoje zdanie o roli, która w Konstytucji musiała być wyznaczoną panu prezydentowi. Tak długo o tem w Polsce myślałem, tak długo odrzucałem wszelkie uznane teorie i teoryjki i tak długo szukałem jakiegokolwiek wyjścia z pokoju, zastawionego samemi staremi gratami, że podając swoje przemyślenia pod tym względem i swoje doświadczenia, nie sądzę, bym źle uczynił.

W naszej dotychczasowej Konstytucji ta jej część zanadto była robiona ad hominem, czyli w stosunku do przypuszczalnego kandydata, który uzyskałby niechybną większość, to znaczy personalnie w stosunku do mnie. Zaważyło to na całej Konstytucji, czyniąc z prezydenta jakąś śmieszną postać, niewytłumaczalną bez tego personalnego ujęcia. Konstytucja nasza zredagowana jest w ten sposób, że wszystkie trzy sprężyny główne państwa nie mogą działać harmonijnie, a muszą stale być z sobą w sporze. Zamiast wyznaczyć możliwie ściśle, co robi prezydent, co robi rząd, a co robi sejm, zostawiono wszystko, w s z y s t k o w najliteralniejszym tego słowa znaczeniu — zarówno prezydentowi, jak i rządowi, jak i sejmowi. Niejasność ta tak się rzuca w oczy, że ten brak podziału pracy stwarza śmieszność dla pana prezydenta, kłopoty bezpłodne dla pana szefa rządu i wieczne paskudztwo dla pana sejmu.

Jeżeli więc chodzi o naprawę Konstytucji, to uderzyć należy nie gdzieindziej, jak w wyszukanie klucza podziału pracy tak, aby ustawiczne

wzajemne następowanie sobie na nogi nie miało miejsca, tak, aby każda z tych sprężyn mogła swobodnie działać w przeznaczonej jej dziedzinie. Naturalnie, że ścisłość określeń prawnych w dziedzinie politycznej jest ideałem niedoścignionym. Im bardziej jednak do ścisłości się dochodzi, tem jest lepiej nie tylko dla zainteresowanych osób, (z wyjątkiem, naturalnie, wszelkich świń i krętaczy, łowiących ryby w mętnej wodzie), ale i dla samej rzeczy, nad którą się pracuje.

Jednem z najprostszych rozstrzygnięć, (najprostszych napozór) — jest oddanie panu prezydentowi rządu i złożenie na jego barki pracy rządzenia, tak, aby on zastąpił właściwie rolę szefa rządu. Nie powiem, aby Konstytucja obecna temu zanadto zawadzała; stwarzała ona tylko bardzo śmieszny i głupi mus rządzenia nie bezpośrednio, lecz przez kogo innego, przyczem „tym innym“ był także jeden człowiek, tak, że ci dwaj ludzie — pan prezydent, najwyższy przedstawiciel państwa, i szef rządu, — stworzeni byli nato, by jak kule na bilardzie stale o siebie uderzali i stale rozskakiwali się w różne kąty. Nie przypuszczam, ażeby nawet dwaj rodzeni bracia, już nie mówię kochające się małżeństwo, mogło długo wytrzymać w tej dziwacznie śmiesznej roli; dzieje się to chyba dla tertius gaudens, który, jak dotąd, stale miał także pretensje do rządu i rządzenia.

Zwrócę przytem uwagę, że o bezpośrednich rządach mowy być nie może już chociażby dlatego, że one przy komplikacji życiowej obecnych czasów nie są możliwe dla nikogo, gdyż rządy biegają nie tylko drogą hierarchji służbowej, ale na-

wet i w pewnej przestrzeni, nie dopuszczającej bezpośredniości. Czasy, gdy pod jaworem siadano, rozciągnawszy kobierzec dla jednych, dla drugich zaś zostawiając gołą ziemię, gdy pod jaworem sprawiano i sądy, i rządy, dawno minęły; i trudno dziś tęsknić do powrotu do takich dobrych czasów. Gdy się zaś ma do czynienia z trzydziestu milionami ludzi, to taka piękna prawda o bezpośredniości rządów musiałaby zająć dla jednego człowieka półtora wieku życia i to, kto wie, czyby tak długi przeciąg czasu mógł takiemu bezpośrednio panu wystarczyć. To jest mocno wątpliwe.

Najprostszym sposobem rozstrzygnięcia nazywam go dlatego, że tak myślą najczęściej ludzie, którzy myśleć nie chcą albo nie umieją. I pomimo, że pociągać on może umysł brakiem komplikacji w konstrukcji, to jednak ten brak komplikacji nie odpowiada najzupełniej istniejącej komplikacji życia i środków do życia i to tak dalece, iż najprostszym istotnie sposób ten nie jest.

Spróbuję więc podejść do kwestji drogą zupełnie inną, spróbuję iść drogą nieskomplikowanych także cyfr.

Pomiędzy trzema sprężynami państwowej centrali mamy jedną, to jest pana prezydenta, gdzie jest tylko jeden człowiek; mamy drugą — rząd, gdzie jest ich już czterem, mamy i trzecią — sejm i senat, gdzie liczba ludzi dochodzi do sześciuset. Gdy zastanowimy się nad temi liczbami, to łatwo dojdziemy do wniosku, że każda praca taka czy inna inaczej wyglądać musi przy przejściu jej przez prezydenta, inaczej przy przejściu przez rząd, a jeszcze inaczej przy przejściu przez sejm

i senat. Przecież zwykły spacer, gdy jest zrobiony przez jednego człowieka, inną metodą jest robiony, niż wtedy, gdy to robi czternastu ludzi, a już bardzo i bardzo inną, gdy jest czyniony przez kilkuset ludzi. Często bowiem na ulicy zabraknie miejsca dla takiego masowego spaceru i często musiałyby być zatrzymywane tramwaje, bieg aut, chybaby — auta ten tłum tratowały. Pomijam te wszystkie materialne warunki pracy, które wydać się mogą tu zanadto prosto przytaczane, chociaż z nich więcej konsekwencji wypływa, niż to ludzie chcą widzieć. Lecz w psychicznych prawdach system jednego człowieka jest inny, niż system kilkunastu, a już różni się, jak niebo od ziemi, od systemu kilkuset.

I wtedy nie można jednego człowieka obciążać techniką pracy tak dalece, iż jeden człowiek, gdyby był nawet olbrzymem, toby temu nie podołał; gdyby nawet żył wieki, to nie potrafiłby tego uczynić. Gdy zaś z metodą pracy indywidualnej jest związany i odpoczynek indywidualny i właśnie taki spacer, to zarówno wzrost musi być odpowiednio zwiększony, jak i długowieczność odpowiednio przedłużona.

Dlatego też pozostawić należy rządowi, który się podzielić na kilkanaście gałęzi może, wszystko to, co jest rządem istotnym, i wszystko to, co jest związane z techniką pracy rządowej, i nie należy prezydenta, najwyższego ze wszystkich obywateli państwa, obciążać rzeczami techniki rządzenia, pozostawiając jemu swobodę w innej dziedzinie pracy rządowej.

Już z tego, co powiedziałem, jest, zdaje mi się, widocznem, że tak zwane najprostsze spo-

soby są, niestety, najczęściej wcale nie prostymi i przeczącymi komplikacji życia; ci, którzy w kierunku jakoby najprostszyc rozstrzygnięć idą, wydają mi się kuropatwami, które, aby nie myśleć, chowają głowy w śnieg, wystawiając resztę ciała na wszystkie uderzenia losu. Maszyna bowiem pracy centralnej jest ciągłą mieszaniną dwóch bardzo trudnych do określenia i ścisłej chemicznej analizy esencji. Jedną z nich jest polityka, drugą zaś jest technika życia i technika pracy. I dlatego tak trudnem jest regulowanie każdej pracy u nas, podobnie, jak trudnem jest do retorty domieszać coś takiego, co burzliwym falam, grożącym jej rozsądzeniem, daje spokój lub, odwrotnie, — podniecie.

Niestety, za często trzeba brać u nas pod uwagę burze w szklance wody.

Niechybnie jednak maszyna, która jest ciągle smarowana tego rodzaju nieokreśloną esencją, psuć się i zgrzytać często musi lub chrypieć i skrzypieć, jak zakaszlany astmatyk. I dlatego, zdaniem mojem, rola prezydenta sprowadzać się musi nie do czego innego, jak do musu regulowania całej maszyny centralnej państwa. Zgadza się to najzupełniej z wielkością roli prezydenta, dla której równej nie znajdziemy w państwie i dla której każda Konstytucja również wyjątkowe prawa stanowi, gdyż tyczy się ona tylko jednego człowieka, gdyż w rolę tę wchodzi esencje, nie poddające się określeniu lub w dodatku rozmyślnie fałszowane. Praca ta regulowania wydaje mi się o tyle konieczna, że brak tej pracy daje się nadzwyczajnie odczuwać nietylko u nas, ale i na całym Bożym świecie. Oddawać zaś ją

należy nie stronom, lecz człowiekowi, który od stron jest uniezależniony. A to jest możliwe do urządzenia tylko dla jednego człowieka, nie zaś dla setek, nie dla tysięcy.

Gdy nieraz nad tą kwestją się zastanawiałem, przyszedłem do wniosku, że główną pracą prezydenta musi być regulowanie najwyższej pracy państwowej, tak, aby ona zbyt wielkich zgrzytów nie miała i by przeszkody, które napotyka, nie były rozwiązywane zanadto jednostronnie, to znaczy, że praca prezydenta, jako najwyższa, dbać musi o równowagę i harmonję, pomimo wszelkich tarć i nawet walk. Lecz wtedy, gdy ta właśnie rola przypada prezydentowi, nie może prezydent być pozbawiony bezpośredniej władzy nad wszystkimi stronami, które dają starcia, brak harmonji i zgrzyty. Nie może zatem Konstytucja nie dać prezydentowi praw bezpośrednich w stosunku do każdego z ministrów, tak samo, jak w stosunku do sejmu czy senatu. Niechybnie powiedzą mi, że prezydent tą władzą jest obdarzony, gdyż wątpić nie należy, że konflikt zdania ministra z prezydentem kończyć się musi dymisją ministra. Lecz jest to tylko zwyczajowy zwyczaj, ale nie zapisana w Konstytucji możliwość prezydenta zwolnienia każdego z ministrów, i ta praca musi być oddana pod bezpośrednią władzę, a nie pośrednią, po przez kogoś. To samo jednak tyczyć się musi i pracy sejmu i senatu, nie tylko w wypadku rozwiązania sejmu, gdyż to nie jest regulowanie pracy i to nie jest codzienne dbanie o to, by maszyna zanadto nie skrzypiała. I gdyby prezydent miał możność swoje postanowienia w samym porządku pracy sej-

mu rozkazowo załatwiać, to kto wie, ilu głupstw i ilu nonsensów, z namiętności pochodzących, zdolano by uniknąć. Dodam, że wstydemby było dla takiej Konstytucji, aby ośmielała się w wypadkach postanowienia prezydenta w stosunku do poszczególnych ministrów, jak i do sejmu i senatu, żądać jakiegokolwiek kontrasygnaty. Nie wydaje mi się bowiem możliwem stwarzanie jakiegś specjalnej prawdy, związanej z kontrasygnatami, w wypadkach, gdy chodzi jedynie o osobiste rozstrzygnięcie w najwyższych sprawach państwowych.

Nie na to właśnie wybieramy prezydenta, jednego człowieka w całym państwie, na którego wkładamy najcięższy obowiązek reprezentowania całości państwa, a nie poszczególnych jego kawałków, nie poszczególnych grup i nie poszczególnych stowarzyszeń, abyśmy mieli prawo w stosunku do niego pracować tak wstrętnie i ohydnie, jak nasze nieczne i nikczemne przyzwyczajenia. Nie na to stawiamy go poza nawias codzienności zjawisk życiowych ze wszystkimi życia drobiazgami, w których tak chętnie nurzamy swoje oblicza i inne części ciała, i nie na to usuwamy go od wszystkiego, co jest brudem życia, sami łapczywie łapy wsuwając wszędzie, gdzie brud, aby nie dać praw zarazem prezydentowi do spełnienia swej roli pierwszego obywatela Rzeczypospolitej, o czem chętnie i sroki krzyczą. W sprawie więc regulowania maszyny, pracującej ze zgrzytami, w sprawie więc wszystkiego, co jest kryzysem państwowym, mus jest użycia indywidualnych sił jednego człowieka, lecz wara wtedy przeszkadzać jemu w tej wielkiej pracy.

Ile razy zastanawiałem się nad tem właśnie rozstrzygnięciem jednej z najważniejszych prawd konstytucyj nowoczesnych państw, tyle razy myśl moja, bezwiednie analityczno - krytyczna, biegła ku próbom takiej właśnie jednostki, pozostawionej w najkrytyczniejszych dla kilkudziesięciu milionów ludzi momentach, samej sobie, pozostawionej bez pomocy w największych i najcięższych wątpliwościach i w bezradnej nieraz chwili, przeklinającej swoje istnienie. Ja należę do ludzi bardziej silnych, powiedziałbym bardzo wyjątkowo obdarzonych siłą charakteru, ale i mocą decyzji, a zajmowałem urząd nie tylko Naczelnika Państwa, ale i Naczelnego Wodza podczas wojny, co — zdaniem mojem — znacznie większe presje na duszę wywiera, niż codzienne w porównaniu z wojną tarcia życia politycznego. A jednak, mając tak wyjątkową siłę, przechodziłem wahania tak silne i mocne i tak piekielnie męczące, że wątpię, by inna męka porównaćby się dała z podobną. I wiem dobrze, jak człowiek w takich położeniach szuka jakiegoś oparcia, by chociaż na chwilę odetchnąć, by wiecznie nie być samemu.

Dlatego też zupełnie spokojnie mówiłem sobie, że w tych największych decyzjach, związanych z nieuniknionymi kryzysami państwa, nie wolno nakazywać lub też zaczepiać te czy inne sposoby, których używa prezydent dla stworzenia w swej głowie jasności sytuacji lub pewności w doborze środków, jest wtedy doprawdy wszystko jedno, gdy komuś pozostawiono decyzję, jakimi drogami człowiek do decyzji dochodzi. Nieraz się śmiałem, znając bezecność sądu mojego plemienia, które takim brakiem decyzji jest piętnowane, gdy

szuka jakichś przepisów niemądrych dla załomów duszy ludzkiej, szukającej decyzji. Ja, na przykład, latałem, jak dziki, po kilku pokojach, stukając nogami, jak dziki osioł, i nieledwie rzucając się z kulakami na każdego, kto mi w tej chwili przeszkadzał. A będzie mi wtedy jakiś pan przepisowywał, że ja się muszę radzić wtedy z jakimś lajdakiem. Inny może zechce w takich wypadkach zajrzeć do kina. I co komu znowu do tego? I jest takich osób indywidualnych całe mnóstwo, gdy dusza szuka spokoju i jasności myślenia.

Jakkolwiek jednak patrzylibyśmy na decyzję tych ludzi i na sposoby jej uzyskania, niechybnym wydaje mi się faktem oddanie decyzji we wszystkich kryzysach państwowych w ręce jednego tylko człowieka, który obowiązany jest swoją decyzję przekazać innym do spełnienia. Jest to więc ta wysoka praca regulacyjna całości państwa, która musi być oddana prezydentowi z zupełnem zabezpieczeniem możliwości jej wykonania przez niego i możliwości czynienia tego bez specjalnych przeszkód, robionych mu przez namiętności i zawiści ludzkie. W jakie kto paragrafy to moje żądanie ubierze — jest to mi dość obojętne. Nie staram się nawet myślać pracować nad niemi, lecz czuję, że uczyniłbym bardzo źle w mojem własnem mniemaniu, gdybym tej sprawy nie podniósł, nie starał się jej bronić i publicznie jej nie przedstawiał.

Na zakończenie dodam, że wiązę zawsze całość poruszonych przeze mnie kwestyj z wyborem prezydenta inną drogą, niż przez sejm i senat, tak, by uczynić i prawnie, i zwyczajowo prezydenta możliwie od tej strony niezależnym i wy-

branym zatem inną drogą przez cały kraj. I wtedy niech mi wolno będzie najśmieszniejszą prawdę wypowiedzieć, że zarzuty, pod tym względem czynione, jakoby ta droga oznaczała demagogję — czynione są przez najgłupszych i najdurniej-
szych demagogów.

PRZYPISY

Przemówienia, wywiady i artykuły Marszałka Piłsudskiego, pochodzące z lat 1926—1929, w lutym 1930 ukazały się po raz pierwszy w wydaniu książkowym. (*Józef Piłsudski. 1926—1929. Przemówienia, wywiady, artykuły, zebrane i do druku przygotowane przez Antoniego Anusza i Władysława Pobóg-Malinowskiego.* Warszawa, 1930, nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Polska Zjednoczona”, str. 286 i 8 nlb.). Zbiór ten otwierały wywiady, wiążące się jak najściślej z wypadkami majowymi, zamykał zaś list do wdowy po ś. p. prof. Benedyckie Dybowski, datowany w Warszawie 2 lutego 1930. W ciągu roku nakład został całkowicie wyczerpany, wobec czego zaszła konieczność ponownego wydania.

Zbiór niniejszy w stosunku do wydania pierwszego rozszerzony jest o tyle, że włączono do niego artykuły i wywiady, udzielone redaktorowi *Gazety Polskiej* w ciągu roku 1930; poza tem wzbogacono go przemówieniem na temat *Organizacji naczelných władz państwowych* oraz *Sprawozdaniem o zajęciach w sejmie w dniu 31 października 1929*, które — jakkolwiek pochodzą z lat 1928 i 1929 — nie mogły być uwzględnione w wydaniu poprzednim, pierwsze z nich bowiem ogłoszone zostało drukiem dopiero w październiku 1930, drugie zaś w marcu 1930, a więc już po ukazaniu się wydania pierwszego *Przemówień - Wywiadów - Artykułów*.

W zbiorze więc niniejszym dajemy w porządku chronologicznym wszystko, co ogłoszone było drukiem w ciągu ostatnich pięciu prawie lat, z wyjątkiem jedynie — tak samo zresztą, jak i w wydaniu poprzednim — aktów o charakterze ściśle oficjalno-reprezentacyjnym.

W przedmowie do wydania pierwszego pisaliśmy: „Przystępując do częściowego wydania przemówień i artykułów Marszałka Józefa Piłsudskiego, uważaliśmy za wskazane przede wszystkim uwzględnić to, co Marszałek Piłsudski wygłosił i napisał w ciągu ostatnich lat, łączy się to bowiem najściślej z aktualnymi zagadnieniami naszego życia państwowego. Maj roku 1926 w życiu Polski zmartwychwstałej był

momentem zwrotnym. Moment ten przyjęliśmy w swej pracy za punkt wyjściowy, zdając sobie przytem sprawę, że wybór tego zwrotnego momentu nie zapobiegnie konieczności mechanicznego przecinania organicznej treści wystąpień Marszałka Józefa Piłsudskiego w imię walki o pewne zasady życia państwowego“.

Dziś sytuacja pod tym ostatnim względem zmieniła się zasadniczo. Instytut Badania Najnowszej Historji Polski przystąpił bowiem w roku ubiegłym do wydania zbiorowego *Pism - Mów - Rozkazów* Józefa Piłsudskiego, grupując w ośmiu tomach materiały, rozsiane dotąd na przestrzeni lat 1893 do maja 1926. Zbiór więc niniejszy jest logicznem uzupełnieniem tego wydawnictwa i uważany być może za jego tom dziewiąty.

W wydaniu pierwszym *Przemówień - Wywiadów - Artykułów* komentarze, zawierające zwięzły obraz wydarzeń politycznych, które tę czy inną enuncjację wywołały, umieściliśmy w tekście, bezpośrednio przed każdym przemówieniem, wywiadem, czy artykułem. Obecnie komentarze te, znacznie rozszerzone, ograniczone jednak, jak i w wydaniu poprzednim, jedynie do bezstronnego podania samych faktów, umieszczamy na końcu zbioru w postaci przypisów. Tego rodzaju układ wypływa z chęci dania czytelnikowi możności bezpośredniego obcowania z Marszałkiem. Zresztą zastosowujemy się w tym wypadku do zasady, przyjętej w pracy nad wydaniem zbiorowym *Pism - Mów - Rozkazów* przez redaktorów tego wydawnictwa.

Materiał, zawarty w zbiorze, czerpaliśmy z roczników kilku czasopism, głównie z *Kurjera Porannego*, *Głosu Prawdy* i *Gazety Polskiej*. Kilka wywiadów i artykułów, nie drukowanych w tych dziennikach, zaczerpnęliśmy z roczników *kra-kowskiego Illustrowanego Kurjera Codziennego* oraz warszawskiego *Expressu Porannego* i *Polski Zbrojnej*. Podane niżej przypisy opracowaliśmy głównie na podstawie materiału, zaczerpniętego z roczników tychże czasopism.

Wstęp, umieszczony na początku zbioru, napisał Antoni Anusz.

Przypisy opracował Władysław Pobóg-Malinowski.

1926.

Do str. 3—7.

W dniu 13 listopada 1925 ówczesny prezes Rady Ministrów i minister skarbu, Władysław Grabski, złożył Prezydentowi Rzeczypospolitej pismo, w którym stwierdzał, że pewne ujemne objawy życia zbiorowego — spadek złotego, mimo zrównoważonego bilansu handlowego, nieustanny wzrost bezrobocia — wymagają „porozumienia wszystkich czynników życia politycznego kraju, dbałych o losy państwa, w celu zaprzestania walk politycznych i parlamentarnych i stworzenia dla rządu podstawy niezbędnego w takich chwilach dziejowych autorytetu“. Uważając, że osoba jego na stanowiskach urzędowych stoi ku temu przeszkodą, Władysław Grabski czuł się zmuszony prosić Prezydenta o „zwolnienie z piastowanych urzędów natychmiastowo, bez pozostawienia nawet przejściowo na (zajmowanych) stanowiskach“, a to w celu, by aż do chwili utworzenia się rządu, opartego na dużej większości parlamentarnej, osoba jego „nie była czynnikiem, utrudniającym współdziałanie pomiędzy sejmem, jako całością, i rządem, co dziś jest naczelną koniecznością państwową“. Jednocześnie postawił Władysław Grabski wniosek powierzenia tymczasowego kierownictwa rządem ministrowi spraw wewnętrznych, Władysławowi Raczkiewiczowi, a tymczasowego kierownictwa ministerstwa skarbu ministrowi przemysłu i handlu, Klarnerowi.

Prezydent Rzeczypospolitej podzielił powyższe motywy i postanowił przychylić się do przedstawionej mu prośby o dymisję.

Otwarte w ten sposób przesilenie gabinetowe stało się powodem — jak pisała prasa — „potwornego widowiska chaotycznych i jałowych dysertacyj i sporów programowych, partyjnych i personalnych w salonach Belwederu, w pokojach marszałka sejmu, w izbach klubowych i korytarzach gmachu sejmowego“. Wreszcie 20 listopada 1925, po długotrwałem, nocnem posiedzeniu przedstawicieli pewnych klubów utworzona została koalicja stronnictw, w skład której weszły Związek Ludowo-Narodowy, Chrześcijańska Demokracja, Polskie Stronnictwo Ludowe „Piaś“, Narodowa Partja Robotnicza i Polska Partja Socjalistyczna; celem tej koalicji było utworzenie rządu parlamentarnego, przyczem stronnictwa te rozdzieliły pomiędzy siebie teki ministerjalne i przedstawili swoich ludzi dla zamianowania ich ministrami.

Desygnowany na premiera jeszcze w dniu 16 listopada 1925 Aleksander Skrzyński po utworzeniu się koalicji przeprowadził w dniu 20 listopada niezbędne konferencje i tegoż jeszcze dnia ustalił listę nowego gabinetu.

„Zdawałoby się logicznie — pisał *Kurjer Poranny* w numerze z dnia 22 listopada 1925 — że wyznaczony przez Prezydenta i zaakceptowany przez zablokowane kluby premier będzie miał przynajmniej swobodę wyboru, którym posłom z każdego ze stronnictw ofiaruje teki ministerjalne. Taby jednak było zbyt pięknie — stronnictwa nietylko nie odstąpiły od swego urojonego prawa wyznaczania ministrów według własnej woli, ale jak się zdaje decydowały o tem, jaka teka ma im przyspaść w udziale”.

W niewątpliwym związku z tym stanem rzeczy pozostaje fakt powierzenia tek — z ramienia Związku Ludowo-Narodowego Stanisławowi Grabskiemu ministerstwa oświaty, Jerzemu Zdziechowskiemu ministerstwa skarbu; z ramienia Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piaś” — Stanisławowi Osieckiemu ministerstwa przemysłu i handlu, Władysławowi Kiernikowi ministerstwa rolnictwa; z ramienia P. P. S. — Jędrzejowi Moraczewskiemu ministerstwa robót publicznych, Bronisławowi Ziemięckiemu ministerstwa pracy i opieki społecznej; z ramienia Narodowej Partji Robotniczej — Adamowi Chądzyńskiemu ministerstwa kolei, zaś z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji — Stefanowi Piechockiemu ministerstwa sprawiedliwości.

Utworzona w takich warunkach i z takim trudem koalicja rządowa nie cieszyła się jednak żywotem zbyt długim. Już wczesną wiosną 1926 ujawniło się publicznie, że prawicowa część rządu nie myśli wcale o dotrzymaniu warunków, na jakich zawiązano koalicję. Przesilenie gabinetowe stawalo się rzeczą nieuniknioną, a w kołach politycznych wybuchu jego oczekiwano z dnia na dzień.

W dniu 18 kwietnia 1926 odbyła się w mieszkaniu marszałka sejmu, Rataja, konferencja przedstawicieli pięciu stronnictw, wchodzących w skład koalicji rządowej. Obecni byli posłowie — Daszyński, Marek, Głabiński, Witos, Popiel. Chaciński, premier Skrzyński i minister skarbu, Zdziechowski. Narady, którym przewodniczył marszałek sejmu, Rataj, miały na celu wyrównanie w łonie koalicji poglądów na sprawę dwóch programów finansowo gospodarczych — programu P. P. S., która na czoło swych postulatów wysuwała ustalenie waluty, zwalczanie bezrobocia, ożywienie ruchu gospo-

darczego, powiększenie obiegu pieniężnego, i programu ministra Zdziechowskiego. Prasa ówczesna słusznie podkreślała, że „dążenie do tego wyrównania miało charakter raczej formalny, aniżeli rzeczowy, zgóry bowiem obiedwie strony zapowiedziały już na kilka dni, że ze stanowisk swoich zejść nie mogą i że wobec tego spodziewać się należy rozbicia koalicji”.

Na konferencji tej posłowie socjalistyczni, Daszyński i Marek, — „wobec ostatecznego ujawnienia przez ministra Zdziechowskiego tendencji społeczno-politycznych, wręcz sprzecznych z najżywoźniejszemi interesami szerokich warstw nieposiadających, a uwzględniających jedynie egoistyczne postulaty „sfer gospodarczych” złożyli oświadczenie, kategorycznie stwierdzające niemożność dalszej współpracy ze stronnictwami, stojącemi na gruncie tendencji pana Zdziechowskiego”. W konsekwencji też ministrowie socjalistyczni, Barlicki i Ziemięcki, w dniu 20 kwietnia wręczyli premierowi Skrzyńskiemu podania o dymisję.

Ustąpienie tych ministrów zachwiało koalicją sejmową; dymisja rządu stała się rzeczą nieuniknioną. Premier Skrzyński jednak, różnemi względami powodowany, głównie pod wpływem stronnictw prawicowych, które uznały, że „obejdzie się bez przesilenia i że kadłub ministerjalny może spokojnie rządzić dalej po przeliczeniu głosów sejmowych, któremi rozporządza”, zwlekał ze złożeniem podania do dnia 5 maja 1926. Prezydent Rzeczypospolitej, Stanisław Wojciechowski, przychylił się do przedstawionej mu prośby, misję zaś utworzenia nowego rządu powierzał kolejno Witosowi, Chacińskiemu, powtórnie Witosowi i Władysławowi Grabskiemu, ale żaden z nich poruczonego zadania wypełnić nie mógł, głównie z powodu powstałych w łonie stronnictw rozterek na tle personalnem.

Ostatecznie w dniu 10 maja Witosowi, desygnowanemu na premiera w tak krótkim czasie po raz trzeci, udało się sformować gabinet, w skład którego weszli: Wincenty Witos, jako prezes, Stefan Smólski — minister spraw wewnętrznych, generał Juljusz Malczewski — minister spraw wojskowych, Jerzy Zdziechowski — minister skarbu, Stefan Piechocki — minister sprawiedliwości, Stanisław Grabski — minister oświaty, Władysław Kiernik — minister rolnictwa, Stanisław Osiecki — minister przemysłu i handlu, Adam Chądzyński — minister komunikacji, Józef Radwan — minister reform rolnych, Kajetan Dzierżykraj-Morawski — kierownik ministerstwa spraw zagranicznych, Mieczysław Rybczyński — kie-

rownik ministerstwa robót publicznych i Jan Jankowski — kierownik ministerstwa pracy i opieki społecznej.

W związku z tem przesileniem Marszałek Piłsudski upoważnił redakcję *Kurjera Porannego* do ogłoszenia rozmowy, w której proszono go o wyrażenie poglądu na przebieg i konkluzje tego przesilenia, a którą dajemy w tekście na str. 3—7.

Zaznaczyć tu należy, że 129 numer *Kurjera Porannego* z wtorku 11 maja 1926, w którym ogłoszono tę opinię Marszałka Piłsudskiego, uległ konfiskacie, gdyż jak z treści pisma Komisarjatu Rządu na m. st. Warszawę (nr. B. P. 11160, z dnia 11 maja 1926) wynika, w treści artykułu *Pierwszy Marszałek Polski o myniku przesilenia rządowego* dopatrzono się „cech przestępstwa, w artykule 154 Kodeksu Karnego przewidzianego”.

Do str. 4, wiersz 4 i następne.

Mowa tu o tak zwanym rządzie półparlamentarnym Wincentego Witosa, utworzonym w dniu 28 maja 1923. W skład tego rządu weszli — premier Wincenty Witos, Władysław Kiernik — sprawy wewnętrzne, Marjan Seyda — sprawy zagraniczne, Władysław Grabski — skarby, Stanisław Nowodworski — sprawiedliwość, Stanisław Głabiński — oświata, Jerzy Gościński — rolnictwo, Władysław Kucharski — przemysł i handel, Leon Karliński — komunikacja, Jan Moszczeński — poczta, generał Osiński — sprawy wojskowe (w czerwcu tękę tę otrzymał generał Stanisław Szeptycki), Ludwik Darowski — praca i opieka społeczna, Jerzy Bujalski — zdrowie publiczne.

Do str. 5, wiersze 6—7.

Rząd Władysława Grabskiego utworzony został 19 grudnia 1923. W rządzie tym tękę ministra spraw wojskowych otrzymał generał Kazimierz Sosnkowski, — w dniu 17 lutego 1924 miejsce to w gabinecie objął generał Władysław Sikorski.

Do str. 5, wiersze 22—23.

Mowa tu o pobycie w Belwederze i rozmowie z Prezydentem 14 listopada 1925, 22 kwietnia i 9 maja 1926.

Do str. 8.

W artykule *Dwie wielkie decyzje Józefa Piłsudskiego*, ogłoszonym w *Kurjerze Porannym* z 27 maja 1926, pisał pan Antoni Anusz:

„12 maja 1926 roku Marszałek Józef Piłsudski postanowił przez zbrojne wystąpienie położyć kres tym praktykom po-

litycznym i tym metodom rządzenia państwem, które znieprawiały i rozstrajały nasze życie państwowe i naród prowadziły do spodlenia.

Ta decyzja Piłsudskiego długo dojrzewała w jego duszy, z trudem wielkim pokonywała piętrzące się skrupuły, przedzierała się przez otaczające go wątpliwości, czy wystąpienie zbrojne jest niezawodnym i jedynym sposobem ratowania państwa przed upadkiem, a narodu przed upodleniem.

Twierdząc to na podstawie następującego wspomnienia: pamiętam jedną nocną rozmowę z Marszałkiem Piłsudskim w Belwederze w tym czasie, kiedy to Sejm Ustawodawczy pozwalał sobie na rozmaite psoty w stosunku do Piłsudskiego, a zwłaszcza w stosunku do jego akcji połączenia Wileńszczyzny z Polską. Oto jest zasadniczy sens tego, co słyszałem wówczas z ust Naczelnika Piłsudskiego:

„Z różnych stron namawiają mnie na dyktaturę i na rozpędzenie sejmu. Sejm pracuje źle; nie rozumie swej roli i swego powołania, swymi praktykami utrwała najgorsze wzory parlamentaryzmu. Na nic innego nie zasługuje, jak tylko na rozpędzenie. Gdybym wiedział, że mam przed sobą długie życie, że starczy mi czasu na to, aby uporządkować i zakończyć to, co bym rozpoczął przez akt rozpędzenia sejmu, to jutro miałibyście przed sejmem oddział dowódców, którego dowódca wycofałby od posłów legitymacje poselskie.

Tego nie zrobię, bo nie mam pewności, czy starczy mi życia na uporządkowanie stosunków w państwie, a gdybym ja złamał prawo, otworzyłbym drogę różnym awanturnikom do zamachów i przewrotów. Jest to moją dumą, moim klejnotem moralnym, że ja tworzyłem w Polsce prawo lub stwarzałem dla narodu warunki, w których mógł on swobodnie rozwijać własną twórczość ustawodawczą, lecz sam nigdy prawa nie łamałem”.

Tak pojmując swoją rolę, Piłsudski z całą konsekwencją stosował następującą zasadę: wroga zewnętrznego należy pokonać, własne społeczeństwo trzeba przekonać.

Zaczynając od swego przemówienia w sali Malinowej, (zob. *Pisma-Mowy-Rozkazy* — tom VI, str. 37—55), a kończąc na wypowiedzeniu swego poglądu na ostatnie przesilenie rządowe w *Kurjerze Porannym* z dnia 11 maja, Piłsudski przekonywał, nauczał, perswadował, piętnował i gromił. Niestety, ani jego słowa, ani przykład nie działały na nikczemnych, spodlonych w niewoli współobywateli, wyzutych z ambicji narodowej i uczuć patriotycznych”.

Dodać należy, że pierwsze oddziały wojska, maszerującego na Warszawę od strony Pragi, ukazały się o godzinie 3.30 na moście Poniatowskiego, o godzinie zaś 4.15 na moście Kierbedzia, obsadzając przyczółki tych mostów silnymi placówkami. Całe miasto z wyjątkiem najbliższych okolic Belwederu przeszło do rąk Marszałka Piłsudskiego do godziny 1 w nocy z 12 na 13 maja.

Podane w tekście oświadczenie złożone zostało w Komen-dzie Miasta w nocy z 12 na 13 maja.

Do str. 9—11.

Podany w tekście rozkaz do armji ogłoszony został w prasie w dniu 23 maja 1926.

Do str. 12—31.

Trzy wywiady, podane w tekście pod tytułami *O dniach przelotu, O prawicy i lewicy i O rządach sejmowych*, udzielone zostały przedstawicielowi *Kurjera Porannego* w dniach 24, 26 i 28 maja 1926, drukowane zaś w numerach 143, 145 i 147 z dnia 25, 27 i 29 maja 1926.

Do str. 25, wiersze 14—18.

Długa cytata z tego przemówienia podana jest we wstępie do niniejszego zbioru na str. XI i XII.

Do str. 32—35.

Na dzień 31 maja 1926znaczony został wybór przez Zgromadzenie Narodowe nowego prezydenta Rzeczypospolitej. Na dwa dni przed tym terminem, w dniu 29 maja, odbyło się w apartamentach reprezentacyjnych Prezydium Rady Ministrów zebranie przedstawicieli stronnictw sejmowych. W zebraniu tem wzięli udział panowie Stecki i Michalski (Chrześcijańska Demokracja), Chądzyński (Narodowa Partja Robotnicza), Dębski, Erdman, Jedynak (Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast”), Daszyński, Marek, Moraczewski, Ziemięcki, Niedziałkowski (Polska Partja Socjalistyczna), Poniatowski, Miedziński, Woźnicki („Wyzwolenie”), Waleron, Dąbski, Łaskiewicz, Polakiewicz (Stronnictwo Chłopskie), Krzyżanowski, Gaszyński, Kościółkowski (Grupa Pracy), Chaciński i Romocki (Chrześcijańska Demokracja).

Wymienieni przybyli do Prezydium Rady Ministrów nasłutek zaproszenia przez ówczesnego prezesa Rady Ministrów, prof. dr. Kazimierza Bartla, który oznajmił, iż „w przeddzień Zgromadzenia Narodowego pragnąłby, aby przedstawiciele stronnictw usłyszeli bezpośrednio z ust pana Marszałka Pił-

sudskiego opinję jego o wyborze kandydata” na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej.

Marszałek Piłsudski przybył do Prezydium Rady Ministrów około godziny 8 wieczorem i prawie bezpośrednio po przybyciu wygłosił przemówienie, podane w tekście na str. 32—35.

Według dorywczo przez przedstawicieli prasy zrobionego streszczenia, Marszałek Piłsudski zaznaczył na wstępie, że „podejmując zaproszenie premjera Bartla podzielenia się z zebranymi poglądem swym osobistym na dotychczasową ciężką rolę prezydenta Rzeczypospolitej, nie ma zamiaru wygłaszania mowy kandydackiej, lecz tylko chce wyrazić swój osobisty pogląd na rzecz.

Do str. 33, wiersz 6.

Przemówienie podajemy według tekstu, ogłoszonego w prasie. Nie jest to jego brzmienie dosłowne, lecz tylko streszczenie, gdyż przedstawiciele prasy nie byli w możności dokładnego jego zanotowania. Zaznaczyć więc należy, że po wyrazach: „można było znienawidzić całą demokrację”, dzienniki dodały w nawiasie: „co Marszałek odczuwał najboleśniej, jako zdecydowany demokrata”.

Do str. 33, wiersz 27.

Z tych samych względów przed wyrazami: „Warunki tak się ułożyły, że mogłem nie dopuścić was do sali Zgromadzenia Narodowego”, dzienniki zaznaczają: „A dalej, przechodząc do chwili obecnej, Marszałek oświadczył”.

Do str. 36—37.

W poniedziałek 31 maja 1926 odbyło się posiedzenie Zgromadzenia Narodowego, które wybrać miało nowego prezydenta Rzeczypospolitej. W chwili otwarcia posiedzenia izba sejmowa wypełniona była szczelnie publicznością. Łożę prezesa Rady Ministrów zajęło najbliższe otoczenie Marszałka Piłsudskiego. Z przedstawicieli rządu obecni byli na sali — prezes Rady Ministrów, prof. dr. Bartel, minister sprawiedliwości, Makowski, i minister spraw wewnętrznych, Młodzianowski. Łoża dyplomatyczna zajęta przez przedstawicieli korpusu dyplomatycznego. O godzinie 10.15 marszałek Rataj otworzył posiedzenie i po zwykłych formalnościach oświadczył, iż zgłoszone zostały dwie kandydatury — Pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego (lewica i grupy środka) oraz Adolfa Bnińskiego (Związek Ludowo-Narodowy i stronnictwo Dubanowicza), poczem zarządził głosowanie,

które zakończyło się o godzinie 11. Wynik głosowania — Marszałek Piłsudski głosów 292, Adolf Bniński głosów 193, kartek białych i nieważnych oddano 61. W wyniku więc głosowania, przyjętem przez lewicę i centrum głośnemi okrzykami zadowolenia i radości, Marszałek Piłsudski wybrany został Prezydentem Rzeczypospolitej.

Marszałek Rataj, zamykając posiedzenie, zwrócił się do Zgromadzenia z prośbą o zatrzymanie się w budynku sejmowym, gdyż „będzie miał możność w krótkim czasie — około południa — zakomunikować, czy obrany elekt, Józef Piłsudski, przyjmuje wybór, — i według odpowiedzi pana Marszałka Piłsudskiego postanowić, kiedy odbędzie się następne zebranie Zgromadzenia Narodowego”.

O godzinie 12.15 udali się do Marszałka Piłsudskiego prezes Rady Ministrów, prof. dr. Bartel, i marszałek sejmu, Rataj, aby zawiadomić go oficjalnie o wyniku wyboru. Przybyłym oświadczył Marszałek Piłsudski, że nie mógłby złożyć przysięgi na ustawę konstytucyjną z marca 1921 i że zatem „na podstawie tej Konstytucji, ograniczającej prezydenta do czystej reprezentacji, wyboru przyjąby nie mógł”.

Bezpośrednio też potem Marszałek Piłsudski wystosował do marszałka sejmu, Rataja, pismo (na blankiecie ministra spraw wojskowych, z datą 31 maja 1926), podane w tekście na str. 36—37.

Do str. 38—40.

Bezpośrednio po ogłoszeniu decyzji Marszałka Piłsudskiego w sprawie wyboru na Prezydenta Rzeczypospolitej dzienniki stołeczne — zrazu w dodatkach nadzwyczajnych, potem zaś w wydaniach zwykłych — donosiły:

Nieprzyjęcie wyboru przez elekta, Marszałka Piłsudskiego, wywołało na terenie sejmu ogólną konsternację. Zarówno na prawicy, jak i na lewicy nie zdawano sobie w pierwszej chwili sprawy z motywów, jakimi kierował się Marszałek Piłsudski, odmawiając wyboru. Wyjaśnił te motywy dopiero tekst listu Marszałka Piłsudskiego, podany prasie do wiadomości przez marszałka sejmu.

Wkrótce po stwierdzeniu, że decyzja Marszałka Piłsudskiego jest stanowcza, marszałek sejmu, Rataj, wezwał do siebie kolejno przedstawicieli stronnictw środka i lewicy. W czasie tych narad wysunięto z pewnej strony koncepcję, by marszałek sejmu, Rataj, przyjął kandydaturę na prezy-

denta Rzeczypospolitej. Marszałek Rataj kategorycznie zastrzegł się przeciw stawianiu jego kandydatury.

Niemal równocześnie rozeszła się w sejmie wiadomość, że premier Bartel za inicjatywą Marszałka Piłsudskiego wysunął kandydaturę prof. dr. Ignacego Mościckiego, która wkrótce potem uzyskała zgodę klubów Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast” i Grupy Pracy. W godzinach wieczornych przyłączyła się do tych klubów Narodowa Partja Robotnicza, postanawiając solidarnie głosować za kandydaturą prof. dr. Mościckiego.

Celem ustosunkowania się do powyższej kandydatury zebrał się w godzinach popołudniowych blok lewicy; kluby Polska Partja Socjalistyczna i Stronnictwo Chłopskie wysunęły koncepcję własnego kandydata na pierwsze głosowanie — oczywiście, w celach demonstracyjnych. Jako kandydatów, wymieniano posłów Barlickiego, Daszyńskiego i Marka.

Stronnictwa prawicy — Związek Ludowo-Narodowy, Chrześcijańska Demokracja i stronnictwo Dubanowicza — postanowiły głosować za swym poprzednim kandydatem, Adolfem Bnińskim.

Koło Żydowskie i Klub Niemiecki uchwałyły poprzeć kandydaturę prof. dr. Mościckiego ewentualnie dopiero w drugim głosowaniu.

W ciągu nocy sytuacja zmieniła się o tyle, że na poparcie kandydatury prof. dr. Mościckiego zgodziło się „Wyzwolenie”. Poza tem Stronnictwo Chłopskie zakończyło swe długotrwałe obrady uchwałą, by położyć podpisy pod wniesieniem kandydatury prof. dr. Mościckiego i oddać swe głosy za jego wyborem na Prezydenta Rzeczypospolitej.

Po raz drugi zebrało się Zgromadzenie Narodowe w dniu 1 czerwca 1926. Marszałek sejmu, Rataj, otwierając posiedzenie, oświadczył, że „wobec odmowy przyjęcia urzędu prezydenta Rzeczypospolitej przez Marszałka Piłsudskiego, należy — zgodnie z artykułem 21 regulaminu — przystąpić do ponownego wyboru prezydenta”, poczem wezwał do składania kandydatur.

Członkowie Zgromadzenia Narodowego — Głabiński, Kościółkowski i Niedziałkowski — składają na piśmie kandydatury, które marszałek sejmu odczytuje w porządku alfabetycznym — Adolf Bniński, Zygmunt Marek i Ignacy Mościcki.

O godzinie 11.25 odczytano rezultat pierwszego głosowania. Głosowało 545 członków Zgromadzenia Narodowego.

Ważnych głosów oddano 482, absolutna większość 242; głosów nieważnych oddano 63. Otrzymali — prof. dr. Ignacy Mościcki — 215, Bniński — 211, Marek — 56.

Po odczytaniu wyników głosowania marszałek sejmu, Rataj, oznajmił, że żaden z kandydatów nie uzyskał wymaganej większości, i zarządził ponowne głosowanie. W parę minut potem kandydatura posła Marka została wycofana.

Po obliczeniu złożonych kartek okazało się, że głosów ważnych oddano 481, nieważnych — 63, absolutna większość 242. Otrzymali — prof. dr. Ignacy Mościcki — 281, Adolf Bniński — 200.

W wyniku więc powtórnego głosowania Prezydentem Rzeczypospolitej wybrany został prof. dr. Ignacy Mościcki.

W dniu 1 czerwca 1926 wobec ogólnego, żywego i zrozumiałego zainteresowania, jakie wzbudziła osoba elekta, przedstawiciele prasy udali się do Marszałka Piłsudskiego z prośbą o pewne szczegóły, dotyczące dawnej jego znajomości i przyjaźni z nowoobranym Prezydentem. Odpowiedź Marszałka Piłsudskiego na zadane mu pytanie dajemy w tekście na str. 38—40.

W komentarzu, poprzedzającym tę odpowiedź w poprzednim wydaniu *Przemówień — Wywiadów — Artykułów* z lat 1926—1929, pisaliśmy, że „Marszałka Piłsudskiego z Prezydentem Rzeczypospolitej, prof. dr. Ignacym Mościckim łączy długoletnia i głęboka przyjaźń. W znanym nam liście Józefa Piłsudskiego z dnia 14 lutego 1907 do inżyniera Ignacego Boernerera, który wskutek działalności rewolucyjnej opuścić musiał b. Królestwo i poza jego granicami szukać pracy, znajdujemy następujące słowa: — „Ale jeszcze jedno, chociaż to nie w Polsce, a w Szwajcarii, jest tam dobry mój przyjaciel i bardzo serdeczny człowiek — Mościcki“...

Z kraju wyemigrował Ignacy Mościcki w lecie 1892 roku. Przyczyną wyjazdu był plan terrorystyczny Michała Ziełńskiego, który postanowił rzucić bombę w cerkwi na ulicy Miodowej w Warszawie, w chwili, gdy „zbierze się tam „chmara“ czynownictwa wszelkiej rangi“. Zamach do skutku nie doszedł, gdyż jeden z członków organizacji, prowokator Sidorek, uprzedził o wszystkim policję rosyjską. (zobacz: Res (Feliks Perl) *Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim*. Tom I, Kraków, 1910, nakładem wydawnictwa „Życie“.) Nagłe, niespokojne poruszenie się policji, jej natrętne, nieodstępne śledzenie członków organizacji socjalistycznych zmusiło kilku najbardziej skompromitowa-

nych, a między nimi także i Ignacego Mościckiego, szukać schronienia zagranicą.

Znajomość Józefa Piłsudskiego z Ignacym Mościckim datuje się od lata 1896 roku. W tym bowiem czasie odbył się w Londynie kongres socjalistyczny, na który przybył z kraju Józef Piłsudski, jako redaktor nielegalnego *Robotnika* i członek Centralnego Komitetu Robotniczego Polskiej Partii Socjalistycznej.

Do str. 41—43.

Wobec zrzeczenia się przez Stanisława Wojciechowskiego stanowiska prezydenta Rzeczypospolitej, władzę zwierzchnią w kraju — na zasadzie artykułu 40 Konstytucji — objął w dniu 15 maja 1926 ówczesny marszałek sejmu, Rataj. Misja utworzenia nowego rządu powierzona została przez marszałka Rataja w tymże dniu posłowi prof. Kazimierzowi Bartłowi. Gabinet utworzony został w bardzo krótkim czasie, gdyż lista jego tegoż jeszcze dnia przedstawiona została do podpisu (w skład jego wszedł Marszałek Piłsudski, jako minister spraw wojskowych). Bezpośrednio po sformowaniu gabinetu (15 maja, o godzinie 9 wieczór) premier Bartel w klubie sprawozdawców parlamentarnych złożył następujące oświadczenie:

„Rząd mój powołany jest do zlikwidowania wytworzonej sytuacji. Da on bezpieczeństwo obywatelom, zapewni spokój i powrót do normalnej pracy. Oczywiście, trwać on będzie do wyboru prezydenta Rzeczypospolitej przez Zgromadzenie Narodowe, który to wybór będzie dokonany w czasie najbliższym“.

W dniu 4 czerwca 1926 nowoobрани Prezydent Rzeczypospolitej, prof. dr. Ignacy Mościcki, złożył na Zamku w Warszawie przysięgę. Bezpośrednio po tym akcie odbyło się również na Zamku posiedzenie Rady Ministrów, na którym premier Bartel zawiadomił zebranych ministrów, że „wobec objęcia władzy zwierzchniej przez nowoobranego Prezydenta Rzeczypospolitej, stosownie do istniejących zwyczajów, postanowił podać się do dymisji wraz z całym gabinetem“. Prezydent Rzeczypospolitej dymisję rządu przyjął, polecając mu jednocześnie dalsze sprawowanie czynności aż do chwili powołania nowego rządu.

W dniu 5 czerwca Prezydent Rzeczypospolitej sformowanie nowego gabinetu powierzył dotychczasowemu premierowi, prof. Bartłowi, który w dniu 8 czerwca, w trakcie konferencji z kandydatami na ministrów, zwrócił się do

Marszałka Piłsudskiego z zaproszeniem objęcia teki ministra spraw wojskowych. W odpowiedzi na powyższe zaproszenie Marszałek Piłsudski w dniu 8 czerwca wysłał do prof. Bartla pisemne oświadczenie, podane w tekście na str. 41—43, a zawierające warunki, na jakich zgadza się objąć w nowoformowanym gabinecie urząd ministra spraw wojskowych.

Do str. 44—48.

W sierpniu 1926, w dwunastą rocznicę wymarszu kompanji kadrowej z Krakowa, odbył się w Kielcach doroczny zjazd legionistów. Marszałek Piłsudski wziął w tym zjeździe osobisty udział, uświetniając go, jak co roku, przemówieniem, wygłoszonym 8 sierpnia między godziną 7.20 a 8.30 wieczór w sali kinoteatru „Fenomen”.

Podane w tekście przemówienie jest przedrukiem odpowiednich sprawozdań prasy stołecznej. Nie jest to tekst dosłowny — dzienniki, ogłaszając go, zaznaczyły wyraźnie, że jest to tylko streszczenie najważniejszych myśli.

W związku z tem przemówieniem pisał *Kurjer Poranny*:

„Już na długo przed zapowiedzianą godziną mowy Marszałka Piłsudskiego szeroka ulica przed salą teatru obrazów ruchomych „Fenomen” zappełniła się tłumami publiczności. Policja z trudem utrzymywała wolny pas, przez który przeciskali się zaproszeni goście do sali. Równocześnie gromadziły się tłumy publiczności na czterech placach Kielc, aby wysłuchać mowy Marszałka Piłsudskiego przy pomocy wystawionych w tym celu megafonów.

O godzinie 7 wieczorem sala była przepelniona tak bardzo, że słuchacze, którzy przyszli nieco później, napróżno cisnęli się do jej wnętrza.

Przy stołach prasy zasiedli liczni przedstawiciele prasy z całej Polski oraz delegaci wielu prasy zagranicznych. Na podjumu zgromadzili się przedstawiciele rządu z ministrami — Młodzianowskim, Zaleskim, Kwiatkowskim, Jurkiewiczem, Staniewiczem, wojewoda Manteuffel, posłowie i senatorowie Jan Dąbski, Poniąkowski, Polakiewicz, Langier i inni, generałowie Skierski, Neugebauer, Wróblewski, Górecki, Dąbkowski, Sławoj-Składkowski, Fara, Łuczyński oraz liczny korpus oficerski z adjutantem generalnym Prezydenta Rzeczypospolitej pułkownikiem Zahorskim na czele.

O godzinie 7.15 przybyła na salę pani Marszałkowa Piłsudska, a w chwilę później dwaj synowie Prezydenta Rzeczypospolitej.

O godzinie 7.20 na salę wśród ogłuszających okrzyków i oklasków wszedł Marszałek Piłsudski w otoczeniu adjutantów. Gdy Marszałek stanął na trybunie, oklaski i entuzjastyczna owacja długo nie pozwalały mu dojść do słowa...

Do str. 49.

W dniu 24 października 1926 udał się Marszałek Piłsudski do Nieświeża celem udekorowania złotym krzyżem „Virtuti Militari” sarkofagu swego byłego adjutanta, majora wojsk polskich, ś. p. Stanisława Radziwiłła, poległego bohaterską śmiercią w czasie wyprawy kijowskiej w bitwie z bolszewikami pod Malinem. Uroczysty akt dekoracji odbył się w dniu 25 października w obecności ministrów Niezabytowskiego i Meysztowicza, wojewody nowogrodzkiego, Beczkowicza, oraz licznych przedstawicieli rodów, spokrewnionych z domem Radziwiłłów.

Po uroczystości Albrecht Radziwiłł podejmował gości na zamku obiadem, podczas którego wygłoszono kilka przemówień. Podana w tekście mowa Marszałka Piłsudskiego jest odpowiedzią na toast Albrechta Radziwiłła, który podkreślił, że z Marszałkiem Piłsudskim „łączy się potomność staro i zasłużonego rodu, świetną a nieprzerwaną nicią tradycji związanego z tym krajem. W przykładach przeszłości czerpałeś natchnienie, które ci pozwoliło niepowszednią wyłobić kartę w historii swego narodu, i piękną spuściznę przekazać kiedyś dwóm swym córeczkom, które pod czułą opieką matki, u boku wielkiego ojca uczą się łączyć cześć dla przeszłości z duchem zdrowego i koniecznego postępu. W imieniu tych tradycji, łączących rodzinę z narodem, wiążących przeszłość z przyszłością, a uzasadniających się słuszną dumą dokonanych czynów i nadziei świetnej przyszłości, wznoszę zdrowie rodziny pana Marszałka — niech żyje!”

Do str. 50—56.

Podane w tekście przemówienie wygłoszone zostało przed mikrofonem, zainstalowanym specjalnie w tym celu przez „Polskie Radio” w jednej z sal pałacu Belwederskiego, w dniu 11 listopada 1926, w związku z uroczystym obchodem ósmej rocznicy odzyskania niepodległości.

Przemówienie to ogłoszone zostało w prasie stołecznej według stenogramu, dostarczonego pismom przez wydział prasowy „Polskiego Radja“.

Do str. 52, wiersz 28 i następne.

Mowa tu o słynnym marszu poprzez Ulinę Małą do Krakowa, dokonanym 8 i 9 listopada 1914 roku. Marszowi temu poświęcił Marszałek Piłsudski specjalną pracę — *Uliną Małą*, wchodzącą w skład wspomnień *Moje pierwsze boje*, napisanych w twierdzy magdeburskiej w 1917/1918. Zob. — IV tom *Pism - Mów - Rozkazów*.

Do str. 57—69.

W dniu 15 grudnia 1926 sejm na porannym posiedzeniu uchwalił bez zmian (w trzecim czytaniu) projekt budżetu. Marszałek Piłsudski po otrzymaniu tej wiadomości postanowił wziąć udział w popołudniowym posiedzeniu komisji budżetowej i zabrać głos w debacie nad budżetem ministerstwa spraw wojskowych.

Posiedzenie komisji rozpoczęło się o godzinie 4.30. Przewodniczył poseł Rymar. Obecni byli przedstawiciele ministerstwa spraw wojskowych — pierwszy wiceminister, generał Konarzewski, zastępca szefa administracji, generał Górecki, szef korpusu kontrolerów, pułkownik Maciszewski, podpułkownicy Ścieżyński i Petrażycki.

Bezpośrednio po otwarciu posiedzenia poseł Kościółkowski rozpoczął wygłaszanie referatu, co trwało prawie bez przerwy do godziny 8.

Marszałek Piłsudski przybył na posiedzenie komisji około godziny 7. „U wejścia do gmachu — czytamy w sprawozdaniach prasowych — zameldował się Marszałkowi podpułkownik Petrażycki, który wprowadził Marszałka na salę obrad. W chwili wejścia Marszałka Piłsudskiego wojskowi i większość posłów powstała z miejsc. Marszałek Polski powitał zebranych ogólnym ukłonem, poczem zajął miejsce obok przewodniczącego.

Marszałek przez czas jakiś przysłuchiwał się referatowi posła Kościółkowskiego. W pewnej chwili zapytał szeptem przewodniczącego — „Jak długo panowie pracujecie?“ — „Do dwunastej w nocy“ — brzmiała odpowiedź. — „Ciężko pracować w tym zaduchu“, — zauważył Marszałek Piłsudski. Rzeczywiście — na wiadomość o przybyciu Marszałka bardzo wielu posłów, nawet nie należących do komisji, weszło na salę obrad. Uwaga Marszałka Polski spowodowała nie-

zwłoczne zarządzenie co do przeniesienia obrad do innej sali; zdecydowano, że po przerwie dalsza dyskusja toczyć się będzie w wielkiej sali plenarnej. O godzinie 8 zarządzono przerwę. Marszałek Piłsudski odjechał do Belwederu na herbatę. Wrócił o godzinie 9.20, gdy wszyscy posłowie znajdowali się już na sali“...

W dyskusji zabierali kolejno głos posłowie Michalski, Lieberman, Polakiewicz, którzy zrobili kilka zastrzeżeń co do sposobu budżetowego traktowania rezerwy zaopatrzenia oraz co do „przerostu wydatków wegetacyjnych armii nad wydatkami materiałowymi“ i zwrócili uwagę na parę — ich zdaniem — wad w budżecie wojskowym. Zaznaczyć należy, że dyskusja utrzymana była w tonie bardzo poważnym.

Podane w tekście na str. 57—69 przemówienie Marszałka Piłsudskiego jest do pewnego tylko stopnia odpowiedzią na zrobione przez mówców zastrzeżenia i uwagi.

Do str. 58, wiersz 26.

Michalski był ministrem skarbu w 1921/1922.

Do str. 59, wiersz 19 i 20.

Wygłaszając to zdanie, Marszałek Piłsudski zwrócił się w stronę księcia Czetwertyńskiego.

Do str. 68, wiersz 22.

Po wyrazach: „ciekaw byłbym takich prób“ — jeden z obecnych na sali posłów zauważył: „W Niemczech, w Austrii to było!“

Do str. 68, wiersz 30.

Po wyrazach: „to miesięczne budżety“ — jeden z obecnych na sali posłów zauważył: „Z zarządzenia rządu“...

Do str. 70—73.

W dniu 17 grudnia 1926 dokonano na Litwie Kowieńskiej wojskowego zamachu stanu. Powodów tego zamachu szukać należy w taktyce dotychczasowych rządów kowieńskich. Jak słusznie bowiem podnoszono w prasie polskiej, Litwa „wskutek bezsensownej polityki stała się coraz bardziej piłką sowiecko-niemiecką, kopaną i łapaną na zmianę przez tych graczy. Jednocześnie z winy ślepej wojowniczości wobec Polski popadła w trudności gospodarcze, graniczące z katastrofą. W tych warunkach nad samą egzystencją młodej republiki zawisł znak zapytania, powiększany

przez destrukcyjną akcję komunistyczną, subsydjowaną i inspirowaną przez Moskwę”.

Do spisku należała wielka ilość oficerów służby czynnej i rezerwy, jak też różnych związków wojskowych — szaulistów, związku byłych ochotników, związku rezerwistów. Po krótkich walkach — zwłaszcza w rejonie Marjampol — Wołkowyszki i pod Zieloną Górą, gdzie zgrupowały się wojska, wierne dawnemu rządowi, — władza przeszła w ręce zamachowców. Prezydent republiki, Grinius, uznał przewrót i zrzekł się swego stanowiska. W dniu 19 grudnia sejm kowieński wybrał prezydentem Smetonę, lidera konserwatystów litewskich, byłego prezesa Taryby, zgromadzenia, nominowanego przez Niemców za czasów okupacji, a odpowiadającego warszawskiej Tymczasowej Radzie Stanu.

Smetona, bezpośrednio po objęciu funkcji prezydenta republiki, podpisał nominację Antoniego Waldemarasa na premiera nowego rządu.

W związku z sytuacją, wytworzoną przez wypadki kowieńskie, Marszałek Piłsudski w dniu 24 grudnia 1926 udzielił redaktorowi *Głosu Prawdy* wywiadu na temat stanowiska rządu polskiego wobec przewrotu kowieńskiego.

1927.

Do str. 77—81.

W dniu 15 lutego 1927 o godzinie 12 w sali konferencyjnej ministerstwa spraw wojskowych odbyło się inauguracyjne posiedzenie Rady Naukowej Wychowania Fizycznego. Obradom, nacechowanym głęboką i szczerą troską o rozwój wychowania fizycznego tak w wojsku i szkolnictwie, jak i w całym społeczeństwie, przewodniczył marszałek Piłsudski, jako minister spraw wojskowych, w obecności ministra spraw wewnętrznych, generała Sławoj-Składkowskiego, i ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, Dobruckiego.

Podane w tekście przemówienie wygłosił Marszałek Piłsudski, otwierając posiedzenie Rady Naukowej Wychowania Fizycznego.

Do str. 81—83.

W sobotę 18 czerwca 1927 odbył się w Krakowie zjazd oficerów rezerwy z całej Polski. Przebywający podówczas w Warszawie Marszałek Piłsudski przemówił do uczestników

zjazdu, zebranych w oficerskim kasynie garnizonowym w Krakowie, przez radjo o godzinie 11.20.

Do str. 84—89.

W dniu 14 czerwca 1927 na cmentarzu Montmartre w Paryżu — w obecności ambasadora polskiego we Francji, Chłapowskiego, konsula generalnego, Targowskiego, oraz przedstawicieli literatury polskiej z Warszawy, Jana Lechonia (L. Serafinowicza) i Or-Ota (Artura Oppmana) — dokonano ekshumacji prochów Juliusza Słowackiego w celu przewiezienia ich do kraju. Drogą morską z Cherburga do Gdyni i Gdańska, później zaś Wisłą w dół — poprzez Tczew, Gniew, Grudziądz i Modlin — przewieziono na statkach polskich trumnę z prochami do Warszawy. Tu 26 czerwca na placu Zamkowym przemawiali Prezydent Rzeczypospolitej i Zygmunt Przesmycki (Miriam). W dniu 27 czerwca o godzinie 9 rano po nabożeństwie w Katedrze przeniesiono trumnę z prochami na dworzec główny, skąd pociągiem odwieziono ją do Krakowa — w celu złożenia w sarkofagu w podziemiach wawelskich.

Podane w tekście przemówienie wygłoszone zostało 28 czerwca na dziedzińcu wawelskim. Pierwsze słowa przemówienia wypowiedział Marszałek Piłsudski o godzinie 12.50, w chwili, gdy wyżsi wojskowi składali trumnę na podium, otoczone licznymi delegacjami wojskowymi i cywilnymi.

Do str. 90—91.

W pierwszych dniach lipca 1927 odbyła się w Wilnie uroczysta koronacja cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. W uroczystościach tych wzięli udział Prezydent Rzeczypospolitej, Marszałek Józef Piłsudski, ministrowie, korpus dyplomatyczny, przedstawiciele duchowieństwa, władz wojskowych i administracyjnych, prasy i niezliczone tłumy wiernych. Po koronacji i uroczystych nabożeństwach na placu Łukiskim, w katedrze i w kościele świętego Jakóba dnia 2 lipca o godzinie 3 popołudniu odbył się w garnizonowym kasynie oficerskim bankiet, wydany przez księdza arcybiskupa wileńskiego. Podane w tekście przemówienie wygłoszone zostało na tym właśnie bankiecie, bezpośrednio po mowie księdza arcybiskupa Jabłrzykowskiego, który „stwierdził z radością, że uczestniczyli w tych uroczystościach dostojni przedstawiciele rządu, a zwłaszcza syn Ziemi Wileńskiej, pan premier Piłsudski”.

Do str. 92—108.

W sierpniu 1927, w trzynastą rocznicę wymarszu oddziałów strzeleckich z Krakowa, odbył się w Kaliszu doroczny, szósty z kolei, zjazd legionistów.

Uroczystości rozpoczęły się 7 sierpnia w Szczypiornie, gdzie około godziny 10 odsłonięto pomnik — obelisk spiżowy z płaskorzeźbą Marszałka Piłsudskiego i napisami — u góry: „Honor i Ojczyzna“, u dołu zaś: „Żołnierzom Legionów Polskich 1914/1917 roku“. W godzinach popołudniowych odbyły się w Kaliszu obrady uczestników zjazdu.

Marszałek Piłsudski przybył do Kalisza w towarzystwie małżonki i córeczek w nocy z 6 na 7 sierpnia i wziął udział w uroczystości odsłonięcia pomnika w Szczypiornie. Podane w tekście przemówienie wygłoszone zostało w świetlicy 29-go pułku strzelców kaniowskich 7 sierpnia między godziną 7.15 a 8.30 wieczorem. Według doniesień prasy sala wypełniona była szczelnie uczestnikami zjazdu, którzy w chwili ukazania się Marszałka Piłsudskiego powitali go niemiłkącymi oklaskami.

Zaznaczyć należy, że uroczystości legionowe w Kaliszu zakończyły się uroczystym posiedzeniem rady miejskiej, na którym wręczono Marszałkowi Piłsudskiemu dyplom honorowego obywatela miasta Kalisza.

Do str. 93, wiersz 19.

Por. przemówienie na zjeździe legionistów w Kielcach — str. 44—48, oraz odczyt, wygłoszony na zjeździe legionistów we Lwowie *O wartości żołnierza Legionów* (zob. *Pisma - Mowy - Rozkazy*, tom VI).

Do str. 109—111.

W dniu 19 września 1927 sejm na pierwszym posiedzeniu sesji nadzwyczajnej, zwołanej z jego inicjatywy, uchylił zwykłą uchwałą rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 o prawie prasowym oraz rozporządzenie, zmieniające niektóre postanowienia ustaw karnych o rozpowszechnianiu nieprawdziwych wiadomości i o zniewagach. Prasa stołeczna, bez względu na swe zabarwienie polityczne, donosząc o tym wypadku, stwierdzała zgodnie, że uchylenie dekretu nie może mieć w najbliższej przynajmniej przyszłości żadnych realnych skutków. „Uchylenie dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej przez sejm nie ma mocy prawnej dopóty, dopóki ogłoszone nie będzie w *Dzienniku Ustaw*, co znowu zależy wyłącznie od rządu“... „Wiedzieli

o tem inicjatorowie wniosku o uchylenie dekretów prasowych i sporządzili drugi wniosek, nowelizujący zasady publikacji uchwał sejmowych w tym sensie, że uchylenie przez sejm dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej ma być ogłoszone w *Dzienniku Ustaw* w ciągu trzech dni. Nowela ta przyjęta była również przez sejm w drugim czytaniu“... „Jeżeli zatem chodzi o rzeczywiste anulowanie dekretów prasowych, to trzeba na to jeszcze uchwalenia przez sejm w trzech czytaniach noweli co do sposobu ogłoszenia uchwał sejmowych w *Dzienniku Ustaw*, przeprowadzenia tej noweli przez senat, a o ile ten wprowadziłby poprawki — przyjęcie lub odrzucenie ich znowu przez sejm. Dopiero po załatwieniu tych formalności nowela powinna być ogłoszona w *Dzienniku Ustaw*, a dopiero potem uchylenie dekretów prasowych musi być ogłoszone w *Dzienniku Ustaw* i wtedy dopiero stanie się prawem. Jak widać, droga to długa i żmudna i nastrocza z tego powodu dużo wątpliwości, czy izby obecne zdołają ją przebrnąć“...

Ze względu na stanowisko, zajęte w tej sprawie przez Marszałka Piłsudskiego, stwierdzić należy, że interpretacja sposobu znoszenia przez sejm rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej już w grudniu 1926, w związku z próbą obalenia pierwszego dekretu prasowego z dnia 10 grudnia 1926, stała się przedmiotem gorącej dyskusji prawników i znawców prawa konstytucyjnego, wydawała się bowiem wielu, między innymi także i marszałkowi sejmu, Ratajowi, sporną, niejasną i wątpliwą. Świadczyć o tem może stenogram z posiedzenia sejmu w dniu 10 grudnia 1926, z którego wyjątek podaję poniżej:

Przy obalaniu pierwszego dekretu prasowego referent projektu, poseł Lieberman, na wstępie swego przemówienia oświadcza: „...komisja prawnicza wnosi o uchylenie dekretu zapomocą ustawy, w formie ustawy, jakkolwiek, według noweli konstytucyjnej wstarcza jednostronny akt, jednostronna decyzja sejmu“, a zwracając się do marszałka sejmu, Rataja, dodał: „Dlatego zastrzegam się wyrażnie i stanowczo, że forma, dziś przez komisję prawniczą zaproponowana, nie może stanowić i nie będzie stanowić precedensu na przyszłość i bardzo proszę pana marszałka, żeby także złożył oświadczenie w tym kierunku wysokiej izbie według swego przekonania“... W odpowiedzi na ten apel marszałek sejmu, Rataj, oświadczył: „Stwierdzam zgodnie z rzeczywistością, że nawet i w tej izbie są zwolennicy dwóch różnych

interpretacji ostatniego ustępu artykułu 44 Konstytucji. Rozumiem, że uchylenie dekretu prasowego w drodze ustawy nie będzie stanowiło precedensu co do tego, żeby artykuł 44 musiał być interpretowany tylko w tym kierunku, iż uchylenie dekretu wymaga ustawy. Uważam, że sprawa ta wymaga jeszcze wyjaśnienia na terenie sejmu“...

Umieszczony w tekście na stronie 109 pierwszy list Marszałka Piłsudskiego do marszałka sejmu, Rataja, wysłany został w dniu 23 września 1927 i był odpowiedzią na zawiadomienie o uchwale sejmu z dnia 19 września, przesłane przez marszałka sejmu Marszałkowi Piłsudskiemu, jako ówczesnemu prezesowi Rady Ministrów, w dniu 20 września 1927.

W odpowiedzi na ten pierwszy list marszałek sejmu, Rataj, w dniu 27 września 1927 wysłał do Marszałka Piłsudskiego pismo następujące:

Do Pana Prezesa Rady Ministrów, w miejscu.

Na pismo Pana Prezesa z dnia 23 września 1927 roku Nr. 15383 mam zaszczyt oświadczyć, co następuje:

I. a) Ostatnie zdanie artykułu 5 ustawy z dnia 2 sierpnia 1926 roku, zmieniającej i uzupełniającej Konstytucję z dnia 17 marca 1921 roku (*Dziennik Ustaw* Nr. 44, pozycja 267) brzmi: „Rozporządzenia te tracą moc obowiązującą, jeżeli po złożeniu ich sejmowi zostaną przez sejm uchylone“.

b) Tekst powyższy, zastrzegający wyraźnie prawo uchylenia rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej sejmowi, nie jest przypadkowy, a pominięcie senatu nie jest przeoczeniem, któreby można uzupełniać drogą interpretacji. Tekst odpowiada intencji ustawodawczej.

Stwierdzają to urzędowe sprawozdania stenograficzne z obrad senatu i sejmu. (*Sprawozdanie stenograficzne ze 135 i 136 posiedzenia senatu i Sprawozdanie stenograficzne z 299 posiedzenia sejmu*).

Świadczą one, iż senat, upatrując w brzmieniu artykułu 5, uchwalonem przez sejm, ograniczenie swych dotychczasowych praw, starał się wprowadzić do tekstu sejmowego poprawki, zastrzegając senatowi udział z ewentualnem uchyleniem rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej. (Poprawka senatora Kasznicy: w ustępie ostatnim zdanie ostatnie winno brzmieć: „lub jeżeli po złożeniu ich sejmowi zostaną w trybie ustawodawczym uchylone lub zmienione“).

Jedną z tych poprawek (poprawka większości komisji senackiej: W ustępie ostatnim zdanie ostatnie winno brzmieć:

„Rozporządzenia te tracą moc obowiązującą, jeżeli nie zostaną złożone sejmowi i senatowi w ciągu dni 14 po najbliższem posiedzeniu semu, lub jeżeli po złożeniu ich sejmowi i senatowi zostaną przez sejm, lub przez senat uchylone“), została przez senat uchwalona, lecz sejm ją odrzucił, stwierdzając w ten sposób raz jeszcze, iż wolą jego jest oddanie możliwości uchylenia rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej sejmowi bez senatu. Przeto i tekst, i dokumentami ustalona wola ustawodawcy stwierdzają, iż sam sejm ma prawo i możliwość uchylenia rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej.

Skoro zaś sejm z tego prawa chce skorzystać, nie może tego zrobić inaczej, jak w formie zwykłej uchwały. Podnieść muszę, że rzecz ta była w sejmie gruntownie badana. Jeżeli jakieś wątpliwości były podnoszone, to umilkły one wobec przytoczonych faktów. Tak komisja prawnicza, jak sejm in pleno stanęły jednomyślnie na stanowisku uchylenia rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej — uchwałą sejmu.

II. Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 4 listopada 1926 roku (*Dziennik Ustaw* nr. 110, pozycja 640) zostało wprowadzie uchylone drogą ustawy, (por. urzędowe *Sprawozdanie stenograficzne 308 posiedzenia sejmu*), uchwalonej przez sejm i senat. Stało się to jednak ze szczególnych powodów, wyluszczonych przez referenta komisji, a w szczególności z powodu zgłoszenia w sejmie wniosku o uchylenie wspomnianego rozporządzenia, zanim ono jeszcze przez rząd przedłożone zostało sejmowi. Sejm przez usta urzędującego marszałka zastrzegł się, iż wypadek ten nie może stanowić precedensu i nie przesądza interpretacji odnośnego postanowienia Konstytucji.

III. Uchwała tedy z dnia 19 września 1927 roku, mocą której sejm uchylił rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 roku, zmieniające niektóre postanowienia ustaw karnych o rozpowszechnianiu nieprawdziwych wiadomości i o zniewagach, została powzięta przez sejm zgodnie z Konstytucją i regulaminem, zgodnie też z przepisami prawa i istniejącym zwyczajem została zakomunikowana rządowi.

IV. Dalsze jej losy należą do uprawnień i odpowiedzialności innych władz.

Na jeden przeto tylko szczegół mamy zaszczyt zwrócić uwagę ze względu na ostatni ustęp pisma Pana Prezesa Rady Ministrów:

W *Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej* pomieszczone już były uchwały sejmu, nie mające formy ustaw, na przykład, uchwały z dnia 16 grudnia 1921 roku (*Dziennik Ustaw* Nr. 104, pozycje 749 i 750) i uchwała z 28 czerwca 1923 roku, *Dziennik Ustaw* Nr. 67, pozycja 520.

Niedoszła do skutku wskutek odroczenia sejmu i senatu nowela do ustawy o *Dzienniku Ustaw*, miała na celu nie wprowadzenie nowej zasady, lecz prawne uporządkowanie stanu faktycznego.

Marszałek sejmu

Rataj.

Odpowiedź Marszałka Piłsudskiego, przesłana w dniu 8 października 1927, umieszczona jest w tekście na stronie 110.

Do str. 112.

W nocy 21 października 1927 zmarł poeta i powieściopisarz, Gustaw Daniłowski. Urodzony w roku 1872, jako syn zesłańca politycznego, w głębi Rosji, w małym miasteczku powiatowym Cywińsku, w guberni kazańskiej, do gimnazjum uczęszczał w Warszawie, studia wyższe zaś odbył w Instytucie Technologicznym w Charkowie. Pracę literacką rozpoczął u schyłku ubiegłego wieku. Do jego utworów najcenniejszych należą: tom nowel *Nego* (1900), *Z minionych dni* (1901), *Jaskółka* (1907), *W miłości i boju* (1910), *Marja Magdalena* (1912). Jeśli chodzi o jego działalność polityczno-społeczną, to stwierdzić należy, że przez całe swe życie słowem i czynem wytrwale służył sprawie niepodległości narodu. Do szeregów Polskiej Partii Socjalistycznej, której rozwojem organizacyjnym i ideologicznym w latach 1893—1908 kierował Józef Piłsudski, zaciągnął się Daniłowski jeszcze w okresie studiów wyższych w Charkowie. Zgodnie ze stwierdzeniem ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, Dobruckiego, który w dniu pogrzebu przemawiał nad otwartą mogiłą, Daniłowski „mimo braku sił fizycznych, mimo ciężkich chorób, które go gnębiły, brał udział w każdej pracy, w każdym wystąpieniu, którego celem była walka o wolność. Rewolucja w roku 1905, później organizowanie związków strzeleckich w Galicji — oto kolejne etapy jego działalności. W roku 1914 przekroczył granicę z pierwszymi oddziałami strzeleckimi”...

Do str. 113.

W końcu października 1927 jeden z najbardziej zasłużonych generałów polskich, Lucjan Żeligowski, dowódca 4-tej dywizji polskiej na wschodzie, zdobywca Wilna w październiku 1920 i autor wydanej w roku 1930 książki *Wojna w roku 1920, wspomnienia i rozważania*, przeszedł na własną prośbę w stan spoczynku. W związku z tem Marszałek Piłsudski podejmował go w dniu 27 października w oficerskim kasynie garnizonowym w Warszawie śniadaniem, na którym był obecny cały rząd z wicepremierem profesorem Kazimierzem Bartlem na czele, wszyscy przebywający w tym czasie w Warszawie inspektorowie armij, wiceministrowie generał Konarzewski i generał Fabrycy, szef Sztabu Głównego generał Piskor wraz ze swym zastępcą, generałem Kutrzebą, prezes sądu wojskowego, generał Krzemiński, kilku dowódców korpusów, podpułkownik Prystor, major Wenda i wielu innych. W trakcie śniadania Marszałek Piłsudski wygłosił podane w tekście przemówienie. Generał Żeligowski w odpowiedzi swej podkreślił, że „ceniał zawsze nade wszystko imię Wodza, któremu już w roku 1918 wszystkie organizacje wojskowe tytuł ten nadały”, „...dzisiaj zaś, w chwili opuszczenia drogich szeregów wojska zapewniał, że nigdy ich nie zapomni i zawsze pozostanie im bliski”... Przemówienie swe zakończył generał Żeligowski toastem na cześć armii polskiej i jej Wodza.

Do str. 114—117.

W lutym 1923 roku Michał Tuchaczewski, dowódca sowieckiego frontu zachodniego w wojnie z Polską w roku 1920, wygłosił w Moskwie, na kursie uzupełniającym akademii wojennej, szereg prelekcji o swym „pochodzie za Wisłę”. Niedługo potem prelekcje te ukazały się w wydaniu książkowym, z początkiem zaś 1924 przełożone zostały na język polski przez majora Antoniego Bogusławskiego. Przez polskich wydawców tej broszury został Marszałek Piłsudski uproszony „o danie dla polskiej publiczności swojej tego dziełka oceny i przedstawienia myślom i ujęciom każdorazowej sytuacji wodza jednej z partyj walczących myśli i takiegoż ujęcia wodza z naszej strony”. Mimo, że zgodnie z celami wydawnictwa był Marszałek Piłsudski „zgóry związany zarówno układem pracy Tuchaczewskiego, jak jej metodą i jej konstrukcją”, zgodził się — jak sam powiada — „chętnie na propozycję wydawców, gdyż sama metoda uję-

cia pracy przez pana Tuchaczewskiego niezwykle sprzyja zadowoleniu szeroko odczuwanych u nas potrzeb wyświe-
tlenia wielu zjawisk, przeżytych przez nas tak głęboko
w przełomowym dla naszej ojczyzny roku 1920".

Obszerna odpowiedź Marszałka Piłsudskiego, nosząca tytuł *Rok 1920. Z powodu pracy M. Tuchaczewskiego „Pochód za Wisłę”*, powstała w Sulejówku w czasie od kwietnia do czerwca 1924 i jesienią tegoż roku wyszła w pierwszym wydaniu książkowym (Warszawa, nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Ignis” (E. Wende i S-ka), stron 4 nlb. + 224 + załącznik o str. 16 nlb. + 9 szkiców). Z przypisów do VII tomu *Pism — Mów — Rozkazów* Józefa Piłsudskiego, w skład którego weszło to dzieło, dowiadujemy się, że „według pierwotnych zamierzeń miała to być praca, utrzymana ściśle w ramach odpowiedzi na broszurę Tuchaczewskiego, przy-
czem głównie opracowana być miała bitwa warszawska; w miarę jednak wgłębiania się w analizę zdarzeń od pierwszej ofensywy Tuchaczewskiego, część, poprzedzająca rozdział o bitwie warszawskiej, mianowicie — ustępy, traktujące o bitwach na Białejrusi i odwrócie na Warszawę — roz-
stały się, natomiast rozdział o bitwie warszawskiej, jakkol-
wiek największy w książce, napisany został w stosunku do pierwotnych zamierzeń ogólnikowo; obiecywał sobie przytem Piłsudski poświęcić bitwie warszawskiej osobne długie studjum”.

Drugie wydanie dzieła ukazało się w roku 1927 (Warsza-
wa, nakładem Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski, str. 1 nlb. + VIII + 378). Marszałek Piłsudski zaopatrzył to wydanie w nową przedmowę, którą dajemy w tekście na str. 113—117. Przedmowa ta nie została włączona do zbiorowe-
go wydania *Pism — Mów — Rozkazów* Józefa Piłsudskiego; niema jej w VII tomie, napisana bowiem w listopadzie 1927. nie należy do okresu jego twórczości pisarskiej, obję-
tego wspomnianem wydaniem zbiorowem, w którym zgru-
powane zostały w porządku chronologicznym prace z lat 1893—1926.

Do str. 115, wiersz 18.

Wydanie drugie *Roku 1920* w stosunku do wydania pierwszego nie zawiera żadnych zmian poza poprawkami błędów drukarskich i jedną — nieistotną — poprawką rze-
czową. „Natomiast chcąc uczynić książkę w przedstawieniu zdarzeń aktualną, polecił Piłsudski szefowi Wojskowego Biura Historycznego przestudjowanie wszystkich ważniej-

szych prac sowieckich o wojnie 1920 roku, które wyszły od czasu ukazania się pierwszego wydania dzieła, i umieszczenie zawartych w nich nowych danych w formie uzupeł-
nień za tekstem książki”. Powstałe w ten sposób bardzo szczegółowe i obszernie przypisy (opracowane przez majorów Edwarda Perkowicza i Józefa Moszczeńskiego, pod redak-
cją generała brygady Juliana Stachewicza) umieszczone zostały w drugim wydaniu dzieła na str. 289—378.

Do str. 116, wiersz 16.

Mowa tu o książce Witolda Putny — *K Wiśle i obratno*, wydanej w Leningradzie w roku 1927.

Do str. 118—119.

W dniu 17 listopada 1927 przybył do Warszawy marszałek Francji, Franchet d'Esperey, celem wręczenia Marszałkowi Piłsudskiemu dowodu uznania Rzeczypospolitej Fran-
cuskiej w postaci najwyższego odznaczenia wojskowego — „Medal Wojskowy”. Dekoracja Marszałka Piłsudskiego od-
była się w dniu 18 listopada na dziedzińcu Zamku Królew-
skiego w Warszawie. Następnego dnia Prezydent Rzeczypo-
spolitej, prof. dr. Ignacy Mościcki, udekorował na audjen-
cji pożegnalnej marszałka Franchet d'Esperey'a wielką
wstęgą orderu „Polonia Restituta”. Tegoż dnia ambasa-
dor Francji w Warszawie, Laroche, wydał obiad na cześć
Pierwszego Marszałka Polski oraz marszałka Francji Fran-
chet d'Esperey'a. Podczas tego obiadu ambasador Laroche
wygłosił przemówienie, w którym dał wyraz radości, że
„z okazji udekorowania najwyższym orderem wojskowym
francuskim Pierwszego Marszałka Polski, bojownika o wol-
ność, zwycięskiego wodza z wojny roku 1920 i bohatera na-
rodowego, Józefa Piłsudskiego, przez marszałka Francji,
Franchet d'Esperey'a, zwycięskiego wodza armji z nad Du-
naju, Bosforu i Adriatyku”, — może łącznie gościć ich
w swym domu. „W osobach dwu tych wodzów najlepiej
usymbolizowana jest solidarność i braterstwo broni naro-
dów polskiego i francuskiego. Na cześć tej solidarności i przy-
mierza Polski i Francji wznoszę swój toast”.

Marszałek Francji Franchet d'Esperey, zwracając się do
Marszałka Piłsudskiego, powiedział między innemi:

„Dziesięć lat czekałem na chwilę dzisiejszą. Walcząc na
froncie południowym, pragnąłem, jako głównodowodzący tego
frontu, uwolnić całą część Europy, znajdującą się jeszcze
pod obcą przemocą, od jarzma obcego. Myślałem wówczas

o połączeniu się z Legionami polskimi i oswobodzeniu Polski. Zawieszenie broni przeszkodziło mi w skutecznieniu zamiaru. Polska wyzwoliła się własnym wysiłkiem, na który złożyły się dwa elementy — energia narodowa i Twoje, Panie Marszałku, genialne dowództwo. Pan, Panie Marszałku, walcząc w roku 1920 i przełamując ofensywę wroga pod Siedlcami, był szczęśliwszy od armji francuskiej, która, odniósłszy świetne zwycięstwo nad Marną, utrwałać je musiała licznymi jeszcze zwycięskimi walkami, gdy Ty, Panie Marszałku, od razu zламаłeś napór wroga. Wznoszę więc okrzyk: Niech żyje Polska, armja polska i jej Pierwszy Marszałek, Józef Piłsudski”.

Odpowiedzią na dwa te toasty było przemówienie Marszałka Piłsudskiego, podane w tekście na str. 118—119.

Do str. 120—123.

Dokonany w Kownie w ostatnich dniach grudnia roku 1926 zamach wojskowy, aczkolwiek zrodził się z troski o dobro i rozwój Litwy, nie pociągnął za sobą zmian w ustosunkowaniu się polityków kowieńskich do Polski. Mianowany po zamachu premierem Antoni Waldemarasz szedł drogą, wytyczoną i utartą przez jego poprzedników, utrzymując z nami „stan wojny bez wojny i pokoju”. Na przestrogi i nadzieje Polski, których wyrazem był wywiad, udzielony przez Marszałka Piłsudskiego *Głosowi Prawdy* w ostatnich dniach grudnia 1926 roku, premier litewski odpowiedział projektem zmiany konstytucji, w którym Wilno, stanowiące integralną część Polski, uznane zostało za stolicę Litwy, oraz zdławieniem szkolnictwa polskiego na Kowieńszczyźnie z jednoczesnym uwięzieniem w obozach koncentracyjnych nauczycieli polskich za to, że — jak czytamy w apelu ich, skierowanym do Polski — „dzieci polskie uczyli w języku polskim, że wpajali w nie tradycję przyjaźni i świetnej przeszłości polsko-litewskiej”. Te wystąpienia rządu kowieńskiego odbiły się silnym echem w całej Polsce — fala głębokiego oburzenia i gorącego patryotyzmu ogarnęła społeczeństwo polskie. Rząd polski, jak to słusznie w swoim czasie podnoszono — „wykazał wiele dobrej woli i wykonał znaczny wysiłek, by oburzenie swego społeczeństwa utrzymać w granicach protestu przeciw prowokacjom Kowna”. Ograniczył się tylko do represyj w formie aresztowania niewielkiej ilości działaczy litewskich, działających stale i systematycznie na szkodę Polski, oraz chwilowego zamknięcia seminarjum nauczycielskiego w Wilnie i czterdziestu kilku

szkół litewskich na Wileńszczyźnie. Te łagodne zarządzenia władz polskich posłużyły Waldemarasowi za pretekst do oskarżenia Polski przed Ligą Narodów. W skardze swej, przesłanej do Ligi Narodów w pierwszej połowie listopada 1927, dowodził premier litewski, że podane przez prasę polską wiadomości o zdławieniu szkolnictwa polskiego na Litwie i uwięzieniu nauczycieli polskich są zmyślone, protestował przeciwko znanym już nam represjom rządu polskiego i powołując się na artykuł 11 paktu Ligi Narodów, przez co wskazywał, że Litwa zagrożona jest ze strony Polski wojną, prosił o interwencję w wynikłym konflikcie. I prawie jednocześnie z wysłaniem tej skargi, pod pozorem, że ktoś gdzieś przygotowuje zbrojny marsz na Kowno, wydał szereg zarządzeń, które wytworzoną sytuację zaostrzyły jeszcze bardziej: zarządził mianowicie ostre pogotowie szaulisów i zmilitaryzowanie policji, trochę później — „powołał na ćwiczenia” oficerów rezerwy, wreszcie nakazał mobilizację kilku roczników. Mobilizacja ta skierowana była najwyraźniej przeciwko Polsce — bez żadnego, najmniejszego nawet z jej strony powodu. A w parze z temi zarządzeniami szły liczne wyroki śmierci i masowe nakazy aresztowania osób, przebywających w Kownie, a nie mogących się zgodzić na taką politykę.

W związku z sytuacją, wytworzoną przez Waldemarasa, poseł Związku S. S. R. w Warszawie, pan Bogomołow, doręczył w dniu 24 listopada 1927 roku ministrowi spraw zagranicznych, panu Zaleskiemu, notę, w której z polecenia swego rządu „podał do wiadomości rządu polskiego, iż rząd sowiecki zaniepokojony jest tym stanem naprężenia, jaki wytworzył się w ostatnim czasie pomiędzy Polską a Litwą, a który zagraża pokojowi”, oraz uważa „za niezbędne zaznaczyć, że zachowanie pokoju w daleko większym stopniu zależy od Polski, aniżeli od Litwy, państwa zbyt słabego, aby móc być zainteresowanym w poszukiwaniu decyzji w zakresie swych pretensyj drogą zbrojnego konfliktu z Polską”. W dalszym ciągu tej noty rząd sowiecki wyrażał przekonanie, że wynikły spór rozstrzygnięty być może drogą wyłącznie pokojową oraz że „rząd polski, który niedawno w sposób uroczysty deklarował swoją pokojowość, potrafi usunąć grożące niebezpieczeństwo wojny i zrozumie wystąpienie rządu sowieckiego, jako podyktowane wyłącznym dążeniem Związku Sowieckiego do utrzymania pokoju wogóle, a w szczególności do rozwoju pokojowych

i przyjaznych stosunków z Polską". Nota sowiecka wywołała rezonans w Berlinie w postaci konferencji komisarza Litwinowa z niemieckim ministrem spraw zagranicznych Stresemannem. Były to, naturalnie, zrozumiałe próby uderzenia w Polskę drogą okrężną przez Litwę, próby stworzenia dla nas niekorzystnej sytuacji w związku z wyznaczoną na grudzień sesją Rady Ligi Narodów. To też rząd polski w dniu 29 listopada 1927 roku przesłał rządowi państw, gdzie jesteśmy reprezentowani, notę, w której stwierdził, że nie żywi względem Litwy żadnych agresywnych zamiarów i że „jedynym jego pragnieniem jest nawiązanie z rządem litewskim w duchu najbardziej pokojowym normalnych stosunków sąsiedzkich". W dalszym ciągu noty rząd polski stwierdził, że te pragnienia jego „spotykały się z kategoryczną odmową wszystkich rządów Litwy, które dziś, tak, jak i dawniej, twierdzą, że ich kraj znajduje się w stanie wojny z Polską. Zdaniem rządu polskiego taki stan rzeczy, brzemienisty w niebezpieczeństwa dla współpracy pokojowej narodów, nie da się dłużej utrzymać. Dlatego też rząd polski jest przekonany, że wszystkie rządy i oświecona opinia całego świata zrozumieją jego stanowisko i użyją wszystkich środków, będących w ich mocy, aby przez zakończenie głoszonego z takim uporem stanu wojny spełnione zostało jedyne pragnienie rządu polskiego".

Tyle, jeśli chodzi o przebieg konfliktu i okoliczności, towarzyszące skardze litewskiej, skutkiem której sprawa stosunków polsko-litewskich znalazła się na porządku dziennym obrad wyznaczonego na pierwsze dni grudnia posiedzenia Rady Ligi Narodów.

Dodać należy, że w czasie trwania konfliktu Marszałek Piłsudski dwukrotnie wyjeżdżał z Warszawy do Wilna: po raz pierwszy 8 października 1927 roku, kiedy wziął udział w uroczystościach, związanych z siódmą rocznicą wyzwolenia Wilna (akcja generała Żeligowskiego), — po raz drugi 23 listopada, kiedy to odwiedził chorą na gripę siostrę, przeprowadził — w związku z zarządzeniami Waldemara — inspekcję kilku oddziałów wojskowych i odbył szereg konferencji, których celem było zebranie materiałów do odparcia skargi Waldemara, wniesionej do Ligi Narodów.

W związku z omówionym konfliktem Marszałek Piłsudski w dniu 30 listopada 1927 upoważnił Polską Agencję Telegraficzną do opublikowania oświadczenia, podanego w tekście na str. 120—123.

1928.

Do str. 131—133.

Podane w tekście przemówienie wygłoszone zostało 13 marca 1928, po wyborach do trzeciego sejmiku (por. przypis do stron 134—137), w mieszkaniu pułkownika Walerego Ślawa, gdzie w dniu tym odbyło się zebranie grupy posłów z Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem. Zacytowane ono zostało przez pana Antoniego Anusza w artykule *Decydujący moment w życiu państwa*, ogłoszonym w *Kurjerze Porannym*, nr. 288 z 17 października 1930. Pan Anusz przytoczył je ściśle według notatek jednego z uczestników wspomnianego zebrania, pana Józefa Targowskiego.

W artykule swym, będącym komentarzem do cytowanego przemówienia, pisał pan Anusz: „Sejm, do którego kandyduje Marszałek Józef Piłsudski (por. przypis do str. 316, wiersz 7) ma dokonać zmiany Konstytucji. Józef Piłsudski wziął w swe prawne ręce sprawę naprawy ustroju państwa. W marcu 1921 roku ówczesny wicemarszałek sejmiku ustawodawczego, Stanisław Osiecki, był delegowany przez prezydium sejmiku do Belwederu celem zaproszenia Naczelnika Państwa na uroczyste posiedzenie sejmiku w dniu 17 marca z racji przyjęcia w trzecim czytaniu ustawy konstytucyjnej. W rozmowie z wicemarszałkiem Osieckim Naczelnik Państwa Józef Piłsudski wypowiedział swój najzupełniej ujemny sąd o uchwalonej Konstytucji — jest to Konstytucja nie dla Polski, jest ona plodem doktryny, a nie wyrazem poczucia naszej rzeczywistości politycznej; postanowienia tej Konstytucji niosą Polsce niemoc i bezwład. Dzisiaj Józef Piłsudski przystępuje do usunięcia wad i braków naszej ustawy konstytucyjnej. Zamierza uczynić to za pośrednictwem sejmiku... Po przewrocie majowym z wielu stron podsuwano Józefowi Piłsudskiemu myśl okrojowania nowej Konstytucji. Odpowiedź Józefa Piłsudskiego brzmiała: „Konstytucja okrojowana przetrwałaby tylko do mojej śmierci. Chcę Polsce oszczędzić zamęt i wstrząsów”...

Do str. 134—137.

W dniu 28 listopada 1927 Prezydent Rzeczypospolitej, prof. dr. Ignacy Mościcki, na podstawie artykułów 26 i 36 Konstytucji rozwiązał sejm i senat z powodu upływu czasu, na jaki zostały wybrane. W dniu 5 grudnia 1927 roku w nr. 107 *Dziennika Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej*

ogłoszone zostało zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej o wyborach do nowego, trzeciego z kolei sejmu i senatu. Na podstawie tego zarządzenia głosowanie do nowego sejmu odbyło się w niedzielę 4 marca 1928. W wyniku głosowania zdobyły — Blok Bezpartyjny Współpracy z Rządem — 124 mandaty, Polska Partja Socjalistyczna — 51, Blok Mniejszości Narodowych w Polsce — 46, „Wyzwolenie” — 32, lista „Katolicko-Narodowa” — 31, Polski Blok Katolicki Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast” i Chrześcijańskiej Demokracji — 27, Stronnictwo Chłopskie — 21, Narodowa Partja Robotnicza — 8 (mniejszych ugrupowań politycznych nie uwzględniam).

We wtorek 27 marca 1928 Marszałek Piłsudski w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej dokonał otwarcia nowowybranego sejmu. W tekście przebieg tej uroczystości podajemy według sejmowego sprawozdania stenograficznego.

O ile jednak sprawozdanie to zawiera najwierniejszy tekst odczytanego przez Marszałka Józefa Piłsudskiego orędzia i kilku jego uwag, o tyle z drugiej strony nie podaje szczegółów, niezbędnych dla zrozumienia wynikłej sytuacji. Z tego więc względu uciekamy się do bardziej szczegółowych prawych sprawozdań z tej uroczystości.

Kurjer Poranny z 28 marca 1928 w sprawozdaniu pod tytułem *Przebieg pierwszego posiedzenia sejmu* pisze:

„Na długo przed rozpoczęciem posiedzenia zaczęły zapelniać się galerja oraz loże dyplomatyczna i rządowa. W loży Pana Prezydenta po obu bokach wielkiego, pustego fotela, którego oparcie ozdobiono srebrnym orłem, stali dwaj oficerowie dyżurni. Reprezentacja obcych państw stawiała się licznie z Mgn. Marmagim na czele. Galerja dla publiczności i dziennikarska natłoczona. Sala poselska zapelniała się dość szybko, leaderzy stronnictw, panowie: pułkownik Sławek (Blok Bezpartyjny), Trąmpczyński (Narodowa Demokracja), Marek (P. P. S.) i inni zajęli miejsca pierwsze.

O godzinie 5.30 ukazał się na wzniesieniu prezydjalnem rząd w komplecie; po prawej stronie trybuny zasiadli ministrowie, po lewej — podsekretarze stanu. Punktualnie o godzinie 5.55 wkroczył Marszałek Piłsudski. W mundurze marszałkowskim, w pełnej gali, w białych rękawiczkach, trzymał w ręce orędzie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Większość Izby powstała z miejsc.

Gdy Marszałek Piłsudski stanął przy stole i, ściągając rękawiczki, rozglądał się po sali, nagle odezwały się z pośród

grupy komunistów okrzyki: „Precz z faszystowskim rządem Piłsudskiego!”, podtrzymywane przez komunizującą grupę ukraińską posła Baczyńskiego. Odpowiedziały na to głosy posłów z centrum: „Ile pieniędzy dostaliście z Moskwy za te okrzyki?” Wybuchła wrzawa, podczas której Marszałek Piłsudski, wskazując ręką w stronę demonstrujących komunistów, odezwał się: „Panowie, będziecie wyrzuceni z sali!”

Gdy okrzyki komunistów ponawiały się, Marszałek Piłsudski oparł się o stół prezydjalny i, wytrzymując rzucane pod jego adresem wyzwiska, dwukrotnie powtórzył jeszcze ostrzeżenie: „Panowie, będziecie wyrzuceni z sali!”, — poczem zwrócił się do stojącego obok ministra spraw wewnętrznych, generała Składkowskiego, z jakimś poleceniem. Generał Składkowski wyszedł, zaś Marszałek Piłsudski zasiadł w fotelu i zaczął się rozglądać po sali. W tej chwili zapanało na sali milczenie. Komuniści nie wiedzieli widocznie, co sądzić o wypoczynku Pana Marszałka i spoglądali w stronę prezydium; cisza taka, pełna niepokoju, trwała około dwóch minut. Nagle poprzez drzwi od strony foteli, zajętych przez komunistów, wkroczył minister spraw wewnętrznych, generał Składkowski, i komisarz rządu, pan Jaroszewicz, w asyście policji. Komuniści wszczęli narazie wrzawę, wołając: „mordują nas!”, poczem, gdy policja usuwała ich z sali, zaintonowali *Międzynarodówkę*. Do generała Składkowskiego rzuciło się z pięściami kilku socjalistów, lecz zostali odepchnięci. Policja wyprowadziła posłów komunistów Warskiego-Warszawskiego, Sochackiego, ukraińskiego komunistę Baczyńskiego, Gawrona oraz omyłkowo posła Smołę z „Wyzwolenia”, który został zaraz zwolniony. Wyprowadzenie komunistów żegnali socjaliści śpiewem *Czerwonego Sztandaru*, zaś Blok Bezpartyjny Współpracy z Rządem i publiczność na galerji manifestowała słuszość zarządzenia oklaskami. Endecja zachowywała się neutralnie. Znowu cisza.

W tem poseł Woźnicki, prezes klubu „Wyzwolenia”, zawołał: „Ładny początek!”

Poseł Wyrzykowski („Wyzwolenie”): „Hańba!”

Marszałek Piłsudski, który stanął znowu obok prezydium: „Uprzedzam panów, że ja nie będę urzędował przy krzykach i dlatego sejmu nie otworzę”.

Poseł Wyrzykowski: „Urzędowanie, ale nie z policją!”...

Poseł Polakiewicz (Blok Bezpartyjny) odpowiada z miejsca coś panu Wyrzykowskiemu, a wówczas —

Marszałek Piłsudski: Cicho tam, proszę nie przerywać!... Następuje milczenie, a wtedy Marszałek Piłsudski odczytał orędzie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Na pierwsze słowa orędzia: „W imieniu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej”... cała prawie Izba powstała z miejsc, zaś reszta tekstu wysłuchana została przez posłów Bloku Bezpartyjnego i członków rządu stojąco, gdy reszta Izby usiadła.

Marszałek Piłsudski, odczytawszy orędzie, po małej pauzie oświadczył:

„W imieniu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej ogłaszam sejm za otwarty.

Według ustanowienia Pana Prezydenta przechodzimy do dzisiejszego posiedzenia, na którym porządek dzienny jest ustanowiony w ten sposób: a) przeprowadzenie ślubowania posłów, b) wybór marszałka sejmu. Według woli i mianowania Pana Prezydenta, przewodniczyć zebraniu dzisiejszemu będzie pan poseł Bojko. Panie pośle, proszę zająć miejsce”.

Pan Bojko zasiadł na trybunie marszałkowskiej, powitany oklaskami centrum. Oświadcza on: „Powołany zostałem tytułem starszeństwa do czynności tymczasowego marszałka sejmu. Dziś w południe złożyłem ślubowanie poselskie na ręce Pana Prezydenta w obecności Pana Prezesa Rady Ministrów, Marszałka Piłsudskiego. Powołuję na sekretarzy najmłodszych wiekiem posłów: pana Piotra Kosibę i... (tutaj podchodzi do pana Bojki Marszałek Piłsudski i pomaga mu odczytać nazwisko) Władysława Pragę. Przystępujemy do ślubowania”.

Poseł Jeremicz (Ukrainiec): — „Zgłaszam formalny wniosek o odroczenie dzisiejszego posiedzenia, ponieważ wielu posłów nie mogło przybyć”.

Poseł Woźnicki: — „Proszę o głos w sprawie ślubowania”.

Przewodniczący Bojko: — „Panowie jeszcze nie złożyli ślubowania, więc jeszcze nie mogę udzielać nikomu głosu”...

Na sali powstaje wrzawa. W prezydjum sejmowym widać zamieszanie. Wówczas Marszałek Piłsudski, który siedział w ławach rządowych, powstaje i staje obok pana Bojki. Sala wnet się uspakaja.

Poseł Woźnicki: — „Czy to rozstrzygnięcie jest ostateczne?”

Przewodniczący Bojko: — „Proszę odczytać rotę ślubowania”.

Jeden z sekretarzy odczytuje rotę, poczem czyta z listy nazwiska posłów, z których każdy składa kolejno ślubowanie. Przy wymienieniu nazwiska posła Lwa Baczyńskiego odzywają się głosy: „wyprowadzony” i hałasy...

...Naogół należy zauważyć, że demonstrację niezwykle ostrą, hałaśliwą prowadziło wczoraj „Wyzwolenie”, gdy, naprzekład, socjaliści zachowywali względną powagę.

Do str. 138—152.

W ostatnim tygodniu czerwca 1928, po zamknięciu przez Prezydenta Rzeczypospolitej w dniu 22 tegoż miesiąca zwyyczajnej i budżetowej sesji sejmu i senatu, Marszałek Piłsudski w ciągu kilku dni rozważał sprawę rekonstrukcji gabinetu, omawiając ją z Prezydentem Rzeczypospolitej i wice-premjerem Bartlem tudzież na posiedzeniach Rady Ministrów. W wyniku tych narad Marszałek Piłsudski postanowił zrezygnować ze stanowiska szefa rządu. Prezydent Rzeczypospolitej przychylił się do przedstawionej mu prośby i udzielił dymisji Marszałkowi Piłsudskiemu oraz wszystkim członkom jego gabinetu, (rząd ten utworzony był 2 października 1926), podpisując w tymże dniu dekrety, mianujące nowy gabinet. Na czele nowego rządu stanął dotychczasowy wice-premjer prof. dr. Kazimierz Bartel. Zmiany personalne dotknęły tylko dwóch tek — komunikacji (do gabinetu wszedł inżynier Alfons Kühn) i oświaty (do gabinetu wszedł dr. Kazimierz Świtalski). Poza temi nominacjami wszyscy ministrowie z poprzedniego gabinetu pozostali na dawnych stanowiskach; Marszałek Piłsudski zachował tekę ministra spraw wojskowych.

W związku z tą rekonstrukcją gabinetu Marszałek Piłsudski w dniu 30 czerwca 1928 udzielił prasie wywiadu, w którym mówił o przyczynach rezygnacji ze stanowiska szefa rządu. Właściwy wywiad poprzedziła krótka rozmowa z przedstawicielem *Głosu Prawdy* o powodach, które skłoniły Marszałka Piłsudskiego do publicznego wypowiedzenia się.

Do str. 153—166.

W dniu 12 sierpnia 1928 odbył się w Wilnie siódmy z kolei zjazd legionistów. Marszałek Piłsudski wziął w tym zjeździe osobisty udział. Przybył on do Wilna wraz z małżonką i córeczkami 11 sierpnia o godzinie 6 wieczorem.

Zjazd miał przebieg niezwykle imponujący i wzruszający. Poza licznymi rzeszami legionistów przybyli do Wilna mi-

nistrowie — zastępujący premjera minister Moraczewski, ministrowie: Kwiatkowski, Kühn, Świtalski, Staniewicz, Meysztowicz i Miedziński, generalowie: Sosnkowski, Konarzewski, Rydz-Śmigły, Żeligowski, Górecki, Fabrycy, Stachiewicz, pułkownik Sławek, szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej, dr. Lisiewicz, członkowie domu cywilnego i wojskowego, wojewodowie: Korsak z Kielc, Beczkowicz z Nowogródka, Twardo z Warszawy, Kwaśniewski z Tarnopola i wielu innych wybitnych osobistości. Poza tem na dzień ten przybyło do Wilna wielu redaktorów pism stołecznych, korespondenci pism ze wszystkich województw Polski, korespondenci prasy niemieckiej, francuskiej, amerykańskiej, angielskiej, rosyjskiej i państw bałtyckich — tudzież ośmiu dziennikarzy litewskich, wśród których nie brakowało i przedstawicieli organów oficjalnych z Kowna.

Wilno nabrało charakteru wielkomiejskiego. „Na ulicach tłumy publiczności cywilnej i grupy wojskowych. Ruch niebywały”... „Rozlegają się dźwięki orkiestr, krążących z pochodniami po ulicach”... „Domy przystrojone girlandami zieleni i flagami państwowymi. Wszystkie większe gmachy udekorowane inicjałami Marszałka Piłsudskiego”... „Na ulicach słychać gorące powitania pomiędzy dawnymi i obecnymi kolegami broni”... „Hotele przepełnione. Wszystkie prywatne mieszkania oddane są do rozporządzenia komitetu zjazdu. Wszyscy walczą o otrzymanie kart wstępu na uroczystość, szczególnie na odczyt Marszałka Piłsudskiego”...

Właściwe uroczystości rozpoczęły się w niedzielę 12 sierpnia o godzinie 10 rano solenną mszą świętą, celebrowaną w Bazylice wileńskiej przez księdza arcybiskupa Jabłrzykowskiego. Po nabożeństwie i krótkim kazaniu okolicznościowym odbyła się na placu przed Bazyliką uroczystość poświęcenia sztandaru Wileńskiego Związku Okręgowego Legionistów. Po akcie poświęcenia ksiądz biskup Bandurski ze specjalnie przygotowanej ambony wygłosił do zgromadzonych tłumów podniosłe przemówienie, poczem pochodem, w którym brały udział wszystkie zastępy legionistów, hallerczyków, dowborczyków, strzelców, sokółów i innych organizacyj ze sztandarami i orkiestrami, udano się na Górę Zamkową, gdzie na grobie Nieznanego Żołnierza złożono wieńiec z szarfami o barwach narodowych.

O godzinie 1 po południu w sali Rady Miejskiej rozpoczęła się uroczysta akademja, którą zagał prezes Zarządu Głównego Związku Legionistów w Warszawie, pułkownik

Piestrzyński, składając podziękowanie uczestnikom zjazdu za przybycie, kolegom zaś wileńskim za trudy, poniesione przy organizacji zjazdu. Po przemówieniach wojewody wileńskiego, Raczkiewicza, prezydenta miasta Wilna, Polejewskiego, oraz generała Rydza-Śmigłego uchwalono rezolucję następującą:

„Siódmy Zjazd Legionistów, zebrany w dniu 12 sierpnia w Wilnie, w dniu uroczystym dorocznym zwraca się do Ciebie, Najdostojniejszy Panie Prezydencie, z wyrazami głębokiego hołdu i niezłomnej wierności w obliczu Pierwszego Żołnierza Polski i Wielkiego Narodu Marszałka Józefa Piłsudskiego, w obliczu członków rządu, reprezentacji sejmu i senatu, armji, przedstawicieli władz i społeczeństwa, w murach tego prastarego grodu Jagiellonów, a nieugiętej państwa i ducha polskiego strażnicy. My, legjoniści, z wszystkich stron Rzeczypospolitej, składamy na Twoje ręce, Panie Prezydencie, uroczyste ślubowanie:

1) Jako w dniu wojenne czynem orężnym torowaliśmy drogę do niepodległości, tak dziś, zawsze gotowi do jej obrony, u Twego boku stajemy w tym wielkim wyścigu pracy pod najwyższym sztandarem idei państwowej budowy mocarstwowej, potężnej Rzeczypospolitej.

2) W żarliwej trosce o niewzruszone fundamenty tej naszej Rzeczypospolitej dołożymy wszelkich starań i wysiłków, by pod Twoim, Panie Prezydencie, dostojnym przewodnictwem dokonała się taka zmiana ustroju, która państwu zapewni spikowaną moc, a wiekopomne dzieło Marszałka Piłsudskiego po wszystkie czasy utrwali”.

Przemówienie Marszałka Piłsudskiego zapowiedziane było na godzinę 5.45 popołudniu. Według doniesienia Polskiej Agencji Telegraficznej: „już na długo przed godziną 17.45, na którą zapowiedziane było przemówienie Marszałka Piłsudskiego, przed gmachem „Reduty” zaczęły się gromadzić tłumy publiczności. Władze bezpieczeństwa z trudem utrzymywały porządek wśród zebranych tłumów. Sala wypełniona była szczelnie, tak, że nietylko zajęte były wszystkie miejsca siedzące, lecz również i wszystkie przejścia. Scenę udekorowano kwiatami. Na tylnej ścianie umieszczono dużych rozmiarów medaljon Marszałka Piłsudskiego z brązu na marmurze, przeznaczony do sali senatu. Na tle sztandarów zasiedli na scenie: ministrowie, generalicja, wojewodowie, książęta Kościoła, posłowie, senatorowie i wielu innych dostojnych gości, którzy zajęli również pierwsze rzędy

na widowni. Pomędzy sceną a widownią zasiedli najwybitniejsi dziennikarze zagraniczni oraz redaktorowie i korespondenci pism, przybyli z całego kraju“.

„Wejście Marszałka Piłsudskiego — pisze korespondent *Kurjera Porannego* — wywołało huragan uniesienia i owacji. Okrzyki tak długo się nie przerywały, że aż Marszałek począł dawać znaki ręką, aby się uciszono. Marszałek przedewszystkiem powitał gestem i uśmiechem Panią Marszałkową i córeczki, zajmujące miejsca w łoży na pierwszym piętrze. Przemówienia słuchano wśród głębokiej ciszy. Już pierwsze ustępy mowy przekonały, że Marszałek ani myśli poruszać problemów politycznych czy to z zakresu wewnętrznej, czy też zagranicznej sytuacji obecnej, czy też rozprawiać się w jakikolwiek sposób z frondującymi przeciwko niemu kołami partyjnemi. Niektóremi tylko bardzo delikatnymi aluzjami zlekka potrącał, raczej w tonie lekkim, o aktualne tematy.

Mowa wzruszyła głęboko wszystkich słuchaczy. Nade wszystko głębokie, rozczulające i dodatnie wrażenie sprawiła zwłaszcza na Wileńczukach, przeżywających przez cały dzień wstrząsające ich sercami wrażenia. Burzliwym owacjom po mowie nie było końca. Tłumy w chwili odjazdu Marszałka śpiewały *Pierwszą Brygadę*“.

Do str. 158, wiersz 21.

W tem miejscu przemówienie Marszałka Piłsudskiego przzerwano oklaskami.

Do str. 163, wiersze 1—2

Po wyrazach: „Ja mam głowę mocną, przepiję nawet podoficera“ — przemówienie Marszałka Piłsudskiego przzerwano oklaskami.

Do str. 165, wiersz 15.

Mowa tu o *Moich pierwszych bojach*, powstałych w twierdzy magdeburskiej w 1917—1918, wydanych po raz pierwszy w roku 1925, po raz drugi w roku 1926, ostatnio zaś przedrukowanych w IV tomie *Pism - Mów - Rozkazów*, na str. 213—470.

Do str. 165, wiersze 20—26.

O zajęciu Wilna w kwietniu 1919 mówił Marszałek Piłsudski w serji odczytów, wygłoszonych w Wilnie

w sierpniu 1923. Odczyty te umieszczone zostały w VI tomie *Pism - Mów - Rozkazów*.

Do str. 165, wiersz 26.

Po wyrazach: „Wilno musi być moje“, przzerwano przemówienie długotrwałymi oklaskami.

Do str. 166, wiersze 4—10.

Por. przypis do str. 165, wiersze 17—22.

Do str. 167.

W drugiej połowie sierpnia 1928 Marszałek Piłsudski udał się na sześciotygodniowy wypoczynek do Rumunii. Przed odjazdem do kraju, w dniu 1 października, przybył Marszałek Piłsudski do Bukaresztu — celem złożenia wizyt o charakterze kurtuazyjnym. W dniu tym rumuński minister spraw zagranicznych, Argetoiano, z małżonką wydali wielki obiad na cześć Pierwszego Marszałka Polski. W obiedzie tym wzięli udział — poza członkami rządu rumuńskiego — przewodniczący Izby i Senatu, poseł polski w Bukareszcie, minister pełnomocny Rumunii w Warszawie, Dawilla, oraz liczni goście.

W czasie tego obiadu minister Argetoiano wznosił toast, witając gości w imieniu rządu i wyrażając mu wdzięczność Rumunii za to, że ją właśnie obrał za miejsce wypoczynku.

„Z okazji obecności pańskiej, Panie Marszałku, — mówił minister Argetoiano — mieliśmy możność raz jeszcze stwierdzić siłę węzłów, łączących nasze dwa narody. Złączone bolesnemi wspomnieniami przeszłości i identycznymi aspiracjami na przyszłość, narody polski i rumuński są dzisiaj najpewniejszymi obrońcami oraz gwarantami pokoju na wschodzie Europy. Wszystkie nasze wysiłki idą wyłącznie w kierunku utrzymania i ugruntowania tego sprawiedliwego pokoju, opartego na istniejących traktatach, a współpraca Polski i Rumunii w tej dziedzinie nie zostanie niczem zamącona“... Przemówienie swe zakończył minister Argetoiano toastem za pomyślność zaprzyjaźnionej i sprzymierzonej z Rumunją Polski oraz za zdrowie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i Marszałka Piłsudskiego.

Podane w tekście przemówienie Marszałka Piłsudskiego było odpowiedzią na przytoczoną wyżej mowę ministra Argetoiano.

Do str. 168—170.

Artykuł *Z przemyśleń Naczelnika Państwa*, noszący w rękopisie datę 5 listopada 1928, ukazał się w dziennikach stołecznych w dniu 11 listopada — w związku z uroczystym obchodem dziesiątej rocznicy odzyskania niepodległości.

1929.

Do str. 173—188.

W dniu 28 lutego 1929 o godzinie 1 popołudniu Marszałek Piłsudski przybył do senatu, by na jego komisji budżetowej dać wyjaśnienia, dotyczące budżetu ministerstwa spraw wojskowych na rok 1929/30. Zaznaczyć tu należy, że w odbytem w dniu 15 stycznia tegoż roku posiedzeniu komisji budżetowej sejm Marszałek Piłsudski udziału nie wziął, a nawet — wbrew panującym dotychczas zwyczajom — nie przysłał na to posiedzenie przedstawiciela ministerstwa spraw wojskowych. Ta decyzja Marszałka Piłsudskiego zaskoczyła członków komisji budżetowej sejm. Pierwszy z kolei mówca, poseł Czapiński, postawił wniosek następujący: „Dowiedzieliśmy się, a fakty to potwierdzają, że rząd nie wysłał swych reprezentantów do komisji na czas debat nad budżetem ministerstwa spraw wojskowych. Musimy jednak spełnić swój obowiązek i sądzę, że należałoby wyjaśnić, czy istotnie rząd nie zamierza przysłać tu swoich przedstawicieli, a jeżeli tak jest, to dlaczego. Stawiam wniosek o odroczenie obrad na pół godziny, dopóki prezes komisji nie wyjaśni tej sprawy“. W odpowiedzi na to przewodniczący komisji, poseł Byrka, oświadczył, że mandatu takiego ze względów zasadniczych przyjąć nie może, zaś poseł Rataj sprzeciwił się wnioskowi, gdyż rząd nie ma obowiązku, lecz tylko prawo przychodzenia na posiedzenia komisji. Wobec tego poseł Czapiński wniosek swój wycofał, podtrzymał go jednak poseł Czetwertyński, uważał bowiem, że „dawanie wyjaśnień nie jest tylko prawem, lecz jest obowiązkiem rządu“. Z kolei głos zabrał poseł Kościalkowski, referent budżetu ministerstwa spraw wojskowych: „Marszałek Piłsudski, minister spraw wojskowych, udzielił mi, jako referentowi, wszystkich potrzebnych danych, dotyczących mego referatu. Jednocześnie polecił, aby ministerstwo jak najszybciej poinformowało mnie o swoich zamierzeniach i pracach, jednakże wyjaśnił mi jednocześnie, że jeżeli sam nie będzie na komisji budżetowej i jeżeli nie przyśle swoich

przedstawicieli, to tylko dlatego, że obawia się, że na posiedzeniu komisji mogłyby zajść przykre incydenty obraźliwego ustosunkowania się do oficera, jako takiego, i nie chcąc wywołać konfliktu przez ostre reagowanie, tak, jakby tego honor oficerski wymagał, sam nie przybędzie, jak również nie przyśle swych przedstawicieli na komisję“.

Oświadczenie posła Kościalkowskiego wywołało ożywioną dyskusję, w trakcie której poseł Woźnicki postawił wniosek następujący:

„Zważywszy na to, że obrady komisji budżetowej nie dały powodu do twierdzenia, jakoby na komisji mogła nastąpić obraza munduru, komisja nie przyjmuje do wiadomości motywów, podanych przez referenta, i w interesie obrony państwa przystępuje do obrad nad budżetem ministerstwa spraw wojskowych“.

Po krótkiej, a gorącej wymianie zdań wniosek posła Woźnickiego podano pod głosowanie. Przed głosowaniem jednak poseł Polakiewicz poprosił o rozbicie tego wniosku na trzy części, gdyż przedstawiciele Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem nie mogą głosować za wstępem do wniosku, — „jakoby na komisji nigdy nie padały żadne inwektywy przeciw wojsku, faktycznie bowiem one padały“.

W głosowaniu przyjęto pierwszą część wniosku posła Woźnickiego 12 głosami przeciw 11, część drugą — 13 głosami przeciw 8, część trzecią zaś (od słów: „w interesie obrony państwa“) — 14 głosami.

Po głosowaniu zarządzono krótką przerwę, w czasie której posłowie z Bloku Bezpartyjnego (Kleszczyński, Polakiewicz, Sanojca) złożyli do protokołu obrad następujące oświadczenie:

„Oświadczamy, że na komisji budżetowej były wystąpienia, a w szczególności napastliwe ataki pana Trampeczyńskiego, obrażające armję oraz mundur oficerski“.

Budżet na rok 1929/1930 uchwalony został przez sejm po długich debatach w dniu 11 lutego 1929. Jeśli chodzi o budżet ministerstwa spraw wojskowych, to zrobiono w nim kilka poprawek in min, w działach, którym Marszałek Piłsudski w podanym w tekście na str. 173—188 przemówieniu poświęcił sporo uwagi i czasu.

Do senatu w dniu 28 lutego 1929 przybył Marszałek Piłsudski w mundurze marszałkowskim. W chwili wejścia jego na salę posiedzeń senatorowie powstali z miejsc z okrzy-

kiem: „niech żyje!“, poczem marszałek senatu, prof. Szymański, wygłosił następujące przemówienie:

„Członkowie wysokiej izby senackiej powitali Pana Marszałka powstaniem, czując, że na salę wszedł nie tylko zwykły minister, lecz że w tym mundurze ministerjalnym wszedł Józef Piłsudski. Bądź pozdrowiony, dostojny Pierwszy Marszałku Polski, w imieniu senatorów, tu obecnych!“...

Bezpośrednio po tem powitaniu Marszałek Piłsudski wygłosił podane w tekście przemówienie.

Do str. 189—203.

W lutym 1929 z inicjatywy klubu sejmowego „Wyzwolenie“ wystąpiono w sejmie z wnioskiem postawienia ówczesnego ministra skarbu, Gabrjela Czechowicza, przed Trybunał Stanu. Za pretekst posłużyły tu przekroczenia budżetu, przekroczenia — bezstronnie rzecz biorąc — nieuniknione i mające miejsce za wszystkich poprzednich rządów. Mimo oświadczenia premiera Bartla, że pociągnięcie ministra Czechowicza przed Trybunał Stanu grozi obrazą całego rządu, przyczem Prezydent Rzeczypospolitej będzie miał do decyzji przyjęcie dymisji rządu czy rozwiązanie sejmu, wniosek „Wyzwolenia“ poparty został przez pozostającą w opozycji większość sejmową i odesłany do komisji budżetowej, która stwierdzić miała, czy istnieje podstawa do postawienia ministra Czechowicza przed Trybunał Stanu, czy też podstawy takiej niema.

W dniu 14 marca 1929 odbyło się posiedzenie komisji budżetowej sejmu, na którym występujący w imieniu oskarżycieli poseł Lieberman przedstawił wyniki dochodzeń, przeprowadzonych w sprawie ministra Czechowicza.

„Zbadawszy dokładnie wykazy, dokumenty i cyfry, przyszedłem do przekonania — mówi referent — że twierdzenia faktyczne, zawarte we wniosku lewicy, są słuszne i zgodne z rzeczywistością i dlatego tę podstawę faktyczną zatrzymuję, nie wycofując żadnego faktu. Natomiast nie mogę się zgodzić z jedną z konkluzyj prawnych. Mianowicie, nie stawiam wniosku o oskarżenie ministra z powodu przestępstwa z artykułu 636 kodeksu karnego.

Tę sprawę popełnionego przestępstwa karnego wyłączam z mego referatu, przez co wcale nie chcę powiedzieć, że tego przestępstwa nie popełniono, albo że je popełniono. Ściganie przestępstwa karno-sądowego, jakim jest czyn, przewidziany w artykule 636 kodeksu karnego, należy do powszechnych sądów karnych i do prokuratorów zwyczajnych. Trybunał

Stanu został stworzony dla specjalnych przestępstw, przede wszystkim przewidzianych w Konstytucji, za które ustawa o Trybunale Stanu przewiduje kary zupełnie inne, aniżeli w kodeksach karnych. Sejm nie ma wcale pretensji do zastępowania prokuratorów i sądów powszechnych. Chodzi mu tylko o pociągnięcie do odpowiedzialności konstytucyjnej. Sejmowi w tym procesie, wytoczonym panu Czechowiczowi, chodzi w pierwszym rzędzie o obronę swojego prawa budżetowego i prawa kontroli nad wydatkami państwem.

Referent nie zaprzecza, że w wypadkach klęsk żywiołowych i nagłych nieprzewidzianych potrzeb dla zdrowia i bezpieczeństwa ludności można czynić wydatki nieprzewidziane w budżecie. Takich nieprzewidzianych i podyktowanych klęskami wydatków naliczył w przekroczeniach budżetowych, a to licząc liberalnie, kwotę łączną najwyżej 50 milionów. Reszta, to jest 514 milionów w łącznej kwocie, powinna była być wydatkowana dopiero po przedłożeniu odrębnej ustawy sejmowi. Wobec tego więc referent stawia następujący wniosek, który przedłożony ma być sejmowi do uchwalenia jako akt oskarżenia:

Sejm Rzeczypospolitej Polskiej przyjmuje do wiadomości sprawozdanie swojej komisji budżetowej, której w myśl artykułu 5 ustawy o Trybunale Stanu z dnia 27 kwietnia 1923 (*Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej* nr. 59, poz. 415) przekazano do rozpatrzenia wniosek o pociągnięcie ministra skarbu Gabrjela Czechowicza do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu z dnia 12 lutego 1929 (druk nr. 470) i na podstawie wniosku tejże komisji oraz w myśl artykułów 56 i 59 ustawy konstytucyjnej, wreszcie artykułu 7 ustawy o Trybunale Stanu

uchwała

byłego ministra skarbu, pana Gabrjela Czechowicza, postawić w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu z powodu umyślnego naruszenia przezeń postanowień ustawy skarbowej z dnia 22 marca 1927 roku (*Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej* nr. 30, poz. 254).

Czynu tego, przewidzianego w artykule 1, ustęp 1 ustawy o Trybunale Stanu z dnia 27 kwietnia 1923 roku (*Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej* nr. 59, poz. 415) dopuścił się pan Gabrjel Czechowicz w ten sposób, że jako minister skarbu:

1) w okresie od dnia 1 kwietnia 1927 roku do końca listopada 1927 roku, w którym dwukrotnie sesja nadzwyczajna

zaś w listopadzie sesja zwyczajna sejmku się odbyła, otwierał w różnych odstępach czasu kredyty w łącznej kwocie 219.913.253 złote nieobjęte budżetem, ustalonym w ustawie skarbowej z 22 marca 1927 roku (*Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej* nr. 30, poz. 254), bez złożenia w tym względzie wniosku sejmowi i bez uzyskania na to zezwolenia w drodze ustawodawczej;

2) w okresie od dnia 1 grudnia 1927 roku do dnia 31 marca 1928 roku, a więc po rozwiązaniu sejmku, zarządzone przez Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 28 listopada 1928 roku, otwierał w różnych odstępach czasu kredyty w łącznej kwocie 346.474.909 złotych 61 groszy, nieobjęte budżetem, ustalonym w wymienionej wyżej ustawie skarbowej, i nie przedłożył nowowybranemu sejmowi ani w dniu otwarcia sesji, ani w jakimkolwiek dniu późniejszym wniosku o uchwalenie wymienionych w poprzednim oraz w niniejszym ustępie kredytów w drodze ustawodawczej;

3) w ciągu roku budżetowego 1927/1928 skuteczniał wydatki państwowe częścią na cele, nieprzewidziane w rubrykach budżetu państwowego, częścią w rozmiarach, przekraczających granice kredytu, temi rubrykami ustalonych, jak to wykazują protokoły, stanowiące integralną część niniejszej uchwały, a spisane w departamencie budżetowym ministerstwa skarbu dnia 26 stycznia 1928 roku na podstawie delegacji Najwyższej Izby Kontroli z dnia 3 grudnia 1927 nr. 11110/3440 D. l. oraz dnia 26 września 1928 na podstawie delegacji Najwyższej Izby Kontroli z dnia 16 lipca 1928 nr. 5923/1642 D. l.;

4) bez wszelkiej podstawy prawnej i niezgodnie z ustawą skarbową, a nawet bez uchwały Rady Ministrów otworzył do dyspozycji prezesa Rady Ministrów na cele, co do których Najwyższa Izba Kontroli wyjaśnienia i uzasadnienia w aktach nie znalazła, kredyt:

za miesiąc grudzień 1927 w kwocie 1.671.976 złotych 64 grosze,

za miesiąc styczeń 1928 w kwocie 2.146.654 złote 43 grosze,

za miesiąc luty 1928 w kwocie 4.136.206 złotych 92 grosze, które to trzy kwoty, zaokrąglone na łączną kwotę 8 milionów złotych, później przez Radę Ministrów uchwałą z dnia 10 lutego 1928 zostały przyjęte do wiadomości jako kredyt dodatkowy do dyspozycji prezesa Rady Ministrów niezgodnie z ustawą skarbową oraz działem I, paragraf 11 części IV preliminarza budżetowego, ustanawiającym dla funduszu dyspozycyjnego tylko sumę 200 tysięcy złotych;

5) wbrew postanowieniom wyżej cytowanej ustawy skarbowej, nakazującym ściśle przestrzeganie wydatkowania sum budżetowych w granicach, ustalonych przez poszczególne rubryki budżetu, dokonał w tymże samym roku budżetowym wyszczególnionych w obu powyższych protokołach Najwyższej Izby Kontroli przeniesień poszczególnych kredytów na inne rubryki, dla nich nieprzeznaczone, a nawet z jednych ministerstw na drugie, które to bezprawne przeniesienia kredytów wynoszą łączną kwotę 20.256.105 złotych.

Po zakończeniu swego przemówienia referent prosi o przerwę 1-godziną dla powielenia aktu oskarżenia i rozdzienia między członków komisji.

Po otwarciu posiedzenia komisji po przerwie poseł Kościalski złożył następujące oświadczenie:

„W imieniu moich przyjaciół politycznych oświadczam, co następuje:

Bez względu na to, jaki będzie wynik głosowania, nie potrafi on zamazać faktu, że oskarżycielom w akcji, przedsięwziętej przeciw byłemu ministrowi skarbu, nie chodzi o porządek prawny w wykonywaniu budżetu, lecz o akcję wybitnie i wyłącznie polityczną, a mianowicie — dyskredytowanie ówczesnego rządu Marszałka Piłsudskiego.

Ten fakt, że uważacie za stosowne w osobnym punkcie oskarżenia podnieść przekazanie pewnych kredytów do dyspozycji Marszałka, a równocześnie nie mogąc poddać w wątpliwość, że kredyty przyznane do jego dyspozycji, nie mogły być inaczej zużyte, jak tylko w najlepiej pojętym interesie państwa, którego chyba nikt tak dobrze nie rozumie, jak on, szukacie, panowie oskarżyciele, okólnej drogi, ażeby przez zaatakowanie byłego ministra Czechowicza poderwać zaufanie do rządu Marszałka Piłsudskiego i odwrócić uwagę społeczeństwa od najistotniejszej bolączki Polski, od fałszywie przez was stosowanego parlamentaryzmu, który zmierza do obniżenia wewnątrz kraju i nazewnątrz wielkich zasług tego rządu i ogromu jego pracy, dokonanej dla państwa i narodu przedewszystkiem w dziedzinie skarbowej i rozwoju życia gospodarczego“.

Po ożywionej dyskusji przystąpiono do głosowania. Wniosek oskarżycielski przyjęto 18 głosami przeciw 9 (Blok Bezpартyjny i P. P. S. frakcja rewolucyjna). Na temże posiedzeniu wybrano jako kandydatów na oskarżycieli, mających reprezentować sejm przed Trybunałem Stanu i popierać oskarżenie, posłów Liebermana, Pierackiego i Wyrzykowskiego.

We środę 20 marca 1929 sejm rozpatrywał wniosek o postawienie ministra Czechowicza przed Trybunał Stanu.

Według sprawozdania *Kurjera Porannego*, nr. 80, z dnia 21 marca 1929:

„Sprawozdawca poseł Lieberman w imieniu komisji budżetowej odczytuje tekst wniosku i szczegółowo przedstawia stan faktyczny sprawy, aby każdy mógł obiektywny sąd sobie wyrobić. Z przedstawienia tego wynika, że już w połowie kwietnia 1927 minister skarbu zaczął wydawać pieniądze, nieprzewidziane w budżecie i nie uchwalone przez sejm. Tak trwało dzień w dzień aż do końca roku. Minister skarbu operował więc dwoma budżetami, legalnym, jawnym oraz nielegalnym, przez nikogo nie uchwalanym, można powiedzieć tajnym (Sprzeciwy na ławach B. B.). „Tak jest, nielegalnym, bo tak trzykrotnie nazwał go prezes Najwyższej Izby Kontroli”, twierdzi poseł Lieberman.

W wykazie, dostarczonym nam przez Najwyższą Izbę Kontroli, są wydatki, których żaden parlament świata nie może zatwierdzić i ten sejm nigdy nie zatwierdzi, póki ma honor i póki szanuje swą godność. Tu się wybija na samo czoło wydatek 8 milionów, który nazwano wydatkiem do dyspozycji pana prezesa Rady Ministrów. Minister Czechowicz te pieniądze wydał bez ustawy i nawet bez uchwały Rady Ministrów. Ex post zatwierdzono ten wydatek i nazwano go funduszem dyspozycyjnym.

Tworzymy przez to oskarżenie spiżowe prawo budżetowe i dlatego będziemy szli do końca. Sejm musi być w tej sprawie twardy, bo i uderzenia życia są twarde“...

Sprawozdawca wniosku mniejszości poseł Downarowicz (P. P. S. frakcja rewolucyjna) odczytuje wniosek mniejszości, zmierzający do odrzucenia wniosku o postawienie ministra skarbu przed Trybunałem Stanu.

„W oskarżeniu na pierwszy plan wysunięto zarzut, że ustawa o kredytach dodatkowych dotychczas nie została przedłożona. Ale o tem opóźnieniu niema mowy ani w pierwszym wniosku, zapowiadanym przez posła Woźnickiego, ani w tym, który jest na porządku dziennym. Sejm natomiast przyjął do wiadomości oświadczenie pana premiera, że ustawy o kredytach dodatkowych będą przedłożone i przez to przyjęcie dał rządowi absolutorjum, że te wydatki będą

przedłożone ex post. Sejm odrzucił nawet wniosek posła Rybarskiego o określenie terminu. Obecnie zaś pociąga ministra przed Trybunał Stanu za niewniesienie ustawy. Jest to niekonsekwencja. Sejm mógł jeszcze później uchwalić termin i odczekać, czy go rząd dotrzyma, ale tego nie uczynił. Dziś nic już nie zmieni uchwały z 5 grudnia, przyjmującej oświadczenie rządu do wiadomości. Mówcę dziwi sposób stawiania sprawy. W pierwszym przemówieniu posła Woźnickiego nie czuć było ani entuzjazmu, ani tego, że broni sprawy, w którą sam wierzy. Dziwi mówcę i budowa samego wniosku, rozbitego na kilka części, i to, że komisja budżetowa ze sprawozdań Najwyższej Izby Kontroli widocznie nie znalazła innego punktu do zaczepienia, skoro wymienia tylko 8 milionów funduszu dyspozycyjnego. Rzeczywiście, co do tego punktu, to drażliwość powinna być większa, niż co do każdej innej pozycji, ale jest tu pewna nieścisłość, mianowicie — kredyt ten nie był otwarty wprost dla prezesa Rady Ministrów, ale dla Marszałka Piłsudskiego, a to nie to samo. (Oklaski w centrum). Jeśli wnioskodawcy z tem oskarżeniem pójdą do narodu, to naród nie będzie się bał wydatków, czynionych przez Marszałka Piłsudskiego. (Oklaski w centrum. Głos na lewicy: To pocóż parlament?). Gdyby słuchać recept panów, to państwo nie miałoby dziś ani tych granic, ani tej siły. Za rządów przedmajowych przekroczenia i deficyty budżetów były stałym zjawiskiem, a dziś przekroczenia są przy nadwyżkach budżetowych. Czy rząd wnosi o zatwierdzenie tych wydatków w czasie roku budżetowego, czy po nim, to różnica jest tylko ilościowa. Lecz i tu sprawozdawca nie był zupełnie ścisły i nie wymienił przekroczeń w budżecie z 1925, zatwierdzonych dopiero w 1927“.

Prezes Najwyższej Izby Kontroli Wróblewski: „Tyle razy wymieniano tu Najwyższą Izbę Kontroli, że poczuwam się do obowiązku wyjaśnić dokładnie stanowisko tej Izby.

Stanowisko to było dość proste i jasne. Stwierdziliśmy szereg wydatków i przeniesień w niezgodzie z ustawą skarbową, a więc niewątpliwie nielegalnych. To musiało być podstawą naszego wystąpienia. W jakim kierunku miało iść to wystąpienie? I tu trudno było mieć wątpliwości.

Dotychczas sprawa jest jasna, ale tu przychodzi punkt, o który obecnie toczy się dyskusja.

Otóż muszę zaznaczyć, że między stanowiskiem Najwyższej Izby Kontroli a stanowiskiem sejmu w tej sprawie jest

pewna istotna różnica. Przy tej sposobności muszę zaznaczyć, że nazwanie Najwyższej Izby Kontroli organem sejmu nie jest zupełnie ściśle. Praca sejmu i praca Kontroli styka się w pewnym odcinku. My — wykonywamy kontrolę gospodarki państwowej z punktu widzenia legalności, celowości i oszczędności. Sejm zaś ma prawo kontroli szersze co do zakresu, a także głębsze, bo nie tylko te punkty widzenia są dla niego rozstrzygające.

Jaka staje się sytuacja w chwili, kiedy się występuje z wnioskiem o postawienie ministra przed Trybunał Stanu z powodu owych wykroczeń? Zastanawiałem się nad tą sprawą, dlatego, że prezes Najwyższej Izby Kontroli musi interesować się sprawą praworządności. Dadzą się pomyśleć dwie ewentualności: albo komisja wychodzi z założenia, że te wszystkie wydatki, o których się mówi ryczałem, są aprobowane, albo że ocenę wewnętrznej wartości odsuwa się na przyszłość i narazie bierze się pod rozagę tylko stronę zewnętrzną. Ale w każdym razie występując co do tych wydatków z aktem oskarżenia, chwytało tylko ten wierzch, te strony zewnętrzne, pomijając kwestję, czy wydatki są wewnętrznie racjonalne czy nie. Wydaje mi się, że takie oderwanie w tym wypadku jest niedopuszczalne. Najprzód dlatego, że tu istnieje przecież różnica, bardzo wyraźnie zaznaczona i w Konstytucji, i w ustawie o Trybunale Stanu, między odpowiedzialnością parlamentarną a konstytucyjną. Gdy porównamy jedną z drugą, to dla mnie nie ulega wątpliwości, że przy odpowiedzialności konstytucyjnej miano na myśli tylko wypadki istotnie ciężkie. Wprawdzie w literze prawa tej dystynkcji nie ma, ale w duchu prawa jednak ona jest.

I da się ona jeszcze inaczej wytłumaczyć. W tym specjalnym wypadku nieprzedłożenie wniosku jest grzechem nielegalności, ale grzechem przede wszystkim wobec sejmu, w tego rodzaju grzechach zaś odpowiedzialność parlamentarna wydaje mi się drogą jedynie właściwą, pociągać zaś ministra skarb do odpowiedzialności konstytucyjnej przed Trybunał Stanu z powodu takich wydatków, wziętych ryczałem, wśród których mieszczą się także wydatki konieczne, wydaje mi się rzeczą niedopuszczalną. To razi moje poczucie sprawiedliwości.

A teraz moment ściśle prawniczy. Jeżeli Trybunał Stanu ograniczy się do strony zewnętrznej, to będziemy mieli pewną obrazę poczucia sprawiedliwości, ale nic więcej. Ale przekazując Trybunałowi wszystkie przekroczenia ryczał-

tem, daje mu się prawo merytorycznego badania ich. Otóż przypuśćmy, że Trybunał Stanu nastempluje pewne wydatki jako nielegalne nie tylko formalnie, ale i wewnętrznie — co wtedy? Orzeczenia Trybunału zmienić nie można, więc czy sejm może później takie wydatki zaaprobować? Absolutnie nie, to znaczy, że sejm w takim razie przelewałby swoje prawo na Trybunał Stanu.

Tak samo przedstawia mi się kwestja terminu przedłożenia ustawy o kredytach dodatkowych. W ustawie jest tylko jeden przepis, który pozwala taki termin oznaczyć. Taką ostateczną chwilą jest chwila przedstawienia rachunków do parlamentarnego zatwierdzenia. Jeżeli administrator, zdając sprawę, nie umożliwi równocześnie akceptacji przekroczeń, to niewątpliwie naruszył prawo. Ale mogą zajść okoliczności, że ten termin się przyspiesza, mianowicie, gdy w tym kierunku mocodawca wyraża swą wolę. Ale takim aktem niedwuznacznym była dopiero uchwała sejmu, powołująca komisję do zbadania kwestji odpowiedzialności ministra przed Trybunałem Stanu. Nigdzie w aktach sejmowych nie znalazłem przedtem aktu woli sejmu, wzywającego administratora do zdania sprawy. Zachodzi tu analogja z prywatno-prawnym kontraktem mandatu administratora. Ale naruszenie takiego obowiązku nie jest jeszcze tem naruszeniem ustawy, o którym myśli ustawa o Trybunale Stanu.

Tylko punkt czwarty oskarżenia nie nasuwa dla mnie wątpliwości prawniczych. Gdyby sejm powiedział, że wydatek jest nielegalny i zato odsyła się ministra przed Trybunał Stanu, przeciw temu niema nic prawniczo do zarzucenia. Jeżeli sejm ten wydatek zaaprobuje, to mamy tu fundusz dyspozycyjny, uchwalony ex post, którego charakter jest taki sam, jakby go uchwalono zgóry. Jeżeli nie uchwali, to w takim razie następują konsekwencje, o których mówiłem.

Chciałbym, aby dzisiejsza uchwała sejmu pod względem prawniczym nie budziła wątpliwości.

Po burzliwej dyskusji i głosowaniu wniosek oskarżycielski komisji został przez sejm uchwalony. Głosowało 371 posłów, kartek białych oddano 5, głosów ważnych 366, kwalifikowana większość 220 głosów. Za wnioskiem oddano kartek 240, przeciw wnioskowi — 126.

Do str. 191, wiersze 6—12.

Jak mówi *Wniosek posłów Antoniego Pączka, Jędrzeja Moraczemskiego i innych z dnia 2 kwietnia 1924* (druk — Sejm

Rzeczypospolitej Polskiej, nr. 1109) — „1) minister przemysłu i handlu, Władysław Kucharski, umową z dnia 13 sierpnia 1923 roku, zawartą z Towarzystwem Akcyjnym Zakładów Żyrardowskich Hielle i Dietrich w Żyrardowie, dopuszczającą do spłaty 448.484 franków szwajcarskich zamiast włożonych przez skarb państwa w Zakłady Żyrardowskie kwoty 2.586.168 franków szwajcarskich, wyrządził skarbowi państwa szkodę w kwocie 2.137.684 franków szwajcarskich;

2) powołując się na powyższą umowę, minister przemysłu i handlu, pan Władysław Kucharski, listem z dnia 31 sierpnia 1923 polecił Pocztowej Kasie Oszczędności udzielenie pożyczki Towarzystwu Akcyjnemu Zakładów Żyrardowskich w kwocie 448.484 franków szwajcarskich na warunkach, umożliwiających temu Towarzystwu spłatę pożyczki kwotą 18.810 franków szwajcarskich, czem wyrządził skarbowi państwa szkodę w kwocie 429.674 franków szwajcarskich“. „Wobec powyższego — czytamy w tym wniosku, podpisanym przez 125 posłów — wysoki sejm uchwalić raczy oskarżyć przed Trybunałem Stanu byłego ministra przemysłu i handlu, pana Władysława Kucharskiego, posła na sejm, za to, iż przez swoje działanie w czasie i zakresie swego urzędowania, z własnej winy wyrządził skarbowi państwa szkodę w kwotach: 1) 2.137.684 franków szwajcarskich, 2) 429.674 franków szwajcarskich“.

Wniosek ten był załatwiony przez sejm na posiedzeniu 17 grudnia 1924. Za wnioskiem głosowało 175 posłów, przeciw — 138, zabrakło więc wymaganej przez ustawę kwalifikowanej większości, artykuł bowiem 7 ustawy o Trybunale Stanu mówi, że wniosek może być głosowany przy połowie ustalonej liczby posłów, a przyjęty większością $\frac{2}{3}$ oddanych głosów.

Do str. 204—205.

W marcu 1929 ówczesny prezes Rady Ministrów, prof. dr. Kazimierz Bartel, po trzech prawie latach pracy państwowej złożył podanie o dymisję, motywując je stanem swego zdrowia. Pan Prezydent Rzeczypospolitej w dniu 13 kwietnia przychylił się do przedstawionej mu prośby i zwolnił prof. dr. Bartla tudzież wszystkich jego ministrów z piastowanych przez nich urzędów, powołując w następnym dniu do pracy nowy gabinet z dr. Kazimierzem Świątalskim na czele.

Podane w tekście przemówienie wygłoszone zostało we wtorek 16 kwietnia 1929 w Belwederze, dokąd Marszałek

Piłsudski zaprosił na herbatę ustępującego premjera, wszystkich członków jego gabinetu i nowomianowanego prezesa Rady Ministrów wraz ze wszystkimi jego ministrami.

Do str. 206—207.

Podane w tekście pismo Marszałka Piłsudskiego do prezesa Rady Ministrów pozostaje w związku z niezapowiedzianym zwolnieniem w pierwszych dniach maja 1929 generała dywizji Minkiewicza ze stanowiska Dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza.

Do str. 208—213.

W dniu 27 maja 1929 zgłosił się u Marszałka Piłsudskiego sędzia Sądu Najwyższego, Zaleski, z prośbą o zeznania w sprawie postawionego w stan oskarżenia ministra skarbu, Gabrjela Czechowicza. Prasa donosiła, że sędziemu Zaleskiemu towarzyszył poseł Wyrzykowski, jako jeden z trzech oskarżycieli sejmowych, nie został on jednak przez Marszałka Piłsudskiego przyjęty.

Podane w tekście oświadczenie, będące według doniesień prasy umotywowaniem uwag, zrobionych w dniu 27 maja, przesłał Marszałek Piłsudski na ręce sędziego Zaleskiego w dniu 4 czerwca 1929.

Do str. 214—219.

W dniu 22 czerwca 1929 odbyło się w sali konferencyjnej ministerstwa spraw wojskowych doroczne posiedzenie Rady Naukowej Wychowania Fizycznego. Marszałek Piłsudski, jako prezes Rady Naukowej, przewodniczył temu zebraniu. Podane w tekście przemówienie wygłosił Marszałek Piłsudski po referacie pułkownika dyplomowanego Władysława Kilińskiego, dyrektora Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego, o działalności urzędu w roku ubiegłym oraz po dłuższej i ożywionej dyskusji nad tym referatem.

Do str. 220.

W dniu 23 czerwca 1929 odbyły się w Verdun wielkie uroczystości, związane z zakończeniem odbudowy miasta i odsłonięcia pomnika „Zwycięstwa“ dla bohaterskich obrońców tej twierdzy. Mer miastu Verdun specjalnym pismem zawiadomił Marszałka Piłsudskiego, jako polskiego ministra spraw wojskowych i obywatela honorowego miasta Verdun, o dniu tej podniosłej uroczystości i prosił go o wzięcie w niej udziału. Pilne sprawy państwowe nie pozwoliły Marszałkowi

Piłsudskiemu na zadośćuczynienie tej prośbie, polecił więc polskiemu attaché wojskowemu w Paryżu, pułkownikowi Bieżyńskiemu, reprezentować siebie na święcie verduńskim, na ręce zaś mera miasta Verdun wysłał list, podany w tekście na str. 220.

Do str. 221—230.

Sledztwo w sprawie ministra skarbu, Gabrjela Czechowicza, prowadzone przez sędziego śledczego Sądu Najwyższego, zakończone zostało w połowie czerwca 1929. W dniu 21 tego miesiąca na posiedzeniu porządkowym Trybunału Stanu zapadła uchwała, określająca definitywnie termin rozprawy głównej na dzień 26 czerwca 1929, na godzinę 11 rano.

Proces rozpoczął się w oznaczonym terminie w dawnym pałacu Rzeczypospolitej w Warszawie. Skład Trybunału: przewodniczący — pierwszy prezes Sądu Najwyższego, Leon Supiński; sędziowie, wybrani przez sejm — Bielawski Józef, były senator, adwokat; Bogucki Antoni, adwokat; Lednicki Aleksander, były prezes Komisji Likwidacyjnej Królestwa Polskiego w Rosji, adwokat; Oleśnicki Jarosław, adwokat; Raczwiński Aleksander, były minister rolnictwa; Szumański Wacław, adwokat; Tomaszewski Tadeusz, adwokat, i Zubowicz Piotr, adwokat; sędziowie, wybrani przez senat — Beck Józef, były wice-minister spraw wewnętrznych; Suligowski Adolf, adwokat, profesor honorowy uniwersytetu warszawskiego; Thugutt Stanisław, były minister spraw wewnętrznych i były prezes Rady Ministrów i Żeligowski Lucjan, generał broni, były minister spraw wojskowych. Na prawo od stołu sędziowskiego zajęli miejsca oskarżyciele — posłowie Lieberman, Pieracki i Wyrzykowski. Naprzeciw oskarżycieli — minister Czechowicz wraz ze swym obrońcą, mecenasem Paschalskim. Sala obrad niewielka — mogła pomieścić jedynie przedstawicieli prasy i kilkadziesiąt osób z publiczności. W chwili rozpoczęcia przewodu na ławach rządowych i dla przedstawicieli sejmu zajęli miejsca między innymi — pułkownik Sławek, marszałek senatu, Szymański, poseł Posner, minister Prystor i przybyli najpóźniej premier Kazimierz Świtalski.

Po załatwieniu zwykłych formalności prezes Trybunału Leon Supiński zwrócił się do ministra Czechowicza z zapytaniem: „Panie pośle, przyznaje się pan do winy?” Na pytanie to minister Czechowicz odpowiedział:

Do winy naruszenia ustawy skarbowej nie przyznaję się z następujących powodów:

Sam fakt formalnego przekroczenia budżetu nawet bez uprzedniego zbadania przez sejm warunków i okoliczności, które wywołały te przekroczenia, nie może bynajmniej uzasadniać pociągnięcia ministra skarbu do konstytucyjnej odpowiedzialności. W roku 1927/1928 sejm przez dłuższy czas był nieczynny, a w tym okresie, wskutek niedającego się zawczasu przewidzieć wzrostu cen, kwoty, przeznaczone w budżecie ministerstwa spraw wojskowych na wyżywienie ludzi i zwierząt, okazały się niedostateczne. Tymczasem z uchwały sejmowej, stawiającej mnie w stan oskarżenia, wypływałoby, że nawet najbardziej uzasadnione przekroczenia nie mogły być uskutecznione. Z tego wynikałoby, że minister skarbu, stojąc na straży ustawy skarbowej, powinien mieć oczy zamknięte na wymagania życia, chociażby miała wynikać z tego oczywista i znaczna szkoda dla interesów państwa.

Sądzę, że byłoby uzasadnione pytanie, w czym interesie może leżeć stawianie ministra skarbu w sytuacji bez wyjścia. Wiem dobrze, co na to mogą odpowiedzieć moi oskarżyciele. Odpowiedzą, że jednak uchwała sejmu z 20 marca bieżącego roku pokrywa się zupełnie z brzmieniem ustawy skarbowej, która wymaga dla każdego wydatku budżetowego uprzedniej zgody sejmu i nie zna żadnych wyjątków. Nie należy jednak zapominać, że nasze tak zwane ustawy skarbowe są nacechowane specjalną podejrzliwością wobec władzy wykonawczej i dążą do jak największego jej skrópowania.

W państwach europejskich, mających długie doświadczenie parlamentarne, nigdzie supremacja parlamentu nad władzą wykonawczą w zakresie budżetowym nie została doprowadzona do tego stopnia. Co do Francji, powołuję się na książkę profesora uniwersytetu paryskiego i specjalisty w sprawach finansowych — Jese; dowiadujemy się, że w okresach, kiedy parlament jest nieczynny, w razie normalnego zamknięcia sesji przysługuje rządowi szereg uprawnień w zakresie zwiększenia kredytów tak zwanych szacunkowych, to jest zależnych w swej wysokości od wahan cen. Nadto rząd ma prawo otwierać nowe kredyty w razie konieczności drogą dekretu za zgodą Rady Stanu, z obowiązkiem przedłożenia parlamentowi tych dodatkowych kredytów w dwa tygodnie po otwarciu sesji.

W Anglii utarł się zwyczaj, że rząd nawet jest obowiązany uskutecznić wydatki, nieobjęte budżetem, o ile tego wy-

maga interes państwa. Dalej — rząd ma prawo nieograniczonego *virement* w pewnych resortach. Może także rząd czynić wydatki z nadzwyczajnych dochodów i specjalnych fundusów w formie prowizorycznej.

W Niemczech można otwierać dodatkowe kredyty za zgodą ministra skarbu, której udziela on w razie nieuniknionej potrzeby. Kredyty te powinny być przedłożone parlamentowi do zatwierdzenia razem z zamknięciem rachunkowem.

Profesor Jese przytacza znamienne wypadki z różnych epok, kiedy to rząd czynił takie wydatki, nieobjęte budżetem, między innymi w roku 1921 rząd wznowił ambasadę przy Watykanie, nie mając na to kredytu, a nawet znając nieprzychylnie dla tej sprawy stanowisko większości senatu. Co się tyczy wysokości tych dodatkowych kredytów, to po wojnie sięgały one sum miliardowych. Profesor Jese wogóle wątpi, czy możliwe jest doprowadzenie prac budżetowych do takiego ideału, żeby przekroczenia nigdy nie miały miejsca. Co się tyczy Niemiec, to, na przykład, budżet ministerstwa spraw zagranicznych w roku 1925 przekroczone o 5 milionów marek bez uprzedniej zgody ministra skarbu.

Widzimy, że ustawodawstwo zagraniczne nie stawia ministrów skarbu w sytuacji bez wyjścia, praktyka zaś budżetowa często wychodzi poza formalne granice przepisów konstytucyjnych. Mimo to nie było w historii parlamentów we Francji, Anglii i Niemczech wypadku, w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, postawienia ministra skarbu w stan oskarżenia za przekroczenia budżetowe.

Także sejm polski w dotychczasowej swej praktyce budżetowej liczył się z koniecznościami życia i nie odmawiał samej sankcji *ex post*.

Tu pan Czechowicz przytacza przemówienie pana podsekretarza stanu Grodyńskiego na plenum sejmu z 26 lutego, jako charakteryzujące sprawę przekroczeń budżetowych w latach ubiegłych (1924—1926). Wówczas jednak nie wymagał nikt postawienia ministrów skarbu w stan oskarżenia. Jeszcze 5 grudnia 1928 roku sejm stanął na stanowisku, że rygorystyczne traktowanie przekroczeń budżetowych za czas przeszły w naszych warunkach jest niemożliwe, i powziął uchwałę, przyjmującą do wiadomości oświadczenie pana premiera, iż rząd przedstawi sejmowi kredyty dodatkowe za rok 1927/1928 do ustawowego zatwierdzenia.

Nie ulega wątpliwości, że sejm uchwałą swoją rozgrzeszył rząd, a w szczególności ministra skarbu, o ile chodzi o stronę formalną przekroczeń budżetowych.

Powstaje pytanie, czy ta uchwała ma dla sejmu znaczenie wiążące. Niewątpliwie na przyszłość sejm może zmienić swój stosunek na bardziej rygorystyczny; byłoby to możliwe oczywiście tylko w teorii, gdyż życie takiego rygoryzmu nie wytrzyma. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa w odniesieniu do przeszłości. Uchwała z 5 grudnia nie może nie obowiązywać sejmu tak moralnie, jak i prawnie. I jeśli uznajemy wogóle zasadę lojalności w stosunkach ludzkich, to sejm, który nie uznaje tej lojalności w stosunku do władzy wykonawczej, niewątpliwie popełnia błąd i podważa swój własny autorytet.

Zastrzegam się, że cały czas mówię wyłącznie o stronie formalnej przekroczeń budżetowych, gdyż akt oskarżenia obraca się wyłącznie w ramach czysto formalnych. Wprawdzie punkt czwarty wydziela jako odrębną pozycję 8 milionów na rachunek funduszu dyspozycyjnego prezesa Rady Ministrów, jednakże z jego brzmienia nie wynika, żeby ta pozycja była przez parlament merytorycznie badana i następnie zakwestjonowana.

Jednocześnie jest rzeczą jasną ponad wszelką wątpliwość, że badanie celowości wydatków budżetowych należeć może jedynie i wyłącznie do właściwości parlamentu, że żadna instytucja w tej pracy zastąpić go nie może i że dopiero w razie merytorycznego zbadania pod kątem widzenia celowości i następnego odrzucenia przez sejm może konflikt między rządem a sejmem znaleźć swój finał przed Trybunałem Stanu.

Wobec tego, że akt oskarżenia dotyczy wyłącznie formalnie zewnętrznej strony kredytów dodatkowych, nie wchodząc w ich treść wewnętrzną, powstaje pytanie, czy ta zewnętrzna strona może być podstawą odpowiedzialności członków rządu? Wyobraźmy sobie, że po otrzymaniu od rządu kredytów dodatkowych za rok 1927/28, parlament kredyty te ulegalizuje z mocą wsteczną, jak to zawsze bywało dotąd; przecież wtedy mogłaby mieć miejsce wyraźna kolizja między wyrokiem Trybunału Stanu, a ustawą o kredytach dodatkowych, legalizującą przekroczenia budżetu. Na tle tego rozumowania wydaje się zbyt dziwnem, że sejm przeszedł do porządku dziennego nad oświadczeniem prezesa Najwyższej Izby Kontroli na posiedzeniu z 20 marca, w którym pan prezes stwierdził, że formalna zewnętrzna strona przekroczeń budżetowych może uzasadnić parlamentarną, nie zaś konstytucyjną odpowiedzialność ministra.

Należy uświadomić sobie, że ustawa skarbowa różni się od innych ustaw swoją elastycznością. Na tle praktyki in-

nich państw i naszych własnych widzimy, że może ona ulegać nieuniknionym modyfikacjom i uzupełnieniom, tak w toku wykonywania, jak i po wykonaniu. Dlatego też o jej naruszeniu może być mowa nie wcześniej, niż kiedy parlament ustosunkuje się do kwestji wykonania przez rząd budżetu za dany okres czasu.

Powiem więcej. O odpowiedzialności ministrów może być mowa dopiero wtedy, kiedy Najwyższa Izba Kontroli przedłoży sejmowi przewidziany w artykule 9 Konstytucji wniosek o udzielenie, względnie odmówienie absolutorjum.

Jeżelibyśmy stanęli na innym stanowisku i uznali stanowisko, zajęte przez sejm w uchwale z 20 marca, za słuszne, to doszlibyśmy do paradoksu, że minister może być pociągany do odpowiedzialności trzykrotnie: 1) pod kątem widzenia formalnym bez zbadania celowości przekroczeń budżetowych, 2) po zbadaniu tych czy innych pozycji, 3) na tle wniosku prezesa Najwyższej Izby Kontroli o absolutorjum dla rządu.

Jeśli w historii parlamentarnej państw europejskich nie spotykamy wogóle wypadków pociągnięcia ministra skarbu do odpowiedzialności sądowej za przekroczenia budżetowe, to uchwała sejmu, stawiająca ministra skarbu przed Trybunałem Stanu za formalną stronę tych przekroczeń nawet bez poprzedniego ich zbadania pod kątem widzenia merytorycznym, stanowi w praktyce budżetowej unikat. Nie mówiąc o wypadkach konieczności państwowej, trudno sobie wyobrazić, by minister skarbu mógł zapobiec omyłkom w obliczeniach oraz wydatkowaniu, dokonywanym ze strony innych resortów. Śmiem więc twierdzić, że formalna strona przekroczeń budżetowych bez uprzedniego ich zbadania przez parlament nie może uzasadniać pociągnięcia ministra skarbu do odpowiedzialności konstytucyjnej.

Po przemówieniu ministra Czechowicza zeznawał minister Składkowski, który między innemi podkreślił, że „obejmując swoje rządy, pan Marszałek Piłsudski zarówno w tym wypadku, kiedy był premierem, jak i kiedy brał udział w rządzie, zastrzegł sobie wobec nas wszystkich, jako ministrów, że on będzie regulował stosunek rządu do sejmu; wskutek tego, życiowo biorąc, istniał ten fakt, nie dający się zupełnie zaprzeczyć, że pan minister Czechowicz znajdował się w tej sytuacji życiowej, w jakiej znajdowałem się i ja, i wszyscy inni członkowie gabinetu, że stosunek do sejmu, a więc i przekroczenia budżetowe były regulowane jedynie przez pana Marszałka“, na pytanie zaś oskarżyciela

Liebermana, czy Rada Ministrów zajmowała się sprawą przedłożenia kredytów dodatkowych sejmowi i czy kwestja była przedmiotem dyskusji i uchwały na Radzie Ministrów, raz jeszcze podkreślił, że stosunek rządu do sejmu regulował Marszałek Piłsudski, wobec czego dalsze rozważania tego tematu są zbyteczne. „Znajdowałem się w zupełnie analogicznej sytuacji, jak pan Czechowicz, i wskutek tego wypełniałem w stosunku do sejmu polecenia pana Marszałka, tak samo, jak je wypełniał pan Czechowicz. A jeżeli wypełnianie rozkazów pana Marszałka może być uważane za winę, to nie więcej na ten temat nie odpowiem“.

Po zeznaniach ministra Składkowskiego minister Kwiatkowski podkreślił, że „w kwestjach formalnych rząd stał na tem stanowisku, że sprawa stosunku rządu do sejmu leży w kompetencjach Marszałka Piłsudskiego. Przy tworzeniu gabinetu w roku 1926 Marszałek Piłsudski, rozmawiając z nami, jako członkami jego rządu, zastrzegł sobie, że w tych sprawach on będzie jedynie odpowiedzialny. Wszystkie kredyty dodatkowe były przedmiotem obrad Rady Ministrów i nie budziły wątpliwości co do swej wysokiej celowości z punktu widzenia interesów państwa“.

Po zeznaniach ministra Kwiatkowskiego — zarządzono 15 minutową przerwę. W czasie tej przerwy przybył do gmachu sądu Marszałek Piłsudski. Po wznowieniu posiedzenia prezes Trybunału polecił poprosić na salę rozpraw Marszałka Piłsudskiego.

Oświadczenie, jakie przed Trybunałem Stanu złożył Marszałek Piłsudski, podane jest w tekście na str. 221—230.

„W czasie przemówienia Marszałka — czytamy w jednym ze sprawozdań prasowych — na sali panowała absolutna cisza. Trybunał Stanu, oskarżyciele, oskarżony, publiczność słuchała ze skupieniem i uwagą. Ton przemówienia, początkowo spokojny, nieco drwiący — zmienił się następnie... Wrażenie przemówienia było potężne. Przed oczy i sumienia tych, co nie zdawali sobie sprawy z doniosłości tego dnia w historii Polski, stanęła polska racja stanu w osobie Tego, co ją stworzył i żelazną ręką wbrew spekulacjom partyjnym trzyma“...

Nadmienić należy, że w dniu 29 czerwca 1929 o godzinie 9 wieczór Trybunał Stanu ogłosił uchwałę, mocą której jednomyślnie postanowił zawiesić postępowanie przeciw ministrowi Gabrjelowi Czechowiczowi do czasu wydania przez sejm merytorycznej uchwały co do wydatkowanych sum.

Do str. 225, wiersz 5.

Uchwalony przez sejm wniosek oskarżycielski (por. przypis do str. 189—203) był jednocześnie i aktem oskarżenia.

Do str. 229, wiersz 32.

Słowa te wypowiedział Marszałek Piłsudski, zwracając się w stronę oskarżycieli.

Do str. 231—232.

W dniu 11 sierpnia 1929 odbył się w Nowym Sączu do-
roczny zjazd legjonistów. Tym razem Marszałek Piłsudski
na zjazd nie przybył, ograniczył się jedynie do przesłania
listu, datowanego w Druskienikach 6 sierpnia 1929, a poda-
nego w tekście na str. 231—232.

Do str. 233—241.

Enuncjacja Marszałka Piłsudskiego, opublikowana w pra-
sie stołecznej w niedzielę 22 września 1929 pod tytułem
Gasnącemu światu, pozostaje w związku z zamierzoną a uda-
remnioną konferencją pomiędzy rządem a wpływowymi
członkami sejmu, — „konferencji, mającej zainaugurować
próbe normalizacji prac prawodawczych nad budżetem”.

We środę 4 września 1929 ówczesny prezes Rady Mini-
strów, dr. Kazimierz Świtalski, złożył wizytę marszałkowi
sejmu, Ignacemu Daszyńskiemu, podczas której zawiadomił
go, że „ma zamiar zwołać konferencję przedstawicieli stron-
nictw parlamentarnych w sprawach prac budżetowych izb
ustawodawczych celem uczynienia tych prac rzeczowymi
i racjonalnymi”. Dotychczasowa bowiem praktyka nie wy-
kazała, by „prace ciał ustawodawczych temu postulatowi
racjonalności i celowości czyniły dostatecznie zadość”. Pre-
mjer Świtalski zaznaczył przytem, że konferencję tę zwołać
ma zamiar w połowie września — po powrocie do Warszawy
Marszałka Piłsudskiego, który w trakcie rozmowy z premje-
rem w Druskienikach wyraził chęć wzięcia w tej konferencji
udziału.

Zapowiedziana w ten sposób przez premjera Świtalskiego
konferencja stała się w pierwszych dniach września głównym
tematem rozmów, narad i posiedzeń kół sejmowych.

W dniu 11 września 1929 odbyło się posiedzenie prezydium
Klubu Narodowego, na którym postanowiono „nie wysyłać
swego przedstawiciela na konferencję do prezesa Rady Mi-
nistrów”, gdyż „Narodowa Demokracja uważa, że właści-
wym terenem omawiania prac budżetowych jest sejm i jego

komisje”, poza tem zaś „nie porzuca swej inicjatywy w spra-
wie zwołania sesji nadzwyczajnej”.

Zarząd klubu „Piasta” uzależnił swoją decyzję od „znajo-
mości przedmiotu konferencji oraz zapewnienia, że godność
sejmu nie będzie na szwank narażona”.

W sobotę 14 września odbyło się posiedzenie stronnictw
lewicy i centrum, poświęcone omawianej konferencji. Po
dwugodzinnych naradach zreagowano następującą dekla-
rację:

„W odpowiedzi na zakomunikowaną przez pana marszałka
sejmu inicjatywę rządu, dotyczącą omówienia sposobu pro-
wadzenia prac budżetowych, stronnictwa podpisane proszą
pana marszałka sejmu, by zechciał przedstawić rządowi po-
trzebę przyspieszenia zwołania sesji sejmowej oraz omówił
z rządem imieniem sejmu wszystkie szczegóły, tyjące się
usprawnienia prac budżetowych zarówno ze strony sejmu,
jak i rządu. Stronnictwa stwierdzają, że po zamknięciu sesji
sejmowej jedynym organem, uprawnionym do reprezentowa-
nia sejmu, jest jego prezydium z marszałkiem na czele”. De-
klarację tę podpisali w imieniu Chrześcijańskiej Demo-
kracji — Chaciński, Narodowej Partji Robotniczej (pra-
wica) — Chądzyński, Polskiego Stronnictwa Ludowego
„Piaś” — Dębski, „Wyzwolenia” — Woźnicki, Stronnictwa
Chłopskiego — Dąbski i Polskiej Partji Socjalistycznej —
Niedziałkowski.

We wtorek 17 września 1929 Polska Agencja Telegraficzna
rozesłała następujący komunikat oficjalny:

„Rząd, proponując odbycie konferencji z przewodniczącymi
klubów parlamentarnych, miał następujące cele na oku:
rząd układa budżet i wykonuje go, parlament uchwała
ustawę, ustalającą budżet. Współpraca władzy wykonawczej
i ciał ustawodawczych jest koniecznością. Można tę współ-
pracę ograniczyć do form niezbędnych, nakazanych przez
Konstytucję, i uważać komisje budżetowe i plenarne po-
siedzenia ciał ustawodawczych za jedyny i wyłączny teren
prac nad budżetem. Dotychczasowe doświadczenia wyka-
zały jednak aż nadto dobitnie, że zagadnienia budżetowe
w komisjach i na plenarnych posiedzeniach rozważane były
raczej pod kątem bieżących nastrojów politycznych, aniżeli
pod kątem rzeczowości. Zagadnienie racjonalności budżetu,
który normować ma na przeciąg roku życie ekonomiczne
nie tylko państwa, lecz całego społeczeństwa, zostaje zepchnię-
te na plan dalszy.

Rząd miał zamiar uczynić próbę, czy drogą informacji
i wymiany zdań między członkami gabinetu a przewodni-

czącymi klubów parlamentarnych nie uda się choć w pewnej części poprawić dotychczasowego systemu prac budżetowych. Na konferencjach takich możnaby było dojść do ustalenia, jaką jest sytuacja finansowa i gospodarcza państwa. Możliwe byłoby obliczyć prawdopodobne dochody skarbowe, zdać sobie sprawę z tego, które potrzeby i w jakim zakresie można w obecnej chwili zaspokoić, tak, by po ustaleniu granic uwolnić się od tych wszystkich tendencji, które nie liczą się z realnymi warunkami, w jakich państwo się znajduje.

W ten sposób debaty budżetowe mogłyby zostać bardziej uporządkowane i można było drogą ograniczeń, które ciała ustawodawcze same sobie musiałyby narzucić, zmniejszyć ilość i rozbieżność zgłaszanych wniosków, które grożą albo równowadze budżetowej, albo wypaczają ogólny plan gospodarczy.

W odpowiedzi na inicjatywę rządu pan marszałek Daszyński wręczył panu prezesowi Rady Ministrów list pana prezesa Klubu Narodowego do pana marszałka Daszyńskiego i pismo, podpisane przez związek parlamentarny Polskiej Partji Socjalistycznej, klub parlamentarny „Wyzwolenie”, klub parlamentarny Stronnictwa Chłopskiego, klub parlamentarny Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piaś”, klub parlamentarny Chrześcijańskiej Demokracji i klub parlamentarny Narodowej Partji Robotniczej.

Rząd oba te akty uznać musi za odmowę ze strony stronnictw wzięcia udziału w proponowanej konferencji. Wspomniane zbiorowe pismo kilku klubów formalizuje całą sprawę i to najzupełniej błędnie. Zamierzona narada z przewodniczącymi klubów nie mogła być żadnym formalnym aktem jakiegoś stosunku władzy wykonawczej do ciał ustawodawczych. Zespół bowiem prezesów klubów nie jest żadnym ciałem określonym pod względem prawnym.

Rząd musi stwierdzić, że jego próba poprawy prac budżetowych, prac, obchodzących całe państwo i dotyczących interesów całego społeczeństwa, została przez odmowę większości partji udaremniona.

Dodać należy, że w związku z niedojściem do skutku konferencji rządu z przedstawicielami klubów sejmowych, ówczesny minister skarbu, Ignacy Matuszewski, w piątek 20 września udzielił przedstawicielowi Polskiej Agencji Telegraficznej w Warszawie wywiadu, w którym między innymi podkreślił, że budżet na rok przyszły nie będzie zwiększony, że liczyć na poważną wyżkę dochodów nie można, rząd jednak o tworzeniu nowych obciążeń po-

datkowych nie myśli; podkreślił poza tem konieczność powstrzymania wzrostu wydatków, z wyjątkiem długów, zaciągniętych przez państwo, co spowodować musi obniżenie budżetów resortowych i pewne ograniczenie inwestycji.

Do str. 242—248.

W dniu 31 października 1929 odbyć się miało pierwsze w nowej sesji budżetowej posiedzenie sejm. W dniu tym około godziny 4 popołudniu przybyło do przedsiönka sejmowego kilkudziesięciu oficerów z różnych formacji i urzędów wojskowych w Warszawie. Część ich swą obecność w gmachu sejm. tłumaczyła później chęcią zobaczenia Marszałka Piłsudskiego, którego przyjazd do sejm. zapowiedziany był na godzinę 4, część zaś chęcią wysłuchania mowy swego towarzysza broni, posła Adama Koca. Na wiadomość o przybyciu oficerów do sejm. przedstawiciele klubów opozycyjnych zwołali konwent senjorów, gdzie oświadczyli, że „nie należy rozpoczynać posiedzenia dopóty, dopóki siła zbrojna znajduje się w gmachu sejm.”.

O godzinie 3.55 przybył do gmachu sejm. Marszałek Piłsudski w towarzystwie wszystkich ministrów z wyjątkiem chorego premjera. Oficerowie, zebrani w przedsiönku, przyjazd Marszałka Piłsudskiego przyjęli okrzykiem: „niech żyje!”, zachowując przy tem postawę zasadniczą.

Na urzędowe zawiadomienie o przybyciu Marszałka Piłsudskiego — w zastępstwie chorego prezesa Rady Ministrów — marszałek sejm., Daszyński, oświadczył, że posiedzenia nie otworzy, dopóki oficerowie z gmachu sejmowego nie wyjdą. Oficerowie zaś służbie sejmowej, wysłanej do nich przez marszałka Daszyńskiego, oświadczyli, że „nie wyjdą, ponieważ mają prawo znajdować się w sieni tak samo, jak wszyscy inni, którzy się tam zazwyczaj znajdują, i rozkazów od służby przyjmować nie będą”.

O godzinie 5 — wobec zwłoki z otwarciem posiedzenia — Marszałek Piłsudski w towarzystwie ministra Składowskiego i pułkownika Becka udał się do gabinetu marszałka sejm., Daszyńskiego, skąd po krótkiej rozmowie przeszedł do gabinetu, zarezerwowanego dla prezesa Rady Ministrów, a potem wkrótce opuścił gmach sejm., udając się do Prezydenta Rzeczypospolitej na Zamek.

Około godziny 8 marszałek Daszyński odwołał pisemnie posiedzenie sejm. Obwieszczenie jego brzmiało, jak następuje:

„Z powodu zajęcia przemocą frontowej sieni wejściowej i poczekalni gmachu sejm. przez uzbrojonych oficerów

wojsk polskich w liczbie około stu kilkudziesięciu, którzy na dwukrotne wezwanie urzędowe organów marszałka sejmu gmachu sejmowego nie opuszczają, oświadczam, że pod szablami panów oficerów posiedzenie dzisiejsze odwołuję. O terminie następnego posiedzenia zostaną panowie posłowie zawiadomieni. Marszałek sejmu Daszyński“.

Bezpośrednio po ogłoszeniu odwołania posiedzenia sejmu Blok Bezpartyjny odbył posiedzenie plenarne, na którym powziął jednogłośnie następującą rezolucję:

„W związku z odwołaniem posiedzenia przez pana marszałka sejmu i wobec motywów, zawartych w rozestanym przezeń zawiadomieniu, klub Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem oświadcza:

że wezwanie przez urzędników i woźnych oficerów, przybyłych na powitanie Marszałka Piłsudskiego i tworzących szpaler w przedsiönku, do którego wstęp nigdy nie był nikomu wzbroniony i gdzie stale w czasie posiedzeń oczekują różne delegacje i interesanci prywatni, było niesłychana obraza w stosunku do oficerów;

dalsze argumenty pana marszałka Daszyńskiego, podyktowane niezrozumiałością i niczem nieuzasadnioną obawą przed szpalerem oficerów, witających swego Wodza, mają tendencję demagogiczną i zmierzają do siania w społeczeństwie niczem nieumotywowanego niepokoju i zamętu.

Wobec tego klub Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem postanowił jednomyślnie zgłosić votum nieufności panu marszałkowi sejmu“.

Tegoż dnia w godzinach wieczornych ogłoszono następujący komunikat urzędowy w tej sprawie:

„Z powodu niewyjaśnionego dotychczas zajścia z grupą oficerów, znajdujących się w przedsiönku sejmowym, pan marszałek sejmu uważał za słuszne nie otwierać posiedzenia sejmowego, tłumacząc panu Marszałkowi Piłsudskiemu, zastępującemu niedysponowanego pana premiera, że „pod bagnietami i szablami“ nie jest w stanie rozpocząć posiedzenia.

Te same motywy podał pan marszałek sejmu w liście swoim do Pana Prezydenta, prosząc go jakby o interwencję. Pan Marszałek Piłsudski, który o wysłaniu listu pana Daszyńskiego do pana Prezydenta nie był zawiadomiony, udał się do pana Prezydenta z relacją o niczem nieusprawiedliwionej niechęci pana marszałka Daszyńskiego do otwarcia posiedzenia. Wtedy pan Marszałek Piłsudski dowiedział się o treści listu pana Daszyńskiego do pana Prezydenta. Wobec tego, że między przedstawieniem sprawy przez pana Da-

szyńskiego a relacją pana Marszałka Piłsudskiego zachodziły bardzo daleko idące sprzeczności, pan Prezydent zaproponował listownie panu marszałkowi Daszyńskiemu odłożenie posiedzenia na inny dzień, aby mieć możność wyjaśnienia przy panu premierze tych sprzeczności“.

W niedzielę 3 listopada 1929 dzienniki ogłosiły komunikat pod tytułem *Ścisły przebieg rozmowy pomiędzy Marszałkiem Piłsudskim a marszałkiem sejmu*:

Wobec rozbieżnych interpretacji rozmowy pana Marszałka Piłsudskiego z panem marszałkiem Daszyńskim zarówno w prasie, jak i oświadczeniach osobistych, my: generał Sławoj-Składkowski, minister spraw wewnętrznych, i podpułkownik dyplomowany Beck, podajemy co następuje, jako naoczni świadkowie rozmowy:

Rozmowa pana Marszałka Piłsudskiego z panem marszałkiem Daszyńskim dnia 31 października 1929 w apartamentach marszałka sejmu.

Pan marszałek Daszyński, wskazując na generała Składkowskiego i podpułkownika Becka:

— Może pan generał i pułkownik zostaną (wskazuje na salonię).

Pan Marszałek Piłsudski: Nie. Pan przekreśla wszystko, i dlatego wziąłem dwóch świadków (krótki uścisk rąk, siadają).

Pan Marszałek Piłsudski: Słyszałem, że miał pan jechać do pana Prezydenta, więc nie przychodziłem do pana, teraz widzę, że pan jest tu, więc przychodzę i chcę pana spytać, poco robi pan te hece. Czy ja mam długo czekać na otwarcie sejmu? Cemu pan nie otwiera sejmu? Co znaczą te hece?

Pan marszałek Daszyński: Czy to, że tu są panowie oficerowie w sejmie?

Pan Marszałek Piłsudski: Nie, nie to, ale to, że pan nie otwiera posiedzenia sejmu. Czegóż pan go nie otwiera?

Pan marszałek Daszyński: Pod bagnietami, karabinami i szablami izby ustawodawczej nie otworzę. W hallu są uzbrojeni oficerowie.

Pan Marszałek Piłsudski: A jak to pan dowiedzie?

Pan marszałek Daszyński: Mówili mi to moi urzędnicy.

Pan Marszałek Piłsudski: Oh, pańscy urzędnicy! Jeżeli pan tego nie chce, to trzeba to było ogłosić zawczasu. Nikt tak nie robi, a przed wąskiem wejściem, gdzie ogłoszenia niema, zawsze tłum zebrać się musi. A później jacyś fagasi, albo któryś z posłów każe oficerom wychodzić. Poco te głupstwa?

Pan marszałek Daszyński: Jest pan moim gościem, więc nie chcę z tego, co pan mówi, robić użytku.

Pan Marszałek Piłsudski: Z czego?

Pan marszałek Daszyński: Pan mówi, że robię głupstwa.

Pan Marszałek Piłsudski: Ja nie jestem gościem, jestem tu oficjalnie.

Pan marszałek Daszyński: Ja też oficjalnie!

Pan Marszałek Piłsudski: Więc proszę pana o trzymanie języka (uderzenie w stół ręką) i pytam pana, czy zamierza pan otworzyć sesję?

Pan marszałek Daszyński: Pod bagnetami, rewolwerami i szablami nie otworzę.

Pan Marszałek Piłsudski: To pańskie ostatnie słowa?

Pan marszałek Daszyński: Tak jest.

Pan Marszałek Piłsudski: To pańskie ostatnie słowo?

Pan marszałek Daszyński: Tak jest.

Pan Marszałek Piłsudski kłania się lekko i, nie podając ręki, opuszcza gabinet pana marszałka Daszyńskiego. Przechodząc przez salonik pana marszałka sejmu, mówi głośno: To duren.

Ponieważ panu Marszałkowi Piłsudskiemu trudno było opisać dokładnie rozmowę, tem bardziej, że jest zmuszony w tej samej sprawie współpracować z panem Prezydentem Rzeczypospolitej, uważaliśmy za swój obowiązek zrekonstruować tę rozmowę szczegółowo sami. Pan Marszałek Piłsudski przeczytał powyższy tekst rozmowy, stwierdził jego ścisłość i uzupełnił go paru zapomnianymi przez nas szczegółami.

Warszawa, dnia 2 listopada 1929.

(—) Sławoj-Składkowski
Minister Spraw Wewnętrznych.

(—) J. Beck
podpułkownik dyplomowany.

We czwartek 13 lutego 1930 odbyło się posiedzenie komisji, powołanej do zbadania zajść w dniu 31 października. Na wstępie przewodniczący komisji, poseł Czetwertyński, oświadczył, że w wyniku korespondencji, przeprowadzonej z prezydym Rady Ministrów i ministerstwem spraw wojсковych, otrzymał sprawozdanie Marszałka Piłsudskiego, wysłane przezeń do Rady Ministrów w dniu 7 listopada 1929. Poseł Czetwertyński, uważając, że sprawozdanie to zawiera „w paru ustępach zwroty obraźliwe”, polecił referentowi posłowi Liebermanowi zaznaczyć członków komisji jedynie

z treścią sprawozdania. W związku z powyższem poleceniem wywiązała się ożywiona dyskusja. Po pewnym czasie poseł Czetwertyński zarządził przerwę, polecając członkom komisji zapoznać się w ciągu niej z treścią sprawozdania. Po przerwie poseł Podoski w imieniu Bloku Bezpartyjnego złożył następujące oświadczenie:

„Uważamy, że Marszałek Józef Piłsudski jest tak wielką postacią w życiu Polski, iż jakakolwiek cenzura jego urzędowych enuncjacji przez jakiekolwiek bądź ciało zbiorowe czy osobę nie jest dopuszczalne. Co się zaś tyczy aktu, danego nam do przejrzenia, stwierdzamy, że jedynymi zwrotami, które przypuszczalnie obudziły w panu przewodniczącym komisji wątpliwości, czy akt ten może być in extenso odczytany, jest określenie pana marszałka Daszyńskiego jako warjata i zarzucające mu kłamstwo. Natomiast akt ten zawiera ustalenie doniosłych okoliczności dla całokształtu sprawy, zdolnych przyczynić się do ich całkowitego wyświeślenia. Z tych wszystkich względów musimy nastawać na odczytanie tego aktu w całości, nie uznając również za dopuszczalne, aby akt ten był odczytany na posiedzeniu tajnem”.

Po ożywionej dyskusji podano pod głosowanie wnioski przedstawicieli Bloku Bezpartyjnego o odczytanie sprawozdania w całości. Wniosek upadł większością 5 przeciw 3 głosom. W związku z wynikiem głosowania poseł Sławek w imieniu swoim i przedstawicieli Bloku Bezpartyjnego oświadczył, że nie mogą nadal brać udziału w pracach komisji.

W sobotę 15 lutego 1930 organ P. P. S. *Robotnik* podał urywki z nieodczytanego na komisji sprawozdania Marszałka Piłsudskiego z dnia 7 listopada 1929. W związku z tem w tymże dniu w wieczornym komunikacie agencji „Iskra” ukazał się pełny tekst tego sprawozdania.

Do str. 249—257.

Wybuch wojny rosyjsko-japońskiej (luty 1904) wywołał silne podniecenie całego społeczeństwa polskiego, zwłaszcza zaś ogółu robotniczego. Przewidywano, że wojna ta pociągnąć za sobą musi poważne następstwa polityczne. Ruch rewolucyjny, wszczęty przez Polską Partję Socjalistyczną, ujawniający się początkowo w demonstracjach robotniczych, organizowanych w odpowiedzi na manifestacje „patriotyczne”, urządzane przez policję i młodzież rosyjską w Królestwie, rozrastał się i rozszerzał coraz bardziej. Pierwsze manifestacje zbrojne w Warszawie, Częstochowie i Rado-

miu — wskutek braków w ich organizacji, nie miały — jak pisze historyk tych czasów — większego znaczenia. „Dopiero słynna demonstracja dnia 13 listopada 1904 roku na placu Grzybowskim zaznaczyła zwrot poważny w taktyce rewolucyjnej Polskiej Partji Socjalistycznej”. Zorganizowana w odpowiedzi na ukaz carski o mobilizacji, zapowiedziana w odezwach polskich i żargonowych, oczekiwana była w naprężeniu nie tylko przez ludność robotniczą, lecz także przez „wszystkie żywioły, czujące, że protest masowy przeciwko mobilizacji jest konieczny”. „W niedzielę 13 listopada na placu Grzybowskim zgromadziły się tłumy robotników i sporo studentów wraz z licznymi gromadkami inteligencji socjalistycznej. Policja próbowała zmuszać ludzi do rozejścia się, ale nie mogąc nic wskórać, wycofała się. O godzinie 12 i pół, kiedy publiczność wychodziła z kościoła, nagle ukazał się czerwony sztandar z napisem: „nie chcemy być żołnierzami cara!” i „P. P. S.”. Gromadka, otaczająca chorążego, zaczęła śpiewać *Warszawiankę* i tłum oczekujących na hasło demonstrantów pośpieszył ku sztandarowi. Uformowano pochód, który posunął się ku ulicy Bagno. W tej chwili policja z wydobytymi pałaszami rzuciła się ku pochodowi, aby go powstrzymać, lecz z szeregów demonstrantów rozległa się salwa rewolwerowa. Dwóch policjantów padło na miejscu, pozostali — ranni i przerażeni — rozbiegli się na wszystkie strony. Z bram jednak wypadli ukryci tam ułani i wścieklą szarżą opróżnili plac, wpychając część demonstrantów w ulicę Bagno, część do bram, resztę do kościoła Wszystkich Świętych. Oczyszczenie placu spowodowało rozlanie się demonstracji na olbrzymią przestrzeń miasta. Ponieważ wyloty ulic, prowadzących na plac Grzybowski, zamknięto podwójnymi kordonami, przeto poza niemi skupiły się wielkie tłumy ludzi, którzy uformowali potem pochody i ruszyli w przeciwnym kierunku. Jeden z takich pochodów posuwał się od rogu Święto-Krzyskiej i Marszałkowskiej przez całe prawie miasto z trzema sztandarami o napisach rewolucyjnych. Z pochodu strzelano do policji. Ku Wierzbowej posuwał się pochód studencko-inteligencki, który również stał się z policją, zabijając rewierowego. Na Dzielnej urządzili pochód Żydzi z P. P. S. Wszędzie słychać było wystrzały, pieśni i okrzyki rewolucyjne. Znaczna część demonstrantów chciała się przedrzeć przez kordony wojskowe na Grzybów, co się też udało, ale kosztem znacznych ofiar, gdyż na Bagnie wywiązała się formalna bitwa. Wojsko, do którego strzelano z okien, dało salwę. Byli zabici i ranni. Nazajutrz wyszła odezwa P. P. S., wyjaśniająca demonstrację, która

wywołała olbrzymie wrażenie nie tylko w kraju, ale nawet zagranicą, gdzie pisma ilustrowane podawały fantastyczne ilustracje tego pierwszego od powstania roku 1863 potężnego wystąpienia rewolucyjnego Warszawy” (zob. Leon Wasilewski *Zarys dziejów Polskiej Partji Socjalistycznej w związku z historją socjalizmu polskiego w trzech zaborach i na emigracji*. Warszawa, b. r., str. 140, 141, 148—150).

W dniu 10 listopada 1929 odbył się w Warszawie wielki obchód, poświęcony uczczeniu 25-ej rocznicy krwawej demonstracji na placu Grzybowskim. W związku z tą uroczystością Marszałek Piłsudski ogłosił w prasie stołecznej w dniu 9 listopada swe wspomnienia pod podanym w tekście tytułem.

Do str. 250, wiersze 29—32.

Po aresztowaniu Józefa Piłsudskiego i zajęciu przez żandarmerję tajnej drukarni w Łodzi w lutym 1900, nowonabytą drukarnię i redakcję nielegalnego *Robotnika* umieszczono początkowo w Kijowie, później zaś — naskutek propozycji Józefa Piłsudskiego na przełomie lat 1901/1902 przeniesiono do Rygi. Redaktorem *Robotnika*, zarówno w Kijowie, jak i w Rydze, był Feliks Perl. Umieszczenie drukarni *Robotnika* zdala od ośrodków polskiego ruchu wyzwolenczego miało dużo złych stron, przemawiało jednak za tem znacznie większe jej bezpieczeństwo. „Wybuch wojny rosyjsko-japońskiej — pisał Feliks Perl w swych wspomnieniach — i nowe zadania, które stały przed partją, znowu ze wzmoczoną siłą dały nam odczuć całą niedogodność, wynikającą z oddalenia drukarni od „pola walki”. (zob. *Z dziejów prasy socjalistycznej w Polsce*, praca zbiorowa, Warszawa, 1919, str. 16). Po aresztowaniu Perla w Warszawie w roku 1904 redakcję *Robotnika* objął Józef Kwiatek (zob. niżej). Wkrótce potem przeniesiono drukarnię do Warszawy.

Do str. 251, wiersz 1.

Feliks Perl w cytowanych już wspomnieniach swych pisze o Rożeniu: „Najczęściej przyjeżdżał (do tajnej drukarni *Robotnika*) Władysław Rozeń, obecnie podpułkownik artylerji wojska polskiego. Rozeń skończył był szkołę kadetów i służył, jako porucznik, w wojsku rosyjskiem. Podał się jednak do dymisji i wstąpił do politechniki lwowskiej. Przerwał jednak studia, aby oddać się pracy rewolucyjnej. „Barnaba” albo „Kapitan”, jak go nazywaliśmy, był nam niesłychanie miłym gościem, jako towarzysz wielkiej zacności i bardzo sympatyczny człowiek. „Dla bez-

pieczeństwa" jeździł on zawsze w rosyjskiej *dworjańskiej* czapce z czerwonym lampasem i wśród żandarmów, *izwozszczyków*, konduktorów budził respekt groźnym, rozkazującym tonem głosu, jakim umyślnie do nich przemawiał. Pewnego razu, czekając z „bibułą” (druki nielegalne) na pociąg, zapytał się żandarma, dlaczego pociąg się spóźnia. Żandarm zasalutował i odpowiedział, że nie wie. Ale w „Barnabie” ocknął się oficer, którego oburzyła nieprawidłowa postawa żandarma. — „Pluję na twoje salutowanie! — krzyknął gniewnie — ale dlaczego obcasy niepołączone?”.

Władysław Jaxa-Rożen, generał, zmarł w Warszawie 24 czerwca 1931.

Do str. 254, wiersz 30.

Józef Kwiatek — członek P. P. S., w okresie rewolucji jeden z gorących obrońców programu niepodległościowego partii, odznaczający się niespożytą energią, wielkimi zdolnościami organizatorskimi i niezrównaną wymową. Do P. P. S. wstąpił, a raczej ściślejsze stosunki z nią nawiązał około 1898 — w okresie studjów uniwersyteckich w Dorpacie. Później czas jakiś spędził w Berlinie, następnie w Krakowie jako współpracownik *Gazety Robotniczej*, *Przedświitu* i *Naprzodu*. W roku 1904 po aresztowaniu Feliksa Perla — redaktor *Robotnika* i członek Centralnego Komitetu partii. W roku 1906, wydany władzom rosyjskim przez prowokatorów, skazany został na 2 i pół roku więzienia, gdzie zapadł na gardło i płuca. W styczniu 1910 w Krakowie odebrał sobie życie z powodu beznadziejnego stanu zdrowia.

1930

Do str. 261.

W dniu 1 lutego 1930 zmarł we Lwowie w 96 roku życia profesor Benedykt Dybowski, wielki patriota, uczestnik powstania 1863, działacz społeczny, jeden z najsławniejszych przyrodników polskich, autor około 200 prac naukowych, między innymi *Pamiętników od 1862 do 1878*, wydanych we Lwowie w 1930 przez Zakład Narodowy imienia Ossolińskich. Marszałek Piłsudski w związku ze śmiercią prof. Dybowskiego wysłał do wdowy po nim list, który dajemy w tekście na str. 261.

Do str. 262—269.

W połowie marca 1930 Polska Partja Socjalistyczna (C. K. W.) wystąpiła z inicjatywą wyrażenia votum nieufności dla ministra pracy i opieki społecznej, Aleksandra Prystora,

głównie w związku z jego zarządzeniami w stosunku do Kas Chorych. Na posiedzeniu sejmu w dniu 14 marca 1930, przed dyskusją nad tym wnioskiem, ówczesny prezes Rady Ministrów, prof. dr. Kazimierz Bartel, złożył oświadczenie, w którym zaznaczał, że uważa, iż wniosek jest niewątpliwie formalnie w zgodzie z odpowiednimi artykułami obowiązującej Konstytucji. „Nie zgadzałem się jednak nigdy i dziś zgodzić się nie mogę, aby w okresie sprawowania przeze mnie funkcji szefa rządu stosowanie przepisu o indywidualnej odpowiedzialności ministrów stało się zwyczajem w stosunkach pomiędzy rządem a parlamentem w Polsce. Dawałem niejednokrotnie wyraz swemu głębokiemu przekonaniu o konieczności zachowania przez rząd charakteru jednolitej całości nazewnątr, wspólnie i solidarnie, wobec innych organów władzy państwowej odpowiedzialnej... Wnioski kilku klubów tej wysokiej izby wymierzone są w dwóch ministrów (chodziło tu także o ministra oświaty, Czerwińskiego), lecz godzą jednocześnie w samą zasadę jednolitości rządu, którą uważam za kardynalny warunek sprawności i planowości jego działań. Idą one zatem przeciwko memu zasadniczemu stanowisku, jako szefa rządu; dlatego też, nie wchodząc w merytoryczną ocenę motywów złożonych wniosków, oświadczam, iż dla rządu wynik głosowania będzie stanowił wyraz stosunku sejmu do niego, jako całości”.

Mimo tego oświadczenia sejm w wyniku kilkugodzinnej dyskusji uchwalił votum nieufności dla ministra Prystora. Bezpośrednio po tej uchwale rząd, który znajdował się na sali prawie w komplecie, opuścił sejm.

W sobotę 15 marca 1930 premier Bartel przedstawił Prezydentowi Rzeczypospolitej podanie o dymisję. Według komunikatu oficjalnego Prezydent Rzeczypospolitej, otrzymawszy prośbę premiera, wyraził zdziwienie, że „sejm spowodował otwarcie przesilenia rządowego w chwili, gdy prace nad budżetem państwa nie zostały jeszcze zakończone”. W tymże dniu Prezydent Rzeczypospolitej odbył naradę z Marszałkiem Piłsudskim w celu „omówienia wytworzonej sytuacji oraz zasięgnięcia opinii Marszałka, jako osoby, mającej najdłuższe doświadczenie w kierownictwie sprawami państwa”. W dniu 17 marca Prezydent Rzeczypospolitej przychylił się do przedstawionej prośby i zwolnił prof. dr. Bartla z urzędu prezesa Rady Ministrów wraz z całym gabinetem.

Podany w tekście na str. 262—269 artykuł pozostaje w związku z tem właśnie przesileniem. Artykuł ten przesłany został w dniu 18 marca 1930 za pośrednictwem agencji „Iskra”.

Pisma ogłosiły go w numerach z 19 marca — pod różnemi tytułami: *Enuncjacja Marszałka Polski*, *Artykuł Marszałka Józefa Piłsudskiego i Dlaczego uchyliłem się od misji tworzenia rządu?*

Zaznaczyć należy, że wywołane tą drogą przesilenie rządowe zakończone zostało w ostatnich dniach marca.

Po ustąpieniu prof. Bartla misję utworzenia rządu otrzymał marszałek senatu, prof. Szymański, który po licznych konferencjach i rozmowach orientacyjnych z klubami sejmowemi w dniu 25 marca udał się do Belwederu i przedstawił tam Marszałkowi Piłsudskiemu sytuację polityczną na terenie parlamentarnym. Po powrocie do sejmu prof. Szymański udzielił przedstawicielom prasy szczegółowych wyjaśnień o dotychczasowym wyniku swej misji:

„O godzinie 1 po południu udałem się na konferencję do pana Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego. Zdałem mu sprawę z obecnej sytuacji politycznej na terenie parlamentarnym i przedstawiłem mu, że gdybym się chciał oprzeć jedynie na oficjalnych i przedstawionych suchych mi deklaracjach, musiałbym przyjąć do wniosku, że utworzenie gabinetu pacyfikacyjnego jest niemożliwe.

Zdając sobie sprawę z całej wagi powierzonego mi zadania, bo nie igrza się z państwem, zastosowałem do polityki naukowy system pracy, to jest rzeczowe badanie przed wnioskowaniem. Dlatego też wezwałem wszystkie prezydja klubów w kolejności ich siły liczebnej na szereg długich, uciążliwych, lecz szczerých rozmów, w których ciągu w atmosferze wzajemnego zaufania starałem się zbadać rzeczywiste bóle i przyczyny zadrażeń, wyjaśnić ich pogląd na sytuację gospodarczą w kraju i usłyszeć wskazania sposobów zaradzenia niedomaganiom.

Aczkolwiek prasa wyrażała się sceptycznie o tych konferencjach, wypowiadała niezadowolenie z powodu tak długo ciągnących się rozmów, to jednak właśnie z tych rozmów wydobyłem wielkie wartości, które mi umożliwiły prowadzenie dalej dzieła, poruczonego mi przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Znalazłem nowe możliwości współpracy, wyczułem ogromne pragnienie pokoju i chęć lojalnej współpracy oraz gotowość zapomnienia dawnych zadrażeń.

System pomajowy, polegający na zasadzie niemieszania się sejmu do wewnętrznego trybu rządzenia, jednak już zrobił swoje: żadna partja prócz jednego wyjątku nie poruszyła sprawy personalji. Rozmowy toczyły się na płaszczyźnie

czysto rzeczowej i mogę śmiało powiedzieć *sine ira et studio*

Przedstawiłem ten stan rzeczy Marszałkowi Piłsudskiemu, który mi na to odpowiedział, że Polska ma dlatego dziś uznanie zagranicą, że system pracy rządowej został nadzwyczajnie wysoko wykwalifikowany, że to, co kosztowało dawniej 10 godzin, dziś robi się w ciągu 10 minut, że jeżeli przy nowym kursie panowie posłowie znowu zaczną mieszać się do rządzenia, to będziemy ich mieli wszędzie w biurach i robota na tem tylko ucierpi, zdeorganizuje się.

— Ja na to nie pójdę — ciągnął Marszałek Piłsudski — ja widzę, że oni chcą zgody, bo są zapędzeni w ślepy zaułek. Pan chce ich stamtąd wyciągnąć, ja zaś chcę mieć gwarancję, że dzieło, z takim wysiłkiem tworzone, nie zostanie zniszczone. Dlatego też stawiam ze swojej strony punkty, od których nie odstąpię:

Jeżeli chcą rzeczywistej współpracy, to muszą się zgodzić na rzeczy następujące.

1) posłowie i partje nie wtrącają się do spraw, związanych z rządzeniem i personaljami rządu;

2) posłowie i partje nie wtrącają się do spraw, związanych z uchwalonym już budżetem;

3) przy uchwalaniu budżetu zostaje wycofany punkt 6 ustawy skarbowej;

4) sejm w ciągu co najmniej pół roku nie będzie zwołany.

Wkońcu Marszałek Polski zapowiedział kategorycznie, że w razie nieuwzględnienia przytoczonych powyżej czterech warunków, nie mógłby w żadnym razie wejść do pacyfikacyjnego gabinetu.

We środę 26 marca profesor Szymański udał się na Zamek do Prezydenta Rzeczypospolitej z prośbą o przyjęcie rezygnacji z misji utworzenia rządu. Na premjera desygnowany został poseł Jan Piłsudski, który jednak — po odbyciu szeregu konferencji — w dniu 29 maja zrzekł się misji tworzenia rządu, nie widział bowiem — jak oświadczył — „warunków, któreby dawały możność zrealizowania zamierzeń — wobec stanowiska, zajętego w ostatnich dniach przez stronnictwa opozycyjne“.

W dniu 29 marca misję utworzenia rządu otrzymał poseł Walery Ślawek, który w tymże dniu przedstawił listę nowego gabinetu do podpisu. Zaznaczyć należy, że w gabinecie tym nie wprowadzono żadnych istotnych zmian — minister Prystor zachował dawną tekę ministra pracy i opieki społecznej.

Do str. 270.

Podane w tekście na str. 270 uwagi o roli podoficera w wojsku udzielone zostały przez Marszałka Piłsudskiego *Wiarusowi*, wychodzącemu w Warszawie organowi podoficerów wojska lądowego i marynarki.

Do str. 271—344.

W sobotę 23 sierpnia 1930 ówczesny premier Walery Sławek został przyjęty przez Prezydenta Rzeczypospolitej i zgłosił zamiar podania się do dymisji, motywując ten krok „przemęceniem, spowodowaniem pracą bez wypoczynku, oraz niemożnością pełnienia jednocześnie dwóch funkcji — szefa rządu i prezesa Bloku Bezpartyjnego”. W odbytej bezpośrednio potem naradzie nad wytwarzającą się sytuacją polityczną wziął udział Marszałek Piłsudski. Podczas tej narady Prezydent Rzeczypospolitej zaproponował Marszałkowi Piłsudskiemu objęcie szefostwa rządu. Odpowiedź Marszałka Piłsudskiego — według komunikatu Kancelarii Cywilnej — brzmiała: „Oceniam najzupełniej motywy pułkownika Sławka. Najbardziej zaś mi się podoba to, że nie chce on być *Mädchen für alles*. Sam taką *Mädchen für alles* być nie mogę i dlatego poszukam systemu pracy zarówno z panami kolegami ministrami, których zmieniać nie chcę, jak specjalnie z ministrem skarbu, tak, abym mógł znaleźć ułatwienie swojej pracy, jako prezes gabinetu. Omówię to później szczegółowo z Panem Prezydentem”.

Tegoż dnia o godzinie 5.30 po południu odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, na którym ustępujący premier zawiadomił ministrów o swej decyzji, zaś Marszałek Piłsudski oświadczył, że „w razie przyjęcia szefostwa rządu pragnie zachować nadal współpracę wszystkich ministrów z gabinetu pana Walerego Sławka”, zaznaczając przytem, że zamierza powołać do rządu w charakterze ministra bez teki swego dotychczasowego pomocnika, podpułkownika Józefa Becka.

W poniedziałek 25 sierpnia Prezydent Rzeczypospolitej podpisał nominację nowego rządu, na czele którego stanął Marszałek Piłsudski.

Podany w tekście na str. 271—279 wywiad jest pierwszym z serii wywiadów, udzielonych redaktorowi *Gazety Polskiej* w czasie od 27 sierpnia do 14 grudnia 1930, w związku z najbardziej aktualnymi zagadnieniami politycznymi.

Do str. 276, wiersze 21—22.

Karaul — warta.

Do str. 278, wiersze 4—5.

Mowa tu o tak zwanym „Centrolewie”, w skład którego wchodziły P. P. S., Stronnictwo Chłopskie, „Piast” — „Wyzwolenie” i Narodowa Partja Robotnicza.

Do str. 280, wiersze 1—2.

W niedzielę 31 sierpnia 1930 ogłoszone zostało następujące orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej:

„Po dojrzałym namyśle stwierdzam, że najważniejszą rzeczą do pracy wszystkich obywateli Polski jest naprawa zasadniczych praw, rządzących Rzeczpospolitą, gdyż stanowią one podstawę dla wszystkich praw, istniejących w państwie.

Naprawa jest konieczną, gdyż, niestety, dotąd uniknąć nie można chaosu prawnego, istniejącego w Rzeczypospolitej.

Gdy przekonałem się, że naprawy tej pomimo moich usiłowań dokonać nie potrafię zapomocą istniejącego obecnie sejmu Rzeczypospolitej, zdecydowałem rozwiązać istniejący sejm i senat.

Wobec tego na podstawie artykułu 26, ustępów 2 i 3 Konstytucji rozwiązuję na wniosek Rady Ministrów sejm i senat z dniem 30 sierpnia 1930 roku, oznaczając termin wyborów do sejmu na dzień 16 listopada 1930 roku, zaś termin wyborów do senatu na dzień 23 listopada 1930 roku.

Warszawa, 29 sierpnia 1930 roku.

Prezes Rady Ministrów
Józef Piłsudski.

Prezydent Rzeczypospolitej
Ignacy Mościcki.

Do str. 281, wiersz 11.

Zgodnie z ustawą o ordynacji wyborczej w skład Państwowej Komisji Wyborczej wchodzi przedstawiciele najliczniejszych klubów parlamentarnych; w danym wypadku przedstawiciele Bloku Bezpartyjnego, Polskiej Partji Socjalistycznej, „Wyzwolenia”, Klubu Narodowego, Stronnictwa Chłopskiego, Klubu Ukraińskiego, „Piasta” i Klubu Niemieckiego.

Do str. 282, wiersze 18—19.

W związku z rozwiązaniem sejmu i senatu kancelarja sejmowa w dniu 1 września 1930 ogłosiła, że dżety poselskie

nie będą wypłacone z powodu nieotrzymania na ten cel pieniędzy z kasy skarbowej. Jednocześnie ministerstwo komunikacji wydało okólnik, unieważniający legitymacje kolejowe poselskie i senatorskie.

Wobec braku pieniędzy w kasach sejmu i senatu nie wypłacono również poborów miesięcznych urzędnikom etatowym tych instytucyj. Wysłanej do prezydium Rady Ministrów delegacji tych urzędników wice-premjer Beck oświadczył, że „zasada wypłaty poborów etatowym urzędnikom sejmu i senatu nie była nigdy przez rząd kwestjonowana, opóźnienie zaś wynikało wskutek wątpliwości, jakie budzą inne pozycje wydatków sejmowych w związku z rozwiązaniem izb”. Wice-premjer Beck zapowiedział przytem, że dołoży starań, aby wypłata mogła nastąpić jeszcze tegoż dnia. Istotnie, 1 września o godzinie 3 popołudniu kasy sejmu i senatu wypłatę tę uskuteczniły.

W dniu 1 września, w godzinach popołudniowych, a więc już po wyjaśnieniu sprawy przez wice-premjera Becka, marszałek sejmu, Daszyński, wystosował do Prezydenta Rzeczypospolitej list, w którym między innemi pisał:

„Wstrzymanie wypłaty pensji urzędnikom i niższym funkcjonariuszom godzi w egzystencję 374 osób niewinnych i jest krzywdą nieuzasadnioną”, w końcu zaś listu zwracał się z apelem: „Panie Prezydencie! Uznaję ciężkie położenie skarbu naszego państwa, które może być w rządzie powodem zaoszczędzenia 52000 złotych na pensjach urzędników i niższych funkcjonariuszów sejmu, a około 20000 na djetach prezydium sejmu i członków Komisji Kontroli Długów Państwa, ale trudno uznać tego rodzaju oszczędności, przy których obala się cały szereg ustaw, dotąd w państwie istniejących, i naraża się na głód kilkaset osób, nagle ciemsem tym dotkniętych”.

Do str. 287, wiersze 1—2.

W dniu 10 września 1930 Polska Agencja Telegraficzna ogłosiła następujący komunikat urzędowy:

„W okresie ubiegłej sesji sejmowej władze bezpieczeństwa zarejestrowały szereg przestępstw, zarówno natury kryminalnej, jak o charakterze politycznym, popełnionych przez byłych posłów do sejmu.

Ze względu na przepis artykułu 21 Konstytucji, dotyczący nietykalności poselskiej, postępowanie sądowe w sprawach tych było uniemożliwione, bądź też stale utrudniane. Wnioski o wydanie posłów sądom nie były załatwiane w terminach, ustalonych odnośnemi przepisami, albo, mi-

mo wyraźnych cech przestępstwa, były załatwiane odmownie, jak to miało miejsce ostatnio z byłym posłem Dworczaninem, który strzelał do policji i został aresztowany z decyzji władz sądowych — a pan marszałek sejmu zażądał wypuszczenia go na wolność.

Wobec wygaśnięcia mandatów poselskich, a co zatem idzie i nietykalności poselskiej, władze właściwe przystąpiły do wszczęcia spraw, nagromadzonych przez cały okres ubiegłej kadencji sejmowej.

Na tej podstawie w dniu 10 września dokonano zatrzymania szeregu byłych posłów, którzy dopuścili się przestępstw natury zarówno kryminalnej (kradzieże, oszustwa, przywłaszczenia i tym podobne), jak i natury politycznej (strzały do policji, nawoływanie do gwałtu i nieposłuszeństwa władzom, wystąpienia antypaństwowe i tym podobne).

Dochodzenia, które w sprawach zatrzymanych prowadziły władze bezpieczeństwa, będą skierowane do władz prokuratorskich”.

Aresztowani zostali Norbert Barlicki, Józef Putek, Kazimierz Bagiński, Herman Lieberman, Adam Pragier, Stanisław Dubois, Karol Popiel, Władysław Kiernik, Aleksander Dębski, Wincenty Witos, Mastek, Ciołkosz, Adolf Sawicki, Józef Baćmaga, Celewicz, Paljiw, Kohut i Wysłocki. Aresztowani przewiezieni zostali do więzienia wojskowego w Brześciu nad Bugiem.

Do str. 292, wiersz 30.

„Lewonicha” — taniec ludowy, powszechnie wówczas tańczony na Wileńszczyźnie.

Do str. 314, wiersz 31.

We wtorek 14 października 1930 Polska Agencja Telegraficzna ogłosiła następujący komunikat oficjalny:

„Władze bezpieczeństwa zaaresztowały kilku członków milicji Polskiej Partii Socjalistycznej (C. K. W.) pod zarzutem przygotowania akcji terrorystycznej. Według dotychczasowych zeznań organizatorem tej akcji był Jagodziński, który zamierzał rzucić bombę na samochód Marszałka Piłsudskiego, używając swych współtowarzyszy do osłonięcia strzałami rewolwerowemi swej ucieczki”.

W nocy z 12 na 13 października 1930 dokonano rewizji w mieszkaniach członków milicji partyjnej C. K. W. — P. P. S. — w wielu wypadkach znaleziono broń i amunicję. Aresztowano ośmiu członków milicji, z pośród nich pięciu — Jagodziński, Białkowski, Trochimowicz, Purzycki i Chrościński — stanęli pod zarzutem organizowania akcji terro-

rystycznej. Dnia następnego aresztowano w tejże sprawie jeszcze kilka osób.

W dniu 16 października 1930 prowadzący w tej sprawie śledztwo sędzia do spraw wyjątkowego znaczenia, Józef Skorzyński, udzielił prasie następujących informacji: „Wywiadów zasadniczo nie udzielam. Ze względu jednak na to, że w sprawie, dotyczącej zamachu na osobę Marszałka Piłsudskiego, obiegają pogłoski, niepokojące opinię publiczną, na podstawie dotychczasowych wyników śledztwa stwierdzam, że domniemanie o rzekomej prowokacji są stanowczo i bezwzględnie wyłączone”.

Zaznaczyć należy, że oskarżeni o przygotowanie tego zamachu skazani zostali przez sąd na rok więzienia.

Do str. 314, wiersz 33.

W dniu 16 października 1930 pracownik Miejskiego Urzędu Hygienicznego w Częstochowie, Kostrzewski, członek milicji partyjnej P. P. S. - C. K. W. w lokalu Powiatowej Kasy Chorych w Częstochowie zamordował inspektora Furmańczyka i komisarza Rejowskiego, ranił zaś ciężko parę osób, między innymi dr. Biluchowskiego. Zaznaczyć należy, że Furmańczyk i dr. Biluchowski kandydowali do sejmiku z listy okręgowej Bloku Bezpartyjnego.

Do str. 316, wiersz 7.

W dniu 7 października 1930 dzienniki doniosły, że „do Państwowej Komisji Wyborczej wpłynęła lista państwowa kandydatów Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem do sejmiku, zawierająca sto nazwisk”. Na czele listy figurowało nazwisko Pierwszego Marszałka Polski.

Do str. 325, wiersz 5.

Wybory do sejmiku odbyły się w niedzielę 16 listopada 1930. Według ostatecznych obliczeń Państwowej Komisji Wyborczej, ogłoszonych 21 listopada, Blok Bezpartyjny uzyskał z list okręgowych — 206 mandatów, z listy państwowej — 43, razem 249 mandatów na ogólną ilość 444.

Do str. 334, wiersze 1—3.

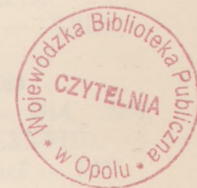
W sobotę 29 listopada 1930 Polska Agencja Prasowa ogłosiła następujący komunikat oficjalny:

„Na poufnej naradzie ministrów, która odbyła się wczoraj, pan Marszałek Piłsudski na wstępie wyjaśnił, że będzie zmuszony podać się do dymisji wraz z całym gabinetem. Jedynym powodem, który go do tego zmusza, jest to, że stan jego zdrowia i zmęczenie nie pozwala mu liczyć na to, by

mógł pracować tak dużo, jak tego wymaga urząd prezesa Rady Ministrów. Zaznaczył przytem, że już powiadomił o tem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i że Pan Prezydent wybrał jako premiera pana Walerego Sławka. Pan Marszałek dodał, że zostawia panu Waleremu Sławkowi dosyć czasu na to, by móc sformować gabinet. Obecny więc gabinet poda się do dymisji wtedy, gdy pan Walery Sławek będzie gotów z formowaniem nowego gabinetu”.

We czwartek 4 grudnia 1930 Prezydent Rzeczypospolitej przyjął dymisję rządu Marszałka Piłsudskiego i w tymże dniu podpisał listę nowego gabinetu z Walerym Sławkiem na czele. W gabinecie tym Marszałek Piłsudski zachował tekę ministra spraw wojskowych.

Wywiad, podany w tekście na str. 334—344, jest ostatnim z serii wywiadów, udzielonych *Gazecie Polskiej* w drugim półroczu 1930. Wywiad ten udzielony i opublikowany został na parę dni przed wyjazdem Marszałka Piłsudskiego na dłuższy odpoczynek na Madagę.



SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW.

(Liczby arabskie — tekst; liczby rzymskie — przypisy; liczby rzymskie z dodatkiem litery w — wstęp. Liczby, ujęte w nawias, — nazwiska w tekście nie zostały wymienione).

Anusz Antoni — III, IV,
VIII, XXXIII.
Argetoiano — XLI.

Baczyński Leon — XXXV,
XXXVII.

Bačmaga Józef — (287 —
289), 290, (291 — 293),
LXXVII.

Bagiński Kazimierz — (287
— 293), LXXVII.

Bandurski — XXXVIII.

Barlicki Norbert — (287—
293), VII, XIII, LXXVII.

Barnaba — zobacz Rozen—
Jaxa Władysław.

Bartel Kazimierz — 16,
(41—43), 124, 145, 152,
174, 188, 192, 196, 197,
204, 205, 211, 212, 262,
X — XIII, XV, XXVII,
XXXVII, XLIV, LII,
(LIII), LXXI, LXXII.

Batory Stefan — 164, (165).
Beck Józef — 188, 242, LIV,
LXIII, LXV, LXVI,
LXXIV, LXXVI.

Beczkowicz — XVII,
XXXVIII.

Beelaerts — 125.

Białkowski — (314, 315),
LXXVII, (LXXVIII).

Bielawski Józef — LIV.

Biluchowski — (314, 315),
LXXVIII.

Bleszyński — LIV.

Bniński Adolf — XI—XIV.

Boerner Ignacy — XIV.

Bogomołow — XXXI.

Bogucki Antoni — LIV.

Bogusławski Antoni —
XXVII.

Bojko — 137, XXXVI.

Briand — 125, 127.

Bujalski Jerzy — (4, 13),
VIII.

Byrka — XLII.
 Car — 314.
 Celewicz — (287 — 293),
 LXXVII.
 Chaciński — 6, (32 — 35),
 VI, VII, X, LXI, (LXII).
 Chamberlaine — 125.
 Chądzyński Adam — (4),
 6, (13, 32—35), VI, VII,
 X, LXI, (LXII).
 Chłapowski — XXI.
 Chróściński — (314, 315),
 LXXVII, (LXXVIII).
 Ciołkosz — (287 — 293),
 LXXVII.
 Cromwell — 132.
 Czapiński — XLII.
 Czechowicz Gabrjel —
 191—203, 208—213, 221—
 230, XLIV—LI, LIII—
 LIX.
 Czerwiński — LXXI.
 Czetwertyński — (59), 61,
 XIX, XLII, LXVI, LXVII.
 Daniłowska — (112).
 Daniłowski Gustaw — 112,
 XXVI.
 Darowski Ludwik — (4,
 13), VIII.
 Daszyński Ignacy — (32—
 35), 174, 233, 234, 237,
 238, 242—248, 282, 283,
 VI, VII, X, XIII, LX,
 (LXI), LXII — LXVII,
 LXXVI, (LXXVII).

Dawilla — XLI.
 Dąbkowski Mieczysław —
 XVI.
 Dąbski Jan — (32—35), X,
 XVI, LXI, (LXII).
 Dębski Aleksander — (32—
 35, 287—289), 290, (291—
 293), X, LXI, (LXII),
 LXXVII.
 Dietrich — LII.
 Dobrucki — (79), XX, XXVI.
 Downarowicz — XLVIII.
 Doumergue — (118).
 Dubanowicz — XI, XIII.
 Dubois Stanisław — (287—
 293), LXXVII.
 Dworczanin — LXXVII.
 Dybowska — (261, LXX).
 Dybowski Benedykt — 261,
 III, LXX.
 Dzierżykraj-Morawski Ka-
 jetan — zobacz Moraw-
 ski-Dzierżykraj.
 Erdman — (32—35), X.
 d'Esperey Franchet — (118,
 119), XXIX, (XXX).
 Fabrycy — XXVII,
 XXXVIII.
 Fara — XVI.
 Fryderyk Wielki — 106.
 Furmańczyk — (314, 315),
 LXXVIII.

Gaszyński — 188, X.
 Gawron — XXXV.

Gliwic — 188.
 Głabiński Stanisław — (4,
 13), VI, VIII, XIII.
 Gościcki Jerzy — (4, 13),
 VIII.
 Górecki Roman — XVI,
 XVIII, XXXVIII.
 Grabski Stanisław — (4),
 6, (13), VI, VII.
 Grabski Władysław — 3,
 (4), 5, (13), V, VII, VIII.
 Grinius — XX.
 Grodyński — LV.
 Grossek — 308.

Hielle — LII.

Jablrzykowski — XXI,
 XXXVIII.
 Jagiellonowie — 164,
 XXXIX.
 Jagodziński — (314, 315),
 LXXVII, (LXXVIII).
 Jankowski Jan — (4, 13),
 VIII.
 Jaroszewicz — (291), 292,
 XXXV.
 Jaxa-Rożen Władysław —
 zobacz Rożen-Jaxa.
 Jedynak — (32 — 35), X.
 Jeremicz — XXXVI.
 Jese — LV, LVI.
 Józef II — 62.
 Jurkiewicz — XVI.

Kapitan — zobacz Rożen-
 Jaxa Władysław.

Karliński Leon — (4, 13),
 VIII.
 Kasznica — XXIV.
 Katarzyna II — 62, 106.
 Kierbedź — 14, X.
 Kiernik Władysław — (4,
 13, 287—293), VI — VIII,
 LXXVII.
 Kiliński Władysław — LIII.
 Klarner — V.
 Kleszczyński — XLIII.
 Koc Adam — LXIII.
 Kohut — (287 — 293),
 LXXVII.
 Konarzewski Daniel — 188,
 XVIII, XXVII, XXXVIII.
 Korsak — XXXVIII.
 Kosiba Piotr — XXXVI.
 Kostrzewski — (314, 315),
 LXXVIII.
 Kościalkowski — (32—35),
 174, X, XIII, XVIII, XLII,
 XLIII, XLVII.
 Kościuszko Tadeusz — 45,
 54, 162, 163.
 Krasiński Zygmunt —
 (XIV w., 123).
 Krzemiński — XXVII.
 Krzyżanowski — X.
 Kucharski Władysław —
 (4, 13), 191, VIII, LII.
 Kutrzeba Tadeusz — XXVII.
 Kühn Alfons — XXXVII,
 XXXVIII.
 Kwaśniewski — XXXVIII.

Kwiatek Józef — 254—256, LXIX, LXX.
 Kwiatkowski (minister) — XVI, XXXVIII, LIX.
 Kwiatkowski (poseł) — 290.
 Langier — XVI.
 Laroche — (118, 119, 121), 124, XXIX, (XXX).
 Lechoń Jan — zobacz Serafinowicz Leszek.
 Lednicki Aleksander — LIV.
 Lieberman Herman — 60, 61, 198, 200, 274, (287—293), XIX, XXIII, XLIV, (XLV, XLVI), XLVII, XLVIII, LIV, LIX, (LX), LXVI, LXXVII.
 Lisiewicz — XXXVIII.
 Litwinow — XXXII.
 Lloyd George — 303, (304).
 Lubomirski Zdzisław — XIV w.
 Luter Marcin — 198.
 Łaskiewicz — (32—35), X.
 Łuczyński — XVI.
 Maciszewski — XVIII.
 Makowski — XI.
 Małczewski Juljusz — (4, 13), 18, VII.
 Malinowski-Pobóg Władysław — III, IV.
 Manteuffel — XVI.
 Marek — 6, (32—35), VI, VII, X, XIII, XIV, XXXIV

Marja Teresa — 106.
 Marmaggi — XXXIV.
 Mastek — (287—293) LXXVII.
 Matuszewski Ignacy — 235, (298, 307, 308), 311, LXII, (LXIII, LXXIV).
 Meysztowicz — XVII, XXXVIII.
 Michalski Jerzy — (32—35), 58, 65, X, XIX.
 Michał, król rumuński — 167.
 Mickiewicz Adam — (XV w.), 54, (123, 165), 169.
 Miedziński Bogusław — (32—35), 271—334, X, XXXVIII, LXXIV.
 Mikołaj II — (251).
 Minkiewicz — 206, 207, LIII.
 Miriam — zobacz Przesmycki Zygmunt.
 Młodzianowski — XI, XVI.
 Moniuszko Stanisław — (128).
 Moraczewski Jędrzej — (32—35), 191, VI, X, XXXVIII, LI, LII.
 Morawski-Dzierżykraj Kajak — (4, 13), VII.
 Moszczeński Jan — (4, 13) VIII.
 Moszczeński Józef — (115), XXIX.
 Mościcka — 38, (39), 40.

Mościcki Ignacy — 38—40, (42, 91, 109, 111, 135—137, 141, 142, 145, 148, 152, 196, 197, 239, 262, 263, 268, 269, 324, 325, 330), XIII, XIV, XV, (XXI—XXV), XXIX, XXXIII, (XXXIV, XXXVI, XXXVII, XXXIX, XLI, XLIV, XLVI, LII, LXIII—LXVI, LXXI—LXXIV), LXXV, (LXXVI, LXXVIII, LXXIX).
 Mussolini — (27).
 Napoleon I. — 46, 47, (162, 163), 164, 326.
 Narutowicz Gabriel — 13, (17), 23, (33), 36, (144).
 Neugebauer — XVI.
 Niedziałkowski — (32—35), X, XIII, LXI, (LXII).
 Niezabytowski — XVII.
 Nowodworski Stanisław — (4, 13), VIII.
 Oleśnicki Jarosław — LIV.
 Oppman Artur — XXI.
 Or-Ot — zobacz Oppman Artur.
 Osiecki Stanisław — (4, 13), VI, VII, XXXIII.
 Osiński — (4, 13), VIII.
 Ossolińscy — LXX.
 Paljiw — (287—293), LXXVII.
 Paschalski — LIV.
 Pączek Antoni — LI, (LII).

Perkowicz Edward — XXIX.
 Perl Feliks — 6, 252, XIV, LXIX, LXX.
 Petrażycki — XVIII.
 Piechocki Stefan — (4, 13), VI, VII.
 Pieracki — XLVII, LIV, (LX).
 Piestrzyński — XXXIX.
 Piłsudska Aleksandra — (18), XVII, (XXII, XXXVII, XL).
 Piłsudska Jadwiga — (18, 36, XVII, XXII, XXXVII, XL).
 Piłsudska Wanda — (18, 36), 198, (XVII, XXII, XXXVII, XL).
 Piłsudski Jan — 326, 327, LXXIII.
 Piłsudski Józef (ojciec) — (292, 293).
 Piskor — XXVII.
 Pius XI. — 90, 91.
 Pobóg-Malinowski Władysław — zobacz Malinowski-Pobóg.
 Podoski — LXVII.
 Polakiewicz — (32—35), 61, 135, X, XVI, XIX, XXXV, XLIII.
 Polejewski — XXXIX.
 Poniatowski Józef, książę — 13, (46), X.
 Poniatowski (poseł) — (32—35), X, XVI.

Popiel Karol — (287—293), VI, LXXVII.
 Posner — LIV.
 Praga Władysław — XXXVI.
 Pragier Adam — (287—293), LXXVII.
 Procope — 124.
 Prystor Aleksander — XXVII, LIV, LXX, LXXI, LXXIII.
 Przesmycki Zygmunt — XXI.
 Purzycki — (314, 315), LXXVII, (LXXVIII).
 Rutek Józef — (287 — 293), LXXVII.
 Putna Witold — 116, (117), XXIX.
 Racziewicz Władysław — V, XXXIX.
 Raczyński Aleksander — LIV.
 Radwan Józef — (4, 13), VII.
 Radziwiłł Albrecht — XVII.
 Radziwiłł Stanisław — 49, XVII.
 Radziwiłłowie — 49, XVII.
 Rataj Maciej — 14 — 16, (36, 37, 109—111, V), VI, XI—XV, XXIII, XXIV, (XXV), XXVI.
 Ratti — zobacz Pius XI.
 Rauscher — 124.

Rejowski — (314, 315), LXXVIII.
 Res — zobacz Perl Feliks.
 Romocki — (32—35), X.
 Rozen-Jaxa Władysław — (250), 251, 252, LXIX, LXX.
 Rybarski — XLIX.
 Rybczyński Mieczysław — (4, 13), VII.
 Rymar — XVIII.
 Rydz Edward — XXXVIII, XXXIX.
 Sanojca — XLIII.
 Sawicki Adolf — (287 — 293), LXXVII.
 Seyda Marjan — (4, 13), VIII.
 Serafinowicz Leszek — XXI.
 Sidorek — XIV.
 Sikorski Władysław — 5, VIII.
 Skarga Piotr — XV w.
 Skierski — XVI.
 Składkowski-Sławoj — (79), 202, 242, 314, XVI, XX, XXXV, LVIII, LIX, LXIII, LXV, LXVI.
 Skorzyński Józef — LXXVIII.
 Skrzyński Aleksander — 4, VI, VII.
 Sławek Walery — 234, 299, XXXIII, XXXIV, XXXVIII, LIV, LXVII, LXXIII, LXXIV, LXXIX.

Sławoj-Składkowski — zobacz Składkowski-Sławoj.
 Słowacki Juljusz — 84—89, (123), 158, (165, 231), 309, XXI.
 Smetona — XX.
 Smoła — XXXV.
 Smólski Stefan — (4, 13), VII.
 Sochacki — XXXV.
 Sokolnicki Michał — (IV).
 Sosnkowski Kazimierz — 61, 65, VIII, XXXVIII.
 Stachiewicz Julian — 115, (IV, XXVIII), XXIX, XXXVIII.
 Staniewicz — XVI, XXXVIII.
 Stecki — (32—35), X.
 Stołypin Arkadiusz — 25.
 Stresemann — 125, XXXII.
 Suligowski Adolf — LIV.
 Sułkowski — 106.
 Supiński Leon — LIV, (LIX).
 Szeptycki Stanisław — 5, VIII.
 Szumański Wacław — LIV.
 Szymański — XLIV, LIV, LXXII, LXXIII.
 Ścieżyński — XVIII.
 Śmigły — zobacz Rydz Edward.
 Święcicki Tadeusz — 334—344, (LXXIX).

Świtalski Kazimierz — (206, 207), 234, 235, 237, 238, 242, 332, XXXVII, XXXVIII, LII, (LIII), LIV, LX.
 Targowski (konsul) — XXI.
 Targowski Józef — XXXIII.
 Thugutt Stanisław — 233, LIV.
 Tokarzewski — 15.
 Tomaszewski Tadeusz — LIV.
 Trampeczyński Wojciech — 268, XXXIV, XLIII.
 Trochimowicz — (314, 315), LXXVII, (LXXVIII).
 Tuchaczewski Michał — 114, XXVII, XXVIII.
 Twardo — XXXVIII.
 Waldemaras Antoni — 72, 73, 120—124, (125), 126, (127, 128), 138, XX, XXX—XXXII.
 Waleron — (32—35), X.
 Warski - Warszawski — XXXV.
 Wasilewski Leon — LXIX.
 Wenda — XXVII.
 Wende — (XXVII), XXVIII.
 Wielopolski Aleksander — 44, 45, 254.
 Witos Wincenty — 3—7, (13, 287—289), 290, (291—293), VI, VII, VIII, LXXVII.

LXXXVIII

Wojciechowski Stanisław — (3, 5, 7), 13, (14), 15, 16, 33, (V, VI), VII, (VIII), XV.	Zahorski — XVI.
Woźnicki — (32—35), 134, 198, (199), 200, X, XXXV, XXXVI, XLIII, XLVIII, XLIX, LXI, (LXII).	Zaleski (minister) — 127, XVI, XXXI.
Wróblewski (general) — XVI.	Zaleski (sędzia) — (208— 213), LIII.
Wróblewski (prezes Naj- wyższej Izby Kontroli) — XLIX, (L, LI).	Zdziechowski Jerzy — (4, 13), VI, VII.
Wyrzykowski — 134, XXXV, XLVII, LIII, LIV, (LX).	Ziemięcki Bronisław — (32—35), VI, VII, X.
Wysłocki — (287—293), LXXVII.	Zieliński Michał — XIV.
Wyspiański Stanisław — (147).	Zubowicz Piotr — LIV.
	Zygmunt III — 14, 54.
	Żeligowski Lucjan — 61, 63, 113, XXVII, XXXII, XXXVIII, LIV.
	Żeromski Stefan — 96.

SPIS RZECZY.

WSTĘP	V
-----------------	---

1926.

O wyniku przesilenia rządowego i tak zwanym trzecim rządzie Witosa	3
Oświadczenie, złożone przedstawicielom prasy po wkroczeniu z wojskiem do stolicy kraju	8
Rozkaz do armji	9
O dniach przełomu i o sytuacji przed Zgroma- dzeniem Narodowym	12
O prawicy i lewicy w Polsce	21
O rządach sejmowych	27
Przemówienie do przedstawicieli stronnictw sej- mowych	32
W sprawie wyboru na Prezydenta Rzeczypospolitej O Prezydencie Rzeczypospolitej prof. dr. Ignacym Mościckim	36
O najwyższe władze wojskowe	38
Mowa na zjeździe legionistów w Kielcach	41
Przemówienie na zamku w Nieświeżu	44
Przemówienie przez radio w ósmą rocznicę odzy- skania niepodległości	49
O organizacji obrony państwa	50
O przewrocie na Litwie i stanowisku Polski	57
	70

1927.

O kulturze fizycznej narodu	77
Przemówienie przez radio do uczestników zjazdu oficerów rezerwy w Krakowie	82

XC

Przemówienie w Krakowie na Wawelu z okazji sprowadzenia do kraju prochów Juliusza Słowackiego	84
Przemówienie w Wilnie z okazji uroczystej koro- nacji obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej	90
Przemówienie na zjeździe legionistów w Kaliszu	92
W sprawie dekretów prasowych	109
List do wdowy po ś. p. Gustawie Daniłowskim	112
Pożegnanie generała Żeligowskiego	113
Przedmowa do drugiego wydania „Roku 1920”	114
Przemówienie w ambasadzie francuskiej	118
O stosunkach polsko-litewskich i opinja o Wal- demarasie	120
Przemówienia w Genewie	124

1928.

O organizację władz państwowych	151
Otwarcie sejmu	134
O przyczynach rezygnacji ze stanowiska szefa rządu	138
Przemówienie na zjeździe legionistów w Wilnie	155
Przemówienie w Bukareszcie	167
Z przemysłów Naczelnika Państwa	168

1929.

Przemówienie w komisji budżetowej senatu	173
Dno oka	189
Pożegnanie prof. dr. Kazimierza Bartla	204
W sprawie generała Minkiewicza	206
Oświadczenie w sprawie ministra skarbu, Gabrjela Czechowicza	208
Wychowanie fizyczne dzieci i młodzieży	214
List do mera miasta Verdun	220
Oświadczenie przed Trybunałem Stanu	221
List na zjazd legionistów w Nowym Sączu	231
Gasnącemu światu	233
Sprawozdanie o zajęciach w sejmie	242
Wspomnienie o Grzybowie	249

1930.

List do wdowy po ś. p. prof. Dybowski	261
O przyczynach uchylecia się od misji tworzenia rządu	262

XCI

O roli podoficera w wojsku	270
Pierwszy wywiad Bogusława Miedzińskiego	271
Drugi wywiad Bogusława Miedzińskiego	280
Trzeci wywiad Bogusława Miedzińskiego	287
Czwarty wywiad Bogusława Miedzińskiego	295
Piąty wywiad Bogusława Miedzińskiego	303
Szósty wywiad Bogusława Miedzińskiego	310
Siódmy wywiad Bogusława Miedzińskiego	316
Ósmy wywiad Bogusława Miedzińskiego	325
Wywiad Tadeusza Święcickiego	334

PRZYPISY	I
--------------------	---

SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW	LXXXI
---	-------

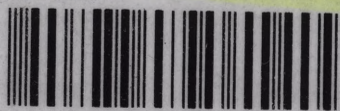
30 —

213674

12 III 25

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317417



000-317417-00-0